

STEPHEN
KING
BEV
VINCENT

17

**PODNIĘBNYCH
KOSZMARÓW**

Prószyński i S-ka





STEPHEN
KING
BEV
VINCENT

PRZEDSTAWIAJĄ

17
PODNIĘBNYCH
KOSZMARÓW

Przełożył Tomasz Wilusz

Prószyński i S-ka



Tytuł oryginału:
FLIGHT OR FRIGHT
17 TURBULENT TALES

FLIGHT OR FRIGHT copyright © 2018
Edited by Stephen King and Bev Vincent
All rights reserved

Ilustracja na okładce:
Amund Bjørnstad

Redaktor prowadzący:
Joanna Maciuk

Redakcja:
Joanna Habiera

Korekta:
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8169-576-3

Warszawa 2019

Wydawca:
Pròszyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Gintrowskiego 28
www.proszynski.pl

Przedmowa i wprowadzenia do opowiadań © 2018, Stephen King

E. Michael Lewis, *Ładunek*; pierwsze wydanie w *Shades of Darkness*, Barbara i Christopher Roden (red.), Ash-Tree Press © 2008. Przedruk za zgodą autora.

Arthur Conan Doyle, *Groza przestworzy*; pierwsze wydanie w „The Strand Magazine” © 1913.

Richard Matheson, *Koszmar na wysokości sześciu tysięcy metrów*; pierwsze wydanie w *Alone By Night*, Michael & Don Congdon (red.), Ballantine Books © 1961. Przedruk za zgodą spadkobierców autora i Don Congdon Associates, Inc.

Ambrose Bierce, *Latająca maszyna*; pierwsze wydanie w *Fantastic Fables*, Putnam © 1899.

E.C. Tubb, *Lucyferze!*; pierwsze wydanie w *Vision of Tomorrow #3* © 1969. Przedruk za zgodą Cosmos Literary Agency i spadkobierców autora.

Thomas Carlisle Bissell, *Kategoria piąta*; pierwsze wydanie w *The Normal School* © 2014. Przedruk za zgodą autora.

Dan Simmons, *Dwie minuty czterdzieści pięć sekund*; pierwsze wydanie w „Omni Magazine” © 1988. Przedruk za zgodą autora.

Cody Goodfellow, *Diablitos*; pierwsze wydanie w *A Breath from the Sky: Unusual Stories of Possession*, Scott R. Jones (red.), Martian Migraine Press © 2017. Przedruk za zgodą autora.

John Varley, *Nalot*; pierwsze wydanie w „Asimov’s Science Fiction” © 1977. Przedruk za zgodą autora.

Joe Hill, *Jesteście wolni* © 2018.

David J. Schow, *Ptaki Wojny*; pierwsze wydanie w *A Dark and Deadly Valley*, Mike Heffernan (red.), Silverthought Press © 2007. Przedruk za zgodą autora.

Ray Bradbury, *Latająca machina*; pierwsze wydanie w *The Golden Apples of the Sun*, Doubleday & Company © 1953. Przedruk za zgodą Don Congdon Associates, Inc.

Bev Vincent, *Zombi w samolocie*; pierwsze wydanie w *Dead Set*, 23 House Publishing © 2010. Przedruk za zgodą autora.

Roald Dahl, *Nie zestarzeją się nigdy*; pierwsze wydanie w formie książkowej w *Over To You: Ten Stories of Flyers and Flying*, Reynal & Hitchcock © 1946. Przedruk za zgodą The Roald Dahl Story Company Limited.

Peter Tremayne, *Morderstwo w powietrzu*; pierwsze wydanie w *The Mammoth Book of Locked Room Mysteries and Impossible Crimes*, Mike Ashley (red.), Robinson © 2000. Przedruk za zgodą autora.

Specjalista od turbulencji © 2018, Stephen King.

James L. Dickey, *Spadanie*; pierwsze wydanie w „The New Yorker” © 1967. Przedruk za zgodą spadkobierców autora oraz Raines & Raines.

Posłowie © 2018, Bev Vincent.

Antologia dedykowana wszystkim pilotom, prawdziwym i fikcyjnym, którzy sprowadzili swoje samoloty na ziemię po koszmarnym locie i bezpiecznie dowieźli pasażerów do celu.

Do tego grona należą:

Wilbur Wright
Chesley Sullenberger
Tammie Jo Shults
Vernon Demerest
Robert Pearson
Eric Gennotte
Tim Lancaster
Min-Huan Ho
Eric Moody
Peter Burkill
Bryce McCormick
Robert Schornstheimer
Richard Champion de Crespigny
Robert Piché
Brian Engle
Ted Striker

PRZEDMOWA

STEPHEN KING

Czy na tym nowoczesnym, zdominowanym przez technologię świecie są ludzie, którzy lubią latać? Może trudno w to uwierzyć, ale jestem pewien, że tak. Na przykład piloci, większość dzieci (choć nie te najmłodsze; źle znoszą zmiany ciśnienia) oraz rozmaici entuzjaści aeronautyki, chyba jednak nikt więcej. Dla reszty z nas podróż samolotem pasażerskim jest doświadczeniem równie uroklivym i ekscytującym jak badanie przezodbytnicze. Współczesne lotniska to zazwyczaj zatłoczone zoo, w których cierpliwość i uprzejmość wystawiane są na najcięższą próbę. Jedne loty się opóźniają, inne zostają odwołane, bagaże są przerzucane z miejsca na miejsce jak worki grochu i często nie docierają do celu razem z właścicielami, którzy rozpaczliwie potrzebują czystych koszul czy choćby jednego kompletu świeżej bielizny.

Jeśli masz lot wczesnym rankiem, niech Bóg ma cię w swojej opiece. Oznacza to, że musisz zwlec się z łóżka o czwartej nad ranem po to tylko, żeby przejść odprawę równie skomplikowaną i stresującą jak wyjazd z małego, skorumpowanego kraju południowoamerykańskiego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Czy masz dokument ze zdjęciem? Czy dopilnowałeś, by szampon i odżywka znajdowały się w małych, plastikowych, przezroczystych butelkach? Czy jesteś gotowy zrzucić buty i poddać swoje elektroniczne gadzety napromieniowaniu? Czy wiesz na pewno, że nikt inny nie pakował twoich bagaży ani nie miał do nich dostępu? Czy godzisz się na to, żeby cię prześwietlono od stóp do głów, a potem może na dokładkę obmacano twoje części intymne? Tak? To dobrze. A może się jeszcze okazać, że na twój samolot sprzedano więcej biletów, niż jest miejsc, lot opóźni się z uwagi na mechaniczną usterkę lub złą pogodę bądź zostanie odwołany z powodu awarii komputerów. No i powodzenia, jeśli liczysz na to, że uda ci się dostać bilet bez rezerwacji; większą szansę masz na wygraną w zdrapkach.

Pokonujesz te przeszkody po to, żeby wsiąść do maszyny, którą jeden z autorów zamieszczonych w tej antologii nazywa „wyjącą skorupą śmierci”. Czy to nie lekka przesada, możecie zapytać, nie mówiąc już o tym, że fakty temu przeczą? Zgoda. Samoloty rzadko stają w płomieniach (choć wszyscy widzieliśmy szokujące nagrania z telefonów komórkowych, pokazujące silniki buchające ogniem dziewięć tysięcy metrów nad ziemią), a podróże lotnicze przeważnie nie kończą się śmiercią (według statystyk bardziej prawdopodobne jest, że zginiesz, przechodząc przez ulicę, zwłaszcza jeśli jesteś cholernym

bałwanem, który zamiast patrzeć, czy coś jedzie, gapi się w telefon komórkowy). A jednak rzeczywiście wsiadasz do czegoś, co w gruncie rzeczy jest rurą wypełnioną tlenem i spoczywającą na wielu tonach łatwopalnego paliwa lotniczego.

Kiedy już twoja rura z metalu i plastiku zostaje szczelnie zamknięta (niczym – brrr! – trumna) i odrywa się od pasa startowego, ciągnąc za sobą swój malejący cień, jedno tylko jest pewne, fakt tak nieunikniony, że nie ma potrzeby ujmować go w kategoriach statystycznych: spadniesz z powrotem na ziemię. Tak każe grawitacja. Pytanie, gdzie to się stanie, dlaczego i w ilu kawałkach (optymalny wariant jest taki, że w jednym). Jeśli ponowne spotkanie z matką ziemią nastąpi na półtorakilometrowym betonowym pasie (przy odrobinie szczęścia, u celu twojej podróży, chociaż w razie konieczności każdy kawałek utwardzonej nawierzchni się nada), wszystko gra. Jeśli nie, twoje szanse na przetrwanie gwałtownie maleją. To też jest fakt statystyczny, który nawet najbardziej doświadczeni podróżni muszą brać pod uwagę, kiedy ich samolot wpada w dziurę powietrzną na wysokości dziewięciu tysięcy metrów.

W takich chwilach nie panujesz nad sytuacją. Nie możesz zrobić nic konstruktywnego; pozostaje ci tylko sprawdzić, czy masz zapięty pas bezpieczeństwa, podczas gdy talerze i butelki brzęczą w kuchni, schowki bagażowe się otwierają, dzieci wrzeszczą, twój dezodorant traci moc, a stewardesa oznajmia przez głośniki: „Kapitan prosi, aby pozostali państwo na swoich miejscach”. Zatloczona rura, w której lecisz, trzęsie się, kolebie, drży i trzeszczy, a ty masz czas na refleksję o kruchości swojego ciała i tym jednym, jedynym niezbitym fakcie: prędzej czy później spadniesz z powrotem na ziemię.

A zatem, skoro dostarczyłem wam już materiału do przemyśleń na następną podróż w przestworzach, pozwólcie, że zadam następujące pytanie: czy istnieje jakaś, jakakolwiek ludzka czynność, która byłaby lepszym motywem przewodnim antologii opowiadań z dreszczykiem takiej jak ta, którą teraz trzymacie w rękach? Sądzę, że nie, panie i panowie. Tu jest wszystko: klaustrofobia, lęk wysokości, utrata kontroli nad własnym losem. Nasze życie zawsze wisi na włosku, ale nigdy nie jesteśmy tego bardziej świadomi niż w chwili, kiedy schodzimy ku LaGuardii w gęstych chmurach i strugach ulewnego deszczu.

Uwaga natury osobistej: redaktor niniejszej antologii znosi latanie znacznie lepiej niż kiedyś. Dzięki mojej karierze pisarskiej przez ostatnich czterdzieści lat dużo podróżowałem samolotami i mniej więcej do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku za każdym razem było to dla mnie przerażające doświadczenie. Rozumiałem teorię lotu, rozumiałem statystyki wykazujące, że zagrożenie jest minimalne, ale nic to nie pomagało. Przyczyną po części było moje pragnienie (które mam do dziś), by w pełni panować nad sytuacją. Kiedy siedzę za kółkiem, czuję się bezpiecznie, bo ufam sobie. Kiedy kierowcą jest ktoś z was... niekoniecznie (przykro mi). Gdy wchodzisz na pokład samolotu i zajmujesz przydzielone ci miejsce, oddajesz swój los w ręce ludzi, których nie znasz; ludzi, których może nawet nigdy nie zobaczysz.

Wyobraźnia, która z biegiem lat wyostrzyła mi się jak brzytwa, także nie ułatwia podniebnych podróży. Przydaje się, kiedy siedzę za biurkiem i wymyślam opowieści, w których straszne rzeczy przydarzają się bardzo sympatycznym ludziom, natomiast nie

pomaga, gdy jestem uwięziony w samolocie, który wjeżdża na pas startowy, chwilę się waha, po czym wyrывa naprzód z prędkością, jaka dla samochodu rodzinnego byłaby samobójcza.

Wyobraźnia jest mieczem obosiecznym i w tych wczesnych latach, kiedy latałem coraz częściej w sprawach zawodowych, nazbyt łatwo było się nim skaleczyć. Nazbyt łatwo przychodziły myśli o wszystkich ruchomych częściach silnika za oknem, których było tak wiele, że prawie pewne wydawało się, że prędzej czy później co najmniej jedna z nich się zbuntuje i przestanie harmonijnie współdziałać. Wyłapywałem nawet najmniejszą zmianę dźwięku w pracy silników, byłem niemal pewien, dlaczego samolot nagle przechylił się na bok, a moja pepsi (alarmująco!) przechyliła się razem z nim w małym plastikowym kubku.

Jeśli pilot przychodził zamienić parę słów z pasażerami, zastanawiałem się, czy drugi pilot jest kompetentny (równie kompetentny jak pierwszy być nie mógł, skoro pełnił funkcję rezerwowego). Może samolot leciał na autopilocie, ale co będzie, jeśli autopilot nagle padnie, kiedy pilot rozprawia z kimś o szansach Yankees na mistrzostwo, i maszyna runie na ziemię? A jeśli zamki luku bagażowego puszczą? Jeśli podwozie się zatnie? Albo wyleci jedno z okien, wadliwe, ale dopuszczone do użytku przez kontrolera jakości rozkojarzonego myślami o czekającej w domu ukochanej? Skoro już o tym mowa, co się stanie, jeśli uderzy w nas meteoryt i kabina ulegnie dekompresji?

W połowie lat osiemdziesiątych te obawy zelżały dzięki mojemu rendez-vous ze śmiercią podczas lotu z lotniska Farmingdale w Nowym Jorku do Bangor w stanie Maine. Nie wątpię, że wielu ludzi – część z nich może w tej chwili czyta niniejszą książkę – przeżyło na pokładzie samolotu chwile grozy, których przyczyną mogło być wszystko – od nagłego złożenia się przedniego podwozia po ześlizgnięcie się maszyny z oblodzonego pasa startowego, ja jednak byłem wtedy tak bliski śmierci, że bardziej się nie da, przynajmniej jeśli chce się móc później o tym opowiedzieć.

Było późne popołudnie. Na niebie ani jednej chmurki. Wyczarterowałem leara 35, w którym pasażer podczas startu czuł się, jakby miał raketę przyczepioną do tyłka. Latałem tym samolotem wiele razy. Znałem pilotów i ufałem im, bo i dlaczego nie? Ten w fotelu po lewej zaczynał za sterami myśliwca na wojnie w Korei, wyszedł cało z wielu misji bojowych i od tamtego czasu wylatał dziesiątki tysięcy godzin. Wyjąłem powieść do czytania i zbiór krzyżówek, spodziewając się spokojnej podróży i miłego powrotu do żony, dzieci i psa.

Weszliśmy na pułap dwóch tysięcy metrów i właśnie zastanawiałem się, czy moja rodzina da się namówić na wieczorne wyjście do kina, kiedy lear jakby przywalił w mur. W tamtej chwili byłem święcie przekonany, że zderzyliśmy się z innym samolotem i że wszyscy trzej – obaj piloci i ja – zginiemy. Mała kuchnia otworzyła się i wyrzuciła z siebie całą zawartość. Poduszki z wolnych foteli wystrzeliły w górę. Mały odrzutowiec przechylił się... przechylił się jeszcze bardziej... po czym przewrócił się na grzbiet. Czulem to, ale nie widziałem. Miałem zamknięte oczy. Nie przewinęło się przede mną całe moje życie. Nie pomyślałem: „Przecież jeszcze tyle miałem do zrobienia”. Nie było uczucia pogodzenia się (ani niepogodzenia) z losem. Była tylko pewność, że wybiła moja godzina.

I wtedy samolot wyrównał lot. Drugi pilot wrzeszczał z kokpitu: „Steve! Steve! Wszystko

u ciebie w porządku?”.

Powiedziałem, że tak. Spojrzałem na przejście między siedzeniami, w którym walały się porozrzucane rzeczy, wśród nich kanapki, sałatka i kawałek sernika z truskawkami. Popatrzyłem na zwisające żółte maski tlenowe. Zapytałem – nad podziw spokojnym głosem – co się stało. Moja dwuosobowa załoga wtedy jeszcze tego nie wiedziała, podejrzewali tylko, a później potwierdzili, że cudem uniknęliśmy zderzenia z boeingiem siedemset czterdzieści siedem linii Delta i wpadliśmy w jego strumień gazów wylotowych, który miotał nami jak wichher papierowym samolocikiem.

Od tamtego czasu podchodzę do podróży lotniczych ze znacznie większą ufnością, przekonałem się bowiem na własnej skórze, jak silne ciosy mogą znieść nowoczesne samoloty i jak spokojni i wprawni potrafią być dobrzy piloci (czyli większość) w kryzysowych sytuacjach. Jeden z nich powiedział mi: „Ćwiczysz i ćwiczysz po to, żebyś dokładnie wiedział, co masz robić w chwili, kiedy sześć godzin bezdennej nudy przejdzie w dwanaście sekund najwyższego niebezpieczeństwa”.

W opowiadaniach zawartych w tej książce znajdziecie wszystko: od gremlina siedzącego na skrzydle boeinga siedemset dwadzieścia siedem do przezroczystych monstrów żyjących wysoko ponad chmurami. Będą podróże w czasie i samoloty widma. Co najistotniejsze, doświadczycie tych dwunastu sekund przejmującej grozy, gdy zdarza się najgorsze, co w przestworzach może się zdarzyć. Będziecie mieli do czynienia z klaustrofobią, tchórzostwem, przerażeniem i przebłyskami odwagi. Jeżeli planujecie podróż liniami Delta, American, Southwest lub jakimikolwiek innymi, radzę zabrać książkę Johna Grishama albo Nory Roberts zamiast tej antologii. Nawet jeśli siedzicie bezpiecznie na ziemi, lepiej mocno zapnijcie pasy.

Bo czeka was ostra jazda.

Stephen King
2 listopada 2017

ŁADUNEK

E. MICHAEL LEWIS

E. Michael Lewis, który będzie pilotem naszego dziewiczego lotu, studiował pisarstwo na University of Puget Sound i mieszka na północno-zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Jego specjalista od załadunku wprowadzi was na pokład lockheeda C-141A starlifter (samolot tej samej marki, podobno nawiedzony, można oglądać w muzeum sił powietrznych w bazie McChord), który startuje z Panamy z misją transportową do Stanów Zjednoczonych. Starlifter to powietrzny wół roboczy, na krótkich dystansach zdolny przewieźć do trzydziestu pięciu ton ładunku. W luku pomieści stu spadochroniarzy, stu pięćdziesięciu żołnierzy w pełnym ekwipunku, ciężarówki i dzipy, nawet międzykontynentalne rakiety balistyczne Minuteman. A także mniejsze ładunki. Na przykład trumny. Niektóre opowieści mrozą krew w żyłach; ta na długo zapadnie wam w pamięć. Sprawí, że ciarki będą wam pełzły po grzbiecie, centymetr po centymetrze... Witajcie na pokładzie.

LISTOPAD 1978

Śnił mi się ładunek. Luk samolotu wypełniały tysiące skrzyń z surowej sosny, najeżonych drzazgami, które przebijają rękawice robocze. Każda skrzynia ostemplowana była zagadkowymi liczbami i dziwacznymi akronimami, jarzącymi się bladym czerwonym światłem. Podobno zawierały opony do dżipów, niektóre wielkie jak domy, inne małe niczym świece zapłonowe, a wiązania, którymi przytroczono je do palet, przypominały pasy kaftana bezpieczeństwa. Próbowałem sprawdzić wszystkie po kolei, ale było ich za dużo. Skrzynie poruszyły się z cichym szelestem i zwały na mnie. Nie mogłem dosięgnąć interkomu, żeby ostrzec pilota. Samolot przekreślił się wokół swojej osi i ładunek przygniótł mnie tysiącami małych, ostrych palców, potem miażdżył duszącym ciężarem, gdy runęliśmy ku ziemi i się rozbiliśmy, brzęczenie interkomu przypominało krzyk. Słyszałem jeszcze inny dźwięk, dochodzący z wnętrza skrzyni koło mojego ucha. Coś się w niej szamotało, coś przesiąkniętego wilgocią i skalanego, coś, czego nie chciałem zobaczyć, coś, co pragnęło się wydostać na zewnątrz.

Dźwięk przeszedł w stukot podkładki do pisania o metalową ramę mojego koszarowego łóżka. Szybko otworzyłem oczy. Szeregowy – nowy w bazie, sądząc z przepoconego kołnierza – stał nade mną, trzymając podkładkę jak tarczę na wypadek, gdybym zaliczał się do ludzi gotowych urwać innym głowę za to tylko, że wykonują swój obowiązek.

– Sierżancie Davis – powiedział. – Wzywają pana na płytę lotniska.

Usiadłem i się przeciągnąłem. Podał mi podkładkę, na której był manifest ładunkowy: rozłożony HU-53 z załogą, mechanikami i personelem medycznym. Cel podróży nic mi nie mówił.

– Lotnisko Timehri?

– To pod Georgetown w Gujanie. – Kiedy spojrzałem na niego pustym wzrokiem, dodał: – Dawna kolonia brytyjska. Timehri to była baza lotnicza Atkinson.

– Na czym polega zadanie?

– Masowa ewakuacja medyczna ekspatriantów z miejscowości o nazwie Jonestown.

Amerykanie w opałach. Podczas służby w lotnictwie wielokrotnie ratowałem Amerykanów w opałach. Trzeba przyznać, że dawało to znacznie większą satysfakcję od wożenia opon dżipów. Podziękowałem szeregowcowi i pospiesznie włożyłem czysty kombinezon.

Już się cieszyłem na kolejne Święto Dziękczynienia w Panamie, w bazie lotniczej Howard – trzydziestostopniowe temperatury, faszerowany indyk w mesie, futbol w radiu i pod dostatkiem czasu wolnego, żeby się porządnie upić. Transport z Filipin przybył zgodnie z planem, żadnych kłopotów z pasażerami ani ładunkiem. A teraz to.

Doświadczony specjalista od załadunku przywykł do myśli, że w każdej chwili coś może

przerwać wypoczynek. C-141 starlifter był największym samolotem transportowym dowództwa sił powietrznych, zdolnym przewieźć trzydzieści pięć ton ładunku lub dwustu gotowych do walki żołnierzy w dowolne miejsce na świecie. Wysoko osadzone, skośne skrzydła długości połowy boiska futbolowego opadały jak u nietoperza nad płytą lotniska. Z zadartym ogonem w kształcie litery T, bocznie uchylnymi drzwiami luku i wbudowaną rampą załadowniczą, starlifter nie miał sobie równych wśród transportowców. Jako specjalista od załadunku – czyli połączenie stewardesy ze specem od przeprowadzek – miałem za zadanie upakować ładunek możliwie najciaśniej i najbezpieczniej.

Kiedy wszystko znalazło się na pokładzie, a grafik rozmieszczenia ładunku został wypełniony, przyszedł ten sam szeregowy, który mnie obudził. Właśnie obsobaczałem panamską załogę naziemną za to, że porysowali kadłub.

– Sierżancie Davis, zmiana planów! – krzyknął, próbując przebić się przez skowyt wózka widłowego. Podał mi nowe wytyczne.

– Więcej pasażerów?

– Nowi pasażerowie. Personel medyczny zostaje – dorzucił coś niezrozumiałego o zmianie charakteru misji.

– Co to za ludzie?

Znów musiałem wyteńczyć słuch, żeby zrozumieć. A może, z narastającym uczuciem ciężkości na żołądku, zrozumiałem dobrze, tylko chciałem, by powtórzył. W nadziei, że się przesłyszałem.

– Rejestracja zmarłych! – krzyknął.

Przynajmniej miałem wrażenie, że tak powiedział.

Timehri było typowym lotniskiem Trzeciego Świata – dość duże, by usiadł na nim 747, ale wyboiste i zabudowane przerdzewiałymi blaszanymi barakami. Otaczająca pas niska dżungla wyglądała, jakby dopiero przed godziną zmuszono ją do odwrotu. Startowały i lądowały helikoptery, na płycie roило się od amerykańskich żołnierzy. Zrozumiałem, że jest źle.

Kiedy wysiadłem, rozprażony asfalt groził stopieniem podeszew moich butów, jeszcze zanim wsunąłem kliny pod koła. Przyszła załoga naziemna, złożona z amerykańskich żołnierzy. Chcieli jak najszybciej wyładować i złożyć śmigłowiec. Jeden z nich, nagi do pasa, przewiązany w talii koszulą, podał mi manifest ładunkowy.

– Nie rozgaszczaj się – uprzedził. – Jak śmigłowiec polecą, ładujemy do pełna. – Wskazał ruchem głowy za siebie.

Spojrzałem na falujący w upale pas startowy. Trumny. Rzędy matowych aluminiowych skrzyń lśniły w bezlitosnym tropikalnym słońcu. Takie same widziałem przed sześciu laty, w Sajgonie, podczas moich pierwszych lotów w roli specjalisty od załadunku. Aż przewróciło mi się w żołądku, może dlatego, że nie miałem ani chwili wytchnienia, a może przez to, że od dawna nie woziłem szywnych. Przełknąłem ślinę. Sprawdziłem cel lotu: Dover, Delaware.

Załoga naziemna wstawiła do luku nowy moduł wypoczynkowy i wtedy dowiedziałem się, że zabieramy dwóch pasażerów.

Pierwszym okazał się młody chłopak, na oko świeżo po szkole średniej, o czarnych najeżonych włosach. Miał na sobie za duży mundur tropikalny, czysty, wykrochmalony, z dystynkcjami kaprała. Powiedziałem „Witam na pokładzie” i podszedłem, aby pomóc mu wejść drzwiami dla załogi, on jednak gwałtownie się odsunął i omal nie uderzył głową w górną krawędź niskiej framugi. Chyba odskoczyłby do tyłu, gdyby miał dość miejsca. W moje nozdrza uderzył jego zapach, mocny i medyczny – maść vicks vaporub.

Za nim, także bez mojej pomocy, wsiadła pielęgniarzka. Jej ruchy, gesty, strój, wszystko to dowodziło rzeczowości i profesjonalizmu. Patrzyłem na nią nieruchomym wzrokiem. Znałem ją. Była jedną z tych, które w pierwszych latach służby regularnie woziłem z bazy Clark na Filipinach do Da Nang i z powrotem. Porucznik o stalowym spojrzeniu i srebrzystych włosach. Jasno dała mi wtedy do zrozumienia – i to niejedną raz – że byle osioł bez matury mógłby wykonywać moją pracę lepiej niż ja. Na mundurze miała naszywkę z nazwiskiem Pembry. Położyła dłoń na plecach chłopaka i skierowała go w stronę miejsc siedzących. Jeśli mnie rozpoznała, pominęła to milczeniem.

– Siadajcie, gdzie chcecie – powiedziałem. – Jestem sierżant Davis. Startujemy za niecałe pół godziny, więc się rozgośćcie.

Chłopak stanął jak wryty.

– Nie uprzedziłaś mnie – warknął do pielęgniarzki.

Ładownia starliftera najbardziej przypomina wnętrze kotłowni, wszystkie przewody grzewcze, chłodzące i tłoczne są na wierzchu, nie schowane jak w samolocie pasażerskim. Dwa rzędy trumien ciągnęły się przez całą długość luku, z przejściem pozostawionym pośrodku. Było ich sto sześćdziesiąt, ułożonych w stosach po cztery. Żółte siatki ładunkowe zabezpieczały je przed upadkiem. Patrzyliśmy za nie, na światło słoneczne, które zniknęło za zamykającymi się drzwiami ładowni, pogrążając nas w krępującym półmroku.

– Tak najszybciej wrócisz do domu – powiedziała do niego bezbarwnym tonem. – Chcesz wrócić do domu, prawda?

W jego głosie brzmiało podszyte strachem oburzenie.

– Nie chcę ich widzieć. Chcę siedzieć przodem do kierunku lotu.

Gdyby chłopak się rozejrzył, zobaczyłby, że nie ma miejsc zwróconych przodem do kierunku lotu.

– Spokojnie – powiedziała, znów ciągnąc go za ramię. – Oni też wracają do domu.

– Nie chcę na nich patrzeć – zaprotestował, kiedy popchnęła go w stronę miejsca najbliższego małych okien. Nie zapiął pasów, więc Pembry schyliła się i zrobiła to za niego. Chwytał podłokietniki jak panikarz poprzeczkę zabezpieczającą na kolejce górskiej. – Nie chcę o nich myśleć.

– Rozumiem. – Przeszedłem na przód ładowni i zgasilem światła. Długie metalowe pojemniki utonęły w ciemności, rozpraszanej tylko czerwonym blaskiem dwóch

sygnalizatorów gotowości do skoku. Wróciłem z poduszką dla chłopaka.

Na swoim luźnym mundurze miał naszywkę „Hernandez”. Podziękował mi, ale nie puścił podłokietników.

Pembry usiadła obok niego i zapięła pasy. Schowałem ich ekwipunek i przystąpiłem do ostatniej kontroli przed startem.

Kiedy już byliśmy w powietrzu, zaparzyłem kawę na elektrycznej kuchence. Pembry podziękowała, ale Hernandez się napił. Plastikowy kubek drżał mu w rękach.

– Boisz się latać? – spytałem. W siłach powietrznych to się zdarzało. – Mam dramamine...

– Nie boję się latać – wycedził. Patrzył za moje plecy, na skrzynie w ładowni.

Czas obsłużyć załogę. Dawniej do każdego samolotu przypisana była jedna stała ekipa, ale dowództwo sił powietrznych szczyliło się wymiennie swoim personelu, tym, że załoga, która pierwszy raz spotyka się na płycie lotniska, może polecieć dowolnym starlifterem na kraniec świata. Każdy w kokpicie doskonale wiedział, na czym polega moja praca, i vice versa.

Poszedłem do kabiny pilotów i zastałem wszystkich na stanowiskach. Drugi mechanik siedział najbliżej drzwi, pochylony nad przyrządami.

– Czwartą wyrównuje obroty, trzymaj przepustnicę zdławioną – polecił. Jego markotna twarz i akcent z Arkansas wydały mi się znajome. Przez siedem lat służby w starlifterach latałem już chyba z każdym, z kim się dało. Podziękował mi, kiedy postawiłem czarną kawę na jego stoliku. Według naszywki na kombinezonie nazywał się Hadley.

Mechanik pokładowy siedział pośrodku, na miejscu zwykle zarezerwowanym dla inspektora misji, będącego zmorą załóg sił powietrznych. Poprosił o dwie kostki cukru, po czym wstał i wyjrzał przez kopułę nawigatora na przemykający wokół błękit.

– Przepustnica czwartego zdławiona, zrozumiałem – odpowiedział pilot. Choć to jego wyznaczono na dowódcę samolotu, i on, i drugi pilot byli tak typowymi przedstawicielami braci lotniczej, że właściwie trudno ich było odróżnić. Obaj pili kawę z podwójną śmietanką.

– Próbuje ominiąć dziury powietrzne, ale nie będzie łatwo. Uprowadź pasażerów, żeby przygotowali się na turbulencje.

– Tak jest, kapitanie. Coś jeszcze?

– Dziękuję, sierżancie Davis. To wszystko.

– Tak jest.

Nareszcie można się odprężyć. Kiedy poszedłem przybrać pozycję horyzontalną w piętrowym łóżku dla załogi, zauważyłem, że Pembry kręci się koło modułu wypoczynkowego.

– Pomóc coś znaleźć?

– Dodatkowy koc?

Wyciągnąłem go ze schowka między kuchenką i latryną. Zagryzłem zęby.

– Coś jeszcze?

– Nie – powiedziała, zdejmując wyimaginowany kłaczek z wełnianego koca. – Wiesz,

lataliśmy już razem.

– Tak?

Uniosła brew.

– Chyba powinnam cię przeprosić.

– Nie trzeba, pani porucznik – powiedziałem. Ominąłem ją i otworzyłem lodówkę. – Mogę za jakiś czas podać coś do jedzenia, jeśli...

Położyła dłoń na moim ramieniu, tak jak wcześniej na ramieniu Hernandeza. To niepodzielnie zawładnęło moją uwagę.

– Czyli mnie pamiętasz.

– Tak jest, pani porucznik.

– Ostro cię traktowałam w czasie tamtych lotów ewakuacyjnych.

Wolałem, żeby nie była tak bezpośrednia.

– Mówiła pani, co myślała. Dzięki temu stałem się lepszym specjalistą od załadunku.

– Mimo wszystko...

– Naprawdę nie trzeba. – Dlaczego kobiety nie potrafią zrozumieć, że przeprosiny tylko pogarszają sprawę?

– Niech będzie. – Jej harda twarz złagodniała, nabrała szczerzego wyrazu i nagle dotarło do mnie, że pani porucznik chce porozmawiać.

– Jak się ma pacjent?

– Odpoczywa. – Pembry nadrabiała miną, ale czułem, że pragnie powiedzieć coś więcej.

– Co mu się stało?

– Był jednym z pierwszych na miejscu – wyjaśniła. – I pierwszy się stamtąd zabrał.

– Z Jonestown? Było aż tak źle?

Wróciła twarda, chłodna mina, którą tak dobrze pamiętałem z naszych dawnych lotów ewakuacyjnych.

– Wylecieliśmy z Dover na polecenie Białego Domu pięć godzin po nadejściu wiadomości, co się stało. Chłopak zajmuje się prowadzeniem dokumentacji medycznej, sześć miesięcy służby, nigdzie jeszcze nie był, nie zaznał w życiu żadnej traumy. A tu nagle znalazł się w południowoamerykańskiej dżungli wśród tysiąca trupów.

– Tysiąca?

– Jeszcze nie policzyli, ale na to wygląda. – Musnęła swój policzek grzbietem dłoni. – W tym dużo dzieci.

– Dzieci?

– Całe rodziny. Wszyscy wypili truciznę. Podobno to jakaś sekta. Ktoś mi powiedział, że rodzice najpierw zabili swoje dzieci. Nie wiem, co może skłonić człowieka, by zrobił coś takiego najbliższemu. – Pokręciła głową. – Prowadziłam w Timehri selekcję poszkodowanych. Hernandez mówił, że smród był niewyobrażalny. Musieli pryskać ciała środkami owadobójczymi i przeganiać wielkie, głodne szczury. Opowiadał, że kazali mu przebijać trupy bagnetem, żeby spuścić z nich gazy. Potem spalił swój mundur. – Samolotem szarpnęło i przestąpiła z nogi na nogę, by utrzymać równowagę.

Poczułem obrzydliwy ucisk w gardle i starałem się nie wyobrazić sobie tego, o czym

mówiła. Usiłowałem powstrzymać grymas cisnący się na usta.

– Kapitan uprzedza, że może mocno rzucać. Lepiej niech pani zapnie pasy. – Odprowadziłem ją na miejsce. Hernandez siedział rozwalony, z rozdziawionymi ustami. Wyglądał, jakby przegrał barową bójkę, i to sromotnie. Wróciłem do siebie, położyłem się na moim łóżku i zasnąłem.

To samo powie wam każdy specjalista od załadunku: spędzając tak dużo czasu w powietrzu, po prostu ignorujesz ryk silników. Przekonujesz się, że w zasadzie nic nie może zakłócić ci snu. Twój umysł jednak pozostaje czujny i budzi się na każdy niezwykły dźwięk, tak jak to było podczas pamiętnego lotu z Yokoty do Elmendorfu, kiedy dżip zerwał się z mocowań i wpadł w skrzynię racji żywnościowych. Wszędzie wałały się plasterki suszonej wołowiny. Załoga naziemna usłyszała ode mnie kilka cierpkich słów, ma się rozumieć.

Nic więc dziwnego, że teraz ocknąłem się na dźwięk krzyku.

Zerwałem się, wyskoczyłem z łóżka, bez namysłu pobiegłem za moduł wypoczynkowy. Zobaczyłem Pembry. Stała przed Hernandezem, uchylała się przed jego młócającymi powietrze rękami i mówiła spokojnie, głosem zagłuszonym przez ryk silnika. Hernandeza słyszeć było aż za dobrze.

– Słyszałem je! Słyszałem je! Są w środku! Te wszystkie dzieci! Te wszystkie dzieci! Położyłem dłoń na jego ramieniu i mocno ścisnąłem.

– Uspokój się!

Przestał się miotać. Zrobił zawstydzoną minę. Jego oczy wpiły się w moje.

– Słyszałem, jak śpiewały.

– Kto?

– Dzieci! Wszystkie... – Bezradnym gestem wskazał nieoświetlone trumny.

– Przyśniło ci się – powiedziała Pembry. Jej głos lekko drżał. – Przez cały czas byłam przy tobie. Spałeś. Nie mogłeś nic usłyszeć.

– Wszystkie te dzieci nie żyją – odparł. – Wszystkie. Nie wiedziały. Skąd mogły wiedzieć, że piją truciznę? Kto daje własnemu dziecku truciznę do picia? – Puściłem jego ramię i spojrzał na mnie. – Masz dzieci?

– Nie – powiedziałem.

– Moja córka ma półtora roku – oznajmił. – Synek trzy miesiące. Trzeba się z nimi ostrożnie obchodzić, mieć do nich cierpliwość. Moja żona jest w tym świetna, wiecie? – Dopiero teraz zauważyłem, że strużki potu spływają mu po czole i grzbietach dłoni. – Ale ja też jakoś sobie radzę, to znaczy, to dla mnie totalnie trudne, ale w życiu bym ich nie skrzywdził. Przytulam je, śpiewam im i... i gdyby ktoś chciał im zrobić coś złego... – Złapał mnie za rękę, którą go wcześniej trzymałem. – Kto daje własnemu dziecku truciznę?

– To nie twoja wina – powiedziałem.

– Nie wiedziały, że to trucizna. Nadal nie wiedzą. – Przyciągnął mnie do siebie i szepnął mi na ucho: – Słyszałem, jak śpiewały. – Przysięgam, na te słowa ciarki mnie przeszły.

– Pójdę sprawdzić – odparłem, po czym zdjęłem latarkę ze ściany i ruszyłem przejściem między trumnami w głąb luku.

Istniał praktyczny powód, żeby poszukać źródła tego dźwięku. Jako specjalista od załadunku wiedziałem, że wszelkie niezwykle odgłosy oznaczają kłopoty. Ktoś opowiedział mi kiedyś historię, jak pewna załoga przez cały lot słyszała kota miauczącego w ładowni. Specjalista od załadunku nie mógł go znaleźć i w końcu uznał, że pasażer na gapę sam wyjdzie z ukrycia podczas rozładunku. Tyle tylko, że „miauczenie” okazało się dźwiękiem osłabionej belki zabezpieczającej, która wygięła się w chwili zetknięcia kół z pasem startowym, przez co na podłogę wypadły trzy tony materiałów wybuchowych i lądowanie nagle stało się bardzo emocjonujące. Dziwne odgłosy nigdy nie wróżyły nic dobrego i głupotą byłoby je zlekceważyć.

Oglądałem klamry i siatki ładunkowe, pochylałem się i nasłuchiwałem, wypatrywałem poruszonych trumien, przetartych pasów, wszelkich oznak, że coś rzeczywiście mogło się stać. Poszedłem w głąb wzdłuż jednego rzędu, wróciłem wzdłuż drugiego, sprawdziłem nawet drzwi ładowni. Nic. Wszystko na swoim miejscu, moja jak zawsze fachowa robota.

Podszedłem do nich między trumnami. Hernandez łkał z głową w dłoniach. Pembry siedziała obok i głaskała go po plecach, tak jak kiedyś robiła mi matka.

– Wszystko w porządku, Hernandez. – Włożyłem latarkę z powrotem do uchwytu w ścianie.

– Dzięki – odparła Pembry za niego, po czym powiedziała do mnie: – Dałam mu valium, powinien się zaraz uspokoić.

– Sprawdziłem tylko dla formalności – zapewniłem. – Teraz trochę odpocznijcie.

Wróciłem do łóżka i zastałem je zajęte przez Hadleya, drugiego mechanika. Położyłem się na dolnym, ale nie mogłem zasnąć. Usiłowałem nie myśleć o przyczynie, dla której trumny znalazły się w moim samolocie.

Słowo „ładunek” to eufemizm. Mogło oznaczać wszystko, od osocza krwi przez limuzyny Secret Service, po sztaby złota, moim zadaniem było to zapakować i przewieźć, nic więcej, i w miarę możliwości uwinąć się z tym jak najszybciej.

Tylko ładunek, pomyślałem. Ale całe rodziny, które się zabiły... dobrze, że mogłem zabrać je z dżungli, oddać w ręce najbliższych – lekarze, którzy dotarli tam pierwsi, wszystkie chłopaki na miejscu zdarzenia, nawet moja załoga, przybyliśmy za późno, by zrobić coś więcej. Mgliście, niekonkretnie myślałem o tym, żeby mieć dzieci, i wkurzało mnie, że są na tym świecie ludzie gotowi je krzywdzić. A tamci rodzice zrobili to z własnej woli, prawda?

Nie mogłem się uspokoić. Znalazłem na łóżku złożony stary „New York Times”. Pokój na Bliskim Wschodzie za naszego życia, przeczytałem. Obok artykułu zdjęcie uścisku dłoni prezydenta Cartera i as-Sadata. Zapadałem w sen, kiedy usłyszałem krzyk Hernandeza.

Zwlokłem tyłek z łóżka. Pembry stała z dłońmi przyciśniętymi do ust. Pomyślałem, że Hernandez ją uderzył, podszedłem więc do niej i odciągnąłem jej ręce od twarzy, wypatrując urazu.

Żadnych obrażeń. Zajrzałem za jej ramię i zobaczyłem, że Hernandez siedzi na swoim

miejscu, z oczami wlepionymi w ciemność, jakby wpatrywał się w ekran telewizora kolorowego.

– Co się stało? Uderzył panią?

– Znów... znów to usłyszałam – wyjąkała i na powrót podniosła dłoń do twarzy. – Powinieneś... powinieneś jeszcze raz sprawdzić. Powinieneś sprawdzić...

Samolot zmienił kąt pochylenia i wpadła na mnie, najpierw lekko, potem, kiedy łapiąc równowagę, chwyciłam ją za łokieć, całym ciężarem. Beznamiętnie napotkałam jej spojrzenie. Odwróciła wzrok.

– Co się stało? – zapytałam znowu.

– Też to usłyszałam – powiedziała Pembry.

Moje oczy powędrowały ku ciemnemu przejściu między trumnami.

– Teraz?

– Tak.

– I brzmiało to tak, jak mówił? Jak śpiew dzieci? – Czułam, że jeszcze trochę, a zacznę nią potrzęsać. Czy oni oboje oszaleli?

– Jakby dzieci się bawiły – powiedziała. – Jak... dźwięki z placu zabaw, wiesz? Dźwięki dziecięcej zabawy.

Szukałam w myślach przedmiotu bądź zbioru przedmiotów, które upchnięte na pokładzie C-141 starliftera i wiezione dwanaście tysięcy metrów nad Morzem Karaibskim mogłyby wydawać dźwięki przypominające odgłosy dziecięcej zabawy.

Hernandez poruszył się i oboje skupiliśmy uwagę na nim. Uśmiechnął się żałośnie.

– A nie mówiłem?

– Pójdę sprawdzić – powiedziałem.

– Niech się bawią – stwierdził Hernandez. – Chcą się bawić, to wszystko. Ty nie chciałeś, kiedy byłeś mały?

Gwałtownie powróciły wspomnienia dzieciństwa, niekończących się wakacji, wypraw rowerowych, otartych kolan, powrotów o zmierzchu do domu, gdy mama witała mnie słowami „No i zobacz, jakiś ty brudny”. Ciekaw byłem, czy ekipy ewakuacyjne umyły ciała przed włożeniem ich do trumien.

– Wyjaśnię to – zapewniłem ich. Znów poszedłem po latarkę. – Zostańcie tu.

Wykorzystałam ciemność, żeby się odciąć od bodźców wzrokowych, wyostrzyć słuch. Turbulencje osłabły i latarki używałam tylko po to, by się nie potykać o siatkę zabezpieczającą ładunek. Nasłuchiwałam wszelkich nowych, niezwykłych dźwięków. Na pewno przyczyn było więcej niż jedna – zapewne połączenie kilku czynników – takie odgłosy nie mogą, ot tak, rozbrzmiewać i cichnąć. Wyciek paliwa? Pasażer na gapę? Myśl, że w jednej z tych skrzyń może się czaić wąż czy inna bestia z dżungli, pobudziła wszystkie moje zmysły, przypomniawszy sen, który nawiedził mnie ostatniej nocy.

Przy drzwiach ładowni zgasiłam latarkę i wyteżyłam słuch. Sprężone powietrze. Cztery silniki turbowentylatorowe Pratt and Whitney. Trzeszczenie kadłuba. Łopotanie pasów zabezpieczających.

I nagle coś. Wyraźny dźwięk, z początku przytłumiony i rozległy, jakby dochodził z głębi

pieczary, a potem czysty i niechciany, niby słowa przypadkiem złowione uchem przyłożonym do dziurki od klucza.

Dzieci. Śmiech. Jak na długiej przerwie w podstawówce.

Otworzyłem oczy i poświeciłem latarką po srebrnych skrzyniach. Tłoczyły się wokół mnie, jakby na coś czekały.

Dzieci, pomyślałem. Tylko dzieci.

Pobiegłem obok Hernandezza i Pembry do modułu wypoczynkowego. Nie mogę wam powiedzieć, co zobaczyli na mojej twarzy, ale jeśli choć trochę przypominało to obraz, który ukazał mi się w lustrze nad umywalką w latrynie, na ich miejscu poczułbym przerażenie, a zarazem ulgę, że jednak nie zwariowali.

Przeniosłem wzrok z lustra na interkom. Wszelkie problemy z ładunkiem należy niezwłocznie zgłaszać – tak kazał regulamin – ale co miałbym powiedzieć kapitanowi? Kusilo mnie, by pozbyć się tego wszystkiego, wyrzucić trumny z samolotu i mieć święty spokój. Gdybym zgłosił, że w ładowni wybuchł pożar, zeszlibyśmy poniżej trzech tysięcy metrów, żebym mógł posłać cały ładunek na dno Zatoki Meksykańskiej. Nikt by o nic nie pytał.

Wtedy znieruchomiałem, wyprostowałem się, próbowałem zebrać myśli. Dzieci. Nie potwory, nie demony, po prostu odgłosy dziecięcej zabawy. Nic, co miałyby cię dorwać. Nic, co mogłyby cię dorwać. Otrząsnąłem się i postanowiłem poszukać pomocy.

Wróciłem do Hadleya. Wciąż spał. Na jego piersi leżała książka w miękkiej oprawie, rozłożona jak namiot, z pozaginаныmi rogami kartek i okładką przedstawiającą dwie kobiety splecione w namiętym uścisku. Potrzęsnałem jego ramieniem i usiadł prosto. Przez chwilę obaj milczeliśmy. Potarł dłonią policzek i ziewnął.

Wreszcie spojrział prosto na mnie i jego twarz wykrzywił grymas niepokoju. Odruchowo sięgnął po przenośny aparat tlenowy. Zaraz jednak odzyskał rezon.

– Co jest, Davis?

Szukałem słów.

– Ładunek – powiedziałem. – Chyba... chyba się przesunął. Potrzebuję pomocy.

Jego zaniepokojenie przeszło w irytację.

– Zgłosiłeś to?

– Nie – powiedziałem. – Na razie... na razie nie chcę robić zamieszania. Może to nic takiego.

Skrzywił się, a ja pomyślałem, że teraz się od niego nasłucham, ale tylko wstał i ruszył za mną w głąb ładowni. Sama jego obecność wystarczyła, by powróciły moje wątpliwości, mój profesjonalizm. Szedłem raźniej, oczy otworzyły mi się szerzej, żołądek wrócił na swoje miejsce.

Zastałem Pembry siedzącą obok Hernandezza. Oboje udawali obojętnych. Hadley zerknął na nich bez zainteresowania i dalej szedł za mną między trumnami.

– Może trzeba włączyć światła? – zasugerował.

– Nie pomogą – powiedziałem. – Proszę. – Podałem mu latarkę i zapytałem: – Słyszysz pan?

– Co miałbym słyszeć?

– Proszę posłuchać.

Tylko silniki i prąd strumieniowy.

– Nic nie...

– Ciii! Niech pan słucha.

Otworzył usta, po czym je zamknął. Silniki przycichły i nadciągnęły znajome odgłosy, spłynęły na nas jak para wodna, otoczyły mgłą dźwięku. Dopiero kiedy zauważyłem, że drżą mi ręce, zorientowałem się, jak bardzo jest mi zimno.

– Co to, do cholery? – spytał Hadley. – Brzmi jak...

– Nie – przerwałem mu. – To niemożliwe. – Wskazałem ruchem głowy metalowe skrzynie. – Wie pan, co jest w środku, prawda?

Nie odpowiedział. Dźwięki przez chwilę jakby przelewały się wokół nas, to bliskie, to znowu odległe. Próbował wodzić za nimi światłem latarki.

– Skąd to dochodzi?

– Nie wiem. Ulżyło mi tylko, że pan też to słyszy.

Mechanik podrapał się po głowie. Miał ściągniętą twarz, jakby połknął jakieś paskudztwo i nie mógł pozbyć się goryczy z ust.

– A niech mnie – wycedził.

Dźwięki nagle ucichły, tak jak poprzednio, i w nasze uszy wdarł się ryk silników.

– Zapalę światła. – Niepewnie odsunąłem się od niego. – Nie zgłoszę tego kapitanowi.

Odpowiedział konspiracyjnym milczeniem. Kiedy wróciłem, zastałem go przy oglądaniu jednego rzędu trumien przez siatkę zabezpieczającą.

– Musisz zrobić przeszukanie – stwierdził głucho.

Nie zareagowałem. Wiele razy przeszukiwałem ładunek podczas lotu, ale nigdy w takich okolicznościach, nawet nie wtedy, gdy woziłem poległych żołnierzy. Jeśli wszystko, co powiedziała Pembry, było prawdą, otwarcie jednej z tych trumien wydawało się najgorszym pomysłem z możliwych.

Drgnęliśmy, gdy rozległ się kolejny dźwięk. Wyobraźcie sobie mokrą piłkę tenisową. Teraz wyobraźcie sobie odgłos, z jakim piłka odbija się od kortu – takie głuchoe ŁUP – jakby ptak uderzył w kadłub samolotu. Dźwięk rozbrzmiał znowu, tym razem już na pewno wewnątrz ładowni. Samolotem na chwilę wstrząsnęły turbulencje, po czym nastąpiło kolejne łupnięcie. Dochodziło z trumny u stóp Hadleya, co do tego nie było wątpliwości.

To nic poważnego, próbowała powiedzieć jego twarz. Coś nam się uroiło. Dźwięk z jednej trumny nie może strącić samolotu. Duchy nie istnieją.

– Co teraz?

– Musimy zobaczyć – powiedział.

Krew znów spłynęła mi do żołądka. Zobaczyć, powiedział. Nie chciałem zobaczyć.

– Przekaż pilotom, żeby unikali turbulencji – zarządził. W tej chwili zrozumiałem, że mi pomoże. Chociaż wcale nie chciał.

– Co robicie? – spytała Pembry. Stała z boku, kiedy zdjąłem siatkę ładunkową z rzędu trumien, a mechanik porozpinał pasy zabezpieczające. Hernandez spał ze zwieszoną głową; środki uspokajające w końcu zaczęły działać.

– Musimy sprawdzić ładunek – oznajmiłem sucho. – Możliwe, że jest źle wyważony. Część mogła się poprzesuwać podczas lotu.

Złapała mnie za ramię, kiedy przechodziłem obok.

– To tylko dlatego? Że ładunek się poprzesuwał?

W jej głosie brzmiała nuta desperacji. Powiedz, że to było złudzenie, proszę jej oczy. Powiedz tak, a ci uwierzę i pójdę się przespać.

– Tak sądzimy. – Kiwnąłem głową.

Ramiona jej opadły, na twarz wypłynął uśmiech zbyt szeroki, aby był prawdziwy.

– Dzięki Bogu. Myślałam, że tracę rozum.

Poklepałem ją po ramieniu.

– Proszę usiąść, zapiąć pasy i odpocząć – poradziłem jej, a ona posłuchała.

Nareszcie robiłem coś konkretnego. Ja, specjalista od załadunku, mogłem zakończyć cały ten nonsens. Przystąpiłem więc do pracy. Odpiąłem pasy, wdrapałem się na stos trumien, wysunąłem górną, zniosłem na dół, zabezpieczyłem, zdjąłem następną, zabezpieczyłem i tak dalej. Niech żyje powtarzalność.

Dopiero kiedy doszliśmy do dolnej trumny, tej hałasującej, Hadley znieruchomiał. Stał i patrzył na mnie, kiedy wyciągnąłem ją na tyle, żeby dokładnie jej się przyjrzeć. Trzymał się pewnie na nogach, a jednak z całej jego postaci biła odraza, coś, co mógłby ukryć przy piwie z buńczuczными weteranami lotnictwa. Nie teraz jednak. Nie przy mnie.

Pobieżnie obejrzałem podłogę w miejscu, gdzie trumna dotąd stała, zerknąłem na sąsiednie skrzynie. Żadnych uszkodzeń ani widocznych wad.

Rozległ się dźwięk – znowu to wilgotne „łup”. Z wnętrza trumny. Obaj drgnęliśmy. Mechanik nie zdołał ukryć chłodnego obrzydzenia. Ja powstrzymałem dreszcz.

– Musimy ją otworzyć – powiedziałem.

Hadley nie oponował, ale jego ruchy, jak moje, były powolne. Usiadł w kucki i, mocno trzymając jedną dłoń na wieku trumny, drugą odpiął klamry po swojej stronie. Ja zająłem się tymi koło mnie. Kiedy je odciągałem, mój palec ślizgał się na zimnym metalu i lekko drżał. Położyłem dłoń na wieku. Nasze spojrzenia spotkały się i w ostatniej chwili, zanim straciliśmy resztki determinacji, razem otworzyliśmy trumnę.

Najpierw uderzył nas zapach: mieszanka zgniłych owoców, środka odkażającego i formaliny, do tego gnój i siarka, wszystko to przebijające przez woń plastiku. Fetor rozszedł się po ładowni, szczypał w nos. Światło górnych lamp padło na dwa czarne, błyszczące worki na zwłoki, śliskie od skroplonej pary i nieczystości. Wiedziałem, że w środku będą ciała dzieci, a jednak ten widok mnie zadziwił, zabolął. Jeden worek krzywo leżał na drugim i natychmiast zrozumiałem, że jest w nim więcej niż jedno dziecko. Moje oczy przebiegły po nasiąkłym wilgocią plastiku, wychwytyjąc zarys ręki, kontur profilu. U dołu rysował się odrębny, skulony kształt. Wielkości małego dziecka.

Wtedy samolot zadrżał jak przerażony kucyk i górny worek zsunął się na bok, odsłaniając ośmio-, najwyżej dziewięcioletnią dziewczynkę, okrytą plastikiem tylko do pasa. Leżała

wciśnięta jak szalony człowiek guma w kącie skrzyni, jej obrzmiały brzuch, pokłuty bagnetami, zdążył znów spuchnąć, powyginane kończyny były grube jak konary drzewa. Skóra z pigmentem zachowała się tylko na jej twarzy, czystym, niewinnym obliczu cherubina.

To właśnie jej twarz uzmysłowiła mi koszmar sytuacji, sprawiła prawdziwy ból. Jej słodka twarz.

Moja dłoń zacisnęła się na krawędzi trumny, boleśnie, aż knykcie zbieleły, ale nie śmiałem jej stamtąd zabrać. Coś utkwilo mi w gardle i zmusiłem się, żeby przełknąć.

Thusta, lśniaca mucha wyszła z worka i leniwie pofrunęła w stronę Hadleya. Powoli dźwignął się z podłogi, napiął mięśnie, jakby w przygotowaniu do przyjęcia ciosu. Patrzył, jak owad się wznosi i niezgrabnym lotem przecina powietrze. Zrobił krok w tył, machnął ręką, trafił muchę – usłyszałem plaśnięcie – i z jego ust wyrwał się zdławiony okrzyk obrzydzenia. Zły czar przysł.

Wstałem. Krew pulsowała mi w skroniach, nogi ugiwały się przede mną. Przytrzymałem się sąsiedniej trumny, czując, że coś zjeżdżałego podchodzi mi do gardła.

– Zamknij to – wymamrotał Hadley, jakby miał usta pełne jedzenia. – Zamknij to.

Ręce miałem jak z gumy. Zebrałem się w sobie, podniosłem nogę i kopnąłem wieko. Opadło z hukiem pocisku artyleryjskiego. Ciśnienie rozsadzało mi uszy jak podczas szybkiego obniżania lotu.

Hadley położył dłonie na tyłku i spuścił głowę, ciężko oddychając ustami.

– Jezu – wychrypiał.

Zobaczyłem ruch. Pembry stała obok rzędu trumien, z twarzą wykrzywioną grymasem odrazy.

– Co... to... za... smród?

– Wszystko w porządku. – Odzyskałem władzę w jednej ręce i wykonałem nią, miałem nadzieję, niedbały gest. – Wiemy już, na czym polegał problem. Tyle że trzeba było zajrzeć do środka. Może pani spokojnie usiąść.

Pembry objęła się w pół i wróciła na miejsce.

Jeszcze kilka głębokich oddechów i smród rozproszył się na tyle, że mogliśmy przystąpić do działania.

– Musimy ją zabezpieczyć – powiedziałem do Hadleya.

Spojrzał na mnie z podłogi oczami zwężonymi w szparki. Miał zacisnięte pięści i hardo wyprężony tors. Kąciki jego oczu lśniły wilgocią. Nic nie powiedział.

Kiedy zapiąłem klamry, trumna znów stała się tylko ładunkiem. Z wysiłkiem wsunęliśmy ją z powrotem na miejsce. Po kilku minutach wszystkie skrzynie były ułożone jak należy, zabezpieczone pasami i siatką ładunkową.

Hadley zaczekał, aż skończę, po czym przeszedł ze mną na przód luku.

– Powiem kapitanowi, że rozwiązałeś problem – stwierdził. – I może już wrócić do normalnej prędkości.

Kiwnąłem głową.

– Jeszcze jedno – rzucił. – Jeśli zobaczysz gdzieś tę muchę, zabij ją.

– A pan jej nie...

– Nie.

Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć, więc poprzestałem na:

– Tak jest.

Pembry siedziała na swoim miejscu i, ze zmarszczonym nosem, udawała, że śpi. Hernandez usiadł prosto, z półotwartymi oczami. Dał znak, żebym podszedł i się schylił.

– Wypuściłeś je, żeby się mogły pobawić? – spytał.

Stałem nad nim i milczałem. Poczułem w sercu to samo ukłucie żalu, co dawno temu, w dzieciństwie, kiedy kończyły się wakacje.

Wylądowaliśmy w Dover, trumny wynieśli żołnierze w mundurach galowych, ofiarom zapewniono godny pochówek. Słyszałem, że później zrezygnowano z tego ceremoniału i samoloty z kolejnymi ciałami witał tylko kapelan lotnictwa. Pod koniec tygodnia byłem z powrotem w Panamie, z brzuchem pełnym indyka i taniego rumu. Później poleciałem na Wyspy Marshalla z zaopatrzeniem dla tamtejszej bazy pocisków kierowanych. Dowództwo sił powietrznych zawsze ma jakiś ładunek do przewiezienia.

GROZA PRZESTWORZY

SIR ARTHUR CONAN DOYLE

Oprócz swoich opowieści o Sherlocku Holmesie Doyle napisał ponad sto innych utworów, w tym dziesiątki opowiadań grozy. Niektórym z nich brak dynamizmu historii o Holmesie, wszystkiego tego, co powoduje, że czytelnik nie może się doczekać, co się stanie potem, trzymają się bowiem podobnego schematu – bohaterowie, szlachetni młodzi Anglicy, stawiają czoło koszarowi nie z tej ziemi i triumfują dzięki swojej determinacji i przebiegłości. Kilka z tych opowiadań jednak autentycznie przyprawia o ciarki. Należą do nich *Mumia zmartwychwstała* oraz poniższa opowieść. Podobnie jak współczesny mu Bram Stoker, Doyle zafascynowany był nowymi wynalazkami (kupił samochód w 1911 roku, mimo że nigdy wcześniej nie siedział za kierownicą), w tym aeroplanem. Czytając *Grozę przestworzy*, pamiętajcie, że opowiadanie to opublikowane zostało w 1913 roku, raptem dziesięć lat po tym, jak Flyer braci Wright wzbił się z Kitty Hawk na pięćdziesiąt dziewięć sekund, z Orville'em za prymitywnymi sterami i Wilburem czekającym w pogotowiu. Kiedy poniższy utwór ukazał się na łamach „The Strand”, maksymalny pułap, na jaki wzbijały się samoloty, wynosił od czterech do około sześciu tysięcy metrów. Doyle próbował sobie wyobrazić, co może znajdować się wyżej, daleko ponad chmurami, i dzięki temu stworzył najbardziej przerażającą historię, jaka kiedykolwiek wyszła spod jego pióra.

Pogląd, jakoby niezwykła relacja, którą nazwano Niedokończonym Raportem Joyce'a-Armstronga, była tylko wymyślnym figlem jakiegoś osobnika obdarzonego przewrotnym i ponurym poczuciem humoru, został ostatecznie odrzucony przez wszystkich, którzy sprawę zbadali. Nawet intrygant o największym zamiłowaniu do makabry i bujnej wyobraźni wzbraniałby się przed wiązaniem swych chorobliwych rojeń z niekwestionowanymi i tragicznymi faktami, które uwiarygodniają ten dokument. Choć zawarte tam twierdzenia są niezwykle, a nawet potworne, rozum nakazuje uznać je za wiarygodne i dostosować żywione przez nas przekonania do nowej sytuacji. Nasz świat, jak się wydaje, oddzielony jest wąłym, nietrwałym marginesem bezpieczeństwa od nader osobliwego i niespodziewanego zagrożenia. W poniższej relacji, przytaczającej oryginalny dokument w jego nieuchronnie okrojonej postaci, podejmę próbę przybliżenia czytelnikowi pełnej wiedzy, jaką dysponujemy. Na wstępie zaznaczę, że nawet jeżeli ktoś nie dowierza słowom Joyce'a-Armstronga, to żadnych wątpliwości nie budzą podane przezeń fakty dotyczące porucznika Myrtle'a z Królewskiej Marynarki Wojennej i pana Haya Connora, którzy z całą pewnością dokonali żywota w opisanych okolicznościach.

Niedokończony Raport Joyce'a-Armstronga znaleziono na polu o nazwie Lower Haycock, milę na zachód od wioski Withyham, na granicy hrabstw Kent i Sussex. Piętnastego września roku bieżącego robotnik rolny James Flynn, zatrudniony przez farmera Matthew Dodda z Chantry Farm w Withyham, spostrzegł fajkę z korzenia wrzośca leżącą opodal ścieżki, która biegnie wzdłuż żywopłotu okalającego Lower Haycock. Kilka kroków dalej znalazł rozbitą lornetkę. Wreszcie, wśród pokrzyw w rowie, wypatrzył płaską, oprawną w płótno książkę, która okazała się notatnikiem z wrywanymi kartkami – część z nich wypadła i trzepotała u podnóża żywopłotu. Pozbierał luźne stronicę, jednak kilku, w tym pierwszej, nie udało się odnaleźć, wskutek czego ten jakże ważny dokument, niestety, zawiera luki. Flynn oddał notatnik swemu chlebodawcy, ten zaś pokazał go doktorowi J.H. Athertonowi z Hartfield. Dżentelmen ów od razu zrozumiał, że znalezisko musi trafić w ręce specjalistów, rękopis przesłano więc do Towarzystwa Aeronautycznego w Londynie, gdzie przechowywany jest do dziś.

Brakuje pierwszych dwóch stron manuskryptu, ostatnia jest oberwana, nie wpływa to jednak na ogólną spójność relacji. Przypuszcza się, że zaginiony wstęp przedstawia kwalifikacje pana Joyce'a-Armstronga jako aeronauty, te zaś znaleźć można w innych źródłach, jednoznacznie potwierdzających, że nie było w Anglii równego mu pilota. Przez długie lata cieszył się opinią jednego z najśmielszych i najsprawniejszych intelektualnie lotników, które to cechy pozwoliły mu wynaleźć i wypróbować kilka nowych przyrządów, włącznie z szeroko stosowanym elementem żyroskopowym, nazwanym jego nazwiskiem. Większość rękopisu spisana jest starannie atramentem, lecz ostatnie słowa skreślono

ołówkiem i są tak nabazgrane, że ledwo dają się odczytać – jakby pisano je w pośpiechu wewnątrz lecącego aeroplanu. Jest też, dodam, kilka plam na ostatniej stronie i zewnętrznej oprawie, zidentyfikowanych przez specjalistów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako ślady krwi – przypuszczalnie ludzkiej, a na pewno pochodzącej od ssaka. Fakt, że w krwi tej wykryto coś przypominającego zarazek malarii, a Joyce-Armstrong, jak powszechnie wiadomo, cierpiał na sporadyczne ataki febry, pokazuje, jak nadzwyczajną nową broń współczesna nauka dała do rąk naszym detektywom.

A teraz słowo o osobowości autora tej epokowej relacji. Joyce-Armstrong, według nielicznych przyjaciół, którzy zdołali go bliżej poznać, był poetą i marzycielem, a jednocześnie mechanikiem i wynalazcą. Posiadał spory majątek, którego lwią część wydał na swoje aeronautyczne hobby. Trzymał cztery prywatne aeroplany w swych hangarach opodal Devizes i mówi się, że w minionym roku odbył co najmniej sto siedemdziesiąt lotów. Był człowiekiem zamkniętym w sobie, ze skłonnością do popadania w mroczne nastroje, kiedy to stronił od wszelkiego towarzystwa. Kapitan Dangerfield, który znał go jak nikt inny, mówi, że żywił obawy, iż ekscentryczność Joyce'a-Armstronga może przerodzić się w coś poważniejszego. Jego nawyk wożenia strzelby ze sobą w aeroplanie był tylko jednym z tego objawów.

Innym był niezdrowy wpływ, jaki na jego stan ducha wywarł upadek porucznika Myrtle'a. Myrtle, który próbował pobić rekord wysokości lotu, runął z pułapu nieco ponad trzydziestu tysięcy stóp na ziemię. Koszmarnie o tym pisać, ale po jego głowie nie został ślad, choć ciało i członki zachowały swą konfigurację. Na każdym spotkaniu lotniczej braci Joyce-Armstrong, według Dangerfielda, miał pytać z enigmatycznym uśmiechem: „A gdzie się podziała głowa Myrtle'a?”

Przy innej okazji, po kolacji w mesie szkoły latania na równinie Salisbury, wszczął dyskusję o tym, z jakim najtrwalszym zagrożeniem przyjdzie się zmierzyć lotnikom. Wysłuchawszy uwag o dziurach powietrznych, wadach konstrukcji i nadmiernych przechyłach, wzruszył ramionami i odmówił przedstawienia własnych poglądów na ten temat, choć można było odnieść wrażenie, że są one odmienne od wyrażonych przez towarzyszy.

Warto dodać, że już po jego zniknięciu okazało się, iż uporządkował swoje prywatne sprawy z precyzją świadczącą o tym, że miał silne przeczucie katastrofy. Udzieliwszy tych nieodzownych wyjaśnień, teraz przytoczę jego relację w oryginalnej postaci, poczynając od trzeciej strony zalanego krwią notatnika:

Niemniej jednak, gdy jadłem w Reims kolację z Cosellim i Gustavem Raymondem, przekonałem się, że żaden z nich nic nie wiedział o zagrożeniach czyhających w wyższych warstwach atmosfery. Nie zdradziłem wprost, jakie myśli krążyły mi po głowie, ale czyniłem aluzje tak przejrzyste, że gdyby żywili podobne do moich zapatrywania, niechybnie daliby temu wyraz. Cóż, kiedy obaj są pustymi, zadufanymi w sobie pyszałkami, którym zależy jedynie na tym, by zobaczyć swe śmiechu warte nazwiska na łamach gazet.

Co godne odnotowania, żaden z nich nie wzleciał dużo powyżej poziomu dwudziestu tysięcy stóp. Oczywiście, ludzie docierają na większe wysokości balonami, jak również podczas górskich wspinaczek. Aeroplan niewątpliwie musi wejść znacznie ponad ten pułap, zanim dostanie się do strefy zagrożenia – zakładając, że moje przeczucia są trafne.

Aeroplany są z nami od przeszło dwudziestu lat i na usta ciśnie się pytanie: dlaczego to niebezpieczeństwo miałyby się ujawnić dopiero dziś? Odpowiedź jest oczywista. Dawniej, w czasach słabych silników, kiedy gnome czy green o mocy stu koni mechanicznych uważane były za wystarczające do wszystkich celów, loty miały bardzo ograniczony zasięg. Teraz, gdy moc trzystu koni mechanicznych jest raczej regułą niż wyjątkiem, wizyty w górnych warstwach atmosfery stały się łatwiejsze i częstsze. Niektórzy z nas pamiętają, że w latach naszej młodości Garros zyskał światową sławę dzięki osiągnięciu pułapu dziewiętnastu tysięcy stóp, a przelot nad Alpami uważano za wiekopomne osiągnięcie. Dziś mierzymy znacznie wyżej, lotów na dużych wysokościach jest dwadzieścia razy więcej niż kiedyś. Wiele z nich odbywa się bez żadnych przykrych skutków. Kolejni piloci wzlatują na pułap trzydziestu tysięcy stóp i uskarżają się tylko na zimno i trudności z oddychaniem. Czego to dowodzi? Przybysz z kosmosu mógłby tysiąc razy wylądować na naszej planecie i nigdy nie spotkać tygrysa. A jednak tygrysy istnieją i gdyby ów hipotetyczny gość raz tylko przypadkiem trafił do dżungli, mógłby zostać pożarty. Dżungle istnieją także w górnych warstwach atmosfery i zamieszkują je istoty gorsze od tygrysów. Przewiduję, że kiedyś powstaną szczegółowe mapy tych niebezpiecznych rejonów. Już teraz mogę wymienić dwa z nich. Jeden leży nad francuskim dystryktem Pau-Biarritz. Druga taka dżungla rozciąga się dokładnie nad moją głową, kiedy piszę te słowa w moim domu w Wiltshire. Trzecią, jak przypuszczam, znaleźć można w dystrykcie Homburg-Wiesbaden.

Zaczęło się od zniknięć lotników. To było pierwsze, co mi dało do myślenia. Oczywiście, powszechnie się uważa, że wpadli oni do morza, mnie jednak to wyjaśnienie nie przekonało. Najpierw był Verrier, we Francji; jego maszyna runęła niedaleko Bayonne, ale ciała nie znaleziono. Potem Baxter, po którym wszelki ślad zaginął, choć silnik i część żelaznych mocowań jego aeroplanu odnalazły się w lesie w Leicestershire. Doktor Middleton z Amesbury, który śledził jego lot przez teleskop, zeznał, że zanim chmury zasłoniły widok, maszyna znajdująca się na ogromnej wysokości nagle wzleciała pionowo w górę, gwałtownymi skokami, coś, co jemu samemu wydało się wyczynem niemożliwym. Wtedy Baxtera widziano po raz ostatni. Nastąpiła wymiana korespondencji na łamach gazet, ale na tym się skończyło. Do tego dodać należy jeszcze kilka podobnych przypadków oraz, oczywiście, śmierć Haya Connora. Ileż było gadania o niewyjaśnionych zagadkach przestworzy, ile felietonów w prasie bulwarowej, a mimo to jakże mało uczyniono, by dojść do sedna sprawy! Opadł lotem ślizgowym z nieznannej wysokości. Nie wysiadł ze swej maszyny i skonał w fotelu pilota. Przyczyna śmierci? Choroba serca, orzekli lekarze. Nonsens! Hay Connor miał tak zdrowe serce, jak ja. Cóż powiedział Venables? Venables, który jako jedyny był przy nim w chwili jego śmierci? Że Connor drżał i wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Umarł ze strachu, relacjonował Venables, niezdolny sobie wyobrazić, co też mogło być przyczyną tak silnego lęku. Connor przed śmiercią powiedział

mu tylko jedno słowo, które brzmiało jak „potworny”. Nijak nie potrafili tego wyjaśnić podczas oficjalnego dochodzenia. Mogę ich wyręczyć. Potwory! To było ostatnie słowo nieszczęsnego Harry’ego Haya Connora. I rzeczywiście umarł ze strachu, zgodnie z przypuszczeniami Venablesa.

Jest jeszcze sprawa głowy Myrtle’a. Czy naprawdę wierzycie – czy ktokolwiek wierzy – że upadek z dużej wysokości na ziemię może wgnieść głowę człowieka w ciało? Cóż, nie sposób tego wykluczyć, ale ja nigdy nie byłem przekonany, że tak właśnie się stało w przypadku Myrtle’a. No i ten tłuszcz na jego ubraniach – cały oślizły od tłuszczu, zeznał ktoś podczas dochodzenia. Dziwne, że nikomu nie dało to do myślenia! Nikomu oprócz mnie – ale inna rzecz, że od dłuższego czasu przyglądam się tym zagadnieniom. Miałem za sobą trzy loty w górne warstwy przestworzy – Dangerfield z upodobaniem kpił z mojej strzelby – ani razu jednak nie osiągnąłem dostatecznie wysokiego pułapu. Teraz, tym nowym, lekkim paulem veronerem z jego roburem o mocy stu siedemdziesięciu koni mechanicznych, jutro powinienem bez trudu wzlecieć na trzydzieści tysięcy stóp. Podejmę próbę pobicia rekordu. I może sobie postrzelam. Oczywiście, będzie niebezpiecznie. Kto chce uniknąć niebezpieczeństwa, najlepiej niech zrezygnuje z latania i dożywa swoich dni w ciepłych bamboszach i flanelowym szlafroku. Ja jutro odwiedzę powietrzną dżunglę – i przekonam się, czy coś tam jest. Jeżeli wrócę, zyskam całkiem spory rozgłos. Jeśli nie, niniejsza relacja wyjaśni, czego próbuję dokonać i w jakich okolicznościach przypłaciłem to życiem. Proszę tylko, darujcie sobie banialuki o nieszczęśliwych wypadkach i tajemnicach.

Postanowiłem polecić moim jednopłatem Paul Veroner. Jednopłat to najlepsza maszyna do prawdziwie trudnych wyzwań. Beaumont przekonał się o tym już w pierwszych latach. Przede wszystkim dobrze znosi wilgoć, a przy tej pogodzie zanosilo się, że przez cały czas będę w chmurach. To śliczny, mały model, posłuszny mej dłoni niczym koń czuły na wędzidło. Silnik, dziesięciocylinnowy rotacyjny robur, osiąga moc stu siedemdziesięciu pięciu koni mechanicznych. Aeroplan posiada wszystkie nowoczesne usprawnienia – zamknięty kadłub, mocno zakrzywione płozy lądownicze, hamulce, stabilizatory żyroskopowe i trzy biegi, które przełącza się, zmieniając kąt płatów jak w żaluzji. Zabrałem ze sobą strzelbę i tuzin nabojuów śrutowych. Szkoda, że nie widzieliście miny Perkinsa, mojego starego mechanika, kiedy kazałem mu je włożyć do kabiny. Wyglądałem jak arktyczny podróżnik – dwa swetry pod kombinezonem, grube skarpety, ocieplane buty, czapka sztormowa z nausznikami, gogle z miki. Na zewnątrz hangaru panowała duchota, ale skoro zamierzałem wznieść się na poziom najwyższych himalajskich szczytów, musiałem zadbać o stosowne okrycie. Perkins widział, że coś się święci, i błagał, bym zabrał go ze sobą. Może zrobiłbym to, gdybym leciał dwupłatem, ale jednopłat jest przeznaczony dla jednej osoby – o ile chcesz wycisnąć z niego pełnię możliwości. Oczywiście, wziąłem worek tlenowy; kto próbuje bić rekord wysokości bez niego, zamarznie albo się udusi – bądź jedno i drugie.

Dokładnie obejrzałem płaty, orczyk sterowy i drążek steru wysokości, zanim wsiadłem. Z tego, co widziałem, wszystko było w porządku. Uruchomiłem silnik, pracował płynnie. Po zwolnieniu z uwięzi maszyna prawie od razu wzbiła się z ziemi na najniższym biegu.

Zatoczyłem jeden–dwa kręgi nad lądowiskiem, żeby rozgrzać silnik, po czym pomachałem na pożegnanie Perkinsowi i reszcie, wyrównałem płaty i włączyłem najwyższy bieg. Przez osiem–dziesięć mil aeroplan mknął z wiatrem niczym jaskółka, potem, kiedy lekko uniosłem dziób, począł się wspinać po obszernej spirali ku kłębowi chmur nad moją głową. Niezmiernie ważne jest, by nabierać wysokości pomału i przyzwyczajać się do zmian ciśnienia.

Dzień był ciepły i parny jak na angielski wrzesień, nieruchome, ciężkie powietrze wieszczyło deszcz. Z południowego zachodu nadciągały pojedyncze, nagłe podmuchy – jeden tak silny i niespodziewany, że nie zdążyłem zareagować i w mgnieniu oka obróciło mnie w bok. Pamiętam czasy, kiedy porywy wiatru, wiry i dziury powietrzne były zjawiskami niebezpiecznymi – dopóki nie nauczyliśmy się budować potężnych silników. W chwili, gdy dotarłem w kłęby chmur, trzy tysiące stóp nad ziemią według wskazań wysokościomierza, zaczął padać deszcz. Boże mój, ależ lunęło! Strugi waliły w skrzydła, siekły mnie po twarzy, zalewały gogle tak, że niewiele widziałem. Zwolniłem, bo ciężko się leciało pod deszcz. Na wyższym pułapie ulewa przeszła w grad i musiałem zrobić w tył zwrot, żeby się zeń wydostać. Nie działał jeden z cylindrów – brudna świeca zapłonowa, domyślałem się, mimo to wciąż wznosiłem się w dobrym tempie. Po pewnym czasie usterka, na czymkolwiek polegała, sama się naprawiła i znów usłyszałem pełny, gardłowy pomruk – dziesięć cylindrów śpiewających jednym głosem. To właśnie jest piękne w nowoczesnych tłumikach. Nareszcie możemy regulować działanie silników, zdając się na słuch. Jakże piszcza, skrzypią i szlochają, gdy dzieje się z nimi coś złego! Dawniej wszystkie te wołania o pomoc zagłuszał potworny ryk maszyny. Gdybyż tylko mogli do nas powrócić pierwsi lotnicy, żeby na własne oczy ujrzeć piękno i doskonałość mechanizmu, osiągnięte za cenę ich życia!

Okolo pół do dziesiątej zbliżałem się do chmur. Poda mną, przesłonięty kurtyną deszczu, leżał ogromny przestwór równiny Salisbury. Pół tuzina latających maszyn, przypominających małe czarne jaskółki na zielonym tle, odbywało rutynowe loty na pułapie tysiąca stóp. Przypuszczam, że piloci zastanawiali się, co robię w krainie chmur. Nagle w dole zaciągnęła się szara zasłona i twarz moją otoczyły mokre, wirujące kłęby pary. Była nieprzyjemnie oślizła i zimna. Znalazłem się jednak ponad burzą gradową, a to zmieniło sytuację na lepsze. Chmury były ciemne i gęste jak londyńska mgła. Rozpaczliwie pragnąłem się z nich wydobyć, więc poderwałem dziób aeroplanu, aż rozbrzmiał automatyczny dzwonek alarmowy i ni mniej, ni więcej, tylko jąłem zsuwać się w tył. Przesiąknięte, ociekające skrzydła uczyniły maszynę cięższą, niż się spodziewałem, po chwili jednak byłem już wśród lżejszych chmur i zaraz wydobyłem się z pierwszej ich warstwy. Wysoko nade mną rozciągała się następna – puszysta, koloru opalu – białe, nieprzerwane sklepienie w górze, w dole ciemne, nieprzerwane podłoże, między nimi pnący się z wysiłkiem jednopłat. W tych przestrzeniach chmur czuje się przejmującą samotność. Raz minęło mnie wielkie stado małych ptaków wodnych, mknące na zachód. Żywy furkot ich skrzydeł, ich melodyjne okrzyki, cieszyły moje ucho. Domyślałem się, że były to cyranki, ale zoolog ze mnie marny. Teraz, kiedy my, ludzie, staliśmy się ptakami, naprawdę

powinniśmy nauczyć się rozpoznawać naszych pobratymców.

Wiatr pode mną kręcił i kołysał rozległą równiną chmur. Raz utworzył się w niej wielki wir, obracająca się wokół własnej osi masa pary, a pod nią, niczym przez lejek, dostrzegłem odległy świat. Daleko w dole przelatywał duży biały dwupłat. Domyślałem się, że wiozł poranną pocztę z Bristolu do Londynu. Potem wirujące kłęby zwały się na powrót i nic już nie zakłócało bezmiaru samotności.

Kilka minut po dziesiątej dotarłem do dolnej krawędzi górnej warstwy chmur. Tworzyły ją drobne, przejrzyste opary napływające chyżo z zachodu. Przez cały ten czas wiatr stopniowo przybierał na sile i teraz już wiał dość mocno – dwadzieścia osiem mil na godzinę, według miernika. Zrobiło się bardzo zimno, choć wysokościomierz pokazywał zaledwie dziewięć tysięcy stóp. Silniki pracowały pięknie, aeroplan miarowo piął się w górę. Kłęby chmur były gęstsze, niż oczekiwałem, ale ostatecznie rozrzedziły się przede mną w złocistą mgiełkę, chwilę potem zaś wyrwałem się z niej i ujrzałem nad sobą bezchmurne niebo i oślepiający blask słońca – w górze błękit i złoto, w dole lśniące srebro, jedna wielka, rozmigotana równina, jak okiem sięgnąć. Kwadrans po dziesiątej igła barografu pokazywała dwanaście tysięcy osiemset. Wzlatywałem wyżej i wyżej, wsłuchując się w głęboki pomruk silnika i stale obserwując zegarek, obrotomierz, dzwignię paliwową i pompę olejową. Nic dziwnego, że lotników uważa się za plemię nieustraszonych. O tylu sprawach trzeba myśleć, że nie ma czasu martwić się o siebie. To mniej więcej wtedy zauważyłem, że powyżej pewnego pułapu nie można polegać na kompasie. Igła mojego na wysokości piętnastu tysięcy stóp utknęła o jeden punkt na południe od wschodu. Orientowałem się w rzeczywistym położeniu na podstawie słońca i wiatru.

Żywiłem nadzieję, że tak wysoko nad ziemią napotkam niezmacony spokój, ale z każdym tysiącem stóp wzwyż wichura przybierała na sile. Maszyna moja stękała i drżała we wszystkich złączach i nitach, stawiając czoła żywiołowi, i gdy w przechyle wszedłem w skręt, zniosło mnie w bok niby porwaną podmuchem kartkę papieru. Pchany wiatrem, pędziłem z prędkością, jak sądzę, dotąd nieosiągalną dla śmiertelników. Musiałem jednak zawrócić i skierować się w górę, w oko wichru, bowiem celem mym było nie tylko pobicie rekordu wysokości. Według moich wyliczeń poszukiwana przeze mnie powietrzna dżungla leżała nad małym Wiltshire i cały trud mógłby spełznąć na niczym, gdybym dostał się do górnych warstw atmosfery w jakimś bardziej odległym punkcie.

Gdy osiągnąłem pułap dziewiętnastu tysięcy stóp, około południa, wiatr dał tak zajadle, że zerkałem z pewnym niepokojem na odciążone skrzydła, spodziewając się, że lada chwila pękną bądź się obluzują. Wyjąłem nawet spadochron i zaczepiłem jego hak o pierścień u mego skórzanego pasa, przygotowany na najgorsze. Oto nadszedł czas, gdy niedbałość mechanika może kosztować astronautę życie. Maszyna jednak trzymała się dzielnie. Wszystkie liny i rozpórki jęczały i drgały niby struny harfy, ale wspaniale było widzieć, że pomimo tylu otrzymanych ciosów, pomimo walącego weń wichru jednopłat wciąż był pogromcą natury i panem nieba. Człowiek musi mieć w sobie jakiś pierwiastek boskości, skoro potrafi triumfalnie wznieść się ponad ograniczenia, zdawałoby się, narzucone przez Wszechświat – i dokonać tego z tak niesamolubnym, heroicznym poświęceniem, jakie cechuje podbój

przestworzy. Całe to gadanie o degeneracji rodzaju ludzkiego! Czyż w annałach naszego gatunku zapisano kiedykolwiek podobną historię?

Takie to myśli krążyły mi w głowie podczas tej męczącej wspinaczki, gdy wiatr to smagał mnie po twarzy, to świszczał za uszami, a kraina chmur została tak daleko w dole, że wszystkie srebrne fałdy i wzgórki wygładziły się w płaską, błyszczącą równinę. Naraz spotkało mnie przerażające i zupełnie nowe doświadczenie. Wiedziałem już wcześniej, co znaczy wpaść w, jak zwą to nasi sąsiedzi, *tourbillon*, ale tak potężnego jak ten, który ukazał się moim oczom, nigdy jeszcze w życiu nie widział. Owa ogromna, rwąca rzeka wiatru, o której wspomniałem, miała w sobie, jak się okazało, wiry równie potworne jak ona sama. Jeden z nich wciągnął mnie w mgnieniu oka, bez ostrzeżenia. Przez minutę, może dwie, kręciłem się wkoło z tak wielką prędkością, że prawie odjęło mi zmysły, po czym aeroplan nagle przechylił się na lewe skrzydło i runął w dół, wessany do powstałego pośrodku lejka. Spadałem jak kamień prawie tysiąc stóp. Tylko pas bezpieczeństwa trzymał mnie w miejscu, gdy leżałem przewieszony przez krawędź kadłuba. Byłem przerażony, półprzytomny, brakowało mi tchu. Zawsze jednak zdolny jestem do nadludzkiego wysiłku – to jedna z moich wielkich zalet jako lotnika. Czułem, że spadam coraz wolniej. Wir miał kształt stożka, nie lejka, i oto znalazłem się w jego wierzchołku. Zebrałem wszystkie siły i całym ciężarem rzuciłem się w bok, po czym wyrównałem płaty i zwróciłem aeroplan ku zawietrznej. W mgnieniu oka wyrwałem się z pułapki i poszybowałem w dół. Wstrząśnięty, ale zwycięski, podniosłem dziób i wznowiłem mozolną wspinaczkę po spirali. Ominąłem z daleka groźny wir i wkrótce znalazłem się bezpiecznie ponad nim. Kilka minut po pierwszej byłem już dwadzieścia jeden tysięcy stóp nad poziomem morza. Ku mej niezmiernej radości, zostawiłem wicher w dole i im wyżej się wznosiłem, tym większy spokój panował w przestworzach. Zarazem zrobiło się bardzo zimno i odczuwałem te osobliwe mdłości wywołane rozrzedzeniem powietrza. Po raz pierwszy odkręciłem zatyczkę worka tlenowego i co pewien czas wdychałem ten cudowny gaz. Krążył niczym kordiał w moich żyłach, a ja, wręcz pijany z euforii, krzyczałem i śpiewałem, wzbijając się wyżej i wyżej, ku zimnym, milczącym zewnętrznym rubieżom świata.

Jest dla mnie rzeczą absolutnie oczywistą, że utratę przytomności, której doświadczyli Glaisher i, w mniejszym stopniu, Coxwell, gdy w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim wzniesli się balonem na wysokość trzydziestu tysięcy stóp, spowodowała zawrotna prędkość, z jaką odbywa się wzlot pionowy. Kiedy na podobne wyżyny pnie się pod łagodnym kątem, pomału, stopniowo oswajając się ze spadkiem ciśnienia barometrycznego, tego rodzaju przykre objawy nie występują. Na tej samej wysokości, jaką osiągnęli oni, przekonałem się, że nawet bez inhalatora tlenowego mogłem oddychać bez trudu. Było jednak przenikliwie zimno, termometr pokazywał zero stopni w skali Fahrenheita. O pół do drugiej znajdowałem się prawie siedem mil nad powierzchnią ziemi i wciąż piąłem się w górę. Spostrzegłem jednak, że rozrzedzone powietrze daje znacznie słabsze oparcie płatom skrzydeł, wskutek czego musiałem istotnie zmniejszyć kąt wznoszenia. Już wtedy zdałem sobie sprawę, że nawet pomimo mego niedużego ciężaru i potężnej mocy silnika coraz bliższy jest punkt, powyżej którego nie wzleczę. Co gorsza, znów szwankowała jedna ze

świec zapłonowych i silnik co pewien czas się zaciął. Strach przed porażką przygniół mi serce wielkim ciężarem.

Mniej więcej w tamtym momencie doświadczyłem czegoś niezwykłego. Coś przemknęło obok mnie, ciągnąc za sobą smugę dymu, i rozerwało się z głośnym sykiem, wypuszczając kłęb pary. Zrazu nie mogłem zrozumieć, co też się stało. Potem przypomniało mi się, że ziemia jest bezustannie bombardowana meteorami i praktycznie nie nadawałaby się do zamieszkania, gdyby nie to, że prawie wszystkie obracają się w parę w zewnętrznych warstwach atmosfery. Oto kolejne nowe zagrożenie czyhające na tych wyżynach, dwa następne kosmiczne pociski bowiem śmignęły obok mnie, gdy zbliżałem się do pułapu czterdziestu tysięcy stóp. Nie mam wątpliwości, że na skraju powłoki atmosferycznej niebezpieczeństwo byłoby nader realne.

Igła barografu pokazywała czterdzieści jeden tysięcy trzysta, gdy zrozumiałem, że wyżej nie wejść. Obciążenie fizyczne nie było jeszcze na tyle duże, abym nie mógł go znieść, maszyna jednak osiągnęła kres swoich możliwości. Rozrzedzone powietrze nie dawało dostatecznego oparcia skrzydłom i najmniejszy przechył przechodził w ześlizg, stery zaś działały opornie. Może gdyby silnik był w doskonałym stanie, zdołałbym wzbić się jeszcze tysiąc stóp wyżej, ale co rusz się zaciął i wyglądało na to, że dwa cylindry wysiadły. Jeśli do tej pory nie dotarłem do strefy, której poszukiwałem, szansa ujrzenia jej podczas tego lotu przepadła bezpowrotnie. A może jednak już dotarłem do celu? Zataczając kręgi na pułapie czterdziestu tysięcy stóp niby olbrzymi jastrząb, pozwoliłem, by jednopłat leciał sam, i uważnie obejrzałem okolicę przez lunetę Mannheim. Na nieskazitelnie czystym niebie nic nie wskazywało na obecność zagrożeń, które widziałem w swej wyobraźni.

Jak wspominałem, zataczałem kręgi. Naraz uderzyła mnie myśl, że dobrze byłoby poszerzyć obszar poszukiwań, poznać nowe podniebne tereny. Myśliwy, który wchodzi do dżungli naziemnej, kieruje się w głąb, jeśli chce wytropić zwierzynę. Z moich analiz wynikało, że powietrzna dżungla z mych wyobrażeń leży gdzieś nad Wiltshire, czyli mniej więcej na południowy zachód od mojego ówczesnego położenia. Orientowałem się na podstawie słońca, kompas bowiem był bezużyteczny i nie widziałem ani skrawka ziemi – nic, tylko odległą, srebrzystą równinę chmur. Ustaliłem kierunek na tyle, na ile potrafiłem, i trzymałem się obranego kursu. Oszacowałem, że paliwa wystarczy na godzinę, ale mogłem zużyć je do ostatniej kropli i w każdej chwili lotem ślizgowym sfrunąć na ziemię.

Nagle zauważyłem coś nowego. Powietrze przede mną zatraciło swą krystaliczną przejrzystość. Wypełniały je długie, poszarpane smugi czegoś, co porównać mogę tylko do bardzo rzadkiego dymu papierosowego. Ulotne wieńce i sploty z wolna wykręcały się i wiły w słońcu. Kiedy jednopłat przeleciał przez nie, poczułem na wargach słaby smak oleju, a drewniane części kadłuba pokrył tłusty osad. Wydawało się, że w atmosferze zawieszona jest nieskończenie drobna materia organiczna. Nie było w niej życia. Nieuchwytna, rozproszona, obejmowała wiele akrów kwadratowych i zanikała w próżni. Nie, to nie było żywe. Ale czy nie mogły to być szczątki czegoś żywego? Więcej, czyż nie mógł to być pokarm dla jakiejś żywej, potwornej istoty, tak jak skromny tłuszcz oceaniczny jest pożywieniem potężnego wieloryba? Z tą myślą moje spojrzenie powędrowało w górę

i zobaczyłem najcudowniejszy widok, jaki widziało ludzkie oko. Czy znajdę odpowiednie słowa, by wiernie oddać piękno, jakie ujrzałem w ostatni czwartek?

Wyobraźcie sobie meduzę taką jak te, które latem żeglują w naszych morzach, w kształcie dzwonu, ogromnych rozmiarów – znacznie większą, w mojej ocenie, niż kopuła katedry Świętego Pawła, jasnoróżową, przetykaną subtelnie zielonymi żyłkami. Materiał tworzący jej gigantyczną postać był jednak tak cienki, że zdawała się jedynie ulotnym zarysem na tle ciemnego błękitu nieba. Tętniła delikatnym, miarowym rytmem. Wyrastały z niej dwie długie, obwisłe, zielone macki, kołyszące się łagodnie. Cudne zjawisko przepłynęło niespiesznie, z milczącą godnością nad moją głową, wiotkie i delikatne niby bańka mydlana, i dostojnie poszybowało dalej.

Częściowo obróciłem jednopłat, żeby obejrzeć się za tym pięknym stworzeniem, gdy nagle, po chwili, znalazłem się wśród całej ich flotylli, wszelkich możliwych rozmiarów, ale nie tak dużych jak przewodnik stada; jednych dość małych, większość była wielkości przeciętnego balonu i podobnie zaokrąglona u góry. Delikatność ich faktury i kolorów przywodziła na myśl najszlachetniejsze szkło weneckie. Dominowały jasne odcienie różu i zieleni, pięknie opalizujące tam, gdzie przez wiotkie, płynące w powietrzu kształty przeświecało słońce. Setki ich przeleciały obok mnie, cudowna, bajeczna eskadra dziwacznych galeonów nieba – stworzenia swą formą i istotą tak idealnie dostosowane do tych wyżyn, że nie sposób sobie wyobrazić, by coś równie delikatnego mogło istnieć w zasięgu wzroku bądź słuchu ludzi żyjących na ziemi.

Wkrótce mą uwagę przykuło nowe zjawisko – węże powietrzne. Długie, cienkie, niesamowite wstęgi materiału o konsystencji pary, które wyginały się i wiły z wielką prędkością, krążąc w koło w takim tempie, że wzrok za nimi nie nadążał. Niektóre z tych widmowych istot miały dwadzieścia do trzydziestu stóp długości, grubości określić nie potrafię, obrys miały bowiem tak niewyraźny, że zdawały się zlewać w jedno z otaczającym powietrzem. Owe powietrzne węże były bardzo jasnoszarej bądź przydymionej barwy, z dostrzegalnymi wewnątrz ciemniejszymi liniami, co pozwalało domyślać się w nich samodzielnych organizmów. Jeden przemknął obok mojej twarzy i poczułem zimny, lepki dotyk, ale strukturę miały tak zwiewną, że – podobnie jak w przypadku poprzedzających je pięknych stworzeń o kształcie dzwonu – nie stanowiły fizycznego zagrożenia. Ich sylwetki były nie bardziej zwarte niżli unosząca się na wodzie piana z rozbitej o brzeg fali.

Czekało mnie jednak jeszcze straszniejsze doświadczenie. Z wielkiej wysokości spłynął sinawy kłęb pary, mały w chwili, gdy go ujrzałem, ale szybko powiększający się w miarę zmniejszania dystansu, aż rozrósł się do rozmiaru setek stóp kwadratowych. Choć zbudowany z jakiejś przezroczystej, galaretowatej substancji, miał jednak bardziej wyrazisty kształt i zwartą konsystencję niż wszystko, co widziałem do tej pory. Dostrzegłem też więcej śladów uporządkowanej budowy fizycznej, szczególnie dwa wielkie, ciemne kręgi po bokach, które mogły być oczami, i twardy biały wyrostek między nimi, zakrzywiony i złowieszczy jak dziób sępa.

Potwór wyglądał groźnie i przerażająco, jego ubarwienie zmieniało się z jasnego fiołkowego różu w ciemny, gniewny fiolet, tak gęsty, że przesłaniał słońce. Z górnej

krzywizny wielkiego cielska sterczały trzy potężne wypukłości, które porównać mogę tylko do ogromnych bąbli, byłem przekonany, że wypełniał je jakiś nadzwyczaj lekki gaz, który utrzymywał całą bezkształtną, półstałą masę w rozrzedzonym powietrzu. Stwór przemieszczał się szybko, bez trudu dotrzymując tempa jednopłatowi, i przez dwadzieścia mil, może więcej, był mi koszmarną eskortą, wisząc nade mną niby drapieżne ptaszysko wypatrujące sposobności do ataku. Technika, jaką posuwał się naprzód – niełatwo to było zobaczyć, bo wszystkie ruchy wykonywał tak chyżo – polegała na tym, że wyrzucał przed siebie długą, kleistą wstęgę, ta zaś zdawała się ciągnąć ku sobie resztę wijącego się ciała. Był tak elastyczny i galaretowaty, że jego kształty zmieniały się z minuty na minutę, a mimo to po każdej transformacji wydawał się jeszcze groźniejszy i szkaradniejszy.

Wiedziałem, że miał złe zamiary. Mówiła mi tak każda sina plama na jego ohydny cielsku. Niewyraźne, wytrzeszczone oczy, które ani na chwilę nie odrywały ode mnie zięjącego nienawiścią spojrzenia, były zimne i bezlitosne. Obniżyłem dziób jednopłata, żeby uciec. W tej samej chwili z masy lecącego tłuszczu wystrzeliła długa macka i lekkim, zwinnym ruchem smagającego bicza opadła na przód mojej maszyny. Przez chwilę, głośno sycząc, leżała na gorącym silniku i naraz zerwała się z powrotem w górę, a wielkie, płaskie cielsko skurczyło się w sobie, jakby z nagłego bólu. Zanurkowałem w dół, macka jednak znowu runęła na jednopłat i śmigło przecięło ją tak gładko, jakby była wieńcem dymu. Z tyłu nadciągnęła długa, szybująca, lepka, węzowa wstęga, objęła mnie w pasie i poczęła wyciągać z kadłuba. Próbowałem oderwać ją od siebie palcami zatapiającymi się w gładkiej, kleistej powierzchni, i na chwilę się uwolniłem, zaraz jednak druga wstęga oplótła mój but i szarpnęła tak mocno, że prawie padłem na plecy.

Przewracając się, wypaliłem z obu luf mej strzelby, choć, doprawdy, łudzić się, że jakakolwiek ludzka broń mogłaby wyrządzić szkodę temu masywnemu cielsku, to tak jakby liczyć na ustrzelenie słonia z dziecięcej dmuchawki. A jednak wymierzyłem celniej, niż sądziłem, jako że jeden z wielkich pęcherzy na grzbiecie stwora, przeбитý śrutem, rozerwał się z głośnym hukiem. Stało się wówczas oczywiste, że zgodnie z moim przypuszczeniem owe ogromne, przezroczyste pęcherze istotnie wypełniał jakiś gaz lżejszy od powietrza, bowiem potężne, podobne do chmury ciało natychmiast obróciło się w bok, miotając w rozpaczliwej próbie zachowania równowagi i wściekle kłapiąc białym dziobem. Wtedy umknąłem najbardziej stromym ślizgiem, na jaki się odważyłem, wciąż z włączonym silnikiem, ściągany w dół obrotami śmigła i siłą grawitacji niby aerolit. Daleko w tyle dostrzegłem matową, sinawą plamę, która szybko się kurczyła i wtapiała w błękit nieba. Bezpiecznie wydostałem się ze śmiertelnie niebezpiecznej powietrznej dżungli.

Kiedy zagrożenie minęło, zdławiłem silnik, bowiem nic tak szybko nie rozrywa maszyny na kawałki, jak schodzenie na pełnej mocy z dużej wysokości. To był cudowny lot ślizgowy po spirali z pułapu niespełna ośmiu mil – najpierw na poziom srebrzystych obłoków, potem w chmury burzowe i wreszcie, w strugach deszczu, na powierzchnię ziemi. Wychodząc z pokrywy chmur, ujrzałem pode mną Kanał Bristolski, ale w baku zostało jeszcze trochę paliwa, więc przeleciałem dwadzieścia mil w głąb lądu, zanim zmuszony byłem wylądować w szczerym polu niedaleko wioski Ashcombe. Tam dostałem trzy pojemniki benzyny od

przejeżdżającego automobilisty i dziesięć minut po szóstej tego wieczoru łagodnie osiadłem na mojej łące w Devizes, kończąc podróż, z jakiej żaden śmiertelnik przede mną nie uszedł z życiem. Widziałem piękno, widziałem też grozę przestworzy – i większego piękna ani większej grozy człowiek nie jest w stanie sobie wyobrazić.

Planuję polecieć tam raz jeszcze, zanim przedstawię moje ustalenia świata. Muszę zdobyć jakiś namacalny dowód, zanim przedłożę bliźnim tego rodzaju relację. Nie wątpię, że inni wkrótce pójdą w me ślady i potwierdzą wszystko, co tu napisałem, a jednak chcę, by moje słowa od początku brzmiały przekonująco. Nie powinno być trudności z pochwyleniem tych pięknych, opalizujących baniek powietrznych. Płyną przez niebo tak powoli, że szybkim jednopłatem mogę przeciąć tor ich niespiesznego lotu. Jest prawdopodobne, że rozpuszczą się w gęstszych warstwach atmosfery i na ziemię nie dowiozę niczego prócz małej, bezkształtnej galarety. A mimo to nawet w niej na pewno będzie coś, co potwierdzi prawdziwość mojej relacji. Tak, polecę tam znowu, choćbym miał się narazić na niebezpieczeństwo. Te sine monstra, jak się zdaje, nie są zbyt liczne. Możliwe, że nie napotkam żadnego. Jeśli nawet, od razu dam nura ku ziemi. W najgorszym razie zawsze jest strzelba i moja wiedza o...

Tu, niestety, brakuje jednej kartki manuskryptu. Na następnej napisano wielkimi, rozwlekłymi literami:

Czterdzieści trzy tysiące stóp. Nigdy więcej nie zobaczę ziemi. Są pode mną, jest ich trzy. Boże, miej mnie w swej opiece; to taka straszna śmierć!

Oto oświadczenie Joyce'a-Armstronga w całości. Samego autora od tamtej pory nie widziano. Fragmenty jego rozbitego jednopłata zebrano z prywatnego terenu łowieckiego pana Budda-Lushingtona na granicy hrabstw Kent i Sussex, kilka mil od miejsca, w którym znaleziono notatnik. Jeżeli prawdziwa jest teoria nieszczęsnego lotnika, jakoby owa dżungla powietrzna, jak ją określił, istniała tylko nad południowo-zachodnią Anglią, wydaje się, że uciekał on z niej aeroplanem z największą możliwą szybkością, lecz monstrualne stwory dogoniły go i pożarły gdzieś w przestworzach nad miejscem odnalezienia ponurych szczątków. Obraz tego jednopłata pędzącego po niebie i lecących pod nim z równą prędkością nienazwanych okropieństw, odcinających od ziemi i stopniowo osaczających swą ofiarę, nie jest czymś, o czym człowiek ceniący własne zdrowie umysłowe chciałby za długo rozmyślać. Zdaję sobie sprawę, że wielu wciąż szyderczo odrzuca fakty, które tu przedstawiłem, nawet oni muszą jednak przyznać, że Joyce-Armstrong rzeczywiście zniknął, i poddałbym im pod rozwagę jego własne słowa: „Niniejsza relacja wyjaśni, czego próbuje dokonać i w jakich okolicznościach przyplącałem to życiem. Proszę tylko, darujcie sobie

banialuki o nieszczęśliwych wypadkach i tajemnicach”.

KOSZMAR NA WYSOKOŚCI SZEŚCIU TYSIĘCY METRÓW

RICHARD MATHESON

Czy to najwspanialsza opowieść o strachu przed lataniem, jaką kiedykolwiek napisano? Niewykluczone. Nie chcę robić z siebie Roda Serlinga, ale rozważcie, szanowni państwo, myśl niejakiego Arthura Jeffreya Wilsona po starcie DC-7, którego jest pasażerem: „Oto jestem... sześć tysięcy metrów nad ziemią, uwięziony w wyjącej skorupie śmierci”. Tekst po raz pierwszy opublikowano w 1961 roku, kiedy w samolotach pasażerskich wolno było palić papierosy, a nawet trzymać pistolet w podręcznym bagażu, *Koszmar* balansuje między dwiema możliwościami: albo pan Wilson przeżywa załamanie nerwowe na tle lękowym, albo na skrzydle za jego oknem rzeczywiście jest ohydny, zwyrodniały stwór, który usiłuje doprowadzić do katastrofy samolotu. Tak czy owak, przed wami bardzo nieprzyjemny lot. Radzę zapiąć pasy.

Przypominam o pasach – wesoło powiedziała stewardesa, przechodząc obok niego.

Prawie w tej samej chwili rozjarzył się napis nad łukowatym przejściem do przedniego przedziału – ZAPIĄĆ PASY – oraz, niżej, towarzyszące mu ostrzeżenie – ZAKAZ PALENIA. Wilson zaciągnął się głęboko, wypuścił dym serią dmuchnięć, po czym gniewnymi ruchami, jakby zadawał ciosy nożem, zgasił papierosa w popielnicze na podłokietniku.

Na zewnątrz jeden z silników zakasłał donośnie, wyrzucając kłęb oparu, który rozproszył się w nocnym powietrzu. Kadłub zadrżał i Wilson dojrzał za oknem biały strumień płomienia buchający z gondoli silnika. Drugi silnik zakrzuszył się, ryknął i jego śmigło natychmiast rozpedziło się do pełnych obrotów. Wilson, spięty, potulnie zapiął pas wokół bioder.

Pracowały już wszystkie silniki i głowa Wilsona pulsowała w zgodnym rytmie z kadłubem samolotu. Siedział sztywno, wpatrzony w fotel przed sobą, gdy DC-7 jechał przez płytę postojową, rozgrzewając noc spalinami buchającymi z dysz wylotowych.

Na skraju pasa startowego samolot stanął. Wilson wyjrzał przez okno na rozświetloną kolosalną bryłę terminalu. Pomyślał, że późnym rankiem, już po prysznicu i w czystych ciuchach, będzie siedział w gabinecie kolejnego pośrednika i rozmawiał o kolejnej podejrzaney transakcji, która nic a nic nie wniesie do dziejów ludzkości. To wszystko jest tak cholernie...

Wstrzymał oddech, kiedy silniki zaczęły się rozgrzewać na wyścigi w przygotowaniu do startu. Ich warkot, i bez tego głośny, ogłuszał go, fale dźwięku waliły w uszy Wilsona jak maczugą. Otworzył usta, jak gdyby chciał ten hałas nimi wypuścić. Jego oczy zaszklily się, nadając mu wygląd cierpiącego człowieka, dłonie zwinęły się w naprężone szpony.

Drgnął i podkulił nogi, gdy poczuł dotyk na ramieniu. Gwałtownie odwrócił głowę i zobaczył stewardesę, tę samą, która wpuściła go na pokład. Uśmiechała się do niego.

– Dobrze się pan czuje? – Ledwo dosłyszał jej słowa.

Wilson zacisnął usta i wykonał gest, jakby chciał ją odepchnąć. Uśmiech stewardesy, aż nazbyt promienny, przygasł, odwróciła się i poszła.

Samolot ruszył. Zrazu letargicznie, niczym olbrzym usiłujący dźwignąć swoje ciężkie cielsko. Potem z większą prędkością, przewyciężając opór tarcia. Wilson spojrział w okno i zobaczył, że ciemny pas startowy coraz szybciej ucieka w tył. Z krawędzi skrzydła dobiegł mechaniczny skowyt i klapy opadły. Wielkie koła niezauważalnie straciły kontakt z podłożem i ziemia zaczęła się oddalać. W dole przemykały drzewa, budynki, żywe srebro reflektorów samochodowych. DC-7 pomału przechylił się na prawe skrzydło, pnąc się ku lodowatemu blaskowi gwiazd.

Wreszcie wyrównał lot i silniki przycichły, do chwili, gdy oswajające się z nowymi

warunkami uszy Wilsona złowiły szmer ich pracy na prędkości przelotowej. Ulga na chwilę rozluźniła mu mięśnie, poprawiła jego samopoczucie. A potem minęła. Siedział nieruchomo, wpatrzony w komunikat ZAKAZ PALENIA, dopóki nie zgasł, po czym pospiesznie zapalił papierosa. Sięgnął do kieszeni na oparciu fotela przed nim i wysunął z niej swoją gazetę.

Świat jak zwykle był mniej więcej w takim stanie jak on sam. Napięcia w kręgach dyplomatycznych, trzęsienia ziemi i strzelaniny, morderstwa, gwałty, tornada i kraksy, konflikty biznesowe, gangsterzy. Pan Bóg w niebiosach, wszystko w porządku, pomyślał Arthur Jeffrey Wilson.

Po kwadransie odrzucił gazetę na bok. Żołądek paskudnie dawał mu się we znaki. Zerknął na podświetlone napisy obok dwóch ubikacji. Oba informowały ZAJĘTE. Zgniół w popielnicze swojego trzeciego papierosa od startu, wyłączył lampkę górną i wyjrzał przez okno.

W całej kabinie ludzie już gasili światła i odchylali oparcia, szykując się do snu. Wilson zerknął na zegarek. Jedenasta dwadzieścia. Ze znużeniem wypuścił powietrze. Tak jak przewidywał, pigułki, które połknął przed wejściem na pokład, nie pomogły.

Z ubikacji wyszła kobieta. Zerwał się, chwycił torbę i ruszył w głąb kabiny.

Jego organizm, co było do przewidzenia, nie wykazywał chęci do współpracy. Wilson wstał ze zbolowanym jękiem i poprawił ubranie. Umył ręce i twarz, wyjął kosmetyczkę z torby i wycisnął na szczoteczkę odrobinę pasty do zębów.

Kiedy szorował zęby, oparty jedną dłonią o zimne przepierzenie, wyjrzał przez małe okno. Tylko parę metrów dzieliło go od obracającego się bladobłękitnego śmigła. Wyobraził sobie, jak to śmigło się urywa i, niczym tasak o trzech ostrzach, frunie prosto na niego.

Poczuł nagły ucisk w żołądku. Przełknął odruchowo i ślina zaprawiona pastą do zębów wdarła mu się do gardła. Krztusząc się, odwrócił głowę i splunął do umywalki, po czym pospiesznie opłukał usta i napił się wody. Dobry Boże, gdyby tak mógł pojechać pociągiem; mieć cały przedział dla siebie, niespiesznie przejść się do wagonu restauracyjnego; usiąść w wygodnym fotelu z drinkiem i czasopismem. Na tym świecie nie ma się jednak ani tyle czasu, ani tyle szczęścia.

Już chował kosmetyczkę z powrotem, kiedy jego spojrzenie padło na ceratową kopertę w torbie. Zawahał się, po czym odłożył małą teczkę na umywalkę, wyciągnął kopertę, wziął ją na kolana i otworzył.

Siedział wpatrzony w połyskujący olejem kształt pistoletu. Nosił go prawie rok. Pierwotnie wmawiał sobie, że to tylko ze względu na sumy pieniędzy, jakie miał przy sobie; broń ochroni go w razie napadu, zabezpieczy przed gangami wyrostków w miastach, które musiał odwiedzać. Ale w głębi ducha zawsze wiedział, że był tylko jeden prawdziwy powód. Powód, o którym z dnia na dzień myślał coraz częściej. Jakże łatwo byłoby... tu i teraz...

Wilson zamknął oczy i pospiesznie przełknął ślinę. Wciąż czuł w ustach smak pasty do zębów, mięta delikatnie szczypała w język. Siedział ciężko w zimnej, drżącej ubikacji, z naoliwionym pistoletem w dłoniach. Nagle zaczął spazmatycznie dygotać. Boże, daj mi odejść!, krzyknął w duchu.

– Daj mi odejść, daj... mi... odejść. – Ledwo rozpoznawał swój skamlący głos.

Raptownie wyprostował plecy. Z zaciśniętymi ustami schował pistolet do koperty, wepchnął do torby, przykrył teczką i zasunął suwak. Wstał, otworzył drzwi, wyszedł i szybko wrócił na swoje miejsce. Usiadł i starannie wsunął torbę podręczną z powrotem pod siedzenie. Wcisnął guzik na podłokietniku i odchylił oparcie. Jego, człowieka interesu, czeka jutro interes do ubicia. Prosta sprawa. Skoro jego ciało potrzebowało snu, proszę bardzo, będzie spał.

Dwadzieścia minut później Wilson powoli sięgnął w dół i wcisnął guzik, żeby podnieść oparcie. Jego twarz wyrażała pogodzenie się z porażką. Po co z tym walczyć?, pomyślał. Nie zaśnie, to oczywiste. I tyle.

Rozwiązał pół krzyżówki, po czym upuścił gazetę na kolana. Jego oczy były zbyt zmęczone. Usiadł prosto, zakręcił ramionami, naprężył mięśnie pleców. Co teraz?, pomyślał. Nie chciało mu się czytać, zasnąć nie mógł. A zostało jeszcze – zerknął na zegarek – siedem–osiem godzin, zanim wylądują w Los Angeles. Czym wypełnić ten czas? Spojrzał w głąb kabiny i zobaczył, że wszyscy spali prócz jednego pasażera w przednim przedziale.

Ogarnęła go nagła, przemożna furia, miał ochotę krzyczeć, czymś rzucić, kogoś uderzyć. Z zębami zaciśniętymi tak wściekle, że szczęki bolały, drżącą ręką odciągnął zasłony i owładnięty żądzą mordu wyjrzał przez okno.

Zobaczył mrugające światła na skrzydłach i jaskrawe błyski gazów wylotowych wyrzucanych spod osłon silników. Oto jestem, pomyślał; sześć tysięcy metrów nad ziemią, uwięziony w wyjącej skorupie śmierci, pędzącej przez polarną noc ku...

Drgnął, kiedy błyskawica rozjaśniła niebo, zalewając skrzydło fałszywym światłem dnia. Przełknął ślinę. Wlatują w burzę? Aż się wzdrygnął na myśl o deszczu i silnych wiatrach, o samolocie miotanym jak wiór falami podniebnego morza. Wilson źle znosił latanie. Kiedy za bardzo rzucało, dostawał mdłości. Może powinien był na wszelki wypadek wziąć jeszcze kilka dramamine'ów. W dodatku miał miejsce, jakżeby inaczej, obok wyjścia awaryjnego. Wyobraził sobie, że drzwi nagle same się otwierają; że zostaje wyssany z samolotu i spada z krzykiem.

Zamrugął oczami i pokręcił głową. Przycisnął nos do szyby i wyjrzał na zewnątrz. Poczuł lekkie mrowienie karku. Siedział bez ruchu, mrużąc powieki. Mógłby przysiąc...

Znieruchomiał i wyteżył wzrok. Coś pełzło po skrzydle.

Wilson poczuł nagły, mdlący skurcz w żołądku. Dobry Boże, czyżby jakiś zwierzak, pies, może kot, wlażł przed startem na samolot i jakimś cudem utrzymał się na nim do tej pory? Koszmarna myśl. Biedaczek musiał odchodzić od zmysłów z przerażenia. Gdzie jednak na gładkiej, chłostanej wiatrem powierzchni znalazł coś, czego się zdołał uczepić? Nie, to niemożliwe. To pewnie tylko ptak albo...

W błysku pioruna Wilson zobaczył ludzką postać.

Nie mógł się ruszyć. Patrzył w oszołomieniu na czarny kształt pełznący po skrzydle. To niemożliwe. Gdzieś, przez pokłady szoku, przebił się głos, ale Wilson go nie słyszał. Tylko dwie rzeczy do niego docierały: tytaniczne, wręcz rozdzierające walenie jego serca i myśl, że tam, na zewnątrz, jest człowiek.

Nagle, jakby ktoś wylał na niego kubel lodowatej wody, nastąpiła reakcja; jego umysł

rzucił mu koło ratunkowe logicznego wytłumaczenia. Mechanik, przez czyjeś niesłychane niedopatrzenie, wzbił się w niebo razem z samolotem i zdołał się utrzymać na skrzydle, mimo że wiatr zerwał z niego ubrania, a powietrze było rozrzedzone i niemal mroźne.

Wilson nie dał sobie czasu na obalenie tej teorii. Zerwał się niezgrabnie na nogi, wołając: „Stewardeso! Stewardeso!”. Jego głos dźwięczał głucho w kabinie. Raz po raz dźgał palcem guzik wzywający obsługę.

– Stewardeso!

Przybiegła z twarzą napiętą niepokojem. Zesztywniała na widok jego miny.

– Tam jest człowiek! Człowiek! – krzyknął Wilson.

– Słucham? – Skóra skurczyła się na jej policzkach, wokół jej oczu.

– Tam, proszę spojrzeć! – Wilson opadł na fotel i wskazał drżącą ręką na okno. – Czołga się po...

Zacharczał, słowa uwięzły mu w gardle. Na skrzydle nic nie było.

Wilson cały dygotał. Przez chwilę patrzył na odbicie stewardesy w oknie. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

W końcu odwrócił się i podniósł na nią oczy. Czerwone wargi kobiety rozchyliły się, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale ostatecznie zacisnęła usta z powrotem i przełknęła ślinę. Jej twarz na chwilę rozciągnęła się w nieudanej próbie uśmiechu.

– Przepraszam – powiedział Wilson. – Pewnie mi się...

Zamilkł, jakby to już było pełne zdanie. Po drugiej stronie przejścia nastolatka wpatrywała się w niego z sennym zaciekawieniem.

Stewardesa odchrząknęła.

– Przynieść coś panu? – zapytała.

– Szklankę wody – poprosił.

Odwróciła się i poszła.

Wilson wziął głęboki wdech i uciekł oczami od przenikliwego spojrzenia nastolatki. Czuł się normalnie. To go najbardziej szokowało. Gdzie wizje, krzyki, gdzie walenie pięściami w skronie, rwanie włosów z głowy?

Raptownie zamknął oczy. Tam był człowiek, pomyślał. Tam naprawdę był człowiek. To dlatego czuł się normalnie. A jednak nie mogło tam być nikogo. Wiedział to doskonale.

Siedział z zamkniętymi oczami i zastanawiał się, co zrobiłaby Jacqueline, gdyby teraz była tu z nim. Czy milczałaby, oniemiała z przerażenia? Czy też, co częstsze w takich sytuacjach, krzątałaby się wokół niego, uśmiechnięta, rozszczębiotana, udając, że niczego nie widziała? Co pomyśleliby jego synowie? Wilson poczuł, że w piersi wzbiera mu suchy szloch. O Boże...

– Pańska woda.

Drgnął gwałtownie i otworzył oczy.

– Chce pan koca? – spytała stewardesa.

– Nie. – Pokręcił głową. – Dziękuję – dodał, ciekaw, dlaczego jest dla niej taki grzeczny.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę mnie wezwać – powiedziała.

Wilson kiwnął głową.

Usłyszał za sobą stłumione głosy stewardesy i jednego z pasażerów. Zesztywniał ze złości. Raptownie sięgnął w dół i uważając, żeby nie rozlać wody, wyciągnął torbę podręczną. Rozpiął suwak, wyjął opakowanie kapsułek nasennych i połknął dwie, popijając wodą. Zgniół pusty kubek, wcisnął go do kieszeni na oparciu fotela przed nim, po czym, nie patrząc w okno, zasunął zasłony. Proszę bardzo, już po wszystkim. Jedno przywidzenie to jeszcze nie szaleństwo.

Przewrócił się na prawy bok, szukając pozycji, w jakiej drgania statku powietrznego byłyby najmniej odczuwalne. Musiał zapomnieć o tym, co zobaczył, to najważniejsze. Nie wolno mu tego rozpamiętywać. Ku swojemu zaskoczeniu poczuł, że cierpki uśmiech wypływa na jego usta. Cóż, na Boga, przynajmniej nikt nie mógł mu zarzucić, że miał prozaiczne halucynacje. Jak już się pojawiały, to w wielkim stylu. Golas pełznący po skrzydle DC-7 na wysokości sześciu tysięcy metrów – chimera godna wariata czystej wody.

Rozbawienie szybko minęło. Wilsonowi zrobiło się zimno. To było tak wyraźne, tak żywe. Jak oczy mogły widzieć coś, co nie istnieje? Jak to, co miał w głowie, tak skutecznie zaprzęgå zmysł wzroku do swoich celów? Nie był rozespany ani zamroczony – nie była to też bezkształtna, ulotna zjawą, lecz postać zdecydowanie trójwymiarowa, nie miał wątpliwości, że jak wszystko wokół należała do świata rzeczywistego. To właśnie najbardziej go przerażało. W żadnym razie nie wyglądała jak ze snu. Po prostu spojrzął na skrzydło i...

Pod wpływem impulsu rozsunał zasłonę.

Przez chwilę nie wiedział, czy to przeżyje. Miał wrażenie, jakby cała zawartość jego piersi i brzucha koszmarnie się rozděła, wciskając się do gardła i głowy, zapierając oddech, wypychając oczy na wierzch. Uwięzione w tej opuchniętej masie serce tętniło trwożnie, wyrywało się z klatki żeber. Wilson siedział jak sparaliżowany.

Postać, oddzielona tylko kilkucentymetrowej grubości szybą, patrzyła na niego.

Ohydna, nienawistna twarz nie należała do człowieka. Opinała ją usmolona, szorstka skóra o szerokich porach; nos wyglądał jak gruba, blada bulwa; pomiędzy zniekształconych, spękanych warg wystawały groteskowo wielkie, krzywe zęby; zapadnięte, małe oczy patrzyły nieruchomym wzrokiem. Wszystko to okalały splątane kudły, które sterczały też gęstymi kępkami z uszu i ptasiego nosa, opadając na policzki.

Wilson siedział przykuty do fotela, niezdolny zareagować. Czas stanął i utracił swoje znaczenie. Nie mógł funkcjonować, nie mógł logicznie myśleć. Lód przerażenia zamroził wszystko. Tylko serce wciąż biło – samotne, szaleńczo tłukące się w ciemności. Nie był w stanie nawet mrugnąć powieką. Wstrzymał oddech i nieruchomym wzrokiem patrzył prosto w puste oczy istoty.

Gwałtownie opuścił powieki i gdy tylko obraz zniknął mu przed oczu, jego umysł wyrwał się z paraliżu. Nic tam nie ma, pomyślał. Zaciśnął zęby, oddech drżał mu w nozdrzach. Nic tam nie ma, nic tam nie ma i już.

Wilson chwycił podłokietniki palcami o zbiełałych knykciach i zebrał odwagę. Tam nikogo nie ma, powiedział sobie. To niemożliwe, by człowiek siedział w kucki na skrzydle i patrzył na niego.

Otworzył oczy...

...i wcisnął się w oparcie ze zdławionym okrzykiem. Postać nie tylko tam była, ale i uśmiechała się szeroko. Wilson podkulił palce i wbił paznokcie w dłonie, aż poczuł ból i upewnił się, że jest w pełni przytomny.

Pomału, trzęsącą się, odrętwiałą ręką sięgnął do guzika wzywającego stewardesę. Nie powtórzy swojego błędu – tym razem nie krzyknie, nie zerwie się z miejsca, nie przepłoszy intruza. Podnosił dłoń coraz wyżej, mięśnie drżały mu z podszytych lękiem emocji, bo tamten patrzył na niego, małe ślepiec czujnie śledziły ruch jego ręki.

Ostrożnie wcisnął guzik raz, potem drugi. Przyjdź teraz, pomyślał. Przyjdź ze swoimi obiektywnymi oczami i zobacz to, co widzę ja – tylko szybko.

Usłyszał szelest kotary odciąganej w głębi kabiny i zeszywniał na całym ciele. Tamten odwrócił swoją potworną głowę w stronę dźwięku. Wilson patrzył na niego jak sparaliżowany. Pospiesz się, ponaglał w duchu. Na litość boską, pospiesz się!

W sekundę było po wszystkim. Postać obrzuciła Wilsona pogardliwym spojrzeniem, jego usta wykrzywił złowieszczo przebiegły uśmiech. Intruz podskoczył i zniknął.

– Tak, proszę pana?

Wilson przez chwilę cierpiał najgłębsze katusze szaleństwa. Wędrował wzrokiem od miejsca, w którym dopiero co stał pokurcz, do pytającej twarzy stewardesy i z powrotem. I tak w kółko: patrzył to na nią, to na skrzydło, ze wstrzymanym oddechem i czystym przerażeniem w oczach.

– O co chodzi? – spytała stewardesa z naciskiem.

Jej mina przeważyła szalę. Wilson zdusił w sobie emocje. Nie było szans, że mu uwierzy. Błyskawicznie to zrozumiał.

– Prze-przepraszam – wyjąkał. Przełknął sucho, z cichym pyknięciem w gardle. – To nic takiego. Proszę... proszę wybaczyć.

Stewardesa wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć. Jedną dłonią trzymała się oparcia fotela przed Wilsonem, żeby nie stracić równowagi w kołyszącym się samolocie, drugą przesuwiała bezwiednie po szwie spódnicy. Usta miała lekko rozchylone, jakby chciała się odezwać, ale nie mogła znaleźć właściwych słów.

– Cóż – powiedziała wreszcie i odchrząknęła. – Gdyby pan... czegoś potrzebował...

– Tak, tak. Dziękuję. Czy... czy wlatujemy w burzę?

Stewardesa posłała mu kojący uśmiech.

– Niedużą – zapewniła. – Nie ma powodów do obaw.

Wilson powoli, serią urywanych ruchów, kiwnął głową. Kiedy stewardesa się odwróciła, raptownie wciągnął powietrze, aż nozdrza mu się rozděły. Był przekonany, że uznała go za wariata, ale nie wiedziała, co w związku z tym zrobić, bo na szkoleniu nie poinstruowano załogi, jak postępować z pasażerami, którym zwidują się małe ludziki siedzące w kucki na skrzydle.

„Zwidują się”?

Pospiesznie odwrócił głowę i wyjrzał na zewnątrz. Patrzył na ciemną pochyłość skrzydła, na blask buchający z dysz wylotowych, na mrugające światła. Widział tę postać – gotów był

przysiąc. Jak to możliwe, by był w pełni świadomy wszystkiego, co się wokół działo – by był pod każdym względem zdrowy na umyśle, a mimo to doznał takiego przywidzenia? Czy to logiczne, że szwankujący umysł, zamiast zafałszować całą rzeczywistość, miałby wprowadzić do nienaruszonego układu znajomych szczegółów tylko jeden obcy element?

Nie, na wskroś nielogiczne.

Wilson nagle pomyślał o wojnie, o relacjach prasowych opowiadających o istotach, które rzekomo żyły w przestworzach i nękały alianckich pilotów na misjach. Nazywano je gremlinami, przypomniał sobie. Czy takie stwory naprawdę istnieją? Czy rzeczywiście żyją tutaj, w górze, nigdy nie spadają na ziemię, szybują z wiatrem, najwyraźniej posiadają trzy wymiary i masę, a mimo to opierają się grawitacji?

Kiedy o tym rozmyślał, intruz powrócił.

W jednej chwili skrzydło było puste. W następnej zeskoczył na nie, opadając łukiem. Siła uderzenia była nieodczuwalna. Wylądował prawie delikatnie, z krótkimi, włóchatymi rękami wyciągniętymi na boki jakby dla złapania równowagi. Wilson zeszytniał. Tak, z tych oczu wyzierało zrozumienie. Ten człowiek – czy mógł o tym czymś myśleć jako o człowieku? – jakimś sposobem wiedział, że sprowokował go do tego, by na próżno wezwał stewardesę. Wilson zadrzał z niepokoju. Jak udowodnić pozostałym, że intruz istnieje? Rozejrzał się rozpaczliwie. Dziewczyna po drugiej stronie przejścia. Gdyby przemówił do niej cicho, obudził ją, może zdołałaby...

Nie, tamten by się ulotnił, zanim zdążyłaby go zobaczyć. Pewnie wskoczyłby na szczyt kadłuba, gdzie nikt by go nie dostrzegł, nawet piloci w kokpicie. Wilson nagle poczuł żal do samego siebie o to, że nie kupił aparatu fotograficznego, o który prosił Walter. Dobry Boże, pomyślał, żeby tak zrobić zdjęcie tej istocie.

Zbliżył twarz do okna. Co pokurcz robił?

Błyskawica wydobyła skrzydło z ciemności i Wilson zobaczył. Postać, niczym dociekliwe dziecko, siedziała w kucki na trzęsącej się krawędzi skrzydła i wyciągała prawą rękę do jednego z obracających się śmigieł.

Wilson patrzył zafascynowany i przerażony, jak dłoń tamtego zbliża się do wirujących łopatek, by nagle się cofnąć, a usta rozwierają się w bezgłośnym krzyku. Ucięło mu palec!, pomyślał Wilson z odrazą. Intruz jednak natychmiast znów wysunął przed siebie wyprostowany, sękaty paluch, niby jakiś monstrualny niemowlak próbujący zatrzymać obracający się wentylator.

Gdyby to nie było tak potwornie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, byłoby zabawne, bowiem, obiektywnie rzecz postrzegając, intruz w tej chwili przedstawiał komiczny widok – baśniowy troll jakimś cudem obudzony do życia, z rozwiewanymi wiatrem włosami na głowie i całym ciele, obserwujący w skupieniu obroty śmigła. Jakże to mogłoby być szaleństwem?, pomyślał nagle Wilson. Co ten śmiechu wart koszmar ma mu powiedzieć o nim samym?

Intruz raz po raz wyciągał rękę przed siebie. I raz po raz gwałtownie cofał palce, czasem nawet wkładał je do ust, jakby się oparzył. Co chwila, dla pewności, zerkał przez ramię na Wilsona. On wie, pomyślał Wilson. Wie, że prowadzimy ze sobą grę. Jeśli uda mi się

sprawić, żeby ktoś go zobaczył, przegra. Jeśli pozostanę jedynym świadkiem, wygra. Lekkie rozbawienie ulotniło się bez śladu. Wilson zacisnął zęby. Dlaczego, u licha, piloci tego nie widzą?!

Pokurcz stracił zainteresowanie śmigłem i usiadł na osłonie silnika niby na grzbiecie wierzgającego konia. Wilson wpatrywał się w niego. Nagle dreszcz spłynął mu po plecach. Tamten dłubał w płytach okrywających silnik, próbował wsunąć paznokcie pod spód.

Wilson pod wpływem impulsu podniósł rękę i wcisnął guzik wzywający stewardesę. Usłyszał jej kroki nadchodzące z głębi kabiny i przez chwilę myślał, że przechytrzył intruza, który wydawał się skupiony na swoich wysiłkach. Jednak w ostatniej chwili przed przybyciem stewardesy zerknął na Wilsona. A potem, niby marionetka szarpnięta za sznurki, wzbił się w powietrze.

– Tak? – Stewardesa patrzyła na niego z obawą.

– Mogłaby pani... usiąść? – spytał.

Zawahała się.

– Cóż...

– Proszę.

Usiadła niepewnie na fotelu obok.

– O co chodzi, panie Wilson? – spytała.

Zebrał się w sobie.

– Ten człowiek nadal jest za oknem – powiedział.

Stewardesa patrzyła na niego.

– Mówię pani o tym dlatego – pośpiesznie ciągnął Wilson – że majstruje przy jednym z silników.

Instynktownie zwróciła oczy w stronę okna.

– Nie, nie, proszę nie patrzeć – powiedział jej. – Teraz go nie ma. – Odkasznął chrapliwie.

– Wskakuje... wskakuje na górę, kiedy pani przychodzi.

Zemdliło go, kiedy zrozumiał, co ta kobieta musi o nim sądzić. Uprzytamniając sobie, jak sam zareagowałby, gdyby ktoś opowiedział mu taką historię, dostał zawrotów głowy i stwierdził w duchu: Ja tracę rozum!

– Do czego zmierzam – powiedział, odpędzając tę myśl. – Jeśli to nie złudzenie, samolot jest w niebezpieczeństwie.

– Tak – odparła.

– Wiem – powiedział. – Sądzi pani, że oszalałem.

– Oczywiście, że nie – zapewniła.

– Proszę tylko o jedno – powiedział, tłumiąc narastający gniew. – Niech pani przekaże pilotom moje ostrzeżenie. I poprosi ich, żeby mieli oko na skrzydła. Jeśli nic nie zobaczą, w porządku. W przeciwnym razie...

Stewardesa siedziała w milczeniu i patrzyła na niego. Dłonie Wilsona zacisnęły się w pięści, drżały mu na kolanach.

– No i? – zapytał.

Podniosła się.

– Przekażę im – powiedziała.

Odwróciła się i odeszła krokiem, który Wilsonowi wydał się nienaturalny – za szybki, żeby był normalny, a przy tym sztucznie powolny, jakby chciała mu pokazać, że nie ucieka. Z żółdkiem podjeżdżającym do gardła wyjrzał przez okno.

Intruz zniecka pojawił się znowu, wylądował na skrzydle niby groteskowy baletmistrz. Na oczach Wilsona powrócił do przerwanej zajęcia, usiadł okrakiem na osłonie silnika, obejmując ją grubymi, nagimi nogami, i zaczął grzebać w płytach.

I czym tu się właściwie martwić?, pomyślał Wilson. Ta żałosna istota nie będzie w stanie wydłubać nitów paznokciami. Właściwie to bez znaczenia, czy piloci ją zobaczą, czy nie – samolot tak czy owak jest bezpieczny. Co się zaś tyczy jego własnych, osobistych powodów...

W tej chwili pokurcz podważył krawędź jednej z płyt.

Wilson gwałtownie wciągnął powietrze.

– Do mnie, szybko! – krzyknął, widząc stewardesę i pilota wychodzących z kokpitu.

Pilot poderwał wzrok na Wilsona, pospiesznie przecisnął się obok stewardesy i chwiejnym krokiem ruszył przez kabinę.

– Szybciej! – ponaglił Wilson. Wyjrzał przez okno w porę, by zobaczyć, jak intruz wskakuje na górę. Teraz to już nie miało znaczenia. Zostanie naoczny dowód.

– Co się dzieje? – wysapał pilot, zatrzymując się obok jego fotela.

– Zerwał jedną z płyt silnika! – powiedział Wilson drżącym głosem.

– Co zrobił?

– Postać za oknem! – wyjaśnił Wilson. – Mówię wam, że...

– Panie Wilson, trochę ciszej! – zażądał pilot.

Wilsonowi opadła szczęka.

– Nie wiem, co tu jest grane – powiedział pilot. – Ale...

– Może pan choć spojrzeć?! – krzyknął Wilson.

– Panie Wilson, ostrzegam.

– Na litość boską! – Wilson szybko przełknął ślinę, usiłując zdusić w sobie ślełą furie. Wcisnął się w oparcie fotela i wskazał rozdygotaną ręką na okno. – Na litość boską, mógłby pan chociaż spojrzeć? – spytał.

Pilot westchnął z irytacją i schylił się. Po chwili jego zimne spojrzenie skierowało się na twarz Wilsona.

– No i? – spytał.

Wilson nerwowo obrócił głowę w bok. Płyty były na swoich miejscach.

– Zaraz, zaraz – powiedział, zanim przyszła trwoga. – Widziałem, jak podważył tę płytę.

– Panie Wilson, jeśli pan nie...

– Zapewniam, że widziałem, jak ją podważył – wycedził Wilson.

Pilot stał i patrzył na niego z taką samą nieufnością, niemal przerażeniem, jak przedtem stewardesa. Wilson zatrzęsł się gwałtownie.

– Naprawdę widziałem! – krzyknął, zły na siebie o to, że głos mu się łamie.

Pilot natychmiast usiadł obok niego.

– Panie Wilson, ja bardzo proszę – powiedział. – Zgoda, widział go pan. Ale przypominam, że nie jest pan sam na pokładzie. Nie możemy niepokoić pozostałych pasażerów.

Wilson początkowo był zbyt wstrząśnięty, żeby zrozumieć.

– To znaczy... to znaczy, że też go widzieliście? – spytał.

– Oczywiście – powiedział pilot. – Ale nie chcemy wystraszyć pasażerów. Chyba pan to rozumie.

– Jasne, jasne, nie chciałbym...

Poczuł nieprzyjemny skurcz w pachwinie i podbrzuszu. Zacisnął usta i spojrzał na pilota oczami pełnymi nienawiści.

– Rozumiem – powiedział.

– Musimy pamiętać, że... – zaczął pilot.

– Wystarczy – powiedział Wilson.

– Słucham?

Wilson wzdrygnął się.

– Niech pan już idzie – warknął.

– Panie Wilson, o co...?

– Wystarczy, powiedziałem. – Poblądły na twarzy, odwrócił się od pilota i wyjrzał na skrzydło oczami jak z kamienia.

Nagle obrócił się z powrotem.

– Możecie być spokojni, słowem się już nie odezwę! – warknął.

– Panie Wilson, proszę spróbować postawić się w naszej...

Wilson odwrócił się i spojrzał jadowitym wzrokiem na silnik. Kątem oka dostrzegł dwóch pasażerów, którzy stali w przejściu między siedzeniami i patrzyli na niego. Idioci!, ryknął w duchu. Ręce mu drżały i przez kilka sekund bał się, że zwymiotuje. To przez te wstrząsy, powiedział sobie. Samolotem rzucało jak łodzią podczas sztormu.

Uświadomił sobie, że pilot nadal do niego mówi, i skupił wzrok na jego odbiciu w oknie. Obok stała posępnie milcząca stewardesa. Ślepi idioci, pomyślał Wilson. Zobaczył w szybie, że skierowali się na tył kabiny. Na pewno rozmawiają o mnie, pomyślał. Przygotowują plan działania na wypadek, gdybym zrobił się agresywny.

Teraz pragnął, by intruz pojawił się znowu, zerwał płytę osłonową i zniszczył silnik. Świadomość, że tylko on, Wilson, mógł uratować przed katastrofą ponad trzydziestu ludzi na pokładzie, sprawiała mu swoistą mściwą rozkosz. Gdyby chciał, mógłby pozwolić, by do tej katastrofy doszło. Uśmiechnął się niewesoło. To byłoby samobójstwo w wielkim stylu, pomyślał.

Tamten znów wylądował na skrzydle, a Wilson przekonał się, że jego przypuszczenia były słuszne – zanim wskoczył na górę, wcisnął płytę z powrotem na miejsce. Teraz bowiem znów ją podważał, co przychodziło mu bez trudu, odrywała się łatwo jak skóra zdzierana przez jakiegoś groteskowego chirurga. Skrzydłem szarpało, ale pokurcz bez wysiłku utrzymywał równowagę.

Wilson znów wpadł w popłoch. Co robić? Nikt mu nie uwierzył. Gdyby jeszcze raz

spróbował ich przekonać, pewnie by go obezwładnili. Gdyby poprosił stewardesę, żeby usiadła obok niego, byłoby to w najlepszym razie rozwiązanie tymczasowe. Kiedy tylko poszłaby albo zasnęła, tamten by powrócił. A nawet gdyby przez cały czas czuwała, co przeszkodziłoby intruzowi majstrować w silnikach na drugim skrzydle? Wilson zadrzał, strach zmroził krew w żyłach.

Dobry Boże, nie da się nic zrobić.

Drgnął, kiedy w oknie ukazało się odbicie przechodzącego pilota. Absurd tej sytuacji prawie doprowadził go do załamania – intruz i pilot o parę metrów od siebie, obaj widziani przez niego, a jednak niedostrzegający siebie nawzajem. Nie, pomylił się. Kiedy pilot przechodził, tamten zerknął przez ramię. Jakby wiedział, że nie musi już się chować, że Wilson nie może mu więcej przeszkodzić. Wilson aż się zatrząsł, trawiony wściekłością. Zabiję cię!, pomyślał. Ty mała poczwaro, zabiję cię!

Silnik się zaciął.

Trwało to tylko sekundę, ale w tym czasie Wilson miał wrażenie, że jego serce też stanęło. Przycisnął twarz do okna i wyteżył wzrok. Tamten odgiął płytę osłonową do końca i teraz, klęcząc, badawczo wsuwał dłoń do silnika.

– Nie... – Wilson usłyszał własne żalosne błaganie. – Nie...

Silnik znów się zakrzuszył. Wilson rozejrzał się z przerażeniem. Czy wszyscy ogłuchli? Podniósł dłoń, żeby wcisnąć guzik wzywający stewardesę, ale szybko opuścił rękę. Nie, zamknęliby go, skrepowali czy coś. A on jeden wiedział, co się dzieje, on jeden mógł uratować sytuację.

– Boże... – Wilson przygryzł dolną wargę, aż z jego ust wyrwał się jęk. Jeszcze raz spojrzął za siebie i poderwał się na fotelu. Stewardesa spieszenie nadchodziła przez rozkołysaną kabinę. Usłyszała to! Patrzył na nią w skupieniu. Zobaczył, że mijając jego miejsce, zerknęła na niego.

Zatrzymała się trzy rzędy dalej. Ktoś inny też usłyszał! Wilson patrzył, jak stewardesa pochylona rozmawia z niewidocznym pasażerem. Za oknem silnik znów się zakrzuszył. Wilson gwałtownie odwrócił głowę i wyjrzał na zewnątrz zmrużonymi ze strachu oczami.

– Niech cię diabli! – zawył.

Obrócił się z powrotem i zobaczył wracającą stewardesę. Nie wyglądała na zaniepokojoną. Wilson wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. To niemożliwe. Obejrzał się, śledząc kołyszące się ruchy kobiety, i zobaczył, że weszła do kuchni.

– Nie. – Trząsł się tak gwałtownie, że nie mógł już nad tym zapanować. Nikt nie usłyszał. Nikt nie wie.

Schylił się i wysunął torbę podróżną spod siedzenia. Rozpiął suwak, wyszarpnął teczkę i rzucił ją na wykładzinę. Znów włożył rękę do środka, chwycił ceratową kopertę i wyprostował się. Kątem oka dostrzegł nadchodzącą stewardesę i nogami wepchnął torbę z powrotem pod siedzenie. Ceratową kopertę schował obok siebie. Siedział sztywno, z drżącym w piersi oddechem, i czekał, aż stewardesa przejdzie.

Potem położył sobie kopertę na kolanach i rozwiązał ją. Jego ruchy były tak gorączkowe, że omal nie upuścił pistoletu. Złapał go za lufę, ścisnął rękojeść palcami o zbielejących

knykciach i odciągnął bezpiecznik. Wyjrzał na zewnątrz i zrobiło mu się zimno.

Tamten patrzył na niego.

Wilson zacisnął drżące wargi. Niemożliwe, by znał jego zamiary. Przełknął ślinę, próbował złapać oddech. Przeniósł wzrok na stewardesę, która właśnie podawała pasażerowi jakieś tabletki, po czym wrócił spojrzeniem na skrzydło. Intruz znów wkładał rękę do silnika. Dłoń Wilsona zacisnęła się na pistolecie. Zaczął go podnosić.

Szybko opuścił rękę. Szyba była za gruba. Kula mogłaby się odbić rykoszetem i trafić jednego z pasażerów. Wzdrygnął się i wyjrzał przez okno. Silnik znów się zaciął i fontanna iskier rozświetliła zwierzęce rysy pokurcza. Wilson zebrał się w sobie. Było tylko jedno wyjście.

Spojrzał w dół, na klamkę drzwi awaryjnych, okrytą przezroczystą osłoną. Zerwał ją i upuścił na podłogę. Wyjrzał na zewnątrz. Intruz wciąż tam był – siedząc w kucki, grzebał ręką w silniku. Wilson wciągnął drżący oddech. Położył lewą dłoń na klamce i nacisnął. Nie ustąpiła. Pociągnął w górę. Poruszyła się.

Puścił klamkę i położył sobie pistolet na kolanach. Nie pora bić się z myślami, powiedział w duchu. Dygoczącymi dłońmi zapiął pas na swoich udach. Kiedy drzwi się otworzą, powietrze będzie uciekało z ogromną siłą. Nie mógł pozwolić, by porwało go ze sobą. Od tego zależało bezpieczeństwo samolotu.

Teraz. Z tłukącym w piersi sercem Wilson znów podniósł pistolet. Musi działać szybko i skutecznie. Jeśli chybi, tamten może przeskoczyć na drugie skrzydło – albo, co gorsza, na usterzenie ogonowe, gdzie, nietknięty, pozrywa przewody, zdemoluje klapy, wytrąci samolot z kursu. Nie, miał tylko jedną szansę. Wymierzy nisko, w pierś albo brzuch. Nabrał powietrza do płuc. Teraz, pomyślał. Teraz.

Stewardesa nadeszła w tym samym momencie, kiedy Wilson złapał za klamkę. Zastygła w pół kroku i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Z twarzą wykrzywioną obłądnym przerażeniem uniosła dłoń w błagalnym geście. Przez dźwięk silników przebił się jej przenikliwy wrzask.

– Panie Wilson, nie!

– Cofnij się! – krzyknął i szarpnął klamkę.

Drzwi zniknęły. W jednej chwili były obok niego, w jego dłoni. W następnej, z syczącym rykiem, przepadły bez śladu.

Wilson poczuł, że potworna siła ssąca chwyta go i próbuje wyciągnąć z fotela. Jego głowa i ramiona wysunęły się z kabiny, do płuc wdarło się rozrzedzone, mroźne powietrze. Bębniaki pękały mu od grzmotu silników, a oczy oślepiały arktyczne wichry, przez chwilę zapomniał o intruzie na skrzydle. Miał wrażenie, że wśród otaczającego wiru usłyszał urwany, odległy krzyk.

A potem go zobaczył.

Pochylony, sękaty kształt szedł po skrzydle, chciwie wyciągając palce zakrzywione jak szpony. Wilson poderwał rękę i strzelił. Huk wystrzału wydał się cichym trzaskiem wśród rozzwierającego ryku powietrza. Tamten zachwiał się, wziął zamach i głowę Wilsona przeszył ból. Wypalił raz jeszcze, z bliska, i zobaczył, że intruz zatoczył się do tyłu, młócąc

powietrze rękami – po czym nagle zniknął niby papierowa lalka porwana wichrem. Wilson popadł w omdlenie. Poczł, że ktoś wyrywa pistolet z jego osłabłych palców.

Wszystko utonęło w lodowatej ciemności.

Poruszył się i coś wymamrotał. Ciepło krążyło mu w żyłach, członki miał jak z drewna. W mroku słyszał szuranie, cichy gwar głosów. Leżał twarzą do góry na czymś – czymś, co się ruszało, trzęsło. Poczł muśnięcie zimnego wiatru i podłóże przechyliło się pod nim.

Westchnął. Samolot wylądował i wynosili go na noszach. Pewnie rana głowy plus to, co mu wstrzyknęli na uspokojenie.

– Najbardziej szalona metoda samobójstwa, o jakiej słyszałem – stwierdził ktoś.

Wilsona ogarnęło przyjemne rozbawienie. Ten, kto to powiedział, oczywiście się mylił. Wkrótce się o tym przekonają, wystarczy obejrzeć silnik i uważniej zbadać jego ranę głowy. Wtedy zrozumieją, że ich wszystkich ocalił.

Zasnął. Nic mu się nie przyśniło.

LATAJĄCA MASZYNA

AMBROSE BIERCE

Choć Bierce dożył epoki lotnictwa (zmarł w 1914 roku), wątpliwe, by sam kiedykolwiek leciał samolotem. Poniższa humoreska opowiada nie tyle o samolotach, ile o naiwności ludzi skłonnych w nie inwestować, i niewątpliwie pomaga zrozumieć, skąd wziął się przydomek autora, czyli „Zgorzkniały” Bierce. Mój ulubiony bon mot Bierce’a: „Wojna to wybrana przez Boga metoda nauczania Amerykanów geografii”.

Pomysłowy Człowiek, który skonstruował latającą maszynę, zaprosił tłum ludzi, by zobaczyli, jak wzbija się w powietrze. W wyznaczonej chwili, kiedy wszystko było gotowe, wsiadł do pojazdu i uruchomił napęd. Maszyna natychmiast przebiła się przez masywne podłoże, na którym została zmontowana, i zniknęła w głębi ziemi. Aeronauta wyskoczył z kabiny i uratował się w ostatniej chwili.

– Cóż – rzekł – niniejszym udowodniłem, że mój projekt jest w zasadzie bez zarzutu. Niedostatki – dodał, zerkając na zniszczone podmurowanie – są tylko u podstaw, na poziomie założeń.

Na to zapewnienie ludzie ochoczo wnieśli datki na budowę drugiej maszyny.

LUCYFERZE!

E.C. TUBB

Podróże lotnicze mają to do siebie, że kiedy samolot wystartuje, musisz w nim zostać do samego końca. Tubb łączy ten prosty, niezaprzeczalny fakt z nadzwyczaj oryginalnym – i złowieszczym – spojrzeniem na podróże w czasie. Wyjawiając więcej szczegółów, zepsułbym przyjemność z lektury tego zjadliwego, mrożącego krew w żyłach, jedyne w swoim rodzaju opowiadania. Edwin Charles Tubb był jednym z najpłodniejszych brytyjskich autorów science fiction. W swojej prawie sześćdziesięcioletniej karierze napisał co najmniej sto pięćdziesiąt powieści i kilkanaście zbiorów opowiadań. W latach 1956–1957 był redaktorem naczelnym „Authentic Science Fiction” i (pod różnymi pseudonimami) autorem większości zamieszczonych w nim opowiadań (a także recenzji książek). Jednym z najlepszych jego utworów jest *Lucyferze!*, uhonorowany Nagrodą Specjalną dla najlepszego opowiadania na pierwszym konwencie Eurocon w 1972 roku.

Urządzenie to było wielce przydatne w towarzystwie i wszyscy z niego korzystali. Przez „wszystkich” w tym przypadku rozumieć należy Ludzi Wyjątkowych, czyli tych bogatych, czarujących i dobrze sytuowanych. Tych, co wpadli z wizytą, żeby przyjrzeć się zabawnej, prymitywnej kulturze, i tych, którzy z powodów osobistych zdecydowali się zostać na świecie, w którym mogli być grubymi rybami w maleńkim morzu.

Ludzie Wyjątkowi, dyletanci ze Śmietanki Intergalaktycznej, chronieni i rozpieszczani osiągnięciami swoich naukowców, prowadzili gry z tubylcami, zawsze czujnie strzegąc swojej anonimowości. Wypadki jednak zdarzają się nawet nadludziom. Głupstwa, z uwagi na niskie prawdopodobieństwo ich wystąpienia, statystycznie niemożliwe.

Jak na przykład zerwanie się stalowej liny, na której, sześć metrów nad ziemią, wisiał sejf. Sejf runął, rozbił chodnik, ale nie wyrządził żadnych innych szkód. Lina, nagle uwolniona od ciężaru, chłósnęła jak bicz, jej koniec latał na wszystkie strony w zupełnie nieprzewidywalny sposób. Prawdopodobieństwo, że uderzy w jedno konkretne miejsce, było znikome. Prawdopodobieństwo, że w tym właśnie miejscu w tej chwili znajdzie się jeden z Ludzi Wyjątkowych, było praktycznie zerowe. A jednak tak się stało. Postrzępiony koniec liny uderzył w czaszkę, zmiażdżył kości, mózg i tkankę na krwawą papkę. Chirurgicznie wszczepiony mechanizm wezwał pomoc. Przyjaciele mężczyzny odebrali ten sygnał. Frank Weston dostał zwłoki.

Frank Weston, anachronizm. W dzisiejszych czasach nikt nie powinien wlec za sobą koślawej stopy przez dwadzieścia osiem lat życia. Zwłaszcza gdy ma twarz renesansowego anioła. Jeśli jednak Westona można było porównać do anioła, to tylko upadłego. Martwym nie da się zadać bólu, ale ich najbliższym owszem. Powiedzieć ojcu samobójczyni, że jego zmarła córka była w ciąży. Kochającej matce, że jej oczko w głowie cierpiało na odrażającą chorobę. Nie tracili czasu na sprawdzanie takich rzeczy, prawda? A nawet jeśli, co z tego? Każdy się może pomylić, a on przecież był pracownikiem kostnicy, nie lekarzem.

Beznamiętnie obejrzał nowo przywiezionego. Lina skutecznie zdemolowała twarz – wizualna identyfikacja zwłok była niemożliwa. Krew zniszczyła garnitur, ale po tym, co z niego zostało, można było poznać, że uszyto go z kosztownego materiału. Portfel zawierał mało banknotów, za to dużo kart kredytowych. Była też garść drobnych monet, papierośnica, zapalniczka, klucze, zegarek, spinka do krawata... Kolejne przedmioty z cichym szelestem łądowały w kopercie. Dopóki Frank nie zobaczył sygnetu.

W tej pracy człowiek pozbawiony skrupułów mógł czasem dorobić parę groszy na boku. Frank skrupułów nie miał, ale wiedział, że musi być ostrożny. Taki sygnet mógł zniknąć, zanim sztywny trafił w jego ręce. Pewnie nikt go nie dostrzegł pod skorupą zakrzepłej krwi. Nawet gdyby ktoś taki się znalazł, to byłoby słowo przeciwko słowu. Frank musiał tylko zsunąć sygnet z palca, zmyć krew z dłoni denata, potem schować łup i udawać niewiniątka.

Zabierze go, choćby trzeba było facetowi zgruchotać rękę. W wypadkach czasem doznaje się dziwnych obrażeń.

Godzinę później przyszli po ciało. Dwaj małomówni mężczyźni, schludnie ubrani, spokojni, ale stanowczy. Denat był ich współnikiem w interesach. Podali jego nazwisko i adres, opis garnituru, który miał na sobie, inne informacje. Nic nie wskazywało na to, by doszło do przestępstwa, nie było więc powodu, żeby zatrzymać ciało.

Jeden z nich obrzucił Franka przenikliwym spojrzeniem.

– Nie miał przy sobie nic poza tym?

– Nie – powiedział Frank. – Wszystko wam oddałem. Podpiszcie tutaj i jest wasz.

– Zaraz. – Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie, po czym ten, który przemówił, odwrócił się do Franka. – Nasz przyjaciel nosił sygnet. Taki jak ten. – Wyciągnął dłoń. – Z kamieniem i szeroką obrączką. Może pan go nam oddać?

Frank nie zamierzał ustąpić.

– Nie mam żadnego sygnetu. Nawet go nie widziałem. Nie miał go, kiedy tu trafił.

Kolejna narada bez słów.

– Sygnet sam w sobie jest bezwartościowy, ale ma wartość sentymentalną. Gotów jestem dać za niego sto dolarów i o nic nie pytać.

– Po co mi pan to mówi? – powiedział zimno Frank. Czuł rozlewające się po całym ciele zrodzone z sadystycznej przyjemności ciepło. Z tego, że choć nie znał tego człowieka, robił mu krzywdę. – To jak, podpisujecie czy nie? – Zadał decydujący cios. – Jeśli uważacie, że coś ukradłem, wezwijcie gliny. Tak czy owak, jazda stąd.

W wolnej chwili obejrzał zdobycz. Siedział zgarbiony w tym samym kącie stołówki, co zwykle, schowany za gazetą, przez pozostałych postrzegany tylko jako jeden z mebli. Powoli obrócił sygnet. Gruba, szeroka obrączka, z wypukłością, która ugięła się pod naciskiem palca. Płaski, matowy kamień, pewnie półszlachetny, nieudolnie oszlifowany. Metal, z którego wykonano sygnet, mógł być jakimś platerowanym stopem. Jeśli tak, za stówę można by kupić dowolny z tuzina podobnych.

Tylko... czy człowiek ubrany jak tamten sztywny nosiłby taki sygnet?

Nieboszczyk śmierdział pieniędzmi. Papierośnica i zapalniczka były z wysadzanej klejnotami platyny – towar zbyt gorący, żeby myśleć o kradzieży. Karty kredytowe pozwoliłyby wybrać się w podróż pierwszą klasą dookoła świata. Czy taki człowiek nosiłby na palcu sygnet wart marnych sto dolarów?

Spojrzał pustym wzrokiem w głąb stołówki. Na wprost jego stolika trzech mężczyzn siedzieli nad kubkami kawy. Jeden wyprostował plecy, wstał, przeciągnął się i ruszył do drzwi.

Frank, zasepiony, opuścił oczy na sygnet. Czy zrezygnował ze stu dolarów dla kawałka złomu? Jego paznokieć dotknął wypukłości na obrączce. Lekko się wgięła. Niecierpliwie wcisnął ją do oporu.

Nic się nie stało.

Nic oprócz tego, że mężczyzna, który dopiero co wstał i ruszył do drzwi, nagle znów siedział przy stoliku. Na oczach Franka podniósł się, przeciągnął i skierował kroki do wyjścia. Frank wcisnął wypukłość. I nic.

Dosłownie nic.

Zmarszczył brwi i spróbował znowu. Mężczyzna raptownie znalazł się z powrotem przy stoliku. Wstał, przeciągnął się, ruszył do drzwi. Frank wcisnął wypukłość, przytrzymał i zaczął odliczać. Po pięćdziesięciu siedmiu sekundach mężczyzna znów siedział przy stoliku. Wstał, przeciągnął się, ruszył do drzwi. Tym razem Frank pozwolił mu odejść.

Teraz już wiedział, co trzyma w rękach.

Odchylił się na oparcie, zadziwiony. O Ludziach Wyjątkowych nie wiedział nic, ale w niższych stanach też trafiali się naukowcy, a Frank, choć sadysta, głupcem nie był. Człowiek na pewno chce mieć taki wynalazek tylko dla siebie. Musi więc stale trzymać go pod ręką. Najlepiej w takiej postaci, by można go było szybko użyć. Cóż nadaje się do tego celu lepiej niż sygnet? Mały. Ozdobny. Prawdopodobnie niezniszczalny.

Jednokierunkowa machina czasu.

Szczęście: korzystny zbieg sprzyjających okoliczności. Tylko po co szczęście człowiekowi, który wie z pięćdziesięciosiedmiosekundowym wyprzedzeniem, co się wydarzy? Zaokrąglimy to do minuty. Że to niby mało czasu?

Spróbujcie wstrzymać oddech na tak długo. Albo choćby o połowę krócej stać z dłonią na gorącej kuchence. W minutę można przejść sto metrów, przebiec czterysta, spaść z pięciokilometrowej wysokości. Można począć dziecko, umrzeć, wziąć ślub. Pięćdziesiąt siedem sekund to dość czasu, by stało się wiele rzeczy.

Dość czasu, by przeciwnik odwrócił kartę, by kula zatrzymała się na numerze, by rzucone kości znieruchomiały na stole. Frank zawsze był pewien wygranej, w każdym tego słowa znaczeniu.

Przeciągnął się pod prysznicem, rozkosznie chłostany gorącymi strumieniami wody puszczonej pod dużym ciśnieniem. Przekręcił kurek i wydał zduszony okrzyk, kiedy woda stała się lodowata i przyprawiła go o gęsią skórkę. Zimna kąpiel w zimie to tortura, gdy nie masz wyboru, bądź przyjemny zabieg pielęgnacyjny, gdy wybór masz. Znów puścił gorącą wodę, poczekał, po czym zakręcił kurek i wyszedł spod prysznica, wycierając się puszystym ręcznikiem.

– Frank, kochanie, długo jeszcze?

Kobięcy głos, osobliwa intonacja właściwa mnożącym się wsobnie wyższym sferom; arystokratka tak przez małżeństwo, jak i z urodzenia. Lady Jane Smyth-Connors była bogata, ciekawska, znudzona i niecierpliwa.

– Chwilę, kotku – zawołał i upuścił ręcznik. Z uśmiechem spojrział na siebie. Pieniądze umożliwiły wyleczenie koślawej stopy. Załatwiły też wiele innych rzeczy, ubrania, akcent, ogładę. Wciąż był upadłym aniołem, ale jego połamane skrzydła lśniły nową pozą.

– Frank, kochanie!

– Idę! – Zacisnął szczęki, aż mięśnie zaboląły. Nadęta, narowista suka! Zakochała się w jego twarzy i reputacji, i zapłaci za swoją ciekawość. To jednak mogło poczekać. Najpierw pajak szczelnie oplecie muchę siecią.

Okryć nagość jedwabnym szlafrokiem. Uczesać włosy. Zwalczyć nieświeży oddech dezodorantem. I ogier jest prawie gotowy dać popis.

Rozsunął zasłony w oknie łazienki i wyjrzał w noc. Daleko w dole pojedyncze plamy światła kładły się na osnutej mgłą ziemi. Londyn to ładne miasto, a Anglia to miły kraj. Bardzo miły, zwłaszcza dla hazardzistów – nie płacili podatków od wygranych. A tutaj było do wygrania tyle co nigdzie indziej. Nie tylko w gotówce, pieniądze są dla plebsu, chodziło bardziej o to, że wystarczyło poznać właściwych ludzi, by każdy dzień zmieniał się w Gwiazdkę.

Londyn. Miasto wysoce cenione przez Ludzi Wyjątkowych.

– Frank!

Zniecierpliwienie. Irytacja. Buta. Kobieta czekała, by ją obsłużono.

Była wysoka, o osobliwie kanciastej sylwetce, przerośnięta uczennica, która powinna ubierać się w mundurek z tweedu i nosić kij hokejowy. Pozory jednak mylą. Pokoleniom chowu wsobnego zawdzięczała coś więcej niż tylko sylwetkę i budowę kości. Ich spuścizną były także jej głęboka dekadencja i kłęb niespełnionych ambicji. Każdy psychiatra uznałby ją za chorą umysłowo, ale w jej kręgach było się „ekscentrycznym”, nie szalonym, „bezmyślnym”, nie głupim, „zabawnym”, nie złośliwym ani okrutnym.

Wyciągnął ręce, wziął ją w ramiona, wbił kciuki w jej oczy. Zesztywniała i odchyliła się, zaskoczona nagłą napaścią. Nacisnął mocniej, wrzasnęła z przeraźliwego bólu i skręcającego żołądek strachu przed ślepotą. Odliczał w myślach. Pięćdziesiąt jeden... pięćdziesiąt dwa...

Jego palce zacisnęły się na sygnecie.

– Frank!

Wyciągnął ręce i wziął ją w ramiona, z sercem wciąż mocno bijącym z rozkoszy wywołanej zadaniem bólu. Pocałował ją z wyćwiczoną wprawą, delikatnie kęsając jej usta. Powiódł dłońmi po ciele kobiety i cienki materiał, szeleszcząc, opadł z jej ramion. Ugryzł nieco mocniej i poczuł, że zesztywniała.

– Nie rób tak! – powiedziała ostro. – Nie znoszę tego!

No to dostał minusa. Frank odliczał sekundy, sięgając do wyłącznika lampy. Kiedy zapadła ciemność, kobieta wyrwała się z jego objęć.

– Nienawidzę ciemności! Musisz być taki jak wszyscy?

Drugi minus. Zostało dwadzieścia sekund. Dość czasu na jeszcze jedną szybką próbę. Jego dłonie pomacały, odszukały cel, poruszyły się z wyuczoną determinacją. Westchnęła z rozkoszy.

Nacisnął sygnet.

– Frank!

Wyciągnął ręce i wziął ją w ramiona. Tym razem nie próbował kąsać ani gryźć. Jej ubranie opadło z szelestem na podłogę, skóra lśniła perłowo w świetle. Patrzył na nią śmiało, z podziwem, i jego dłonie zrobiły to, co sprawiało jej rozkosz.

Zamknęła oczy i wczepiła paznokcie w jego plecy.
– Mów do mnie – zażądała. – Mów do mnie!
Zaczął odliczać sekundy.

Później, kiedy spała nasycona, on odpoczywał, palił papierosa i rozmyślał, dziwnie rozbawiony. Był kochankiem doskonałym. Mówił i robił wszystko, czego chciała, w takiej kolejności, w jakiej chciała, i, co najważniejsze, niczego nie musiała mu podpowiadać. Był jej lustrzanym odbiciem. Echem jej potrzeb – bo i dlaczego nie? Ciężko się napracował, żeby sporządzić schemat zaspokojenia jej pragnień. Próbował tego i tamtego, sprawdzał różne rozwiązania, kasował wszystkie falstarty i błędy. Jakżeby mógł być niedoskonały?

Odwrócił się i spojrzał z góry na kobietę, widząc w niej nie istotę z krwi i kości, lecz szczebel drabiny prowadzącej do akceptacji. Frank Weston już wysoko zaszedł. Zajdzie jeszcze wyżej.

Westchnęła, otworzyła oczy, spojrzała na klasyczne rysy jego twarzy.

– Kochanie!

Powiedział to, co chciała usłyszeć.

Znów westchnęła, tym razem nadając temu dźwiękowi inną wymowę.

– Zobaczymy się wieczorem?

– Nie.

– Frank! – Atak zazdrości poderwał ją z łóżka. – Dlaczego? Mówiłeś, że...

– Wiem, co powiedziałem, i mówiłem serio – przerwał jej. – Ale muszę polecieć do Nowego Jorku. W interesach – dodał. – Bądź co bądź, z czegoś trzeba żyć.

Połknęła haczyk.

– Nie musisz się o to martwić. Porozmawiam z tatusiem i...

Zamknął jej usta swoimi.

– Tak czy owak, muszę lecieć – powtórzył z naciskiem. Jego ręce zrobiły pod kołdrą to, czego chciała. – A kiedy wrócę...

– Rozwiódę się – obiecała. – Weźmiemy ślub.

Gwiazdka, pomyślał, gdy świt rozjaśnił niebo.

Chodź, przelecimy się, śpiewał ktoś kiedyś; dziś zapraszającym na wspólny lot był nowiutki odrzutowy comet. Towarzyszami podróży Franka były dwie długonogie stewardesy o jedwabistych włosach i minach mówiących „podziwiał swoją urodę, ale ręce trzymaj przy sobie”, załoga oraz siedemdziesięciu trzech współpasażerów, z czego tylko osiemnastu w pierwszej klasie. Dość miejsca dla wszystkich i Frankowi to odpowiadało.

Czuł się zmęczony. Miał za sobą pracowitą noc i nie lżejszy poranek. Dobrze było siedzieć z zapiętymi pasami w fotelu dopasowanym do sylwetki i relaksować się, podczas gdy silniki odrzutowe łykały powietrze i wyrzucały je za sobą sztucznym huraganem, który rozpędził

samolot na pasie startowym i posłał go w niebo. Londyn oddalił się za oknem, chmury skurczyły się do rozmiarów kłaków brudnej waty, aż w końcu zostało tylko słońce, czujne oko w ogromnej błękitnej tęczęwce.

Na zachód, młody człowieku, pomyślał z satysfakcją. Dlaczego? Choćby dlatego, że lubił podróże, a krótka rozłąka może umocnić uczucia. Poza tym latanie sprawiało mu frajdę. Lubiał patrzeć w dół i myśleć o pustce oddzielającej go od ziemi. Poczuć ucisk żołądka wywołany lękiem wysokości, rozkoszny dreszczyk strachu doświadczanego w sytuacji, kiedy wiesz, że tak naprawdę nic a nic ci nie grozi. W samolocie wysokość traci znaczenie. Wystarczy patrzeć prosto przed siebie i możesz się poczuć jak w wagonie Pullmana.

Rozpiął pas, rozprostował nogi, zerknął w okno. Z głośników dobiegł głos kapitana, informujący go, że lecą na pułapie dziesięciu i pół tysiąca metrów z prędkością ośmiuset sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Za oknem niewiele było widać. Niebo, chmury w dole, czubek drżącego arkusza metalu zwanego skrzydłem. Nic ciekawego. W odróżnieniu od jasnowłosej stewardesy. Nadeszła kołyszącym krokiem przejściem między siedzeniami, napotkała jego spojrzenie, natychmiast się o niego zatroszczyła. Wygodnie mu? Czy chciałby poduszkę? Gazetę? Czasopismo? Coś do picia?

– Brandy – poprosił. – Z lodem i wodą sodową.

Siedział od wewnątrz, przy ścianie, musiała więc wejść w głąb rzędu, żeby rozłożyć stolik i postawić na nim drinka. Dotknął lewą dłonią jej kolana, potem przesunął rękę w górę uda, poczuł, że zeszywniała, spojrzał jej w twarz. Wyrażała mieszankę niedowierzania, oburzenia, zainteresowania i wyrachowania. Nie na długo. Jego prawa dłoń wystrzeliła naprzód, palce wbiły się w gardło kobiety. Jej przekrwione policzki zsiniały, oczy wyszły na wierzch, zawartość upuszczonej tacy rozsypała się po podłodze, dłonie trzepotały w bezradnej rozpacz.

W jego myślach automatyczny zegar odliczał sekundy. Pięćdziesiąt dwa... pięćdziesiąt trzy... pięćdziesiąt cztery...

Nacisnął wypukłość sygnetu.

Stolik opadł z cichym łupnięciem, brandy bulgotało, lejąc się z miniaturowej butelki na kostki lodu. Stewardesa uśmiechnęła się i uniosła otwartą puszkę.

– Wlać całość?

Kiwnął głową i patrzył, jak nalewała, wspominając miękkie ciepło jej uda, dotyk jej ciała. Czy wiedziała, że prawie ją zabił? Czy mogła się tego domyślić?

Nie, stwierdził, kiedy poszła. Jakże mogłaby? Z jej punktu widzenia nic się nie stało. Podała mu drinka, to wszystko. Bo i rzeczywiście, to było wszystko, ale...?

Spojrzał w zadumie na sygnet. Wciskasz go i cofasz się o pięćdziesiąt siedem sekund. Wszystko, co zrobiłeś w tym czasie, ulega wymazaniu. Możesz zabić, obrabować, wszcząć awanturę, i nie ma to żadnego znaczenia, bo nic z tego tak naprawdę się nie wydarzyło. Tyle że jednak się wydarzyło. Pamiętasz to. Czy można pamiętać coś, co się nie wydarzyło?

Weźmy na przykład tę dziewczynę. Dotknął jej uda, ciepłego zakamarka między jej nogami, czuł, jak miękkie gardło ustępuje pod naciskiem jego dłoni. Mógł wydłubać jej

oczy, zmusić ją do jeszcze głośniejszego krzyku, okaleczyć jej twarz. Takie same, nawet gorsze rzeczy robił innym, dając upust swojemu sadyzmowi, zamiłowaniu do zadawania bólu. Niektórych zabił. Ale co to za zabójstwo, jeśli możesz cofnąć niedogodne skutki swojej zbrodni? Zobaczyć na własne oczy, jak nieboszczyk uśmiecha się i odchodzi?

Samolot zakolebał się delikatnie. Głos z głośnika mówił spokojnie, bez pośpiechu.

– Prosimy zapiąć pasy. Za chwilę znajdziemy się w obszarze lekkich turbulencji. Być może zobaczą państwo błyskawice, nie ma jednak absolutnie żadnych powodów do obaw. Lecimy, oczywiście, wysoko nad burzą.

Frank zignorował polecenie, wciąż skupiony na sygnecie. Nieoszlifowany kamień przypominał martwe oko, nagle wyglądał złowrogo, zdawał się groźnie na niego patrzeć. Z irytacją dopił drinka. Ten sygnet to tylko maszyna.

Jasnowłosa stewardesa przeszła przez kabinę, cmoknęła z niezadowoleniem na widok jego rozpiętego pasa bezpieczeństwa, zrobiła ruch, jakby chciała go zaciągnąć. Odpędził ją machnięciem ręki, chwilę majstrował przy zapięciu, w końcu zrezygnował. Nie będzie go zapinał. Nie potrzebował pasa, bez niego było mu lepiej. Ze zmarszczonym czołem odchylił się na oparcie i popadł w zamyślenie.

Czas. Czy jest prostą linią, czy też ma wiele rozgałęzień? Czy to możliwe, że przy każdym użyciu sygnetu powstaje alternatywny wszechświat? Że gdzieś tam jest świat, w którym zaatakował stewardesę i musiał zapłacić za swoją zbrodnię? Ale zaatakował ją przecież tylko dlatego, że wiedział, że może ten incydent wymazać. Bez sygnetu nie tknąłby jej palcem. Dopóki miał sygnet, mógł robić, co mu się żywnie podoba, bo zawsze mógł wrócić do punktu wyjścia i uniknąć konsekwencji. Czyli teoria o alternatywnych wszechświatach nie mogła wchodzić w grę. A co mogło?

Nie wiedział i nic go to nie obchodziło. Miał sygnet, to wystarczy. Sygnet, za który proponowali mu nędzne sto dolarów.

Coś uderzyło w dach kabiny. Potem był odgłos rozdzierania, gwałtowny podmuch i potężna siła wyrwała go z fotela i wyrzuciła w przestrzeń. Powietrze uciekło mu z płuc i runął w dół. Przełknął ślinę, próbował oddychać, zrozumieć. Skostniały z zimna, wykręcił się do tyłu, zobaczył załzawionymi oczami samolot z odrywającym się skrzydłem, patrzył, jak comet towarzyszy mu w upadku do morza, rozciągającego się osiem kilometrów pod nim.

Katastrofa, pomyślał w popłochu. Bolid, meteoryt, może zmęczenie materiału. Wystarczyłoby pęknięcie w ścianie kabiny, ciśnienie wewnętrzne dopełniłoby dzieła. A teraz spadał. Spadał!

W desperackim odruchu zacisnął palce.

– Panie Weston, bardzo proszę. – Jasnowłosa stewardesa podeszła do niego, kiedy zerwał się z fotela. – Musi pan usiąść i zapiąć pas. Chyba że...? – Dyskretnie spojrzała w stronę toalet w tylnej części kabiny.

– Słuchaj! – Chwycił ją za ramiona. – Każ pilotowi zmienić kurs. Już! Pospiesz się!

W ten sposób można ominąć bolid, meteoryt, cokolwiek to było. Jeśli w porę zmienią kurs, będą bezpieczni. Ale trzeba to zrobić szybko! Natychmiast!

– Rusz się! – Pobiegł w stronę kokpitu, dziewczyna tuż za nim. Niech szlag trafi tę durną sukę! Czy nic do niej nie dociera? – To pilne! – krzyknął. – Pilot musi natychmiast zmienić kurs!

Coś uderzyło w dach kabiny. Rozerwane poszycie wygięło się jak skórka obieranego banana. Blondynka zniknęła. Zgrzyt rozdzieranego metalu zginął wśród ryku uciekającego powietrza. Frank rozpaczliwie złapał się fotela, poczuł, że jego ręce odrywają się od materiału, potężna siła wciągnęła go do otworu. Znów wyleciał w przestrzeń, by rozpocząć bezwładny, skręcający kiszki upadek ku oddalonemu o osiem kilometrów morzu.

– Nie! – krzyknął, oszalały z przerażenia. – Boże, nie!

Nacisnął sygnet.

– Panie Weston, nalegam. Jeśli nie chce pan iść do toalety, musi pan zapiąć pas.

Stał przy swoim fotelu, a jasnowłosa stewardesa zdradzała oznaki zniecierpliwienia. Irytacji!

– To ważne – powiedział, usiłując zachować spokój. – Samolot za niecałą minutę rozpadnie się na kawałki. Rozumiesz? Wszyscy zginiemy, jeśli pilot natychmiast nie zmieni kursu.

Dlaczego musiała tak przed nim stać, z tą swoją tępą miną? Przecież nie pierwszy raz jej to wszystko tłumaczył!

– Ty głupia krowo! Zejdź mi z drogi! – Odepchnął ją i znów rzucił się w stronę kabiny pilotów. Potknął się, upadł, zerwał z powrotem na nogi. – Zmieńcie kurs! – wrzasnął. – Na litość boską, posłuchajcie mnie...

I znowu łupnięcie w dach. Znów ryk, podmuch, potężna siła. Coś uderzyło go w głowę i kiedy w pełni oprzytomniał, był nisko pod chmurami. Nacisnął sygnet i nadal był w przestworzach, łowił ustami rozrzedzone powietrze, drżał z nieznośnego zimna. Obok niego zniszczony samolot zdawał się zawieszony w przestrzeni, kolejne fragmenty odrywały się od kadłuba. Maszynę otaczały małe drobinki; jedną z nich mogła być jasnowłosa stewardesa.

Przeleciał przez chmury. W dole rozciągało się rozmigotane morze. Wpatrzony w fale, poczuł w żołądku skurcz dojmującego przerażenia, przebudzony lęk wysokości przenikał go do głębi, wdzierał się do każdej komórki. Uderzenie w powierzchnię wody będzie jak upadek na betonowe podłoże, a do samego końca pozostanie przytomny. Spazmatycznym ruchem nacisnął sygnet i natychmiast znów znalazł się wysoko w powietrzu, przedłużając spadanie o prawie minutę.

Pięćdziesiąt siedem sekund czystego piekła.

I jeszcze raz.

I jeszcze raz.

I tak bez końca, bo alternatywą było zderzenie z oczekującym morzem.

KATEGORIA PIĄTA

TOM BISSELL

Tom Bissell jest jednym z najlepszych i najciekawszych (jedno nie zawsze idzie w parze z drugim) pisarzy amerykańskich. Oprócz publikacji niebeletrystycznych jak *Extra Lives: Why Video Games Matter*, ma w dorobku scenariusze gier komputerowych, m.in. *Gears of War*, jest także współautorem cieszącej się uznaniem krytyków książki *The Disaster Artist: My Life Inside The Room, the Greatest Bad Movie Ever Made*, na podstawie której powstał obsypany nagrodami film w reżyserii i z udziałem Jamesa Franco. Bissell, który był korespondentem wojennym w czasie wojen w Zatoce Perskiej, znalazł też czas, by napisać kilka znakomitych opowiadań. Poniższe, o autorze kilku kontrowersyjnych opinii prawnych, który budzi się w opustoszałym samolocie lecącym z Estonii, należy do najlepszych.

John obudził się gdzieś nad Oceanem Atlantyckim. Czuł dziwne napięcie, w głowie miał pustkę. O dziwo, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zasnął, nie pamiętał nawet, że w ogóle chciał zasnąć. Nigdy nie spał w samolotach. Pracował. Jego ostatnie wspomnienie: pił dietetyczną colę i gawędził z sąsiadką, Janiką, wysoką Estonką o twarzy figlarnego duszka leśnego, która powiedziała mu, że pierwszy raz w życiu leci do Stanów. Na pewno nie pamiętał, kiedy przykrył się kocem po brodę i wsunął pod głowę cudownie miękką poduszkę, którą teraz tam czuł. A pamiętałby to na pewno. Od dzieciństwa miał w zwyczaju tuż przed zaśnięciem zapisywać sobie w pamięci pozycję, w jakiej ułożył się do snu – czy nogi ma skrzyżowane, czy rozrzucone na boki, czy leży skulony, czy na wznak i tak dalej. Tylko dwa razy w życiu obudził się w tej samej pozie, w jakiej zasnął. Uważał sen za rodzaj podróży w czasie. Dzieją się różne rzeczy, powstają myśli, poruszają się części ciała – a wszystko to bez twojej wiedzy.

Janiki nie było. Pewnie poszła rozprostować kości. Ci Europejczycy z ich gimnastyką podczas lotu i oklaskami po lądowaniu. Zasłony na wszystkich oknach w kabinie były opuszczone. Mrok rozpraszały tylko pomarańczowe elipsy lampek oświetlających przejście między siedzeniami. John odsłonił swoje okno. Nie uwierzył własnym oczom. Jego samolot miał wylądować w Nowym Jorku o czwartej po południu. To nie był nocny lot. A mimo to na zewnątrz panowały egipskie ciemności. Teraz zauważył, że zniknęła nie tylko Janika. Pozostałych czterdzieści kilka miejsc w klasie biznesowej też było pustych. Nerwowo rozpiął pas bezpieczeństwa.

Przytulne pary tronów pasażerów klasy biznesowej stały w dużych odstępach od siebie, nie było schowków bagażowych pod sufitem, które utrudniałyby przemieszczanie się po kabinie. Na wielu fotelach wisiały zmięte kocy. Na innych leżały słuchawki wciąż podłączone do gniazdek w podłokietnikach. Kilka poduszek wałało się na podłodze. Pod częścią siedzeń wciąż tkwiły torby podróżne. Po drugiej stronie kabiny ktoś zostawił rozłożony stolik, na którym stała buteleczka czerwonego wina wielkości flakonu perfum i plastikowy kieliszek. Wydawało się, że wszyscy opuścili swoje miejsca w pośpiechu.

Pomyślał, że stało się coś, co ściągnęło współpasażerów do klasy ekonomicznej. Pijany Fin znokautował stewardesę. Atak serca. Na razie stanowczo przekreślił w duchu inne możliwości. Gwałtownym ruchem odciągnął cienką niebieską zasłonę, dzięki której pasażerowie ekonomicznej mogli tylko sobie wyobrażać, co tracą. Jego dłoń poszukała oparcia, czegoś krzepiąco rzeczywistego, i napotkała szare, upstrzone białymi cętkami przepierzenie, na którym wisiała zasłona.

Przed nim ciągnęło się trzydzieści ciemnych, pustych rzędów. Zszokowany, zrobił krok do przodu. Sięgnął po swojego iPhone'a i wyczuł, że go nie ma, zanim jego dłoń dotknęła kieszeni. Pośród mroku dostrzegł kilka niewyraźnych kształtów w pierwszym rzędzie

siedzeń: książki w miękkich oprawach, gazety, aktówka. Im dalej w głąb kabiny wchodził, tym ciemniej się robiło, jakby wkraczał do syntetycznej dżungli.

Pobiegł wąskim przejściem między siedzeniami, choć czuł, że robi coś niewłaściwego. Kiedy wpadł do ciasnych, ciemnych pomieszczeń załogi, miał wrażenie, że jest uwięziony w przerażająco obcej szafie. Jego dłonie poszukały po omacku znaków Braille'a widzialnego świata. Fotele stewardes były złożone. Obok jednego z nich wymacał latarkę i wyjął ją z uchwytu na ścianie. Przeciął szpadą światła kuchnię; długie, srebrne szuflady wyglądały jak przeniesione z okrętu podwodnego, rozładowany wózek barowy stał wciśnięty w najgłębszy zakamarek. Odwrócił się i latarka wydobyła z mroku szafkę z napisem PIERWSZA POMOC, a potem jedno z drzwi wyjściowych – potężne, przypominające bardziej fasadę igloo niż drzwi. Za ich małym iluminatorem skrzydło przecinało warstwy chmur kłębiących się pośród bezgwiazdnej nocy. Odwrócił się do pulpitu obsługi. Wyglądał na skomplikowany, z licznymi gałkami i przyciskami. Choć samolot należał do linii Finnair, wszystkie napisy były po angielsku. U dołu widniał czerwony guzik EVAC. John przesunął spojrzenie w górę, nad kilka przycisków CALL (żaden się nie palił), mały zielony ekran wyświetlający niezrozumiałe informacje i włącznik systemu komunikacji z pasażerami, aż jego wzrok spoczął na pulpicie oświetlenia, który zawierał nie guziki, tylko gałki. Przekręcił wszystkie po kolei.

Kiedy zapłonęło ostre światło, otworzył drzwi ubikacji, po trosze licząc, że zobaczy ogromną magiczną kryjówkę, a w niej kilkuset pasażerów samolotu, czekających z czapeczkami imprezowymi i konfetti. Była jednak pusta, zatrważająco biała, wypełniona wonią gówna i mięty. Metalową umywalkę zdobiły przezroczyste pęcherzyki kropel.

Pobiegł z powrotem przez klasę ekonomiczną i biznesową, aż znalazł się przed drzwiami kokpitu. Wyglądały na grube, wzmocnione. „Opancerzone”, tak to się chyba fachowo nazywa. Nie był pewien, co dalej. Gdyby tutaj, pod kabiną pilotów, zachowywał się zbyt gwałtownie, byłoby to nie tylko niemądre, ale i zapewne karalne. Zapukał więc. Kiedy nikt nie odpowiedział, spróbował otworzyć drzwi. Zaryglowane. Zapukał znowu. Zauważył małą szafkę, sięgającą mu do kolan. W środku były cztery żółte kamizelki ratunkowe i coś, co wyglądało jak ciężka stalowa sprężarka powietrza. Spojrzał na przednie drzwi samolotu, kolejną zimną, potężną przeszkodę, której najprawdopodobniej nie zdoła sforsować, choćby nie wiadomo jak długo próbował. Chociaż czemu miałyby chcieć to zrobić? To, że już teraz rozważał taką możliwość wyjścia z sytuacji, uzmysłowił sobie, nie wróżyło najlepiej.

Pocił się. Jego organizm jakby w końcu przyjął, przeanalizował i odrzucił informacje przesłane z mózgu, a następnie przystąpił do daremnego kontrnatarcia. Z żołądka, punktu zbornego, ciało wyrzuciło ostatni spożyty posiłek do zwojów jelit. John stał sztywno, słuchał, jak serce pompuje krew, jak płuca napełniają się i opróżniają. Zasłona oddzielająca czynności świadome od nieświadomych zerwała się z karnisza. Wydawało się, że wystarczy jedna chwila nieuwagi, by jego układ nerwowy skapitulował.

Zaczął dobijać się do kokpitu, krzyczał, że coś się stało, że potrzebuje pomocy. W końcu zamilkł i oparł czoło o twardą zewnętrzną powłokę drzwi. Oddech miał kwaśny, pełen mikrobów jak płytką Petriego. Czuł się słaby, bezbronny, powalony na łopatki. Wtedy

usłyszał coś za drzwiami i odskoczył do tyłu. Powoli przysunął się z powrotem, włożył ucho do skulonej dłoni przystawionej do zimnego metalu. Po drugiej stronie, w kokpicie samolotu bez pasażerów, ktoś płakał.

Jego adwokat, przychylni mu koledzy z uczelni (było ich więcej, niż powszechnie uważano – na zebraniach kadry John był wprost uosobieniem serdeczności) i nieliczni pracownicy Departamentu Sprawiedliwości, do których jeszcze się odzywał, odradzali mu wyjazd ze Stanów. Kiedy jednak przed sześcioma miesiącami dostał propozycję wygłoszenia odczytu na konferencji (*Prawo międzynarodowe a przyszłość stosunków amerykańsko-europejskich*) w estońskim Tallinie, John zrobił to, co zawsze w takich sytuacjach: poradził się żony.

Jedną z zalet utraty posady rządowej było to, że znowu mógł rozmawiać z żoną o pracy. Każdy, kto w świecie myśli spędzał tyle czasu, co John, pragnął nade wszystko towarzyski zdolnej do tego świata wejść, kiedy się ją zaprosi, i wyjść, zanim stanie się niepożądanym gościem. Przez ostatnie dwa lata była mu powiernicą, stróżem, pielęgniarką i balastem. Mimo to, gdy do mediów wyciekło kilka jego tak zwanych memorandumów w sprawie tortur, które następnie, nie uprzedzając go, odtajniono i zdezwuowano, przeżyli jedną z najdłuższych, najtrudniejszych nocy ich małżeństwa. Potrafił jej jednak klarownie przedstawić intencje, jakimi się kierował, gdy pisał te opinie. I nie tylko jej. Każdy dziennikarz, który poświęcił czas na to, by spotkać się z Johnem, potem przyznawał, że rzekomy wilkołak okazał się całkiem przyzwoitym człowiekiem.

Kiedy powiedział żonie o zaproszeniu na konferencję, wyznał: „W pierwszym odruchu zamierzałem odmówić. Ale chyba jednak pojadę”.

Przed dwoma laty do niemieckiego sądu wpłynęła skarga zarzucająca Johnowi zbrodnie wojenne; od tamtej pory młyny tego konkretnego wymiaru sprawiedliwości ledwo zaczęły mielić. Kolejny pozew złożony został pół roku temu w sądzie kalifornijskim przez prawomocnie skazanego amerykańskiego terrorystę i jego matkę, według których opinie prawne Johna przyczyniły się do maltretowania mężczyzny w amerykańskiej niewoli. John nie przeczył – choć oczywiście nie mógł tego otwarcie przyznać – że biedaka rzeczywiście źle traktowano, ale wiązanie z tym jego osoby trąciło mu swoistym, naiwnym kreacjonizmem prawnym. Mimo że formalnie nie ograniczono mu swobody przemieszczania się, myśl o opuszczeniu amerykańskiej przestrzeni powietrznej budziła w nim nieznane mu dotąd obawy. To go szokowało. A zarazem ośmielało.

– Nie leć przez Niemcy – poradziła żona. – Ani Francję. Ani Hiszpanię. Włochy też lepiej omiń, swoją drogą.

Myślała, że z tym wyjazdem to tylko żart, uświadomił sobie i odczekał chwilę, zanim powiedział jej, za co darzy sympatią Estonię, młode państwo, które wciąż pamięta, czym jest prawdziwe zniewolenie. Interesowały go kraje dawnego bloku sowieckiego i ogólnie państwa postkomunistyczne. (Bądź co bądź, sam był Amerykaninem tylko dzięki temu, że rodzicom udało się uciec przed koreańskim komunizmem). Uważał, że nic mu nie grozi ze

strony Estonii, oficjalnego sojusznika Stanów Zjednoczonych w czasie wojny. Czy jego żona wiedziała, że na świecie jest tylko milion Estończyków? Może to przez jego koreańskie korzenie, ale małe, często napadane, rutynowo uciskane kraje były dziwnie bliskie jego sercu. Podziwiał, mówił cokolwiek podniosłe, ich prowincjonalne ambicje. W ten sposób bezwstydnie grał na skomplikowanych uczuciach żony związanych z jej wietnamskim pochodzeniem.

Zapytała, czy może być pewien, że nie pakuje się w pułapkę, mającą doprowadzić do jego publicznego upokorzenia. Miał na to gotową i względnie przekonującą odpowiedź. Organizatorzy konferencji obiecali, że poruszone zostaną tylko takie tematy, na które John będzie skłonny rozmawiać. Wiedzieli o pozwach i zapewnili, że jeśli z sali padną niewygodne pytania, natychmiast podstawią dla niego kapsułę ratunkową. („Kapsuła ratunkowa”. Jego słowa, nie ich. Jak każdy mózgowiec, który dorastał w latach siedemdziesiątych, John ochoczo wplatał aluzje do *Gwiezdnych wojen*, gdzie tylko się dało). Co więcej, ambasada amerykańska została „poinformowana” o zaproszeniu dla Johna. („Poinformowana”. Ich słowa, nie jego. Podrzędna placówka, jak ta w Estonii, bez wątplenia obsadzona przez sługusów władzy i zawodowych urlopowiczów. Z uwagi na to, że John jako jedyny członek poprzedniej ekipy rządowej uparł się otwarcie mówić o decyzjach, które podjął, będąc jej członkiem, cieszył się w tych kręgach mniej więcej taką sympatią jak dzwonek trędowatego).

– Ale i tak będziesz o tym wszystkim mówił, prawda? – powiedziała jego żona. John często budził podobną frustrację w swoim adwokacie. Nie bał się bronić własnych racji, jeśli tylko interlokutor nie dzierżył w rękach pochodni i podpałki. Kiedy udzielił wywiadu „Esquire”, adwokat przez tydzień nie chciał z nim rozmawiać. Potem przeczytał całkiem przychylny artykuł, jaki z tego wyszedł. „Ma pan gadane, mecenasie”, powiedział do Johna z uznaniem.

John uśmiechnął się do żony. Oczywiście, że będzie o tym wszystkim mówił. Wie, co mu wolno powiedzieć, czego nie. Jest prawnikiem.

Kiedy powiadomił organizatorów konferencji, że przyjedzie, byli w równym stopniu zaskoczeni i podekscytowani. Będzie jedynym Amerykaninem, powiedzieli, a tym samym nieocenionym uczestnikiem dyskusji. Uzgodnili z nim, że wygłosi osobny, godzinny odczyt na zakończenie konferencji, a potem odpowie na pytania z sali, z których część, uprzedzili, może być napastliwa. John odpisał, że nie ma nic przeciwko temu. Występował już przed żądnymi krwi słuchaczami, jakich w Estonii zapewne nie napotka. Zanim wyraził ostateczną zgodę, skontaktował się z ambasadą w Tallinie. Potwierdzili, że wiedzą o konferencji, i życzyli mu udanej podróży. Podejrzewał, że więcej się nie odezwą.

Pół roku później dwie godziny czekał na przesiadkę na lotnisku w Helsinkach. Kiedy dwaj fińscy strażnicy ucieli sobie pogawędkę przy jego bramce, ogarnął go niepokój, którego nie potrafił zrozumieć. Przecież Interpol nie wysłał za nim listu gończego. Czy jednak człowiek może się czuć naprawdę swobodnie, kiedy wie, że sądy na dwóch kontynentach zastanawiają się, czy oskarżyć go o zbrodnie przeciwko ludzkości? Sądził, że wykazał się odwagą, przyjeżdżając tutaj. Chociaż nie, to nieprawda. Zganił się w myślach. Był nauczycielem

i prawnikiem, w tej kolejności. Nie pamiętał, kiedy ostatnio podniósł głos. Nie przypominał sobie, by w ciągu czterech dekad swojego życia choć raz rozmyślnie skrzywdził bliźniego. Fińscy strażnicy poszli.

Wsiadł do samolotu do Tallina z nowymi siłami, podbudowany świadomością, że jest gdzieś, gdzie nikt go nie zna. Kiedy za oknem po prawej stronie ukazały się iglice i czerwone dachy nadmorskiego miasta, które było celem jego podróży, umocnił się w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję. W południe dotarł do swojego hotelu na tallińskim Starym Mieście. Zameldowanie odbyło się w surrealistycznie miłej atmosferze. Organizatorzy konferencji przysłali kwiaty. Zadzzwonił do nich, żeby zapytać, jak wieczorem trafić do sali, w której zorganizowano obrady. Tak się szczęśliwie złożyło, że była w innym, oddalonym o niecałe trzy przecznice hotelu, o nazwie Viru. Nie, podziękował, nie trzeba, pójdzie pieszo. Jego odczyt przewidziano na ósmą. To znaczyło, że miał całe popołudnie na poznawanie Tallina. Najpierw jednak odespał katastrofalne rozregulowanie zegara wewnętrznego, wywołane przebyciem dziesięciu stref czasowych.

O piątej, rześki, prosto spod prysznic, wystrojony w garnitur koloru cementu i niebieską koszulę (bez krawata), błąkał się po tallińskiej starówce w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Organizatorzy zaproponowali, że przyślą po niego samochód, ale nie. Chciał zjawić się na konferencji niezapowiedziany, zrobić równie piorunujące wrażenie, jakie robił, gdy pojawiał się znienacka w sali wykładowej. Jeśli część uczestników rzeczywiście zamierzała go zaatakować, lepiej, by mieli jak najmniej czasu na zapoznanie się z jego wrażliwymi punktami.

Uroki tallińskiej starówki były niezliczone i kompletnie absurdalne. Niemożliwe, by mieszkali tu prawdziwi ludzie. Czuł się jak na planie epickiego filmu o elfach. Ulice – w życiu nie widział tylu wybrukowanych kocimi łbami – zdawały się zmieniać nazwy na każdym skrzyżowaniu. Większość prowadziła go obok pubów, restauracji i sklepów z bursztynem i niczego poza tym. Bez trudu odróżniał turystów od miejscowych: każdy, kto nie pracował, był turystą. Przed średniowieczną oberżą nieopodal rynku młodzi Estończycy w strojach białogłów i giermków z czasów ligi hanzeatyckiej patrzyli, jak ich współpracownicy toczą udawaną walkę na miecze. W bocznej uliczce w jego twarz buchnął wiatr przesycony metanem: nieczystości spływające trzystuletnimi kanałami były jednym z elementów przeszłości Tallina, które nie wymagały historycznych inscenizacji. Czarne iglice licznych kościołów na starówce były tak do siebie podobne, że utrudniało to orientację w terenie. Ilekroć John obierał kurs na jedną z nich, uznając, że doprowadzi go do Viru, okazywało się, że wybrał niewłaściwą. Przez bite dwie godziny non stop był mniej lub bardziej zagubiony.

Na podstawie jego wysokości i brutalistycznej architektury uznał, słusznie, jak się okazało, że Viru w czasach sowieckich był hotelem Inturist. W holu głównym zobaczył galerię sław z nazwiskami znamienitych gości: olimpijczyków, muzyków, aktorów, książąt arabskich, nawet prezydenta we własnej osobie. Oprawiony liścik do kierownika hotelu napisany na oficjalnej papeterii Białego Domu głosił: „Dziękuję również za ładny sweter i czapkę”. Po konsultacji z recepcjonistką, wjeździe windą na piętro, na którym znajdowała się sala

konferencyjna, i przetrwaniu ataku zapachowym napalmem, jakim były perfumy jadącej z nim kobiety, John poszedł wyłożonym puszystym dywanem korytarzem na stanowisko rejestracji uczestników. Młody dyżurny wskazał mu grupkę grzecznie czekającą przed salą konferencyjną, aż obecny prelegent skończy mówić. Do odczytu Johna zostało pół godziny. Dołączył do słuchaczy zgromadzonych u wejścia do sali, lśniącej złotem, oświetlonej ozdobnym żyrandolem jaskini.

Przemawiała Niemka. Tłumaczenie wyświetlane na ekranie za nią (w językach francuskim, estońskim i angielskim – jego samego też poproszono o przesłanie tekstu prelekcji organizatorom, co zrobił po otrzymaniu od nich obietnicy, że przekładu dokonają osoby, dla których angielski jest językiem ojczystym) powiedziało Johnowi, że czeka go nieco trudniejszy wieczór, niż przewidywał. Oklepane argumenty Niemki były mu dobrze znane. Skończyła, nagrodzono ją brawami, odpowiedziała na pytania i ogłoszono dziesięciminutową przerwę. Kiedy ludzie wstali z miejsc, kobieta stojąca z tyłu sali odwróciła się, dostrzegła Johna i, z uśmiechem świadczącym o tym, że go rozpoznała, ruszyła do niego. Wyszedł jej naprzeciw, przebijając się pod prąd płynącego ku drzwiom strumienia słuchaczy.

To była Ilvi, organizatorka, z którą uzgadniał swój udział w konferencji, profesor prawa na uniwersytecie w Tartu. Bardzo młoda profesor prawa, co z miejsca zjednało jej sympatię wciąż młodzieńczo wyglądającego Johna. Podali sobie ręce, po czym Ilvi zaczęła splatać i rozplatać dłonie, jakby ugniatała w nich kulkę gliny. Czas na wymianę uprzejmości: loty, sen, Tallin. Potem Ilvi zapytała: „Jesteś gotowy?”. Ze śmiechem odpowiedział, że tak przypuszcza. Zawtórowała mu, obnażając zęby o lekko pożółkłym szkliwie. Miała spękane wargi i kręcone brązowe włosy obcięte na grzybka. Jej pociągła, koścista twarz była niemal kubistyczna, o niezwykłej urodzie, którą docenić można było tylko po dłuższej obserwacji.

Z jakiegoś niepojętego powodu Ilvi zaprowadziła Johna do niemieckiej prelegentki, która właśnie skończyła potępiać jego kraj. Kobieta perorowała, otoczona przez czwórkę ludzi. Sprawiała wrażenie osoby nawykłej do bycia w centrum uwagi, oni – do obdzielania nią innych. Wszystkie te konferencje były takie same. Uczestnikom równie dobrze można by rozdać scenariusze i przydzielić role. Kiedy Ilvi przedstawiła Johna, wszyscy odwrócili się do niego. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Starszy pan w grubej wełnianej marynarce sportowej jako jedyny zniżył się do tego, by uścisnąć mu dłoń, choć zrobił to z miną, jakby spełniał przykry obowiązek więźnia wobec naczelnika więzienia. Uśmiech Johna przeszedł w grymas umierającego, który próbuje zachować pogodę ducha. Nikt się nie odezwał.

Ilvi – zażenowana, a może mało spostrzegawcza, trudno było się zorientować – stała obok Johna znacznie dłużej, niżby sobie życzył, po czym zaprowadziła go do paru innych grupek uczestników konferencji. Ich powitania miały w sobie co najwyżej kilka kalorii ciepła więcej. Ostatecznie odeskortaowała go na podium. Klapnęła na jedynym krześle i wyjął tekst odczytu z kieszeni na piersi. Ilvi stanęła za klonową mównicą, z miną belfra patrząc na zegarek.

John przywykł już do tego, że inni traktują go jak pariasa, co nie znaczy, że to nie bolało. Zdarzało się, że idąc do swojego gabinetu, na stopniach wydziału prawa spotykał stojących

w milczeniu studentów (nigdy z jego grup; na jego zajęcia zawsze był nadmiar chętnych) z czarnymi opaskami na ramionach. Parę razy przebrali się nawet w pomarańczowe drelichy więźniów Guantanamo. Zawsze życzył im miłego dnia. Raz, tylko raz, przystanął, żeby z nimi porozmawiać. Ich pretensje były tak liczne, z tak różnych dyscyplin, że miał wrażenie, jakby debatował z poezją beatników. Po wszelkich tego rodzaju doświadczeniach odczuwał nie tyle zdumienie, ile rozczarowanie. John nie chciał, aby ktokolwiek się z nim zgadzał. Szanował przemyślany sprzeciw. Pragnął tylko, by ktoś oprócz niego samego przyznał, że sprawa jest skomplikowana.

Na początku wojny pojmano dwóch bojowników. Obywatela amerykańskiego i Australijczyka. Jakie przepisy stosowały się do nich? John musiał sięgnąć do najdalszej historii amerykańskiego prawodawstwa – czasów wojen z Indianami i prawa antypirackiego z tysiąc osiemset dziewiętnastego roku – żeby znaleźć odpowiednie precedensy. Niektórzy pracownicy Departamentu Sprawiedliwości chcieli, by schwytanemu Amerykaninowi odczytano przysługujące mu prawa, każdy sąd na świecie uznaje jednak, że działania na polu bitwy rządzą się innymi, bardziej mglistymi regułami. Potraktowanie tych ludzi jako zwykłych kryminalistów oznaczałoby utratę dostępu do posiadanych przez nich informacji. Obu pojmanym bojownikom, przekonywał John, nie przysługiwały prawa należne jeńcom wojennym na mocy artykułu trzeciego wspólnego dla wszystkich konwencji genewskich. Ponieważ nie mieli stopni wojskowych, nie należeli do regularnej armii ani nie podlegali jasno ustalonej hierarchii – a od spełnienia tych warunków uzależnione było przyznanie statusu jeńca wojennego w rozumieniu artykułu trzeciego – w sensie prawnym nie można było ich uznać za jeńców wojennych.

Kiedy w Pakistanie schwytano człowieka numer trzy w hierarchii Al-Kaidy, CIA poprosiła Johna o poradę prawną. Jej przygotowanie zajęło mu prawie całe lato dwa tysiące drugiego roku, nie pamiętał, by kiedykolwiek ciężiej pracował nad dokumentem. Miał rozstrzygnąć, czy techniki przesłuchania stosowane przez CIA poza terytorium Stanów Zjednoczonych były sprzeczne z zobowiązaniami nałożonymi na Amerykę konwencją w sprawie zakazu stosowania tortur z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Przyjrzał się więc dokładnie tym zobowiązaniom. Dowiedział się, że tortury to „każde działanie, którym jakiegokolwiek osobie umyślnie zadaje się ostry ból lub cierpienie, fizyczne bądź psychiczne”. A zatem elementem prawnej definicji było określenie „ostry”. Stany Zjednoczone dołączyły do swojego aktu ratyfikacji uszczegółowiającą definicję, według której tortury to „działanie, którego zamierzonym celem jest zadanie ostrego bólu fizycznego lub psychicznego”. Co to jest „ostry ból”? Co właściwie znaczy „zamierzony cel”? John przejrzał publikacje medyczne na ten temat. Czy lekarz jest w stanie zdefiniować „ostry ból”? Nie. A przepisy prawa? Też nie. Prawda była taka, że choćbyś przestudiował wszystkie dokumenty prawne na świecie w poszukiwaniu roboczej definicji „ostrego bólu”, nie znalazłbyś jej. John więc, bez szczególnego entuzjazmu, takową sporządził: aby uznać „ostry ból” za torturę, musi on osiągnąć „stopień intensywności, jaki zwykle towarzyszy poważnym obrażeniom, jak niewydolność narządów, upośledzenie czynności organizmu lub śmierć”. Co się tyczy „długotrwałych szkód psychicznych”, kolejnego niedoprecyzowanego terminu z konwencji

zakazującej tortur, żadne podobne określenie nie występowało w amerykańskich przepisach prawa, literaturze medycznej ani raportach międzynarodowych organizacji humanitarnych. John znów musiał więc opracować własną definicję. Aby czysto psychiczny ból lub cierpienie były torturą, a tym samym spełniały prawne kryteria „długotrwałych szkód psychicznych”, orzekł, ich skutki muszą dorównywać dotkliwością zespołowi stresu pourazowego bądź chronicznej depresji trwającej przez znaczny okres, co w tym przypadku oznaczało miesiące lub lata.

John myślał, że tymi wytycznymi kierować będzie się tylko CIA, i to jedynie wobec, jak nazywano te osoby, „celów o dużym znaczeniu dla wywiadu”, nie zwykłych jeńców; na pewno nie przewidywał ich wdrożenia w Iraku, gdzie bez wątpienia należało przestrzegać artykułu trzeciego wspólnego dla czterech konwencji genewskich. Sytuacja wyglądała tak: z uwagi na ograniczenia w metodach przesłuchania, wprowadzone pod naciskiem agentów FBI w Guantanamo – którzy chcieli, by informacje uzyskane od osadzonych można było później wykorzystać w sądzie, najwyraźniej zapominając (świadomie lub nie), że ludzi tych osądzić miały tylko trybunały wojskowe – więźniów nie wolno było nawet poczęstować ciastkiem, bo mogłoby to zostać uznane za próbę wymuszenia zeznań. Memorandum Johna zmieniło ten stan rzeczy. Wkrótce po tym, kiedy nakreślone w nim wytyczne weszły w życie w szerokim i nieprzewidzianym, przynajmniej przez niego samego, zakresie, naczelny radca prawny FBI odpowiedział własnym pismem. Przekonywał, że przesłuchania, których świadkami byli agenci Biura w Guantanamo, miały charakter nielegalny. Wtedy odtajniono opinie prawne Johna i jeszcze tego samego dnia Gonzales odciął się od nich na konferencji prasowej, nazywając je „sprzecznymi z polityką administracji”. John nigdy mu tego nie daruje.

Publiczność powitała go brawami po wprowadzeniu wygłoszonym przez Ilvi, jałowym plagiacie CV, które przesłał jej John. Dobrze i to. Wszedł na mównicę, przysunął się do mikrofonu, zerknął na ekran za swoimi plecami, znów nachylił się nad mikrofonem i jeszcze raz rzucił okiem na ekran. Ponownie zbliżył usta do mikrofonu i starając się nadać swojemu i bez tego cichemu głosowi ton łagodny jak aspiryna dla dzieci, powiedział, że nie jest pewien, który odczyt wygłosić najpierw. Kilka pojedynczych chichotów, potem szczery śmiech. John odwrócił się do ekranu ostatni już raz i zobaczył, że wyświetlił się na nim pierwszy fragment przetłumaczonego tekstu. Okej, pomyślał. Jest dobrze.

Wygładził pierwszą stronę wykładu, który wygłaszał już kilka razy, i spojrzął na twarze słuchaczy, punkty jak na puentylistycznym malowidle. Ilu ich było? Trzystu? Miny mieli bardziej zaciekawione niż wrogie, stwierdził. Wtedy coś przyszło mu do głowy, tak nagle, jak nagle słowa pojawiły się na ekranie za jego plecami: Przyjazd tutaj to jednak przesada. Był profesorem prawa na dużej amerykańskiej uczelni. Znów zaczął się zastanawiać, dlaczego aż tak zależy mu na tym, żeby się bronić. Czy pociecha płynąca ze świadomości, że potrafi usprawiedliwić swoje postępowanie, naprawdę jest tego warta?

Na początku września dwa tysiące pierwszego roku John miał trzydzieści cztery lata i analizował traktat, którego najistotniejsze postanowienia dotyczyły niedźwiedzi polarnych.

Przed powrotem na miejsce John próbował różnych rozwiązań. Kilkadziesiąt razy uderzył stalową sprężarką w drzwi kokpitu. Przeszedł na tył samolotu, wcisnął guzik systemu nagłaśniającego i zaczął krzyczeć. Atak hysterii nie pomógł. Teraz, już spokojniejszy, siedział w swoim fotelu i szukał sensownego wyjaśnienia sytuacji. Nie przypuszczał, by podano mu środki usypiające. Tego dnia nic nie jadł, po wejściu na pokład wypił tylko puszkę dietetycznej coli. Napój przyniosła stewardesa, sam go otworzył.

Przewijał w pamięci urywki najświeższych wspomnień. Poranny lot z Tallina. Czterdzieści pięć minut w Helsinkach. On i reszta podróżnych pędzeni na pokład jak bydło. Starał się przypomnieć sobie jak najwięcej współpasażerów. Gadatliwa Janika, Estonka wybierająca się do Stanów Zjednoczonych. Ropuchowaty facet bez szyi, obok którego siedział w poczekalni. Młoda kobieta o krzaczastych brwiach, która uśmiechnęła się do niego, zmierzając do klasy ekonomicznej. Pamiętał, że miała na sobie bluzę Oxfordu. (Żaden Azjata nie zapomina białej dziewczyny, która się do niego uśmiecha, pał licho zrosnięte brwi). Młody mężczyzna, którego zapamiętał tylko dlatego, że był czarny. Dziewczyna o włosach pozlepianych w strąki, w luźnej białej bluzce, typ intelektualistki. Dwudziestolatek w T-shircie z napisem JESTEŚ DO KITU. Stewardesy w jasnoniebieskich garsonkach. W samolocie Finnair, na Dalekiej Północy, John był dotkliwie świadom swojej azjatyckości i teraz przypominał sobie, jak z ulgą myślał o powrocie do Kalifornii, do jego miasteczka uniwersyteckiego z chodnikami, na których mieszały się ludzie wszystkich ras, sklepami muzycznymi, knajpkami i powietrzem przesiąkniętym oparami różnych gatunków marihuany.

No, ale była jeszcze sprawa jego iPhone'a. Ktoś go ewidentnie zabrał. Zajrzał pod swoje i wszystkie pozostałe miejsca w klasie biznesowej, telefonu nigdzie nie było. Co robi? Co może zrobić? Sprężarka poważnie uszkodziła drzwi kabiny pilotów, wgięła ich opancerzoną powłokę i utraciła klamkę, która spoczywała teraz w kieszeni Johna, na wypadek gdyby później musiał ją przymocować z powrotem, choć nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. W schowku z tyłu samolotu znalazł narzędzia, które położył na sąsiednim fotelu. Same drzwi nie ustąpiły.

Ogarnięty nagłym pragnieniem, by poczuć w ręku coś, co pozwoliłoby na chwilę zapomnieć o tym wszystkim, wyciągnął kolorowy magazyn z plecionej kieszonki z boku fotela. Laminowana okładka była zimna i śliska jak szkło. Katalog pokładowy Finnair. Nawet w obecnym położeniu nie potrafił zrozumieć, co to za atrakcja, robić zakupy na pokładzie samolotu. Mimo to przerzucał gładkie, grube kartki. Perłowe naszyjniki za pięćdziesiąt euro. Dezodorant Dolce & Gabbana w sztyfcie za dwadzieścia euro. Podkład Glam Bronze Sunset & Glam Shine od L'Oréal za trzydzieści euro. Całe strony europejskich czekolad i cukierków. Na końcu była elektronika i zatrzymał się na dłużej przy kosztującym dwieście czterdzieści pięć euro smartfonie blackberry curve 8310 zasilanym energią słoneczną. Kilkudziesięciu jego współpasażerów na pewno miało telefony, z których wiele mogło zostać w ich bagażu podręcznym. Choć niespecjalnie liczył na złapanie zasięgu, może

znajdzie urządzenie zdolne wysłać zapisany w pamięci e-mail albo esemes, kiedy maszyna obniży lot.

Gdy wstał, samolotem zatrzęsło jak przy wejściu w atmosferę. John usiadł i zapiął pas. Strach, już prawie przewyciężony przyływem nadziei, powrócił z dziką siłą. Zacerpnął powietrza. Nie był pewien, która jest godzina ani jak długo przebywa w tym samolocie. Zasłona na jego oknie, podobnie jak wszystkie pozostałe w klasie biznesowej, była podniesiona, i raz jeszcze wyjrzał na mroźną ciemność troposfery. Pomyślał o żonie, studentach, ich obawach o niego, i znowu wstał.

O dziwo, poczuł się lepiej, kiedy rozłożył wszystkie bagaże z klasy biznesowej wokół swojego fotela. Był przekonany, że musi trzymać się blisko przydzielonego mu miejsca, choć nie wiedział dlaczego. Zaczął przeszukiwać torby, w większości małe. Ludzie, których stać na podróż klasą biznesową, nie mają oporów przed oddaniem bagażu do odprawy. Nie muszą się spieszyć, żeby uniknąć stania w kolejce do taksówki; na lotnisku czekają na nich Jordańczycy trzymający małe białe tablice z ich nazwiskami. John rozpinął kolejne torby, wsuwał dłoń w jeden otwór za drugim, macał, ścisnął, grzebał. Nie chciał bez potrzeby robić ludziom bałaganu w bagażach. Wyciągał tylko to, co wydawało się choć trochę obiecujące. Kiedy skończył, wokół siebie miał przybory do golenia, cyfrowe aparaty fotograficzne, iPody, butelki bezcłowej wódki z etykietami wypisanymi cyrylicą, kilka wiecznych piór Montblanc i gładką różową plastikową torpedę, która, co uświadomił sobie dopiero po pewnym czasie, była zabawką seksualną. Do tego pół tuzina toreb komputerowych, wszystkie puste.

Przeszedł do klasy ekonomicznej, ale zanim zdołał opróżnić pierwszy schowek bagażowy, jego żołądek wysłał kolejną porcję palących wydalin do wyjścia awaryjnego. Pobiegł chwiejnie do ubikacji, rozpiął spodnie i jeszcze nie usiadł na plastikowym siedzisku metalowego sedesu, a już z niego chlusnęło. Smrodu nie potrafił z niczym porównać. To był – nie wiedział, skąd ta myśl – zapach pomarańczowy. Kurek w jego jelitach znów się odkręcił; odchody wylewały się gwałtownymi seriami. Było mu niedobrze, miał zawroty głowy, jego mózg przypominał teraz od miesięcy nieodwiedzanego inwalidę. Kiedy skończył, dokładnie umył ręce.

Przestał zachowywać pozory przyzwoitości. Ruszył w głąb pierwszego przejścia między siedzeniami, otwierał schowki bagażowe i wściekle wyrzucał ich zawartość na podłogę. Wkrótce brnął po kolana w torbach. Naprawdę przetrząśnie wszystkie? Nie. Dał się ponieść złości, a musiał starannie i skrupulatnie przeszukać bagaże. Poszedł drugim przejściem, wciskając guziki otwierające schowki. Klapy unosiły się powoli, z miłym dla ucha szcękaniem. Tak dużo elementów tego samolotu trzymało się na plastikowych zawiasach. John znajdował się w metalowej rurze szybującej tuż pod granicą kosmosu, podczas gdy kilkanaście metrów od niego wielkie silniki ziały niewidzialnym ogniem o temperaturze tysiąca stopni. Czy nie było to równie nadzwyczajne jak fakt, że został uwięziony na pokładzie?

Znalazł Janikę w trzecim schowku od końca – były łączone po trzy, zajmowała je wszystkie, ledwo się w nich mieszczą. Na widok jej posiniaczonej twarzy, zezowatych oczu

i ust zaklejonych taśmą całym ciężarem gruchnął na podłogę. Kiedy wreszcie odważył się podnieść wzrok, zauważył, że jedna ręka Janiki wysunęła się z uwięzienia. Dłoń drżała lekko pod wpływem turbulencji, których on sam już nie odczuwał. Ostrożnie wyciągnął martwą dziewczynę ze schowka. Po wyjęciu na zewnątrz ciało nagle jakby stało się cięższe o pięćdziesiąt kilogramów. John upadł, Janika zwała się na niego. Wylądowali na łożu z toreb i sterczącej z nich zawartości.

Zezowate oczy Janiki, tak bliskie jego własnym, a jednak niezdolne napotkać ich spojrzenie, zmąciła jakaś ostateczna, niechciana wiedza. W nozdrzach tkwiły czerwone skrzepy krwi. Policzki znaczyła pajęczyna popękanych naczyń włosowatych, żyły w czole i skroniach zsiniały. John odepchnął trupa, wydając przeciągłe, głośnie, małe dźwięki. Próbował zerwać taśmę z ust dziewczyny, ale przestał, kiedy usłyszał koszmarny, oślisły odgłos naprężającej się martwej skóry, i z krzykiem uciekł w stronę klasy biznesowej.

Postanowił jeszcze raz spróbować wyważyć drzwi kokpitu sprężarką. Tym razem nie da za wygraną. Wszedł do kabiny biznesowej i w tej samej chwili ekran, na którym przed startem wyświetlono instrukcję bezpieczeństwa, zaczął się opuszczać. Światła bezszelestnie zgąsły. John odwrócił się w popłochu. Przebiegł dwa kroki, potknął się i upadł. Nic nie widział, czołgał się po nierównej rafie bagaży w stronę klasy ekonomicznej, jego myśli stały się myślami neandertalczyka. Wrócić, wrócić do schronienia. Schronienia jednak nie było. To, co czuł do tej pory, to nie był strach. Strach wsącza się do żył w płynnej postaci; rozchodzi się w krwiobiegu; wpływa do mózgu. A swoją moc – teraz już to wiedział – czerpie nie z tego, co może się wydarzyć, tylko z tego, co wiesz, że się nieuchronnie wydarzy. Z góry doszedł cichy, mechaniczny warkot. Poznał, co to: opuszczały się mniejsze ekrany w klasie ekonomicznej. John spojrzął na najbliższy. Włączony, ale pusty. Ekran połyskiwał jak winyl: w jakiś sposób wydawał się ciemniejszy od rzeczywistej ciemności.

I nagle krystalicznie czysty obraz w jakości cyfrowej, lekko falujący u dołu. John był za daleko, żeby zrozumieć, co widzi. Wstał. Podeszedł bliżej i zobaczył mały pokój o ścianach ze sklejki, filmowany z góry, jakby przez kamerę monitoringową zamontowaną w rogu sufitu. W pomieszczeniu znajdowało się dwoje ludzi. Na krześle za stolikiem siedziała kobieta. Wokół niej krążył mężczyzna w ciężkich buciorach, luźnych czarnych spodniach, czarnym podkoszulku i czarnej kominiarce. Dźwięk był brzękliwy, odległy; widocznie nie mieli mikrofonu. Obraz śnieżył, a oświetlenie było słabe, dlatego John dopiero po chwili rozpoznał Janikę. Przywiązana do krzesła, cicho, żałośnie łkała. Towarzyszący jej mężczyzna spojrzął prosto w kamerę, podeszedł, sięgnął po nią. A jednak nie była do niczego przymocowana; to była kamera ręczna. Obrazem zatrzęsło, ale szybko się ustabilizował, pomijając lekkie drgania wywołane ruchami dłoni filmującego.

Drugi mężczyzna, identycznie ubrany, wszedł do pokoju drzwiami, których John wcześniej nie dostrzegł. Nowo przybyły spojrzął w kamerę i zamknął drzwi z dziwną delikatnością. Ruszył w stronę kamerzysty, który w tej samej chwili najwyraźniej zrobił zbliżenie: osłonięta kominiarką twarz nie tyle wypełniła ekran, ile brutalnie go zajęła. John patrzył na mężczyznę, mężczyzna na niego. To też był rodzaj podróży w czasie. Teraz, kiedy Janika była zasłonięta, jej cichy szloch stał się ostrzejszy, bardziej rozpaczliwy. A może po

prostu zareagowała na wejście drugiego prześladowcy.

Sam mężczyzna nic nie powiedział. Jego ożywione oczy nie wyrażały niczego szczególnego. Wreszcie odwrócił głowę i zajął się czymś przy stoliku. Coś pisze, zrozumiał John. Kiedy skończył, znowu spojrzął w kamerę. Uniósł kawałek cienkiej białej tektury wypełniony literami połączonymi w prawie nieprzerwany ciąg. Treść napisu zaskoczyła Johna. Mimo to odczuł wdzięczność, bo teraz rozumiał, co się dzieje i dlaczego. Mężczyzna odłożył kawałek tektury na stolik, po czym skupił uwagę na Janice, która zaczęła krzyżeć. Napis wciąż był wyraźnie widoczny: KATEGORIA I.

Po odczycie Ilvi zapytała Johna, czy chciałby pójść z nią i kilkoma innymi osobami, w tym jego przedmówczynią, na drinka na starówkę. Naprawdę była aż tak głupia? John wyplątał się z tego uniżonym ukłonem, wyjaśnieniem, że jest zmęczony, i wylewnymi podziękowaniami. Zaczynał czuć się tutaj jak jakieś znienawidzone widmo, nie tyle człowiek, ile odpychająca idea. Kiedy ruszył do wyjścia, ludzie rozstępowali się przed nim, jakby rzucał zapalone petardy. Jak długo jeszcze, zastanawiał się, tak będzie wyglądało moje życie?

Kilka pytań z sali rzeczywiście zabrzmiało napastliwie; najbardziej uszczypliwe zadała starsza kobieta z pierwszego rzędu, o twarzy opiętej skórą jak inuicki kajak. Mocno naburmuszona, dociekała, co zrobi John, jeśli Międzynarodowy Trybunał Karny formalnie oskarży go o zbrodnie wojenne. Odparł, że nie przewiduje, by miało do tego dojść, po czym skłamał: „Mówiąc najzupełniej szczerze, niespecjalnie się tym przejmuję”.

Miał przed sobą jeszcze jeden dzień w Tallinie. Na myśl o tym wszedł do męskiej ubikacji w korytarzu na zewnątrz sali konferencyjnej i dźgał palcem w iPhone'a dotąd, aż połączył się z internetem. Organizatorzy konferencji pokryli koszt przylotu, ale na jego prośbę zarezerwowali otwarty bilet powrotny. Po paru minutach zmienił rezerwację. Magia. Mniej magiczny był fakt, że zubożał w ten sposób o półtora tysiąca dolarów. W sumie okazyjna cena w zaistniałych okolicznościach.

Wszedł z ubikacji. Za progiem czekał mężczyzna ogolony na wysoki połysk. Wyglądał jak przebrany na Halloween za członka kierownictwa firmy technologicznej: granatowa marynarka sportowa, brak krawata, dżinsy, adidas. Amerykanin, od razu widać. Po jego twarzy rozlał się wyraz jednostronnego rozpoznania, do którego John jeszcze nie przywykł, może dlatego, że z tej miny nigdy nie wycierała świadomość owej jednostronności. Skoro on wie, kim jest John, John niechybnie ucieszy się ze spotkania. Każdy jest gwiazdą własnej opowieści.

Wypowiedział nazwisko Johna i wyciągnął rękę, w której zmaterializowała się wizytówka opatrzona pieczęcią ambasady. RUSSELL GALLAGHER, ATTACHÉ KULTURALNY. John może nie miał w tych sprawach wielkiego doświadczenia, ale wiedział, że słowa typu „kulturalny” i „attaché” zazwyczaj są kamuflażem dla pracowników wywiadu.

Próbował oddać wizytówkę, ale Gallagher nalegał, by ją zatrzymał. John schował karteczkę do kieszeni i zapytał:

– Oddelegowali pana do mnie?

Gallagher miał śmiech łaskotanego pacholęcia, choć upływ czasu zaczynał już się zaznaczać wokół jego oczu i w powstających na czole zakolach.

– Niestety, nie. W ambasadzie cieszy się pan raczej umiarkowaną popularnością. Pewnie wie pan, że próbowali skłonić organizatorów, żeby odwołali pańskie zaproszenie.

John zdawał sobie sprawę, że w kręgach niedobitków lojalnych zwolenników administracji jego persona jest zdecydowanie non grata. Żeby jednak ambasada próbowała zablokować jego wystąpienie na międzynarodowej konferencji? Niewiarygodne. Czy ci ludzie nie mają nic lepszego do roboty?

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem o tym – wyznał.

Attaché zaśmiał się, udając zakłopotanego swoją niedyskrecją. Za bardzo się stara, pomyślał John.

– Okazuje się, że pańska przyjaciółka, profesor Armastus, nie lubi być do niczego zmuszana. I ma niezłe chody. Im mocniej ambasada naciskała, tym bardziej byli zdeterminowani, żeby pana sprowadzić. Świetny wykład, nawiasem mówiąc.

– Dziś pierwszy raz ją spotkałem. Ale dziękuję.

– Proszę posłuchać – powiedział Gallagher, świadom, że musi przebić się z tym, o czym naprawdę chciał porozmawiać, przez postawione przez Johna zasieki. – Przyszedłem tutaj z własnej nieprzymuszonej woli po to, żeby panu powiedzieć, że wielu z nas jest wdzięcznych za wszystko, co pan zrobił.

– Jeszcze raz dziękuję.

Mężczyzna spojrział na Johna z ujmująco śmiałą miną.

– Mój ojciec był weteranem wojny wietnamskiej, służył w latach siedemdziesiąt jeden – siedemdziesiąt dwa. Między innymi uczestniczył w programie „Feniks”. Często powtarzał, że zła sława „Feniksa” wzięła się z tego, że wymyślili go geniusze, a w czyn wprowadzali idioci. A i tak był jedną z najskuteczniejszych broni przeciwko Wietkongowi. Komuniści w zasadzie otwarcie to przyznali po wojnie. Ojciec stacjonował w Sajgonie i powiedział mi, że w roku siedemdziesiątym drugim przeciętny przywódca komórki komunistycznej w mieście miał przed sobą około czterech miesięcy życia. A pan nie postulował wprowadzenia niczego gorszego od rzeczy, które mój ojciec z dumą robił w ramach „Feniksa”. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że wielu z nas pana podziwia.

Przygotowując swoje memoranda, John przyjrzał się programowi „Feniks”. Odkrył, że ówczesne kierownictwo CIA zapewniło podwładnych, iż „Feniks” prowadzony będzie „zgodnie z regułami prawa wojennego”. Dowiedział się też, że kilku amerykańskich oficerów uczestniczących w programie wniosło o zwolnienie z obowiązków, ponieważ to, do czego ich zmuszano, uznało za niemoralne. Stał i patrzył na Gallaghera. To, że wysłano tego człowieka na podrzędną placówkę do Estonii, mówiło samo za siebie. Jego ojciec polował na komunistów. Najśmielszym czynem, na jaki zdobył się syn, było przeciwstawienie się własnej ambasadzie po to, by powiedzieć Johnowi „głowa do góry”. Konserwatyzm, którego Gallagher niewątpliwie był wyznawcą, to nie prawdziwa filozofia. To zły nastrój. Przez kilka sekund obaj milczeli.

– Napijemy się? – spytał Gallagher. – Drink chyba dobrze panu robi.

John nie chciał drinka. Rzeczywiście jednak go potrzebował. Wyszli na letni talliński wieczór. Godzina dziesiąta, a jeszcze świeciło słońce. John spytał Gallaghera, jak długo jest tu na placówce.

– Przedtem byłem w Grecji. W sumie dziesięć lat. Jeszcze wcześniej w marines. W dziewięćdziesiątym ósmym awansowałem na kapitana. Odszedłem, zanim zrobiło się ciekawie.

Ruszyli w stronę starówki. W dogasającym świetle dnia budynki wydawały się jasne jak kadry z filmu animowanego. Ludzie pili w kawiarniach, pili na ulicy, pili, czekając, aż bankomaty wypłują pieniądze. John widział zataczających się młodych Rosjan o twardych oczach, rozśpiewanych, splecionych ramionami Szkotów, palaczy chwiejących się pod pubami. Zauważył też skurczone, stare żebraczki w łachmanach nieodpowiednich do pory roku, wyglądające jak ofiary jakiejś niemożliwej do odczynienia cygańskiej klątwy.

– I z jaką kulturą ma pan tu głównie styczność? – zapytał Gallaghera.

Attaché spojrział na niego.

– Mógłby się pan zdziwić. Mimo wszystko fajnie się tutaj żyje, nawet jeśli Estończyków czasem trudno rozgryźć. Kumpel, który gra na basie, powiedział mi, że gdziekolwiek na świecie mieszkał, zawsze mógł przyjść na otwarty wieczór do klubu i mieć pewność, że wpuszczą go na scenę. Każdy szuka basisty. Kiedy na otwarty wieczór przychodził w Tallinie, zastawał pięciu Estończyków z gitarami basowymi, szukających gitarzysty prowadzącego. To naród basistów.

Oczy Johna spoczęły na nadchodzących z naprzeciwka dwóch Frejach w ciasno opinających nogi dzinsach. Sztywno wyprostowane, kroczyły na szpilkach z manierą kobiet skrycie pragnących delikatnych zaczepek. I doświadczały ich. W ślad za nimi niosły się rozmaite błagalne okrzyki w języku rosyjskim.

Gallagher też zauważył te kobiety.

– No i, oczywiście, jeszcze kobiety. W Tallinie nawet brzydkie są dość ładne. I dla równowagi, nawet te inteligentne są dość głupie.

Szli dalej, Gallagherowi usta się nie zamykały. Od kobiet przeszedł do Finlandii, potem do sowieckich sił specjalnych i wreszcie do skróconej historii lat dziewięćdziesiątych. Zmiany tematu następowały nagle, bez logicznego związku. Wkrótce wrócił do wspomnień o ojcu. John już nie słuchał. Zamiast tego obserwował rozmówcę. Gallagher miał cienkie, obwisłe włosy koloru żyta i często szcesywał je dłonią na czoło – nawyk niesfornego uczniaka, teraz, w średnim wieku, służący ukryciu zakoli. Z jego opowieści o ojcu przebijał jakiś nieokreślony żal, choć nadal co trzecie–czwarte zdanie kwitował śmiechem.

– I tak właśnie tata zawsze powtarzał – powiedział na zakończenie.

John, któremu umknęło sedno jego wywodu (o ile takie w ogóle istniało), kiwnął głową.

Gallagher zrobił to samo.

– Umarł ledwie rok temu, wie pan.

– Wyraży współczucia.

– Kiedy wyciekły pańskie memoranda, nawet o nich rozmawialiśmy. Zapytałem go

o zdanie. Przewidywał, że terroryści wykorzystają nasze sądy przeciwko nam. Powiedział: „Kurde, ja sam złamałem artykuł trzeci konwencji genewskich. Kilka razy!”.

Czoło Johna przecięły cienkie zmarszczki zamyślenia. W co on się wpackował?

– Jesteśmy na miejscu. – Gallagher wskazywał na bar w suterenie przy Pikk, niedorzecznie ładnej ulicy, którą John spacerował wcześniej tego dnia. W oknach wisiały lampki bożonarodzeniowe; szyldu nie było. John nie pił, przynajmniej nie w sensie odpowiadającym potocznemu rozumieniu słowa „picie”. Lampka wina co kilka wieczorów, tylko do posiłku; importowane piwo w upalne niedzielne popołudnia; dobra whisky po drogiej kolacji. Kiedy Gallagher wspomniał o drinku, John sądził, że chodzi o szklaneczkę koniaku w winiarni. Oto jedno z owych praw życia społecznego, których łamanie wiąże się z dużym ryzykiem: nigdzie nie idź z kimś, kogo dobrze nie poznałeś.

John zszedł za Gallagherem po betonowych schodach jak w schronie przeciwlotniczym. Już skrępowany, poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie, kiedy Gallagher – wyraźnie robiący z siebie brata łatę – pchnął drzwi i ruszył do kontuaru, gdzie wdał się w rozmowę z dyżurującym za nim cudnym zjawiskiem. John postanowił potraktować wizytę w tej knajpie jako rodzaj gry toczonej z samym sobą: zobaczy, jak długo zdoła tu wytrzymać. Usiadł przy stoliku i czekał, by Gallagher do niego dołączył, gdy jednak poszukał go wzrokiem, zobaczył, że nowy znajomy trzyma barmankę za rękę. Wodził palcem wskazującym po wnętrzu jej dłoni, jakby czytał z niej przyszłość. Kobieta z uśmiechem wyrwała rękę z jego uchwytu i nalała piwa z beczki, a Gallagher rozejrzał się dokoła, wyraźnie zadowolony z siebie. Barmanka posłała mu całusa i podała dwie pełne szklanki. Gallagher wzniosł je w toaście. Kiedy tylko odwrócił się do kobiety plecami, uśmiech zniknął z jej twarzy.

Co do innych klientów baru: innych nie było. John siedział przy najbardziej centralnie ulokowanym stoliku w sali, jednym z czterech. Pod ścianą, w smętnie wytapicerowanym boksie, rozsiadło się pół tuzina młodych kobiet, które z założonymi rękami patrzyły w sufit. Każda miała torebkę na kolanach. Na drugim końcu sali inna kobieta tańczyła na scenie nie większej od stolika, przy którym siedział John. Na szczęście nie robiła striptizu, kiwała się tylko leniwymi, znudzonymi ruchami w rytm muzyki puszczanej tak cicho, że John ledwo ją słyszał. Ściany i wykładzina były w kolorze piekielnej czerwieni, jedyny element wystroju, który dało się rozpoznać. Wrażenia nie łagodził fakt, że knajpa wyglądała dokładnie tak, jak John wyobrażał sobie piekło. Gallagher usiadł naprzeciwko niego i podsunął mu szklanekę piwa.

– Atmosfera się rozkręca dopiero koło pierwszej–drugiej.

John wskazał dookoła siebie.

– Gdzie właściwie jesteśmy?

Gallagher w połowie łyka uniósł brwi. Odstawił szklanekę, jego język zwinnie zgolił wąsy z piany.

– Lokal dla koneserów. Bez obaw. Nie stanie się nic, czego by pan sobie nie życzył.

Tancerka podeszła i usiadła obok Johna. Agresywnej urody, miała na sobie czarną sukienkę, która zmieściłaby się w portmonetce. Cała spocona i świecąca po swoich

wygibasach, tworzyła ekosystem w miniaturze.

John spojrzał błagalnie na swojego gospodarza.

– Gallagher, proszę cię.

Attaché znów się roześmiał.

– Jeden drink, mecenasie. To dobre miejsce na to, żeby się odprężyć, jeśli tylko pan sobie na to pozwoli. – Zwrócił się do tancerki: – Dawaj, kotku. Siadaj koło mnie. – Przyjęła zaproszenie. Kiedy do ich stolika podeszła następna kobieta, odpędził ją gestem; mimo to przysiadła się do Johna.

John uściskał jej dłoń. Miała niezdrowo chude nogi, elastyczne spodnie ciasno opinały jej uda, ale na łydkach prawie że wisiały. Szyja kobiety wyglądała jak żylasta łądyga. Afektowanie pociągnęła nosem i wyciągnęła dwie srebrne spinki ze swoich czarnych włosów. Spinki, okazało się, były tylko na pokaz: ani jeden niesforny kosmyk nie opadł na jej twarz. Przyjrzała im się, jakby były wypłukanymi drobinkami złota. Czekala, aż John zagai rozmowę. Wsunęła spinki z powrotem we włosy i całą uwagę skupiła na swojej stopie, tupiącej w czerwoną wykładzinę poplamioną treścią niejednego zbuntowanego żołądka. Jej paznokcie u nóg miały barwę folii aluminiowej.

John nadal się nie odzywał. Gallagher tymczasem świetnie się dogadywał z tancerką. Naprawdę. Sprawiali wrażenie, jakby toczyli dość poważną dyskusję. Kobieta u boku Johna zapaliła papierosa i wzięła tego tak głębokiego sztachy, aż żar skwierczy, powodującego, że palenie zaczyna wyglądać kusząco. Dym wypłynął z kącików jej ust. Po minucie poszła. John został sam ze swoim piwem.

Po odczycie nie zapytali go o to, czy pisząc swoje memoranda, miał jakieś zastrzeżenia. Owszem, zdarzało się. I jemu, i wszystkim pozostałym. Najpierw obawiał się o to, czy przesłuchujących powściągać będą te same moralne skrupuły, które na ich miejscu żywiłby on sam. Niepokoiło go też zagrożenie czymś, co nazywano „niekontrolowanym poszerzaniem zakresu użycia siły”, sytuacją, w której siła stosowana bez skutku nieuchronnie staje się siłą stosowaną ponownie, tylko z większą intensywnością. Bądź co bądź, wzmocnione techniki przesłuchania znajdowały usprawiedliwienie wyłącznie wtedy, kiedy wychodziło się z założenia, że przesłuchiwany rzeczywiście coś wie. Stąd przekonanie Johna, że należało ich używać tylko wobec członków Al-Kaidy.

Zdawał sobie sprawę, że jego argumenty były kontrowersyjne, czasem nawet bulwersujące, ale miały charakter czysto prawny, nie moralny. Nie on kreował politykę rządu, nie on zdecydował o tym, jaką formę przybrały „wzmocnione techniki przesłuchania”. Po prostu badał ich zgodność z obowiązującymi przepisami. W swoich memorandach rozpatrzył osiemnaście metod podzielonych na trzy kategorie. Pierwsza obejmowała tylko dwie techniki: krzyk i wprowadzanie w błąd. Do drugiej należało aż dwanaście: pręgierz zwykły, odosobnienie, trzymanie w pozycji stojącej do czterech godzin, podsycanie fobii, pokazywanie fałszywych dokumentów, zmiany miejsc przesłuchań, całodobowe przesłuchania, zmiany wyżywienia, obnażanie, wymuszone zabiegi pielęgnacyjne, pozbawianie dostępu do światła i głośna muzyka. W kategorii trzeciej, która miała być stosowana tylko w najtrudniejszych przypadkach, mieściły się cztery metody:

łagodny kontakt fizyczny, przedstawianie scenariuszy grożących śmiercią pojmanemu bądź jego bliskim, długotrwałe wystawianie na działanie żywiołów i symulowane topienie. Była też kategoria czwarta, której, chwała opatrności, nie kazano mu opiniować. Kategoria najsamotniejsza ze wszystkich. Jedyna przypisana do niej technika: wydanie w trybie nadzwyczajnym do innego państwa.

Rozważając odejście z Departamentu Sprawiedliwości, John tłumaczył sobie, że lepiej będzie znaleźć się poza tym wszystkim. Już to widział: jesienne przechadzki po uczelnianym dziedzińcu, zapatrzeni w niego studenci czekający pod jego gabinetem, akademicka atmosfera, jaką Waszyngton zapewniał tylko w postaci przeżartej korupcją namiastki. Departament Sprawiedliwości był muzeum, na jego zimnych, marmurowych korytarzach dostawało się swoistej intelektualnej progerii; nawet ludzie młodzi szybko się tam starzeli. Odejściem Johna najbardziej przejął się Addington. Naprawdę, zapytał, chcesz uczyć rozpuszczonych, nadzianych małałatów? Przecież w porównaniu z nimi krwiożerczy proletariacki motłoch to istne anioły.

Po kilku miesiącach wiele zaleceń Johna wycofano, a następnie zawieszono ich stosowanie. Później dowiedział się, że Addington protestował przeciwko temu, przypominając, że opinie te były podstawą działań prezydenta. Skoro tak, przyszła odpowiedź, prezydent mógł złamać prawo. Pięć miesięcy potem, Abu Ghurajb. A siedem miesięcy później odtajniono memoranda. Jak wyjaśnił Gonzales na konferencji prasowej, miało to pokazać opinii publicznej, że każda decyzja związana ze wzmocnionymi technikami przesłuchania została podjęta z należytą starannością, po przeprowadzeniu wnikliwych analiz prawnych. Był szczerze przekonany, że cała sprawa do tego się sprowadzała.

John nigdy nie zapomni tej napiętej energii buzującej na posiedzeniach rady wojennej. Wszyscy pewni swych racji jak maoiści. Feith, Haynes, Addington, Gonzales, Flanigan – ludzie o krok od prezydenta. Prawnicy prawnika. Kraj doznał ataku serca, oni trzymali elektrody defibrylatora, wspólnie opracowywali strategie prawne przystające do sytuacji, jakiej nie przewidywały żadne istniejące przepisy. Zbierali się w gabinecie Gonzalesa w Białym Domu, czasem też w Departamencie Obrony. Zwyczajne, nieprotokołowane spotkania, podczas których najbardziej luksusowym poczęstunkiem była dietetyczna cola. W ich trakcie John często porównywał siebie z Gonzalesem. On sam był Amerykaninem w pierwszym pokoleniu, Gonzales synem imigrantów tak ubogich, że nawet nie mieli telefonu – a oto przygotowywał decyzje polityczne w czasie najpoważniejszego kryzysu bezpieczeństwa narodowego od półwiecza, służył jako osobisty doradca prawny najpotężniejszemu człowiekowi na świecie. Takiej Ameryki John gotów był bronić wszelkimi środkami w granicach prawa.

No ale byli tam też Feith i Addington, para androidów postrzegających innych ludzi jako żywe zbiory interesujących ułomności umysłowych. Dołki w zmiętej, muppetopodobnej twarzy Feitha były zbiornikami jadu. Puszczal w obieg notatki służbowe, nie dołączając nazwisk autora ani docelowych adresatów, żeby nikt nie mógł być pewien, do kogo je kierował, bądź umieszczał w gronie osób upoważnionych do otrzymania ich kopii ludzi, do

których ostatecznie nie trafiały. Wygłaszał mowy o świętości konwencji genewskich po to tylko, żeby podkreślić, jak gorący wyraża sprzeciw, by ten święty całun kalali terroryści. Z premedytacją przedstawiał zawile argumenty prawne, a ci, którzy je słyszeli, rozumieli z nich tyle tylko, że artykuł trzeci będzie miał zastosowanie do każdego jeńca pojmanego przez Stany Zjednoczone. Jednym z monologów przekonał członka Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, że podręcznik armii amerykańskiej dopuszcza wszystkie osiemnaście wzmocnionych technik przesłuchania. Tak naprawdę nie dopuszczał żadnej. Pomysł, by powołać nową agencję wywiadu pod nazwą Total Information Awareness, której logo miało przedstawiać szalone masońskie oko patrzące z góry na świat? Feith, od początku do końca.

Co do Addingtona: oczy rosyjskiej ikony, postura Lincolna, usposobienie granatu ręcznego. Po jedenastym września zaczął nosić w kieszeni egzemplarz konstytucji, tak wyświechtany, że wyglądał, jakby służył jako chusteczka, podstawka pod szklankę albo jedno i drugie. Ilekroć ktoś się z nim nie zgadzał, wyciągał tę zmaltretowaną książeczkę i czytał stosowne artykuły na głos. Addington miał wyjątkowy dar: potrafił przedstawić każdy argument prawny i moralny, używając terminologii wojskowej, podczas gdy wszelkie wywody dotyczące rzeczywistych działań wojennych osnuwał woalem eufemizmów. Może dlatego tylko Addingtonowi włos z głowy nie spadł. Jemu jednemu udało się nie dopuścić, by jego nazwiskiem podpisany był jakikolwiek istotny dokument.

Próbowali tworzyć prawa w atmosferze, w której tykanie bomby zegarowej było elementem z założenia stale obecnym, nie odległym zagrożeniem, statystycznym Plutonem, jakim było w rzeczywistości. Teraz John zdawał sobie z tego sprawę, wiedział jednak, że można na to spojrzeć inaczej. Na przykład tak: inteligencja to umiejętność oceny przydatności informacji wpływających z zewnątrz. Zdobywanie wiedzy winno iść w parze ze świadomością, co wolno zapomnieć.

Trzech ludzi poddano podtapianiu. Trzech. I z tego powodu musiał odpowiadać na pytania o zbrodnie wojenne. Słyszał, że jego następca dobrowolnie poddał się podtapianiu, zanim zdecydował, że jest to przebraniem miary. A pomimo to, mimo licznych sporów i zgilotynowanych karier, CIA dalej zezwalało na stosowanie symulowanego topienia (John wolał to, bliższe prawdy, określenie). Główne argumenty przywołane przez Johna pozostawały w mocy. Oczywiście, nikt z Departamentu Sprawiedliwości nie chciał zaaprobować na piśmie używania tej techniki przez CIA, ale prezydent ostatecznie znalazł posłusznego wykonawcę swojej woli. Jak zawsze. Takie myśli były jednak wyrazem goryczy. John nie był zgorzkniały. Chciałby tylko zobaczyć, jak Feith, Gonzales, Ashcroft czy którykolwiek z nich, sami w europejskim mieście, odpowiadają na pytania o polityczne decyzje, którym dawniej przyklasnęli, a których dziś się wstydzili.

Zajrzał do szklanki, która teraz już była pustą kryształową studnią. Nawet nie zauważył, kiedy wypił całe piwo. Wiedział, że mógłby dumać tu całą noc, dać się porwać tej mrocznej fali.

– Pójdę już – powiedział do Gallaghery, który nadal toczył umoralniającą rozmowę z tancerką.

Attaché spojrział na Johna.

- Mam nadzieję, że znajdzie pan czas, żeby jutro zwiedzić Muzeum Okupacji.
- Niestety, nie. Wyjeżdżam z samego rana. – Spojrzał na zegarek. Już po północy.

Gallagher odchylił się na oparciu.

- Szkoda. W Tallinie można miło spędzić dzień.

– Dziękuję za piwo – powiedział John, wstając. – Proszę zostać, jeśli pan chce. Sam trafię do hotelu.

Gallagher nie podniósł się, ale wyciągnął rękę.

- Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Życzę miłego lotu.

John odwrócił się w drzwiach, żeby ostatni raz spojrzeć na nowego znajomego. Zgarbiony na krześle, już miał komórkę przy uchu, tancerka wstawiała od stolika, żeby odejść. Gallagher napotkał wzrok Johna i dość niedbale mu zaszalutował. Trudno uwierzyć, że facet służył w marines. John zastanawiał się, ale tylko przez chwilę, z kim on rozmawia.

Film z przesłuchania Janiki skończył się może dwadzieścia minut, może dwie godziny temu. W ciemności traci się rachubę czasu. Światło zapewnia punkty orientacyjne, uchwytny znaki pozwalające odmierzać upływ sekund, minut, godzin. Czas przemijający w mroku przypomina jazdę po polu kukurydzy – wokół ciągle ten sam obraz, pełen rzeczy niewidzianych.

Zastanawiał się, czemu cała ta akcja miała służyć. Współczuł tym, których pomógł skazać na tortury, nie bardziej ani nie mniej niż przed jej rozpoczęciem. Został opacznie rozumiany. Sens jego argumentów umknął wszystkim. Ci, którzy mieli kontrolę nad tym samolotem i, w tej chwili, jego własnym życiem, nie mogli nic od niego uzyskać, poza pretekstem do podsycenia drzemającego w nich sadyzmu. On ze swojej strony nie mógł im dać niczego oprócz daru swojej udręki. Tortury, napisał kiedyś, to kwestia intencji. Teraz wiedział, że to coś więcej. Wymiana mrocznej wiedzy, ujawnienie utajonych zdolności, zniszczenie więzi.

Jego oczom nagle ukazał się sufit samolotu, nieco podobne do narzędzi chirurgicznych dmuchawy zięjące powietrzem. Znów rozbłysły światła. Obrócił się na swoim nowym miejscu w klasie ekonomicznej, nie do końca przygotowany na widok sponiewieranego ciała Janiki, wciąż leżącego wśród bagaży. Kiedy wstał, podmuchy zaprawionego zarazkami powietrza przecisnęły się pod jego ubraniami jak dym przez komin.

Gdy kat Janiki przebrnął przez kategorię pierwszą i wizualnie bardziej teatralne techniki z kategorii drugiej i trzeciej, do pokoju weszło kilku innych mężczyzn. John nigdy wcześniej nie widział niczego tak strasznego, jak to, co stało się potem. Większości nie chciał oglądać i otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy odgłosy jej walki o życie ucichły. W czasie, kiedy mężczyźni sprawdzali, czy czynności życiowe Janiki ustały, film się urwał.

Wrócił na swoje miejsce. Na nim leżał jego iPhone, biały jak opłatek. Z zalewu mglistych myśli w głowie Johna wyłoniła się jedna konkretna: tylko Gallagherowi powiedział, że zmienił rezerwację. W kieszeni wciąż miał jego wizytówkę. Wyjął ją i obejrzał, przesuając kciukiem po wytłoczonej pieczęci ambasady. Ciekaw był, skąd Gallagher wiedział, że jej nie wyrzuci. Ciekaw był, jak to możliwe, że na nagraniu z przesłuchania Janika ubrana była identycznie jak na pokładzie samolotu. Ciekaw był, na jak długo stracił przytomność i czy to

jest ten sam samolot, do którego wsiadł. Ciekaw był, gdzie na pokładzie schowali się ci, którzy mu to robią. Ciekaw był też, jakim cudem jego iPhone łapie sygnał: miał dwie kreski. Po chwili uzyskał odpowiedź na jedno ze swoich pytań – Gallagher nie przewidywał, że John zatrzyma jego wizytówkę. Po wstukaniu pierwszych czterech cyfr numeru telefon automatycznie wybrał resztę. Numer Gallaghera został dodany do jego listy kontaktów.

Gallagher odebrał po trzecim sygnale.

– W Tallinie można miło spędzić dzień. Powinien pan być mnie posłuchać.

Co John mógł powiedzieć? Dostali to, czego chcieli.

– Żadnych pytań? Nie dziwię się. Ma pan większe zmartwienia, mecenasie. Chyba powinien się pan odwrócić.

Zrobił to, a wtedy mężczyzna w czarnej kominiarce i koszulce z napisem JESTEŚ DO KITU uderzył go w twarz tępym metalowym narzędziem. John upadł na wykładzinę, a wtedy wyraźnie zobaczył ten przedmiot: ta sama sprężarka powietrza, którą walił w drzwi kokpitu. Jego głowa zmieniła się w jedno wielkie ognisko bólu. Nie pamiętał drugiego ciosu, ale musiał go otrzymać, bo ocknął się, znów nagle, w pokoju o ścianach ze sklejki, przywiązany do krzesła. Nie widział na jedno oko. Stracił część zębów, jego język wydawał się opuchnięty i zakrwawiony jak opita pijawka. Spojrzał w dół, na swoją koszulę: fartuch rzeźniczy. W uszach wciąż miał szum silnika samolotu. Pokojem wstrząsnęły turbulencje. Gdzieś w pobliżu słyszał łkanie. Naprzeciwko siedział Gallagher, z dłońmi splecionymi na kolejnym kawałku tektury. Nie pokazał napisu Johnowi, ale John mógł go odczytać. Gallagher powiedział, że może mu zapewnić pytania, ale nie odpowiedzi. Dodał, że dla wszystkich w tym uczestniczących jest to nowe doświadczenie. Sam nie wie, co z tego wyniknie.

– Gotowy? – zapytał na koniec. – Muszę mieć pewność, że jesteś gotowy.

John kiwnął głową, z jakiegoś powodu nie chciał pozbywać się krwi wypełniającej usta. Drzwi za jego plecami się otworzyły. Kroki. Chwyciły go dłonie jak bezzębne paszcze. Zaczęła się kategoria piąta.

DWIE MINUTY CZTERDZIEŚCI PIĘĆ SEKUND

DAN SIMMONS

Dan Simmons napisał nagradzane powieści science fiction (*Hyperion*), nagradzane powieści łączące horror i fantasy (*Trupia otucha*) oraz opowiadania, które zawierają elementy wszystkich tych gatunków. Oto jedno z najlepszych, imponujące klarownością i zwięzłością. Simmons sugeruje, że dwie minuty i czterdzieści pięć sekund to długość piosenki popowej... przejażdżki rollercoasterem... albo dość czasu na kontemplację własnej nadciągającej śmierci.

Roger Colvin zamknął oczy, stalowa poprzeczka opadła mu na kolana i zaczęła się stroma wspinaczka. Słyszał szcęk ciężkiego łańcucha i skrzywienie stalowych kół wtaczających się po stalowych szynach na pierwsze wzniesienie rollercoastera. Ktoś za nim zaśmiał się nerwowo. Ogarnięty lękiem, z sercem boleśnie tłukącym o żebra, Colvin wyjrzał przez rozsunięte palce.

Metalowe tory i biała drewniana konstrukcja wznosiły się stromo przed nim. Colvin był w pierwszym wagoniku. Opuścił ręce i mocno chwycił poprzeczkę zabezpieczającą, czując na niej zaschnięty pot dłoni, które trzymały ją przedtem. Ktoś zachichotał w wagoniku za jego plecami. Odwrócił głowę tylko na tyle, żeby wyjrzieć za tory.

Byli bardzo wysoko, a pięli się jeszcze wyżej. Wesołe miasteczko i parkingi malały w oczach, postacie ludzkie stały się ledwo widocznymi, tycimi figurkami, tłumy zmieniły się w barwny kobierzec, który wtopił się w większą geometryczną mozaikę ulic i świateł najpierw całego miasta, potem całego okręgu. Kolejka z brzękiem wjechała wyżej. Niebo przybrało ciemniejszy odcień błękitu. W oddali Colvin widział spowite siną mgiełką zakrzywienie kuli ziemskiej. Pod drewnianymi podkładami dostrzegł rozmigotane szczyty fal i zrozumiał, że jest już ponad jeziorem. Zamknął oczy, kiedy jego twarz musnęło zimne tchnienie chmury, zaraz jednak poderwał powieki, bo zmienił się ton brzęku łańcucha, znak, że podjazd stał się mniej stromy, że szczyt jest blisko.

Przejechali na drugą stronę.

Gdzie nie było nic. Szyny wyginały się ku dołowi i urywały w powietrzu.

Colvin chwycił poprzeczkę, wagonik przechylił się i spadł. Otworzył usta do krzyku. Runął w otchłań.

– No i najgorsze za nami. – Colvin otworzył oczy i zobaczył Billa Montgomery’ego podającego mu drinka. Głuchy pomruk odrzutowych silników gulfstreama przebijał przez łagodny syk powietrza z nawiewu. Colvin wziął drinka, przykręcił dmuchawę i wyjrzał przez okno. Lotnisko Logan zostało daleko z tyłu, w dole widać było plażę Nantasket, kilkanaście małych białych trójkątów żagli na przestworze zatoki i oceanu. Wciąż pięli się w górę.

– Fajnie, że tym razem postanowiłeś się zabrać z nami, Roger – powiedział Montgomery do Colvina. – Miło mieć cały zespół w komplecie. Jak za dawnych lat. – Montgomery uśmiechnął się, a trzech pozostałych mężczyzn w kabinie wzniesli szklanki.

Colvin bawił się trzymanym na kolanach kalkulatorem i sączył wódkę. Wziął oddech i zamknął oczy.

Bał się wysokości. Zawsze. Miał sześć lat, gdy zleciał ze stryszku w stodole, upadek zdawał się trwać bez końca, czas zwolnił bieg, ostre zęby wideł były coraz bliżej. Siła uderzenia o klepisko wybiła mu powietrze z płuc, policzek i prawe oko wcisnęły się w siano,

centymetry od stalowych szpikulców wideł.

– Spodziewam się lepszych czasów dla firmy – powiedział Larry Miller. – Dwa i pół roku złej prasy wystarczą. Dobrze będzie jutro zobaczyć start. Rozkręcić interes od nowa.

– Święta racja – przytaknął Tom Weiscott. Jeszcze przed południem, a Tom już za dużo wypił.

Colvin otworzył oczy i uśmiechnął się. Włącznie z nim na pokładzie samolotu było czterech wicedyrektorów. Weiscott pozostał kierownikiem projektu. Przyłożył policzek do okna i patrzył na przesuającą się w dole zatokę Cape Cod. Szacował, że są na pułapie trzech–trzech i pół tysiąca metrów, i wznosili się coraz wyżej.

Wyobraził sobie budynek wysokości czternastu kilometrów. Siebie wchodzącego z wyłożonego wykładziną ostatniego piętra do windy. Winda ma szklaną podłogę. Szyb ciągnie się cztery tysiące sześćset kondygnacji w dół, każde piętro oznaczone jest lampami halogenowymi, których światła zbliżają się do siebie w sięgającej czternaście kilometrów w dół czarnej pustce, by ostatecznie zlać się w jedno.

Podnosi głowę w samą porę, żeby zobaczyć, jak kabel pęka, zrywa się. Spada, daremnie chwytając się ścian windy, które są tak śliskie jak przezroczysta szklana podłoga. Światła przemykają obok, ale kilometry w dole już widać dno szybu – mały niebieski kwadrat betonu, powiększający się, w miarę jak winda pędzi mu na spotkanie. Wie, że ma prawie trzy minuty, by patrzeć, jak ten niebieski kwadrat się zbliża, nadciąga, żeby zgruchotać mu wszystkie kości. Colvin krzyczy i ślina, spadająca z tą samą prędkością co on, zawisa w powietrzu przed nim. Światła przemykają obok. Niebieski kwadrat rośnie.

Colvin napił się, postawił szklanę w okrągłym uchwycie wpuszczonym w szeroki podłokietnik i zaczął stukać w klawisze kalkulatora.

Obiektami spadającymi w polu grawitacyjnym rządzą ściśle matematyczne reguły, równie precyzyjne jak wektory sił i współczynniki spalania ładunków kumulacyjnych i paliw stałych, nad którymi Colvin pracował przez dwadzieścia lat; podobnie jednak jak zawartość tlenu wpływa na tempo spalania, tak samo opór powietrza determinuje szybkość, z jaką ciało spada. Prędkość graniczna w równym stopniu co od grawitacji zależy od ciśnienia atmosferycznego, rozkładu masy i pola powierzchni prostopadłej do kierunku ruchu.

Colvin opuścił powieki, jakby chciał się zdrzemnąć, i zobaczył to, co widział każdej nocy, kiedy udawał, że śpi; skłębioną białą chmurę, rozszerzającą się jak na poklatkowym nagraniu ukośnego stratocumulusa rozkwitającego na ciemnoniebieskim niebie, czerwonawobrązowe wnętrza płomienia tetratlenku diazotu i – ledwo widoczny pod dwiema smugami kondensacyjnymi tępo buchającymi z silników pomocniczych – niewyraźny kwadrat spadającej przedniej części kadłuba z kokpitem włącznie. Nawet na największych zbliżeniach nie mógł dostrzec mniejszych elementów – takich jak wypełniona sprężonym powietrzem kabina załogi, osmalona po prawej stronie płomieniem wyrzuconym z oderwanej rakiety wspomagającej, ciągnąca za sobą przewody, kable i szczątki kadłuba niczym pępowinę i łożysko. Pierwsze zdjęcia nie uchwyciły tych detali, ale Colvin zobaczył je na własne oczy, dotykał ich, później, już po niszczycielskim zderzeniu z bezlitosnym błękitnym morzem. Rozprute poszycie pokryła warstwa maleńkich pąkli. Wyobraził sobie

ciemność i zimno czekające u kresu tego upadku; małe ryby spływające na żer.

– Roger – powiedział Steve Cahill. – Gdzie się nabawiłeś strachu przed lataniem?

Colvin wzruszył ramionami, dopił wódkę.

– Nie wiem. – Latał w Wietnamie, nie „Namie” ani „na wrogiej ziemi”, kraju, o którym wciąż chciał myśleć jako o rzeczywistym geograficznym miejscu, nie sytuacji życiowej. Ponieważ już wtedy był ekspertem w dziedzinie ładunków kumulacyjnych i paliw napędowych, wysłali go do doliny Bong Son nieopodal wybrzeża, by sprawdził, dlaczego dostarczone siłom południowowietnamskim standardowe C-4 nie chce wybuchać. Podczas lotu urwała się nakrętka, na której trzymał się wirnik wiozącego go hueya. Helikopter runął z wysokości dziewięćdziesięciu metrów do dżungli, przedarł się przez prawie trzydziestometrową warstwę gęstej roślinności i zwiśł do góry płozami w pnączach trzy metry nad ziemią. Pilot nadział się na konar, który przebił podłogę. Głowa drugiego pilota roztrzaskała przednią szybę. Strzelec pokładowy wyleciał na zewnątrz, gdzie złamał kark i kręgosłup, i nazajutrz zmarł. Colvin wyszedł z katastrofy ze skręconą kostką.

Spojrzał w dół, na Nantucket. Oszacował, że są na pułapie pięciu i pół tysiąca metrów, maszyna nadal miarowo pięła się w górę. Wiedział, że wysokość przelotowa ma wynieść dziewięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt metrów. Znacznie mniej niż czternaście tysięcy, zwłaszcza gdy uwzględnić brak możliwości wykorzystania ciągu wektorowanego, ale wiele zależy od pola powierzchni obiektu.

W latach pięćdziesiątych mały Colvin zobaczył w „National Enquirer” zdjęcie kobiety, która rzuciła się z Empire State Building i spadła na dach samochodu. Nogi miała wręcz niedbale skrzyżowane w kostkach; palec stopy wystawał z dziury w nylonowej pończosze. Dach samochodu był spłaszczony, wgięty do wewnątrz niczym wielki, wypchany gęsim pierzem materac dostosowujący kształt do ciężaru śpiącego. Głowa kobiety wyglądała jak zatopiona w miękkiej poduszce.

Colvin stukał w klawisze kalkulatora. Kobieta, która skacze z Empire State Building, spada prawie czternaście sekund, zanim ląduje na ulicy. Ktoś, kto runie w metalowej skrzyni z wysokości czternastu tysięcy metrów, spada dwie minuty i czterdzieści pięć sekund, zanim uderzy w wodę.

O czym myślała? O czym myśleli oni?

Najpopularniejsze piosenki i rockowe teledyski trwają około trzech minut, pomyślał Colvin. Tyle jest w sam raz; nie tak długo, żeby się znudzić, wystarczająco, by opowiedzieć pełną historię.

– Kurczę, fajnie, że z nami jesteś – powtórzył Bill Montgomery.

– Cholerny świat – szepnął ten sam Bill Montgomery do Colvina przed salą telekonferencyjną firmy dwadzieścia siedem miesięcy wcześniej. – Jesteś w tej sprawie z nami czy przeciwko nam?

Telekonferencja do złudzenia przypominała seans spirytystyczny. Grupa siedziała w pograżonych w półmroku pokojach oddalonych od siebie o setki, nawet tysiące kilometrów, komunikowała się z głosami płynącymi znikąd.

– A zatem taką tutaj mamy pogodę – dobiegł głos z Centrum Kosmicznego imienia

Kennedy'ego. – Jaka jest decyzja?

– Przejrzeliśmy to, co przefaksowaliście – powiedział głos z Centrum Marshalla. – Nadal jednak nie rozumiemy, po co wszystko odwoływać z powodu tak drobnej anomalii. Zapewnialiście, że materiał jest tak bezpieczny, że można nim grać w piłkę, gdyby ktoś miał na to ochotę.

Phil McGuire, naczelny inżynier w zespole Colvina, poruszył się nerwowo. Wszyscy mieli obok siebie głośniki czteroliniowych telefonów konferencyjnych, wychwytyjących najłżejsze dźwięki.

– Czego tu nie rozumieć?! – prawie krzyknął McGuire. – Źródłem problemów nie są niskie temperatury jako takie, tylko niskie temperatury w połączeniu z prawdopodobieństwem wystąpienia aktywności elektrycznej w tej warstwie chmur. W czasie ostatnich pięciu lotów odnotowaliśmy trzy przejściowe zjawiska przewodności w kablach łączących liniowe ładunki kumulacyjne przy silnikach pomocniczych z antenami systemu przerwania lotu...

– Przejściowe zjawiska – przerwał głos z Centrum Kennedy'ego – które jednak mieściły się w dopuszczalnych parametrach?

– Cóż... tak – odparł McGuire. Wydawał się bliski łez. – Ale mieszczą się w nich tylko dlatego, że podpisujemy coraz to nowe papierki i zmieniamy te cholerne parametry. Prawda jest taka, że nie wiemy, dlaczego, mimo nieprzesłania sygnału aktywującego, w ładunkach kumulacyjnych C-12B na silnikach pomocniczych i zewnętrznych zbiornikach tworzy się prąd przejściowy. Roger uważa, że przewody łączące z ładunkami albo sam związek C-12 mogą przypadkiem powodować, że wyładowanie statyczne zostaje odebrane jako sygnał aktywujący... Kurczę, Roger, sam im powiedz.

– Panie Colvin? – odezwał się głos z Centrum Marshalla.

Colvin odchrząknął.

– Przyglądamy się temu od pewnego czasu. Według wstępnych ustaleń w temperaturze poniżej minus dwóch stopni Celsjusza osad tlenku cynkowego w warstwach C-12B może... teoretycznie... przewodzić fałszywy sygnał... jeśli wystąpi dostatecznie silne wyładowanie statyczne...

– Ale pewnych danych jeszcze nie ma? – powiedział głos z Centrum Marshalla.

– Nie – przyznał Colvin.

– I przed trzema ostatnimi startami mimo to podpisaliście się pod ostatecznym zatwierdzeniem gotowości do lotu?

– Tak – odparł Colvin.

– Cóż – powiedział głos z Centrum Kennedy'ego – poznaliśmy stanowisko inżynierów z Beaunet-HCS, może teraz pora wysłuchać zaleceń zarządu?

Bill Montgomery poprosił o pięć minut przerwy i zespół kierowniczy odbył naradę na korytarzu.

– Cholerny świat, Roger, jesteś w tej sprawie z nami czy przeciwko nam?

Colvin odwrócił wzrok.

– Poważnie pytam – warknął Montgomery. – Dział produkcji liniowych ładunków

kumulacyjnych tylko w tym roku przyniósł firmie dwieście piętnaście milionów dolarów zysku, sukces, który w dużej mierze zawdzięczamy twojej pracy, Roger. A ty nagle jesteś gotów to przekreślić z powodu cholernych przejściowych odczytów telemetrycznych, które nic nie znaczą wobec całokształtu dokonań zespołu. Roger, za kilka miesięcy zwolni się stanowisko wicedyrektora. Jeśli chcesz wykorzystać swoją szansę, nie trać głowy jak ten histeryk McGuire.

– Gotowi? – zapytał głos z Centrum Kennedy’ego po upływie pięciu minut.

– Startujemy – powiedział wicedyrektor Bill Montgomery.

– Startujemy – powiedział wicedyrektor Larry Miller.

– Startujemy – powiedział wicedyrektor Steve Cahill.

– Startujemy – powiedział kierownik projektu Tom Weiscott.

– Startujemy – powiedział kierownik projektu Roger Colvin.

– Dobrze – padła odpowiedź z Centrum Kennedy’ego. – Przekażę zalecenie komu trzeba.

Przykro mi, panowie, że nie będziecie mogli jutro oglądać startu razem z nami.

Colvin odwrócił głowę, kiedy Bill Montgomery zawołał ze swojej strony kabiny:

– Hej, chyba widać Long Island.

– Bill... – Colvin zwrócił się do Montgomery’ego. – Ile firma zarobiła w tym roku na modyfikacjach C-12B?

Tamten napił się i rozprostował nogi w przestronnej kabinie gulfstreama.

– Jakież czterysta milionów, Rog. Czemu pytasz?

– A czy w NASA poważnie myśleli o tym, żeby zmienić dostawcę po... po tym, co się stało?

– Kurczę – westchnął Tom Weiscott. – Do kogo mieliby się zwrócić? Trzymamy ich za jaja. Myśleli kilka miesięcy i w końcu wrócili z podkulonym ogonem. Jesteś najlepszym w kraju specjalistą od ładunków kumulacyjnych i stałych hipergoli, Rog.

Colvin kiwnął głową, przez minutę obliczał coś na kalkulatorze, po czym zamknął oczy.

Stalowa poprzeczka opadła mu na kolana, wagonik z brzękiem piął się wyżej i wyżej. Powietrze stało się zimne, rozrzedzone, zgrzyt kół na szynach przeszedł w przenikliwy pisk, kiedy kolejka górską wtoczyła się powyżej dziewięciu kilometrów.

W razie nagłego spadku ciśnienia w kabinie z sufitu opadną maski tlenowe. Proszę zakryć usta i nos najbliższą maską i normalnie oddychać.

Colvin spojrział w przód, na przerażającą stromizną rollercoastera, wyczuwając bliskość szczytu i rozciągającej się za nim pustki.

Małe zestawy złożone z masek i zbiorników powietrza nazywano osobistymi zasobnikami powietrza. Z dna oceanu wydobyto zasobniki czterech z pięciu członków załogi. Wszystkie zostały użyte. Z pięciominutowego zapasu powietrza w każdym ubyło dość na dwie minuty i czterdzieści pięć sekund oddychania.

Colvin patrzył na zbliżający się szczyt.

Rozległ się ostry, metaliczny dźwięk, kolejka szarpnęło i zjechała z nagle urywających się torów. Ludzie w wagonikach za plecami Colvina zaczęli krzyczeć i już nie przestali. Colvin wychylił się naprzód i chwycił poprzeczkę zabezpieczającą, rollercoaster runął w czternaście

kilometrów pustki. Otworzył oczy. Wyrzał przez okno gulfstreama i zauważył, że cienkie liniowe ładunki kumulacyjne, które tam umieścił, równo, z chirurgiczną precyzją urwały lewe skrzydło. Tempo spadania wskazywało, że ocalała wystarczająca część prawego skrzydła, by wytworzyć opór powietrza niezbędny do utrzymania prędkości granicznej nieco poniżej maksymalnego poziomu. Dwie minuty i czterdzieści pięć sekund, z dokładnością do czterech sekund.

Colvin sięgnął po swój kalkulator, ten jednak latał swobodnie po kabinie, zderzał się z fruującymi butelkami, szklankami, poduszkami i ciałami tych, którzy nie zapięli pasów. Krzyki były bardzo głośne.

Dwie minuty i czterdzieści pięć sekund. Dość czasu, by pomyśleć o wielu sprawach. I może, może, po dwu i pół roku powracających co noc snów, może dość czasu na krótką drzemkę, podczas której nic mu się nie przyśni. Colvin zamknął oczy.

DIABLITOS

CODY GOODFELLOW

Czy jest coś gorszego od kontroli celnej w kraju południowoamerykańskim podczas próby wywiezienia kontrabandy? Może uwięzienie w boeingu siedemset dwadzieścia siedem na wysokości dziewięciu tysięcy metrów z diabło żwawym kradzionym artefaktem w twoim bagażu podręcznym? W poniższym opowiadaniu Ryan Rayburn III musi stawić czoło obu tym zagrożeniom. Cody Goodfellow to postać zagadkowa. Czy naprawdę studiował literaturoznawstwo na UCLA? Czy mieszka w Burbank? Czy kiedyś zarabiał na życie jako „przeciętny kompozytor muzyki do pornograficznych wideo”? Może część z tego jest prawdą, może wszystko, może nic. Dwie rzeczy są pewne: Goodfellow mrozi krew w żyłach, podziękujecie więc Bogu za to, że Ryan Rayburn nie jest waszym towarzyszem podróży.

Niewidzialny i niezwyknięty Ryan Rayburn III nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju, kiedy przechodził przez kontrolę bezpieczeństwa i kontrolę paszportową na lotnisku Guanacaste w Nicoya. Ot, wyluzowany amerykański turysta. Tak było do chwili, gdy wyciągnęli go z kolejki czekających na odprawę podróżnych, zabrali za parawan i kazali otworzyć torbę.

Z uśmiechem niewiniątka pokazał markotnemu celnikowi kartę pokładową, deklarację celną i paszport. Nie ma sprawy, spełniasz tylko swój obowiązek. Żaden z przechodzących współpasażerów nie spojrzał na niego. To na pewno wrywkowa kontrola, no, ale z drugiej strony facet jest biały, podróżuje samotnie. Samolotu pewnie nie wysadzi, ale całkiem prawdopodobne, że coś szmugluje, może nawet jest kurierem przewożącym *las drogas*...

To nie była jakaś republika bananowa, gdzie turyści znikają na polecenie władz. Kostaryka to prawie cywilizacja – kurczę, nawet lepiej, skoro nie mają armii, a funkcję policji państwowej pełni „patrol bezpieczeństwa”. I tu jednak królowała *la mordida*. Ryan rozejrzał się dokoła. Nie dostrzegł ani wyższych rangą funkcjonariuszy, ani kamer, więc z nonszalanckim uśmiechem wyłowił pięć dwudziestek z pasa na pieniądze. Celnik naciągnął jasnoniebieskie gumowe rękawice i przystąpił do sprawdzania torby.

Na Guanacaste, choć nieco bardziej eleganckim niż większość nowoczesnych lotnisk Ameryki Łacińskiej, panowała atmosfera rodem z taniego filmu science fiction z lat siedemdziesiątych, osadzonego w futurystycznym więzieniu. Porozwieszane wszędzie plakaty próbowały zawstydzić podróżnych obrazami zakapturzonych, skutych kajdankami więźniów, nad których głowami unosiły się komiksowe dymki z niewygodną myślą: I PO CO PRÓBOWAŁEM PRZEMYCAĆ?

Trzymaj fason. Nie uśmiechaj się, nie zagaduj celnika. Nie odwalaj całej roboty za nich. Wpadają tylko idioci roztaczający wokół siebie paskudne, toksyczne fale poczucia winy, które zabiłyby kanarka. On nie robił nic złego. Na punkcie kontroli bezpieczeństwa nie zdawali sobie sprawy, co przed sobą mają, a nawet jeśli ten facet się w tym połapie, raczej nie opłaci mu się z tego powodu opóźnić lotu. Ryan nie szmuglował narkotyków ani broni. Ot, jeszcze jeden turysta wiozący do domu pamiątkę z wakacji.

Z osobliwą delikatnością służącego przygotowującego piknik celnik kładł przed sobą ubrania, sprzęt fotograficzny i przybory toaletowe. Kiedy wydobył całą zawartość torby, włożył rękę do środka, odciągnął wyściółkę i rozpiął suwak, pod którym skrywało się drugie dno.

– To tylko pamiątka, proszę pana. – Ryan łowił powietrze, jakby oddychał przez mokry ręcznik. – Coś nie tak? Kupiłem to w sklepie z pamiątkami...

Celnik jakby nie usłyszał. Patrzył w głąb torby Ryana, oparty obiema rękami o podrapany stół z nierdzewnej stali. Zakasłał w dłoń.

Ryan rozejrzał się, pomachał wachlarzem banknotów, podsunął go celnikowi. Strumień podróźnych płynął przez wykrywacz metalu w stronę bramki.

– Mój samolot odlatuje za dziesięć minut, przyjacielu.

Celnik, nie przestając kaszleć, wypuścił dokumenty podróźne Ryana z ręki i odpędził go gestem, jakby rozganiał chmurę komarów. Nitki śluzu trysnęły spod jego pięści.

Ryan pospiesznie spakował torbę, schował pieniądze do kieszeni, odwrócił się, wszedł po zepsutych ruchomych schodach, przemierzył długi, prawie nieoświetlony terminal i dopiero przy bramce zauważył, że jego papiery są lepkie od śliny i upstrzone kropelkami krwi.

Jezu, to dopiero ochrona... Próbują wymusić łapówkę i zarażają cię gruźlicą. Mało zabawne, ale musiał się roześmiać, inaczej zacząłby krzyczeć. Złapali go na gorącym uczynku. Ta mina celnika, kiedy zajrzał pod fałszywe dno, chwilę zanim dostał ataku kaszlu... jego cera przybrała niezdrowy, bladooliwkowy odcień, oczy wyszły na wierzch, jeszcze trochę, a sturlałyby się po policzkach i wpadły do torby, dołączyły do rzeczy w schowku na brudy. Żaloszny pacan wiedział, co widzi. Wiedział, ale puścił go bez słowa i nie tknął pieniędzy.

Jeśli cokolwiek na tym świecie mogło skłonić Ryana, by się przeżegnał i zmówił modlitwę, była to właśnie rzecz w jego torbie, nie dlatego jednak, że wierzył w czary. Szmuglując kilogram czystego kolumbijskiego proszku rozweselającego, mógłby zarobić trzydzieści patoli jeszcze przed jego rozcieńczeniem. Za kilogram ręcznie rzeźbionego drewna, które miał w torbie, dostanie dwa razy tyle, ale gdyby złapali go z tym tutaj, na miejscu, najlepsze, na co mógłby liczyć, to ekstradycja i odsiadka w federalnym więzieniu w Stanach.

Ryan Rayburn III nie snuł planów na przyszłość. Po prostu zarzucał wędkę i czekał, co się złapie. Przepuścił fundusz powierniczy na licencjat z historii sztuki, resztki przychylności rodziców utracił, kiedy włączył się po Ameryce Południowej, zamiast szukać pracy. Po trzech latach przykrych doświadczeń i odkryć dokonywanych żmudnym wysiłkiem w najmroczniejszych zakątkach ziemi, ostatecznie pojął jedną jedyną naukę, którą rodzice wpajali mu w rodzinnym Palo Alto. Ubóstwo jest do dupy.

Po powrocie do Kalifornii postanowił spożytkować swój niepraktyczny stopień naukowy, by zrobić karierę. Szwendał się po galeriach, nawiązywał znajomości z prywatnymi kolekcjonerami sztuki i ostatecznie przypadkiem znalazł dojście do hermetycznego światka ludzi z hoplem na punkcie wytworów kultur prekolumbijskich. Jeździł na zakupy wszędzie od Meksyku po Ziemię Ognistą i wkrótce, po wyeliminowaniu pośredników, na liście klientów miał tuzin internetowych milionerów. Połowa eksponatów w muzeach południowoamerykańskich była fałszywa, archeolodzy pracowali w tajemnicy, by nie nęcić rabusiów. ONZ i amerykańska służba celna rozbiły kilka siatek działających w okolicach Palo Alto i Stanford, ale Ryan unikał szpanerskich kręgów. Jego klienci nie obnosili się z wykradzionymi z grobów łupami na galach charytatywnych, a on nie handlował szmelcem pokazywanym w „National Geographic”.

Lud Xorocua żył w wysokogórskich dolinach Cordillera de Talamanca, niespełna trzysta pięćdziesiąt kilometrów od stolicy, a mimo to o dzień marszu od najbliższej przejezdnej

drogi. Do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, kiedy jego istnienie udokumentował fotograf ze Smithsonian, uważany był za dziewicze plemię z epoki kamienia łupanego.

Zrobione wówczas zdjęcia, przedstawiające obrzędy żniwne Xorocuwów, ukazywały tragiczną historię poprzedniego ich kontaktu ze światem zewnętrznym, przedstawioną w postaci dziwacznej ceremonii. Mężczyzna w prostym kostiumie byka przez całą noc szalał wśród chat wioski, a tuż przed świtem przybywała procesja zamaskowanych duchów opiekuńczych, które pluły na niego krwią dotąd, aż słabł i umierał. Duchy te, zwane diablíkami, czyli *diablitos*, były legendarnymi obrońcami przed kolonistami hiszpańskimi, którzy, jak się można domyślać, zdziesiątkowali plemię przywleczonymi chorobami, a niedobitków przegnali do najodleglejszych lasów mglistych Talamanki.

Xorocuwowie byli prymitywni pod każdym względem, zbyt długo i zbyt ciężko walczyli o przetrwanie, by tworzyć wyrafinowane skarby kultury. Sposób, w jaki witali obcych, był sformalizowanym zebraniem o żywność. Natomiast maski, których używali w obrzędach żniwnych, uwiecznione na zdjęciach fotografa ze Smithsonian, okazały się prawdziwą rewelacją.

Malowane „ustnie” – farbą wyplwaną przez rurkę z trzciny – w wyraziste, ogniste barwy, ozdobione misternymi wzorami przypominającymi bardziej runy niż abstrakcyjne motywy. W latach siedemdziesiątych, choć Xorocuwowie odrzucili świat zewnętrzny, stały się przebojem w kręgach kolekcjonerskich. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim ostatni członek plemienia zmarł na gripę. Mimo to okoliczne ludy wciąż lękały się ich masek.

Wizerunki na nich nie miały odpowiednika w regionie, były dziwniejsze, bardziej wymyślne i straszniejsze od wyobrażeń bóstw Majów czy Azteków, niemal polinezyjskie w swojej syntezie elementów ludzkich, owadzich, kwiatowych i zwierzęcych. Wyglądały tak drapieżnie i złowrogo, że w porównaniu z nimi nawet najgroźniejsze gotyckie gargulce zdawały się Troskliwymi Misiami.

Z publikacji wyszperanych przez Ryana wynikało, że duchy opiekuńcze Xorocuwów były paskudną odmianą latynoamerykańskich mitycznych stworów zwanych *duendes*. Słowo to wywodziło się od hiszpańskiego *duenos*, czyli właściciele, ponieważ istoty te uważano za prawowitych właścicieli każdego siedliska, które dzieliły z ludźmi. Sąsiednie plemiona nadały jednak opiekunom Xorocuwów – i samym Xorocuwom – inną hiszpańską nazwę, bardziej odpowiednią dla duchów niedostrzegalnych, ale budzących głęboki lęk: *diablitos*, czyli diablíki.

Objężdżając Kolumbię i Peru, Ryan zdobył kilka niesamowitych ozdób pogrzebowych z kultury Mochica, które przesłał swojemu łącznikowi z Kalifornii. Następnie poleciał do Panama City, a stamtąd pojechał dżipem w głąb Cordillera de Talamanca po to tylko, by wspiąć się na Cerro La Muerte i trochę odpocząć. Nie spodziewał się znaleźć żadnych pamiątek po Xorocuwach w siermiężnych muzeach i innych, pozał się Boże, atrakcjach turystycznych w bezimiennych górskich wioskach, i ich nie znalazł. Tylko podróbki i pseudozabytkowy szajs z drewna balsy, nieudolnie malowany natryskowo farbami akrylowymi przez wsioowych *mestizo*, którzy wiedzieli o Xorocuwach mniej niż najgłupszy

klienci Ryana.

Ryan Rayburn III nie doszedłby w życiu do niczego, gdyby na siłę dążył do sukcesu. To prowadziło do obłądu i wrzodów; wystarczy zapytać Ryana II i Ryana I. Pozwalał po prostu, by dobre rzeczy same do niego przychodziły, i nigdy się nie zawodził. Kiedy zapytał o Xorocuw młodą mieszkankę jednej z wiosek, jej ślepa babcia, siedząca przed chatą z lodówką turystyczną pełną cieplej jak krew fanty, wykonała dziwny gest i zakasłała, osłaniając usta dłonią. Potem rozłożyła swój wykrzywiony artretyzmem szpon, z którego wyleciał czerwony motyl.

Dziewczyna udawała niemowę, więc Ryan, sącząc trzecią tego dnia fantę, rozejrzał się po wiosce. Wszyscy mężczyźni byli na polowaniu albo zbierali drewno i nie widział go nikt oprócz nagiego chłopca, któremu jądra jeszcze nie zeszły. Chaty skupiały się w ośmiokącie wokół studni, obok której stał sięgający po pas bożek ze steatytu, tak podniszczony i wytarty, że wyrzeźbione rysy twarzy były już tylko niewyraźnymi zagłębieniami w kamieniu.

Ryan ledwo się powstrzymał, żeby nie krzyknąć i nie wyrzucić napoju w górę. To wioska Xorocuw! Być może odtworzona, co jednak wydawało się mało prawdopodobne. Wiele plemion w tym regionie grzebało zmarłych bliskich pod swoimi domami, a następnie szukało nowej siedziby. Miejsce zagłady całego ludu byłoby niczym Czarnobyl ery kamienia łupanego.

Wtedy przyszła ślepa starucha i sprzedała mu maskę za dwieście dolarów. Tak powie każdemu, kto zapyta. Tyle razy powtórzył sobie w myślach tę wersję, że prawie w nią uwierzył. To, co się naprawdę stało, nie było najgorszą rzeczą, jaką w życiu zrobił. Nie ma co do tego wracać i tyle.

Maska była autentyczna. Wyglądała, jakby ważyła kilkadziesiąt kilogramów, ale wyrzeźbiono ją z jakiegoś niezidentyfikowanego miękkiego, fioletowoczarneho drewna lżejszego od wody. Farby były pigmentami lokalnego pochodzenia; ciemne indygo powstało z *azul mata*, jasne, czyste złoto ze skórki cebuli, płomienny oranż z owoców *achiote*, krzykliwy fiolet z wydzielin gruczołów zagrożonego wyginięciem mięczaka zwanego *munice*. Zaskakująca plama ciemniejszej, bardziej matowej czerwieni po wewnętrznej stronie maski wyglądała nie tyle jak dzieło przypadku, ile jak prymitywny podpis, i zapewne tylko podniesie wartość zabytku.

Miał już nagranych kupca – nawet dwóch, zaciekle rywali. Kiedy wyląduje w Los Angeles, opchnie maskę za pięćdziesiąt tysięcy, może dwa razy tyle, jeśli zatrzyma ją dość długo, by dyskretnie rozpuszczone plotki wywołały ostrą licytację.

Wykończony steward przy bramce nawet nie sprawdził jego dokumentów, tylko od razu otworzył mu drzwi. Wychodząc na płytę lotniska, poczuł się, jakby wstąpił w wir zwierzęcych oddechów. Otaczająca dżungla napierała na pas ścianami szmaragdowego ognia. Boeing siedemset dwadzieścia siedem linii Pura Vida Air czekał z włączonymi silnikami, ostatni pasażerowie pospiesznie wchodzili po podstawionych schodach i znikali wewnątrz wjazdu.

Samolot wypchniony był tylko w połowie. Około pięćdziesięciu podróżnych, dwie trzecie

Amerykanie. Większość już zgasła lampki i próbowali zasnąć, skuleni pod cienkimi nylonowymi kocami, z głowami na poduszkach z papieru z odzysku.

Jęknął, kiedy odszukał swoje miejsce. 11A, przy oknie, tuż za skrzydłem, obok długowłosego białego brodacza i dorodnej Azjatki, przytulonych do siebie i dłubiących przy niesprawnych dmuchawach w suficie. Poderwali się nerwowo, by przepuścić go pod okno, po czym mężczyzna przedstawił siebie i żonę. On miał na imię Dan, ona Lori.

– Może chce pan coś do czytania? – zapytał, pokazując Ryanowi książkę w miękkiej oprawie. – Sam ją napisałem.

– Kochanie, daj ludziom spokój – szepnęła jego żona. Ryan przecząco pokręcił głową i rozłożył się na wolnych miejscach po przeciwnej stronie przejścia.

Stewardesa rozpoczęła przedstartową pantomimę. Właśnie pokazywała gestami maski tlenowe i wyjścia bezpieczeństwa, ilustrując odtwarzaną z trzeszczącej taśmy instrukcję w języku hiszpańskim, kiedy zjawiała się jeszcze jedna pasażerka. Nadeszła, potykając się, wąskim przejściem między siedzeniami i omal nie usiadła na torbie Ryana.

W ostatniej chwili zabrał torbę z cienia wielkiej, opadającej dupy. Już zaczął mówić „Patrz, gdzie leziesz, idiotko”, kiedy zobaczył białą laskę ściśniętą w dłoni tłustej staruchy.

Zesztywniał. Przywarł do okna; gdyby siedział przy wyjściu bezpieczeństwa, może otworzyłby zatrzask i wyskoczył na skrzydło.

Oślonił głowę ramieniem i próbował wysunąć się z fotela. Ślepa kobieta potknęła się, wpadła na prowadzącego ją stewarda, odbiła się od podłokietnika miejsca 11C i wyrzuciła rękę w bok, szukając oparcia. Steward złapał ją, zanim upadła.

Teraz, kiedy Ryan jej się przyjrzał, zauważył, że nie była staruchą, tylko dzieckiem, może trzynastoletnią dziewczyną, o podłużnej, końskiej twarzy zrytej okropnymi bliznami po trądziku. Oczy wychodziły jej z orbit jak odkręcone żarówki. Źrenice, przysłonięte ciężkimi, sennymi powiekami, patrzyły ku górze, zdawały się przenikać przez sufit. Biała laska wysunęła się do przodu i trąciła go w kostki.

Zajęło mu sekundę, żeby złapać oddech, dłużej, by zebrać myśli. Tyle jest wolnych miejsc, czemu, u licha, sadzają ją obok niego? Młody, samotnie podróżujący Amerykanin i niewidoma cudzoziemka – to nie mogło się dobrze skończyć.

– Nie ma innych miejsc w samolocie?

Steward bez słowa wrócił na tył kabiny, żeby wyrecytować z playbacku instrukcję bezpieczeństwa.

Może nie tylko ślepa, ale i głucha – a może nie znała też hiszpańskiego – dziewczyna opuściła się na miejsce 11D i usiadła ze zwartymi kolanami, trzymając w ramionach ręcznie tkaną, lokalnej roboty torebkę.

Samolot niezgrabnie potoczył się do tyłu, po czym wjechał na pas startowy tak chwiejnie, niepewnie, że Ryan zaczął się zastanawiać, kogo posadzili za sterami. Może ślepa dziewczyna powinna pójść do kokpitu i pomóc.

Turbiny już się rozpędzały, kiedy zauważył, że niewidoma sąsiadka nie zapięła pasa bezpieczeństwa.

– *Señorita*, musi pani się przypiąć...

Drgnęła, ale nie odpowiedziała. W dłoniach ścisnęła krzyżyk i fosforyzujący plastikowy różaniec. Raz po raz podnosiła je i całowała grubymi, spękany ustami.

Stewardesa siedziała przypięta pasami z przodu kabiny. Najwyraźniej musiał ją wyręczyć. Czego to się nie robi dla ludzkości, pomyślał, sięgając w bok, by zapiąć pas dziewczyny.

– Pomogę pani...

Zamknęła jego ręce w żelaznym, spoconym, drżącym uścisku. Krzyknęła jak zbudzona z twardego snu dotykiem natrętnych, obłapiających dłoni, wybałuszyła puste oczy, jakby ujrzała twarz Ryana pośród stale przesłaniającej je ciemności.

Wyrwał się i próbował ją uspokoić, teraz już trzymając ręce przy sobie, ale to na nic. Sprawiała wrażenie, jakby ani go nie słyszała, ani nie rozumiała, i bez tego panicznie przerażona tym, że leci samolotem i obmacuje ją obcy mężczyzna. Zawstydzony – choć w sumie nie miał po temu powodu – rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy, ale wyglądało na to, że nikt nic nie zauważył. Narastający skowyt silników zagłuszył krzyki dziewczyny, a chwiejne szarpnięcie przyspieszenia wcisnęło wszystkich w fotele.

Kiedy podwozie się schowało i samolot wyrównał lot, dziewczyna podjęła cichą modlitwę. Ryan odwrócił twarz do ściany, zwinął swoją bluzę i podłożył sobie pod głowę jak poduszkę. Mrugające czerwone światło na skrzydle tańczyło i rozplątało się w zalewających szybę strugach deszczu. Małe nadmorskie miasto spowijały kłaki mgły, przypominające ogromne latawce zaplątane w drzewa. Tylko kilka zabłąkanych światełek – może statki na morzu – dowodziło, że miasto, z którego uciekł, nadal jest tam w dole.

Ryan był doświadczonym podróżnikiem. Potrafił zasnąć wszędzie, w każdych warunkach. Mocno ścisnął nogami torbę stojącą na podłodze i próbował opróżnić umysł. Nieprędko się udało, bo ilekroć czuł, że zapada w sen, ślepa dziewczyna głośno kaszłała, zasłaniając usta pięścią.

Myślami krążył wokół maski. Na jej widok celnik zaczął kasłać krwią, a mimo to puścił go wolno. Czy to tylko jakiś zwariowany zbieg okoliczności? Lud Xorocua wytrzebiły choroby, trudno się dziwić, że wymyślili magiczne duchy mające ich chronić lub pomścić, ale nie na wiele im się to zdało... Dawno wymarli, ich dziwna, żalonna religia stała się tylko przypisem w podręcznikach antropologii, fascynującym milionerów, którym zamarzyło się pograć z żądnymi krwi pogańskimi bożkami w pokera. Może maski były czymś w rodzaju wektora przenoszącego wirus? Nie, bo wtedy sam też by zachorował, a pomijając zwykłe tropikalne wysypki i dolegliwości, czuł się dobrze. Nie wierzył w klątwy, chyba że zaliczymy do nich ubóstwo.

Kiedy wyrównali lot na pułapie dziewięciu tysięcy metrów, Ryan zrezygnował z drzemki i postanowił zamiast tego dołożyć starań, aby się upić. Przetarł oczy wierzchem dłoni. Może powinien przeprosić ślepa dziewczynę albo, jeszcze lepszy pomysł, przesiąść się na inne miejsce. Odwrócił się do sąsiadki i znalazł się oko w oko z maską Xorocuwów.

Założyła ją. Białka pustych oczu błyszcząły w szparach wyciętych w wystającym, pokrytym cętkami jaguara czole. Każda płaszczyzna kanciastej twarzy pomalowana była w barwy innego zwierzęcia, jakby to jedno mściwe oblicze łączyło w sobie całe życie dzungli. Nałożona przez ślepa dziewczynę maska ożyła.

Stylizowane, rozgałęzione rogi sterczące ze szczęki i obu skroni rozbłysły kobaltowym błękitem płomienia palnika gazowego. Wyszczерzone, zachodzące na siebie kły rozsunięły się jak zapadki zamka i strumień czarnej, cuchnącej krwi trysnął spomiędzy wykrzywionych warg na koszulę Ryana.

Zerwał się, uderzył głową w schowek bagażowy, opadł z powrotem na miejsce. Chlustająca krew była lepka, zimna, roiła się od rozedrganych, smyrgających żyłatek, które wnikały mu pod ubranie. Próbował odrywać te paskudztwa od siebie, na próżno. Reszta pasażerów nie słyszała jego krzyków. Kościste ramiona ślepej dziewczyny blokowały mu drogę ucieczki. Przysunęła się bliżej, wciąż wykasłując bryzgi skażonej krwi; zalany obrzydliwą cieczą, tonący w niej, wyrzucił ręce do przodu, żeby zerwać maskę z twarzy niewidomej.

Zeszła z dźwiękiem zardzewiałych gwoździ wyciąganych z przegniłego drewna. Razem z nią oderwała się twarz i dziewczyna przyparła go do ściany, zimna, oślizła kość jarzmowa mocno wcisnęła się w jego pierś.

Chyba krzyknął, kiedy się obudził. Jego policzek przykleił się do zimnego okna. Wszystkie pozostałe części ciała spływały potem. Czuł się przymulony jak po dwóch ambienach popitych kilkoma kieliszkami tequila.

Powoli, ostrożnie, odwrócił się w bok i spojrzał na ślepą dziewczynę. Siedziała sztywno wyprostowana na swoim miejscu, z głową odrzuconą do tyłu, na twardy podglówek, jej miarowy oddech bulgotał jak niedrożna rura.

Stolik dziewczyny był rozłożony; opróżniony do połowy styropianowy kubek stał na nim obok foliowej torebki, z której wysypały się jakieś marynowane owoce, i plastikowego różańca, świecącego w sinym półmroku jak pluton. A zatem w czasie, kiedy Ryan spał, obsługa rozniosła poczęstunek.

Sukienka jego sąsiadki, uszyta z ręcznie tkanej bawełny, ozdobiona była motylami i ptakami w krzykliwych kolorach. Gdy przyglądał się dziewczynie, walcząc z pokusą, by się uszczypnąć, jej ciałem wstrząsnął atak mokrego, duszącego, krwawego kaszlu. Dłużej nie zniosę tego hałasu, pomyślał i chwycił torbę. Ostrożnie uprzątnął wszystko ze stolika niewidomej, złożył go na oparciu miejsca 10C i rozpiął swój pas.

W kabinie panował upał gorszy niż na cholernym Jukatanie. Ryanowi tętniło w uszach jak zawsze, kiedy latał, tym razem jednak było to raczej takie uczucie, jakby nurkował głęboko pod wodą, a nie szybował w górnych warstwach atmosfery. Ciemność rozpraszało tylko miejscami przygasłe światłowodowe oświetlenie między siedzeniami i parę lampek zapalonych nad głowami pasażerów, którzy drzemali z otwartymi laptopami na kolanach lub czytali kindle ze słuchawkami iPodów w uszach.

W pełnym skupieniu, poruszając każdą kończyną oddzielnie, dźwignął się z miejsca i przełożył nogę nad kolanami dziewczyny, żeby wyjść z rzędu. Pomysł był dobry, on się starał stąpać ostrożnie, ale stopa mu się na czymś pośliznęła i ze stłumionym krzykiem zrobił szpagat.

Kolana dziewczyny wbiły mu się w tyłek. Przygotował się na wrzaski i ciosy pięściami, niepotrzebnie, jak się okazało. Dziewczyna zakaszła tak gwałtownie, że poczuł przez

koszulę siłę wilgotnego powietrza wyrzuconego z jej płuc. Walcząc z panicznym strachem, przegramolił się na przejście między siedzeniami. Pociągnął za sobą torbę, po czym przeniósł ją nad głowę śpiącej pasażerki z miejsca 10C, tłustej, wąsatej matki z dwójką wiercących się dzieci na kolanach.

Wyglądało na to, że przespał parę godzin. Samolot podskakiwał w strefie turbulencji gdzieś nad ciemnym meksykańskim interiolem. Przejście było puste, nie licząc dwóch kubków turlających się tam i z powrotem w rytmie wznoszenia się i opadania maszyny. Stewardesa gdzieś się zapodziała.

Ryan pospieszył w głąb kabiny, starając się omijać dyndające ręce i nogi pasażerów. Ostatni rząd przed ubikacją był pusty, ruszył więc w jego stronę krokiem pijaka z chorobą morską.

Dotarł do wolnych foteli i zwałił się na jeden z nich, kiedy samolot niepokojąco opadł. Serce Ryana biło mocno, mięśnie drżały, pobudzone zastrzykami marnotrawionej adrenaliny. Jego torba wydawała się lekka jak piórko, kiedy rzucił ją na miejsce przy oknie. Kurde, ale się nakręcił. Musiał się napić. Może stewardesa sprzeda mu butelkę czegoś mocnego. Kurczę, może nawet napije się razem z nim. Zasługiwał na coś dobrego po wszystkim, przez co przeszedł.

Przycisnął torbę do biodra. Była lekka, bo była pusta.

Skok zelektryzował go. Gwałtownie rozsunął zamek, wsadził rękę do torby i zaraz zobaczył swoją dłoń, wystającą z poszarpanej dziury w dnie. W środku zostały tylko dwie pary zwiniętych skarpet i bokserki, wszystko mokre, przylepione do ścianek jakąś oślizłą, czarną masą. Dziura nie była tylko rozdarciem podwójnej warstwy nylonu. Okrągła, ziejąca, wyglądała, jakby powstała w wyniku rozpuszczenia... albo przegryzienia materiału.

– Kurwa! – wycedził przez zaciśnięte zęby, patrząc na swoje rzeczy rozrzucone po podłodze szlakiem ciągnącym się do jego pierwotnego miejsca. Ruszył chwiejnym krokiem przezabinę, zbierając stosy lepkich ubrań. Jego dłoń wreszcie napotkała coś cięższego i, z jękiem ulgi, szybko podniósł przedmiot, okazało się jednak, że to tylko jego komplet przyborów do golenia.

Czuł na sobie czyjś przenikliwy wzrok i miał nieodparte wrażenie, że ktoś się śmieje z jego nieszczęścia, ale wszystkie twarze były odwrócone, jedno wtulone w ramię sąsiada, inne odchylone do tyłu, z rozdziawionymi ustami.

Skowyt silników jakby przycichł, samolotem zakołysało, kubki w przejściu między siedzeniami poturlały się w stronę dzioba. Czyżby podchodzili do lądowania?

Wreszcie dotarł na swoje miejsce. Dan i Lori twardo spali. Wykładzina pod nogami ślepej dziewczyny z 11D przesiąknięta była jakąś cieczą. Pewnie się porzygała, pomyślał ze wstrętem, albo zmoczyła. Maski nie było w przejściu między siedzeniami, musiała wpaść pod fotel, kiedy Ryan się ewakuował. Może gdzieś się przeturlała podczas turbulencji. Teraz mogła być wszędzie w tym cholernym samolocie. Nie pozostawało nic innego, jak tylko szukać dalej.

Już klękał obok ślepej dziewczyny, kiedy samolot przechylił się w dół. Ryan runął jak długi, wyrzucił rękę przed siebie, żeby osłonić głowę, i dostał podłokietnikiem w oko. Upadł

na podłogę, śmiejąc się z własnej niezdarności, kiedy coś go dźgnęło.

Błyskawica przeraźliwego bólu przeszła jego prawą nogę tuż pod rzepką i wyszła z drugiej strony, między włóknami mięśni i ścięgien, w zgięciu kolana.

Bolało jak nigdy w życiu, przynajmniej dopóki nie spróbował wyprostować nogi; wtedy rzecz, która wdarła się w delikatny mechanizm jego kolana, pękła wewnątrz rany i ból stał się całym jego światem.

Ze skowytem skulił się na podłodze, przyciskając przebite kolano do piersi. Krzyczał raz po raz i dopiero po pewnym czasie dotarło do niego, jakie to dziwne, że żaden z pasażerów nie reaguje na jego dzikie wrzaski.

Wyciągnął rękę do pary z miejsc 11B i C, zerwał z nich koc. Książka Dana spadła na przejście między siedzeniami. Małżonkowie zderzyli się głowami, mąż osunął się na stół. Ciemnoczerwona strużka wypływała z jego lewego nozdrza, z którego sterczał uchwyt mieszadełka do kawy. Żona Dana beknęła i coś wypełzło spomiędzy jej rozchylnych warg, czerwony kształt wymazany jasną krwią tętniczą.

Z drżących ust Ryana wydarł się stłumiony jęk. Odchylił się, przenosząc cały ciężar na ranną nogę, i szarpnęło nim kolejne uderzenie bólu. Pod prawym kolanem tkwił nóż. Podwijając nogawkę spodni, zobaczył białą plastikową rączkę sterczącą z rany w zagłębieniu tuż pod rzepką.

Czuł, że nadciąga fala mdłości, ale bezbrzeżne zdumienie nie pozwalało mu oderwać wzroku. Został ugodzony plastikowym nożem. Ostrze wystawało z drugiej strony, zestrugane albo ogryzione tak, że stało się ostre jak skalpel.

Odwrócił się i zaczął obmacywać ślepą dziewczynę w nadziei, że rozedrze się jak alarm przeciwpożarowy, osunęła się jednak tylko na podłokietnik i jej podłużny, pusty czerep uderzył Ryana w czoło. Usta miała otwarte, wargi pokryte błyszczącymi czerwonymi plamkami tego samego koloru co bajoro, w którym siedział. Jej skóra była zimna jak marmur, członki zwisały luźno, bezwładnie jak u lalki, ale ciało się ruszało, wstrząsane pośmiertnym atakiem kaszlu.

Wyszły z jej ust. Wyrzucane kaszlem, schodziły po wargach w dół, do zagłębienia jej podołka, patrzyły na niego chciwie znad podłokietnika.

Wyglądały jak chrząszcze albo patyczaki, o żłobkowanych tułowiach i smukłych odnóżach okrytych chitynowym pancerzem. Ich ciała miały wiele cech zapożyczonych od owadów, gadów i płazów, ale koszarne pyski były miniaturowymi maskami z obrzędów żniwnych Xorocuw. A może były nimi osłonięte.

Największy miał niespełna dwadzieścia centymetrów wysokości, ale kiedy Ryan widział, jak na niego patrzą z góry, wiedział, że zdany jest na ich łaskę i niełaskę.

Odczołgał się do tyłu, w stronę kokpitu. Gdziekolwiek spojrzął, widział je, łożące po trupach, wyglądające zza zagłówek. Minał matkę z dziećmi – opuchnięte ciała, zsiniałe wskutek uduszenia – zgarbionego nad laptopem biznesmena z długopisami wbitymi w resztki oczu, stewardesę z obtłuczoną szyjką butelki piwa Imperial sterczącą z nowo wyciętych ust w jej szyi. Wlókł się w tył po podłodze dotąd, aż zatrzymały go twarde, opancerzone drzwi kokpitu.

Wszyscy w kabinie pasażerskiej byli martwi, ale kokpity w tych czasach przypominały skarbce bankowe. Ryan rzucał się na drzwi, krzyczał, żeby je otworzyć, zanim go zabiją, coś zabiło wszystkich na pokładzie samolotu, nie on, on jest niewinny i nie zasłużył na śmierć...

– Panie i panowie, dziękujemy, że wybrali państwo linie Pura Vida Air, i prosimy nie włączać urządzeń elektronicznych i nie wyjmować bagaży aż do momentu całkowitego zatrzymania samolotu...

Spokojny, prawie senny, kojący głos... odtwarzany z nagrania. Zgodnie z rozkładem nad Los Angeles mieli się znaleźć dopiero za godzinę.

Drzwi pozostały zamknięte. Może załoga po drugiej ich stronie też nie żyła, może nie miała pojęcia, co tu się działo. Odwrócił się, wypatrując telefonu.

Ciemność wyskoczyła z foteli, wypełniła przejście między siedzeniami i nadciągnęła niczym rój mrówek. Ryan walił w drzwi, wydawał nieartykułowane, piskliwe wrzaski, ale stworzenia nie przyszły po to, żeby go zabić.

Chciały dać mu maskę. Przyniosły ją i położyły na podłodze.

Chciały, żeby ją założył.

Samolotem zatrzęsło, kiedy podwozie wysunęło się na wyjący wiatr. Kabina wciąż była pozbawioną światła jaskinią, ale brzydki, bursztynowy, sodowy blask Tijuany lał się przez okna jak mocz z przepelnionego pisuaru.

Kiedy Ryan leżał skulony przy drzwiach, powoli dotarło do niego, że nie musi umrzeć. Odrętwiałymi rękami podniósł maskę, ponieważ zobaczył ją nowymi oczami. To nie była ozdoba ani skarb. To nawet nie była maska.

To były wrota.

Otworzyła je krew, którą przelał. Aby te stworzenia stąd odeszły, wrota musiały otworzyć się znowu. Prosta sprawa, kiedy nie było innego wyboru, jak tylko się z tym pogodzić.

Przyłożył maskę do twarzy. Szorstka, twarda powierzchnia wewnętrzna pieściła go drzazgami, które rozrastały się i splatały ze sobą pod jego skórą.

Wspinały się jedno przez drugie do jego ust. Między wąskimi, obnażającymi kły wargami mieściły się tylko pojedynczo, a były ich całe rzesze. Smyrgały po jego drżącym ciele prosto do bramy z zębów, gromadziły się w jego brzuchu, niespokojne, agresywne, i poczuł w sobie zupełnie nowy świat, zimny, czarny, nieskończony.

Zanim ostatni stwór zniknął w jego ustach, boeing siedemset dwadzieścia siedem wylądował z gwałtownym szarpnięciem i zarzuciło nim, jakby płyta lotniska pokryta była luźno leżącymi głazami.

Kiedy piruety samolotu wreszcie ustały i zapaliły się światła w kabinie, ani jeden pasażer się nie ruszył, by włączyć telefon komórkowy czy wyciągnąć bagaż ze schowka. Ryan wstał z wysiłkiem i raz jeszcze zapukał do kokpitu, ale cokolwiek było po drugiej stronie, wolało tam zostać.

Odemknął zatrząsk w drzwiach kabiny i przekręcił koło. Dwaj bagażowi przycisnęli zdziwione twarze do iluminatora i zapukali w szybę. Ryan uśmiechnął się do nich, zapominając, że jest w masce, i otworzył drzwi na oścież.

Próbował wytłumaczyć, ale go nie widzieli. Padli na kolana, krztusząc się krwawą flegmą.

Przecisnął się obok nich i podskakując na jednej nodze, zszedł po schodach, by uklęknąć i pocałować płytę lotniska rozwidlonym czarnym językiem.

Jak dobrze, po długich wędrówkach, być w domu...

NALOT

John Varley

John Varley urodził się w Teksasie i studiował na Michigan State University dzięki stypendium National Merit Scholarship – tę uczelnię wybrał podobno dlatego, że znajdowała się najdalej od Teksasu ze wszystkich, na jakie było go stać. Są pisarze science fiction, którzy mają znakomite pomysły, i pisarze science fiction, którzy są świetnymi prozaikami. Varley zalicza się do tych nielicznych szczęśliwców, którzy należą do obu powyższych kategorii. *Nalot* został opublikowany w 1977 roku (pod pseudonimem Herb Boehm, łączącym drugie imię autora i panińskie nazwisko jego matki, koniecznym dlatego, że w tym samym numerze „Asimov’s” ukazało się także inne opowiadanie Varleya), otrzymał nominacje do nagród Hugo i Nebula, w 1983 roku został rozszerzony do rozmiarów powieści wydanej pod tytułem *Złoty wiek*, a w 1989 roku sfilmowany. Kiedy zaczniecie czytać to opowiadanie, nie będziecie mogli się od niego oderwać. Witajcie na pokładzie samolotu linii Sun-Belt Airlines, lot numer sto dwadzieścia osiem z Miami do Nowego Jorku. Ostateczny cel podróży może jednak okazać się zupełnie inny.

Cichy alarm zawibrował w mojej czaszce, wrywając mnie ze snu. Nie wyłączy się, dopóki nie usiądziesz prosto, tak więc zrobiłam. Dookoła, w ciemnych koszarach, spali członkowie Zespołu Przechwykowego, jedni pojedynczo, inni parami. Ziewnęłam, podrapałam się po żebrach, poklepałam włochate cielsko Gene'a. Przewrócił się na drugi bok. To ci dopiero romantyczne pożegnanie.

Przecierając rozespiane oczy, sięgnęłam pod łóżko po nogę, przypięłam ją i podłączyłam. Pobiełam do sali odpraw.

Tablica informacyjna świeciła w mroku. Lot numer sto dwadzieścia osiem linii Sun-Belt Airlines z Miami do Nowego Jorku, piętnasty września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Trzy lata go szukaliśmy. Powinna się ucieszyć, ale kogo na to stać tak zaraz po przebudzeniu?

Liza Boston powitała mnie mruknięciem i skierowała się do przebieralni. Odmruknęłam i ruszyłam za nią. Rozbłysły światła wokół luster i powlokłam się do jednego z nich. Za nami jeszcze troje ludzi weszło chwiejnym krokiem. Usiadłam, podłączyłam się i nareszcie mogłam się wygodnie oprzeć i zamknąć oczy.

Niedługo pozostały zamknięte. Ale kop! Wyprężyłam się jak struna, kiedy superdopalacz zastąpił breję służącą mi za krew. Obejrzałam się i napotkałam idiotyczne uśmiechy. Liza, Pinky i Dave. Przy przeciwległej ścianie Cristabel już pomału obracała się pod natryskiem farby nadającej jej skórze biały kolor. W sumie niezły skład.

Otworzyłam szufladę i zajęłam się swoją twarzą. Za każdym razem coraz więcej z tym roboty. Pomimo transfuzji wyglądałam jak żywy trup. Prawego ucha brak. Usta już się nie domykały; dziąsła były stale obnażone. Przed tygodniem we śnie odpadł mi palec. I co komu do tego?

Kiedy wykonywałam niezbędne zabiegi kosmetyczne, rozjarzył się jeden z ekranów otaczających lustro. Uśmiechnięta młoda blondynka, wysokie czoło, okrągła twarz. Może być, względnie podobna. U dołu przewijał się tekst „Mary Katrina Sondergard, urodzona w Trenton w stanie New Jersey; wiek (w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku): 25 lat”. No, kochana, dziś twój szczęśliwy dzień.

Komputer rozpuścił skórę jej twarzy, żeby pokazać mi strukturę kości, obrócił głowę dookoła, wyświetlił przekroje. Wyszukałam podobieństwa z moją własną czaszką, zwróciłam uwagę na różnice. Nieźle. Bywały gorsze.

Założyłam sztuczną szczękę z wąską szparą między górnymi siekaczami. Wypchałam policzki kitem. Szkła kontaktowe wypadły z podajnika i wsunęłam je do oczu. Wkłady do nosa poszerzyły moje nozdrza. Uszy nie będą potrzebne; i tak zasłoni je peruka. Naciągnęłam pustą maskę z plastiskóry i musiałam poczekać, aż przylgnie do twarzy. Wystarczyła minuta, aby należycie uformować rysy. Uśmiechnęłam się do siebie. Jak miło

mieć wargi.

Coś łupnęło w wylocie podajnika i na moje kolana wypadła blond peruka i różowy kostium. Peruka była jeszcze gorąca od stylizatora. Nałożyłam ją, potem rajstopy.

– Mandy? Dostałaś informacje o Sondergard? – Nie podniosłam głowy; poznałam ten głos.

– Tak jest.

– Zlokalizowaliśmy ją w pobliżu lotniska. Możemy cię podstawić przed startem, będziesz dzokerem.

Jęknęłam i spojrzałam na ekran. Elfreda Baltimore-Louisville, dyrektor Zespołów Operacyjnych: twarz pozbawiona życia, wąskie szparki oczu. Co zrobić, kiedy wszystkie mięśnie obumarły?

– Dobrze. – Trzeba brać, co dają.

Rozłączyła się i przez następne dwie minuty ubierałam się, nie odrywając oczu od monitorów. Zapamiętałam nazwiska i twarze członków załogi plus nieliczne znane informacje na ich temat. Potem szybko wyszłam i dogoniłam pozostałych. Czas, który upłynął od pierwszego alarmu: dwanaście minut i siedem sekund. Trzeba się pospieszyć.

– Cholerne Sun-Belt – marudziła Cristabel, podciągając stanik.

– Przynajmniej zrezygnowali z wysokich obcasów – zauważył Dave. Rok wcześniej musielibyśmy dreptać w samolocie na ośmiocentymetrowych koturnach. Wszyscy mieliśmy na sobie kuse różowe kiecki w ukośne niebieskie i białe paski z przodu i nieśliśmy identyczne torby naramienne. Co chwila poprawiałam idiotyczny toczek, żeby nie spadał mi z głowy.

Potruchtaliśmy do ciemnej sali odpraw i ustawiliśmy się w kolejce do portalu. Teraz nie mieliśmy na nic wpływu. Musieliśmy czekać, aż przejście będzie gotowe.

Stałam pierwsza, może półtora metra od portalu. Odwróciłam się, nie chciałam na niego patrzeć; przyprawia mnie o zawroty głowy. Skupiłam wzrok na gnomach siedzących przy konsolach w żółtym blasku ekranów. Żaden nie spojrzał na mnie. Nie przepadają za nami. Ja za nimi też nie. Wychudzone, wyniszczone pokurcze. Nasze grube nogi, tyłki i piersi są dla nich jak wyrzut, przypomnienie, że Przechwytyjący dostają pięć razy większe racje żywnościowe, żeby dobrze wyglądać w czasie maskarady. A my tymczasem dalej gnijemy. Pewnego dnia to ja usiądę przy konsoli. Pewnego dnia zostanę wbudowana w konsolę, wszystkie moje flaki będą na wierzchu, a z ciała zostanie tylko smród. Niech ich piekło pochłonie.

Zagrzebałam pistolet w torebce, pod chusteczkami i szminkami. Elfreda patrzyła na mnie.

– Gdzie ona jest? – spytałam.

– W motelu. Była sama w pokoju od dziesiątej wieczorem do południa w dniu wylotu.

Samolot miał wystartować o pierwszej piętnaście. Zwlekała z wyjściem do ostatniej chwili, czyli będzie się musiała spieszyć. Doskonale.

– Można ją dopaść w łazience? Najlepiej w kąpielni?

– Pracujemy nad tym. – Czubkiem palca narysowała uśmiech na swoich zmartwiałych wargach. Znała moje ulubione metody, ale tym gestem dawała do zrozumienia, że mam brać, co dają. Cóż, nigdy nie zaszkodzi zapytać. Ludzie są najbardziej bezbronni, kiedy leżą

po szyję w wannie.

– Już! – krzyknęła Elfreda. Weszłam w portal i od razu źle się zaczęło.

Byłam zwrócona twarzą w niewłaściwą stronę, przed sobą miałam sypialnię, za plecami łazienkę. Odwróciłam się i dostrzegłam Mary Katrinę Sondergard przez zamglony kształt portalu. Musiałabym wejść w niego z powrotem, żeby do niej dotrzeć. Nie mogłam nawet strzelić, bo jeszcze trafiłabym kogoś po naszej stronie.

Sondergard była przed lustrem, w najgorszym możliwym miejscu. Niewielu ludzi potrafi od razu rozpoznać samych siebie, ale ona akurat na siebie patrzyła. Zobaczyła mnie i szeroko otworzyła oczy. Zeszłam z jej pola widzenia.

– Co u licha... hej? Kto to... – Zwróciłam uwagę na głos, który bywa najtrudniejszy do naśladowania.

Domyślałam się, że będzie bardziej zaintrygowana niż wystraszona. I trafiłam. Wyszła z łazienki, przechodząc przez portal, jakby go tam nie było – bo faktycznie go nie było, ma tylko jedną stronę. Była owinięta ręcznikiem.

– Jezu Chryste! Co ty robisz w moim... – W takich chwilach człowiek zapomina języka w gębie. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, tylko co? „Przepraszam, nie widziałam cię aby dopiero co w lustrze?”

Przybrałam mój najlepszy uśmiech stewardesy i wyciągnęłam dłoń.

– Proszę wybaczyć najście. Mogę wszystko wytłumaczyć. Widzi pani, ja... – Uderzyłam ją w skroń, zachwiała się i runęła jak kłoda. Ręcznik zsunął się na podłogę. – ...Próbuję zarobić na studia. – Zaczęła wstawać, więc kopnęłam ją w szczękę moim sztucznym kolanem. Tym razem już się nie podniosła.

– Petro-kurna-chemia! – syknęłam, rozcierając obolałe knykcie. Nie było jednak czasu. Uklękłam przy kobiecie, sprawdziłam tętno. Wyjdzie z tego, ale chyba obruszyłam jej kilka przednich zębów. Na chwilę znieruchomiałam. Rany boskie, tak wyglądać bez makijażu, bez protez! Serce mi prawie pękło.

Chwyciłam ją pod kolana i zawlokłam do portalu. Ciężka jak wór miękkich kluch. Ktoś wysunął ręce, złapał ją za nogi i wciągnął do środka. Na razie, kochana! Co powiesz na daleką podróż?

Usiadłam na motelowym łóżku, żeby złapać oddech. W torebce Sondergard znalazłam kluczyki do samochodu i papierosy, prawdziwy tytoń, skarb, za który gotowa byłabym zapłacić własną krwią. Zapaliłam sześć, uznając, że mam pięć minut tylko dla siebie. Pokój wypełnił się słodkim dymem. Tak dobrych dziś już się nie dostanie.

Sedan z Hertza stał na motelowym parkingu. Wsiadłam i pojechałam na lotnisko. Głęboko oddychałam powietrzem bogatym w węglowodory. Widziałam na setki metrów przed sobą. Cała ta otaczająca przestrzeń przyprawiała mnie o zawroty głowy, ale dla takich chwil żyję. Nie sposób wyjaśnić, jak to jest tam, w tamtym świecie. Słońce było ognistą żółtą kulą przeświecającą przez mgłę.

Reszta stewardes wchodziła na pokład. Niektóre znały Sondergard, więc za dużo nie mówiłam, tłumacząc się kacem. Przyjęły to dobrze, z salwami wymownego śmiechu i złośliwymi docinkami. Najwyraźniej często jej się to zdarzało. Wsiadłyśmy do

siedemsetsiódemki i przygotowaliśmy się na przybycie baranków.

Sytuacja wyglądała nieźle. Czwooro komandosów po drugiej stronie było bliźniaczymi kopiami moich współpracownic. Nie pozostało nic innego, jak być stewardesą do czasu odlotu. Miałam nadzieję, że nie będzie więcej potknięć. Odwrócenie portalu przenoszącego dzokera do pokoju motelowego to jedno, ale gdyby coś podobnego stało się w siedemsetsiódemce sześć tysięcy metrów nad ziemią...

Samolot był prawie pełny, kiedy kobieta, w którą wcieli się Pinky, zatrzasnęła przednie drzwi. Podkołowaliśmy na koniec pasa startowego, potem wzbiliśmy się w powietrze. Zaczęłam przyjmować w pierwszej klasie zamówienia na drinki.

Baranki były takie, jakich można się było spodziewać w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Pyskate tłściochy, nieświadome tego, że żyją w raju, jak ryba nieświadoma jest ogromu morza. Co powiedzielibyście, panie i panowie, na wyprawę w przyszłość? Nie? Przyznam, że się nie dziwię. A gdybym tak was poinformowała, że wasz samolot wkrótce...

Ramię mi zapikało, kiedy osiągnęliśmy wysokość przelotową. Spojrzałam na wskaźnik pod moim zegarkiem lady bulova, a potem na drzwi jednej z ubikacji. Poczułam drzenie przechodzące przez samolot. Cholerny świat, za wcześnie.

Portal był w toalecie. Szybko z niej wyszłam i przywołałam gestem Dianę Gleason – skórę Dave'a.

– Zobacz – powiedziałam ze zniesmaczoną miną. Już miała wejść do ubikacji, kiedy zatrzymała się na widok zielonej poświaty. Przyłożyłam jej nogę do tyłka i pchnęłam. Doskonale. Dave usłyszy jej głos, zanim tu wskoczy. Chociaż, kiedy dziewczyna się rozejrzy, właściwie będzie już tylko krzyczała...

Dave przeszedł przez portal, poprawiając swój dumny kapelusik. Widać Diana stawiała opór.

– Bądź zde gustowany – szepnęłam.

– Co za syf – powiedział, wychodząc z ubikacji. Nieźle naśladował ton Diany, ale z akcentem poszło gorzej. Wkrótce to i tak będzie bez znaczenia.

– Co się stało? – To jedna ze stewardes z klasy turystycznej. Rozstąpiliśmy się, żeby sama zobaczyła, i Dave wepchnął ją w portal. Błyskawicznie ukazała się Pinky.

– Mamy opóźnienie – powiedziała. – Straciliśmy pięć minut po drugiej stronie.

– Pięć? – pisał Dave-Diana. Podzielałam jego niepokój. Musieliśmy się uporać ze stu trzema pasażerami.

– Mhm. Portal się rozregulował, kiedy przepchnęliście moją skórę. Tyle czasu zajęło ponowne dostrojenie.

Przyzwyczajasz się do tego. Czas biegnie w różnym tempie po obu stronach portalu, choć zawsze jednokierunkowo, od przeszłości do przyszłości. Kiedy akcja rozpoczęła się z chwilą mojego wejścia do pokoju Sondergard – ani w tym, ani w naszym świecie nie można już się było cofnąć do wcześniejszego punktu. Tutaj, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, mieliśmy równo dziewięćdziesiąt cztery minuty na załatwienie wszystkiego. Po drugiej stronie portal dawało się utrzymać nie dłużej niż trzy godziny.

– Jak długo po ogłoszeniu alarmu przeszłaś tutaj?

– Dwadzieścia osiem minut.

Niedobrze. Samo przygotowanie słabych zajmie co najmniej dwie godziny. Jeśli nie będzie więcej poślizgów w czasie po stronie roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, może się uda. Ale poślizgi były zawsze. Wzdrygnęłam się na myśl, że mogę zostać w samolocie do samego końca.

– Czyli nie ma już czasu na gierki – powiedziałam. – Pink, idź do turystycznej i zawołaj obie pozostałe dziewczyny. Powiedz im, żeby przychodziły pojedynczo i że mamy kłopot. Wiesz, co i jak.

– Tłumione łyzy, te sprawy. Rozumiem. – Pospieszyła na tył samolotu. W mgnieniu oka pojawiła się pierwsza stewardesa. Do twarzy miała przyklejony przyjazny uśmiech pracownicy Sun-Belt Airlines, ale z niepokoju na pewno kotłowało jej się w żołądku. O Boże, nadeszła ta chwila!

Złapałam ją za łokieć i wciągnęłam za zasłony oddzielające przód samolotu. Ciężko dyszała.

– Witaj w strefie mroku – powiedziałam i przyłożyłam pistolet do jej głowy. Zwiśła bezwładnie, podtrzymałam ją. Pinky i Dave pomogli przepchnąć ją przez portal.

– Kurna! Cholerstwo zanika.

Pinky miała rację. Bardzo zły znak. Chociaż zielona poświata zaraz ustabilizowała się na naszych oczach, Bóg raczy wiedzieć, jak duży poślizg wystąpił po drugiej stronie. Z portalu wyskoczyła Cristabel.

– Plus trzydzieści trzy minuty – powiedziała. Nie było sensu mówić tego, co wszyscy myśleliśmy: źle się działo.

– Idź do turystycznej – rzuciłam. – Bądź dzielna, uśmiechaj się do wszystkich, ale tak, jakbyś trochę za bardzo nadrabiała miną, jasne?

– Robi się – powiedziała Cristabel.

Wyprowadziliśmy drugą stewardesę szybko, bez incydentów. Potem już nie było czasu na rozmowy. Za osiemdziesiąt dziewięć minut lot numer sto dwadzieścia osiem doszczętnie się rozbija o zbocze góry, czy do tej pory skończymy, czy nie.

Dave poszedł do kokpitu przypilnować, żeby załoga nie pętała nam się pod nogami. Ja i Pinky miałyśmy obskoczyć pierwszą klasę, potem pomóc Cristabel i Lizie w turystycznej. Zastosowałyśmy standardowy manewr z pytaniem „kawy, herbaty czy mleka”, licząc na naszą szybkość i bierność baranków.

Pochyliłam się nad pierwszymi dwoma miejscami po lewej.

– Jak mija państwu podróż? – Pyk, pyk. Dwa pociągnięcia za spust, przy samych głowach, poza polem widzenia pozostałych baranków.

– Dzień dobry państwu. Jestem Mandy. Umiłę państwu lot. – Pyk, pyk.

Kiedy byliśmy w połowie drogi do kuchni, kilka osób przyglądało nam się z zaciekawieniem. Ludzie jednak nie robią szumu, dopóki nie zdobędą znacznie więcej dowodów, że coś jest nie tak. Wstał jeden baranek z tylnego rzędu, wypaliłam do niego. Zostało tylko ośmioro przytomnych. Przestałam się uśmiechać i oddałam cztery szybkie

strzały. Pinky załatwiła resztę. Szybko poszliśmy za zasłony. W samą porę.

W tylnej części klasy turystycznej, gdzie do opędzenia zostało jeszcze czterdzieści procent pasażerów, narastał rwetes. Cristabel zerknęła na mnie. Skinęłam głową.

– No dobra, szanowni państwo! – zagrzmiała. – Teraz macie być cicho! Uspokójcie się i posłuchajcie. Ej, barani łbie, przymknij gębę, bo nakopię ci do dupy, że przez miesiąc nie usiądziesz.

Szok wywołany tym, że stewardesa mówi do nich takim tonem, zapewnił nam trochę czasu. Ustawiliśmy się ławą wszerz kabiny, oparte o fotele, z pistoletami wymierzonymi w kłębiącą się grupę trzydziestu zdezorientowanych baranków.

Pistolety nie robią wrażenia tylko na największych chojrakach. Paralizator służbowy w gruncie rzeczy jest zwykłym plastikowym prętem z dwiema kratkami oddalonymi od siebie o kilkanaście centymetrów. Nie ma w nim dość metalu, by uruchomić alarm na lotnisku. A w oczach ludzi z czasów od epoki kamienia łupanego do około dwa tysiące sto dziewięćdziesiątego roku wygląda raczej jak długopis niż broń. Dlatego Dział Wyposażenia pakuje paralizatory w plastikową obudowę nadającą im wygląd blasterów z komiksów o Bucku Rogersie, z tuzinem gałek, błyskającymi światełkami i lufą jak świński ryj. Mało kto zbliża się do nich na wyciągnięcie ręki.

– Jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie, czasu jest mało. Postępujcie zgodnie z zaleceniami, a nic wam się nie stanie.

Nie możesz dać im czasu do namysłu, musisz zdać się na swój status Naczelnego Autorytetu. I tak nie zrozumieją sytuacji, jakkolwiek im ją wytłumaczysz.

– Zaraz, zaraz, chyba winne nam jesteście...

Prawnik na pokładzie. Podjęłam szybką decyzję, pstryknęłam kciukiem włącznik fajerwerków i strzeliłam.

Pistolet wydał dźwięk latającego talerza z hemoroidami, plunął iskrami i małymi smugami ognia, wysunął zielony laserowy palec do czoła mężczyzny. Facet upadł.

Pic na wodę, oczywiście. Ale robi wrażenie. I jest też cholernie ryzykowne. Musiałam zdecydować, co lepsze: wybuch paniki, kiedy barani łeb pobudzi ich do myślenia, czy potencjalny wybuch paniki na widok błysku z pistoletu. Kiedy jednak dwudziesty zaczyna gadać o swoich „prawach” i o tym, co mu jesteśmy „winne”, sytuacja może się wymknąć spod kontroli. To bywa zaraźliwe.

Poskutkowało. Było dużo krzyku, ludzie chowali się za fotelami, ale nikt się na nas nie rzucił. Jasne, tak czy owak dałybyśmy sobie radę, ale część z nich musiała pozostać przytomna, żebyśmy mogli dokończyć operację.

– Wstawać. Wstawać, glisty! – wrzasnęła Cristabel. – Jest zamroczony, to wszystko. Ale następnego, który będzie się stawiał, zabiję naprawdę. No już, wstawać i robić, co mówię. Najpierw dzieci! Szybko, najszybciej jak możecie, przejdźcie na przód samolotu. Tam zrobicie, co każe stewardesa. Maluchy, ruszcie się!

Pobiegłam przodem do klasy pierwszej, uklękłam przy otwartych drzwiach ubikacji.

Dzieci struchlały ze strachu. Było ich pięćcioro, niektóre płakały, widok, który zawsze chwytła mnie za gardło. Patrzyły w lewo i w prawo na martwych ludzi w fotelach klasy

pierwszej, potykały się, bliskie paniki.

– Chodźcie! – zawołałam do nich, przybierając mój specjalny uśmiech. – Rodzice za minutkę do was dołączą. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Chodźcie.

Troje udało się przeprowadzić. Czwarta stawiała opór. Nie wejdzcie w te wrota i już. Rozłożyła ręce i nogi tak, że nie mogłam jej przepchnąć na drugą stronę. A dziecka nie uderzę, nigdy w życiu. Zadrapała paznokciami moją twarz. Spadła mi peruka i dziewczynka zdębiała na widok mojego gołego czerepu. Wepchnęłam ją w portal.

Piąty siedział w przejściu między siedzeniami i ryczał wniebogłosy. Miał może siedem lat. Podbiegłam do niego, wzięłam na ręce, przytuliłam i pocałowałam, po czym wrzuciłam do portalu. Boże, padałam ze zmęczenia, ale byłam potrzebna w klasie turystycznej.

– Ty, ty, ty i ty. Zgoda, ty też. Pomóżcie mu, dobrze? – Pinky swoim wprawnym okiem potrafiła wyłowić tych, którzy w niczym się nie przydadzą, nawet samym sobie. Zapędziłyśmy ich na przód samolotu, potem ulokowałyśmy się po lewej stronie, żeby trzymać na muszce naszych przymusowych pomocników. Szybko ich przekonaliśmy. Wkrótce już wlekli bezwładne ciała w stronę dziobu najszybciej, jak mogli. Ja i Cristabel byłyśmy w klasie turystycznej, reszta w przedniej części samolotu.

Mój organizm już katabolizował adrenalinę; przyływ energii minął, ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Na tym etapie nieuchronnie zaczynam współczuć nieszczęsnym, głupim barankom. Jasne, wszystko to dla ich dobra, jasne, zginęliby, gdybyśmy nie wyprowadzili ich z samolotu. Kiedy jednak zobaczą, co jest po drugiej stronie, nieprędko uwierzą własnym oczom.

Pierwsi przymusowi pomocnicy wracali po następną partię nieprzytomnych, oszołomieni tym, co przed chwilą zobaczyli: dziesiątki ludzi wpychanych do ubikacji, która powinna być zatłoczona, a była pusta. Jeden student wyglądał, jakby dostał pięścią w brzuch. Zatrzymał się obok mnie, jego oczy patrzyły błagalnie.

– Proszę pani, ja naprawdę chcę wam pomóc, tylko... co się dzieje? To jakaś nowa technika prowadzenia akcji ratowniczej? To znaczy, rozbijemy się czy...

Przełączyłam pistolet na tryb lekkiego rażenia i musnęłam lufą jego policzek. Wydał zduszony okrzyk i odskoczył do tyłu.

– Zamknij, kurde, pysk i pospiesz się, bo zabiję. – Minie ładnych kilka godzin, zanim szczęka powróci mu do stanu pozwalającego na zadawanie kolejnych głupich pytań.

Opróżniłyśmy turystyczną i przeszłyśmy dalej. Paru pomocników już ledwo zipało. Wszyscy umięśnieni jak konie, a ledwo daliby radę wbiec na jedno piętro po schodach. Pozwoliłyśmy kilku przejść na drugą stronę, w tym dwojgu, którzy mieli co najmniej pięćdziesiąt lat. Je-zu. Pięćdziesiąt! Zostało czterech mężczyzn i dwie kobiety. Wyglądali na silnych i goniłyśmy ich do roboty, aż padali z nóg. Grunt, że w dwadzieścia pięć minut uwinęłyśmy się ze wszystkimi.

Kiedy się rozbierałyśmy, z portalu wyłonił się przenośny zasobnik. Cristabel zapukała do drzwi kokpitu i wyszedł Dave, już nagi. Zły znak.

– Musiałem ich uspić – powiedział. – Cholerny kapitan uparł się, żeby przedefilować przez samolot. Próbowałem wszystkiego.

Czasem nie ma innego wyjścia. Stery przejął autopilot, co akurat na tym etapie rejsu było normalne. Gdyby jednak ktoś z nas doprowadził do uszkodzenia samolotu, w jakikolwiek sposób zmienił ustalony bieg wydarzeń, to byłby koniec. Cały wysiłek poszedłby na marne, a lot numer sto dwadzieścia osiem stałby się dla nas niedostępny na wieki wieków. Nie znam się na teorii czasu, ale znam jej praktyczne konsekwencje. Możemy podejmować działania w przeszłości tylko w wybranych momentach i miejscach, wtedy, kiedy mamy pewność, że interwencja niczego nie zmieni. I musimy zatrzeć po sobie ślady. Owszem, jest pewna doza elastyczności; kiedyś jedna Przechwytyjąca zostawiła swój pistolet. Spadł razem z samolotem. Nikt go nie znalazł, a jeśli nawet, to nie miał bladego pojęcia, co to takiego, więc wszystko grało.

Przyczyną katastrofy lotu numer sto dwadzieścia osiem była awaria mechaniczna. Takie są najlepsze; to znaczy, że nie musimy do samego końca ukrywać przed pilotem sytuacji w kabinie. Możemy go uspić i przejąć stery, bo przecież i tak nie byłby w stanie uratować samolotu. Kiedy maszyna rozbija się wskutek błędu pilota, przechwyt jest praktycznie niewykonalny. Nasza działka to głównie wypadki w powietrzu, bomby i usterki konstrukcji. Jeśli ocalała choć jedna osoba, nie możemy się mieszać. To naruszyłoby tkanę czasoprzestrzeni, która jest niezmienna (choć bywa rozciągliwa), a my wszyscy zniknęlibyśmy i pojawili się z powrotem w sali odpraw.

Bolała mnie głowa. Koniecznie musiałam skorzystać z zasobnika.

– Kto wylatał najwięcej godzin w siedemsetsiedemkach? – Pinky, jak się okazało, wysłałam ją więc do kokpitu razem z Dave’em, który miał rozmawiać głosem pilota z kontrolą lotów. Nagrania na czarnej skrzynce też musiały być wiarygodne. Pociągnęli za sobą dwie długie rurki wychodzące z zasobnika, my podłączyłyśmy się z bliska. Stałyśmy każda z garścią papierosów, pragnąc je wypalić do końca, a zarazem mając nadzieję, że nie starczy na to czasu. Portal zniknął, kiedy tylko wrzuciłyśmy do niego nasze ubrania i załogę.

Nie martwiłyśmy się długo. Owszem, akcja przechwytywa ma też inne zalety, ale niczego nie da się porównać z przyływem energii wywołanym podłączeniem do przenośnego zasobnika. Transfuzja na przebudzenie to nic innego jak świeża krew, bogata w tlen i cukry. Teraz do naszych żył wpływała obłędna mieszanka wysoko stężonej adrenaliny, przesyconej hemoglobiny, metedryny, samogonu, trotylu i soczku rozweselającego. Była jak fajerwerk eksplodujący w sercu; jak kop w zad, aż skarpetki zlatują.

– Włosy mi rosną na kłacie – powiedziała Cristabel śmiertelnie poważnym tonem. Wszystkie zachichotałyśmy.

– Poda mi ktoś moje gałki oczne?

– To te niebieskie czy te czerwone?

– Chyba tyłek mi odpadł.

Nie pierwszy raz słyszałyśmy te wszystkie żarty, ale i tak zarykiwałyśmy się ze śmiechu. Byłyśmy silne, niezwykle silne, i przez jedną złotą chwilę nie miałyśmy żadnych zmartwień. Wszystko nas bawiło. Mogłabym rżęsami rozdzierać blachę.

Ta mikstura jednak aż za mocno nakręca. Kiedy czas mijał i nic, portal nie ukazywał się i nie ukazywał, rany boskie, czemu jeszcze go nie ma, zaczęłyśmy się nerwowo wiercić. Ten

samolot długo już nie polata.

I wtedy portal się pojawił, a my natychmiast się ożywiłyśmy. Wyłonił się pierwszy słaby, w ubraniu pasażera, którego z założenia miał przypominać.

– Po tamtej stronie minęły dwie godziny i trzydzieści pięć minut – oznajmiła Cristabel.

– Je-zu.

To otepiająco rutynowa czynność. Chwytasz uprząż na ramionach słabego i wleciesz go przez samolot, uprzednio sprawdzisz numer miejsca wymalowany na jego czole. Farba po trzech minutach zanika. Sadowisz go w fotelu, zapinasz pas, zdejmujesz mu uprząż, zanosisz ją z powrotem i wrzucasz do portalu, z którego natychmiast wypada następny słaby. Trzeba ufać, że po drugiej stronie zrobili, co do nich należy: plomby w zębach, odciski palców, wzrost, waga, kolor włosów, wszystko to musi się zgadzać. Większość tych szczegółów nie ma dużego znaczenia, zwłaszcza w przypadku lotu numer sto dwadzieścia osiem, zakończonego całkowitym rozbiciem maszyny. Zostaną tylko strzępki, i to zwęglone. Nie wolno jednak ryzykować. Ekipy ratownicze niezwykle sumiennie badają odnalezione szczątki; stan uzębienia i linie papilarne są szczególnie ważne.

Nienawidzę słabych. Naprawdę. Ilekroć chwytam uprząż, w której jest dziecko, zastanawiam się, czy to Alice. Czy jesteś moją córką, ty kaleko, ty niemoto, ty oślizła glisto? Przystąpiłam do Przechwytyjących zaraz po tym, kiedy bakcyle wyżarły życie z mózgu mojego dziecka. Nie mogłam znieść myśli, że ona była ostatnim pokoleniem, że ostatni ludzie w dziejach żyć będą z pustką w głowach, klinicznie martwi nawet według kryteriów obowiązujących w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, podłączeni do komputerów stymulujących ich mięśnie, by utrzymać je w stanie sprawności. Dorastasz, wchodzisz w wiek dojrzewania wciąż płodna – jako jedna z tysiąca – spieszo ci, by od razu zająć w ciążę. Potem dowiadujesz się, że mamusia albo tatuś przekazali ci w genach nieuleczalną chorobę i że żadne z twoich dzieci nie będzie na nią odporne. Ja wiedziałam, co to paratrąd; jeszcze w dzieciństwie palce u nóg mi gniły i odpadały. Ale tego już było dla mnie za wiele. Cóż począć?

Tylko co dziesiąty słaby miał wykończoną twarz. Trzeba dużo czasu i wprawy, by skonstruować nową twarz, która zwiedzie lekarza prowadzącego sekcję zwłok. Resztę dostarczano z gotowymi obrażeniami. Mamy miliony takich jak oni; nietrudno o odpowiedniego zmiennika. Większość będzie oddychała, dopóki się nie rozbiją razem z samolotem; za głupi byli, żeby przestać.

Maszyną szarpnęło. Zerknęłam na zegarek. Pięć minut do katastrofy. Powinniśmy zdążyć. Właśnie wlokłam ostatniego słabego. Słyszałam, jak Dave gorączkowo wzywa kontrolę lotów. Z portalu wyleciała bomba, wrzuciłam ją do kokpitu. Pinky włączyła zapalnik ciśnieniowy i wybiegła, Dave tuż za nią. Liza już była po drugiej stronie. Chwyciłam bezwładne lalki w strojach stewardes i zwaliłam je na podłogę. Odpadł silnik, jego fragment przebił kabinę. Zaczęła się dekompresja. Bomba rozerwała część kokpitu (specjaliści od wypadków lotniczych orzekną – miejmy nadzieję – że fragment silnika wdarł się do środka i zabił załogę: na czarnej skrzynce nie zachowują się już żadne słowa pilota). Samolot powoli przechylił się w lewo i opadł. Wyrzuciło mnie w stronę dziury w bocznej ścianie, ale

zdołałam się przytrzymać fotela. Cristabel nie miała tyle szczęścia. Pęd powietrza porwał ją w głąb kabiny.

Maszyna poszła lekko w górę, wytracając prędkość. Cristabel, leżąca w przejściu między siedzeniami, nagle znalazła się poniżej mnie. Krew płynęła z jej skroni. Zerknęłam w tył; wszyscy zniknęli, zostały tylko trzy bezwładne słabe w różowych kostiumach. Nastąpiło przeciągnięcie, potem dziób poszedł w dół i moje nogi oderwały się od podłogi.

– Dawaj, Bel! – wrzasnęłam. Byłam może metr od portalu, ale przytrzymując się kolejnych foteli, ruszyłam ku Cristabel, wiszącej w powietrzu. Samolot podskoczył i runęła na podłogę. Nie do wiary, ale to ją ocuciło. Popłynęła w moim kierunku i złapałam ją za rękę, kiedy podłoga znów uderzyła w nas od dołu. Czołgałyśmy się przez miotany przedśmiertnymi drgawkami samolot, aż dotarłyśmy do drzwi ubikacji. Portal zniknął.

Nie było nic do powiedzenia. Zginieemy w katastrofie. Utrzymywanie portalu w samolocie poruszającym się po linii prostej jest trudne. Kiedy maszyna wchodzi w korkociąg i rozpada się na kawałki, szanse powodzenia są takie, że strach myśleć. Tak słyszałam.

Objęłam Cristabel i przytuliłam jej zakrwawioną głowę. Była półprzytomna, ale zdołała się uśmiechnąć i wzruszyć ramionami. Człowiek musi brać, co dają. Szybko wciągnęłam ją do ubikacji i usiadłyśmy na podłodze. Ja plecami do przedniej przegrody, Cristabel między moimi nogami, plecami do przodu. Jak na szkoleniu. Zaparłyśmy się stopami każda o przeciwną ścianę. Mocno przytuliłam Cristabel i płakałam w jej ramię.

I wtedy się pojawiła. Zielona poświata po mojej lewej. Rzuciłam się ku niej, ciągnąc za sobą Cristabel, nisko pochylona, by uniknąć zderzenia z dwiema słabymi wyrzuconymi głowami naprzód przez portal ponad nami. Dłonie chwyciły nas i wciągnęły do środka. Przez dobre pięć metrów czołgałam się, drapiąc paznokciami po podłodze. Zdarza się, że noga zostaje po drugiej stronie, a nie miałam zapasowej.

Usiadłam prosto, kiedy zabrali Cristabel do izby chorych. Poklepałam jej ramię, gdy nieśli ją obok mnie na noszach, ale była nieprzytomna. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby też zemdleć.

W pierwszej chwili nie możesz uwierzyć, że to wszystko się naprawdę wydarzyło. Czasem okazuje się, że faktycznie się nie wydarzyło. Po powrocie odkrywasz, że baranki w zagrodzie nagle, po cichu, zniknęły, bo kontinuum czasoprzestrzenne nie chce zaakceptować zmian i paradoksów, które do niego wprowadziliście. Ludzie, których w pocie czoła usiłowałeś ocalić, kończą rozsmarowani jak keczup na zboczu jakiegoś cholernego wzgórza w Karolinie, a tobie zostaje tylko sterta zmaltretowanych słabych i wyczerpany Zespół Przechwytowy. Nie tym razem jednak. Baranki kłębiły się w zagrodzie, nagie i oszołomione jak nigdy w życiu. I zaczynały się naprawdę bać.

Elfreda dotknęła mnie, kiedy przechodziłam obok. Kiwnęła głową, co oznaczało „dobra robota” w jej ograniczonym repertuarze gestów. Wzruszyłam ramionami, niepewna, czy to mnie obchodzi, ale w żyłach jeszcze miałam nadmiar adrenaliny, więc mimowolnie uśmiechnęłam się do niej szeroko. I skinęłam głową w odpowiedzi.

Gene stał przy zagrodzie. Podeszłam, uściskałam go. Poczułam przypływ wigoru. Diabła tam, przehulajmy część przydziału i zabawmy się.

Ktoś walił w sterylną szklaną ścianę zagrody. Kobieta. Krzyczała, miotając w nas bezgłośnymi, gniewnymi słowami. „Dlaczego? Coście nam zrobili?”. To była Mary Sondergard. Błagała swoją łysą, jednonogą bliźniaczkę, by pomogła jej zrozumieć. I ona myślała, że ma problemy. Boże, ależ była ładna. Nienawidziłam jej z całego serca.

Gene odciągnął mnie od ściany. Bolały mnie dłonie, połamalam wszystkie sztuczne paznokcie, mimo że nie drapałam szkła. Sondergard siedziała na podłodze i szlochała. Z zewnętrznego głośnika płynął głos oficera prowadzącego odprawę.

– ...Centauri 3 nadaje się do zamieszkania, klimatem przypomina Ziemię. Przez co rozumiem waszą Ziemię, nie planetę, którą się stała. Sami zobaczycie. Podróż potrwa pięć lat według czasu pokładowego. Po lądowaniu każdemu z was przysługiwać będzie jeden koń, pług, trzy siekiery, dwa kwintale ziarna siewnego...

Oparłam się o ramię Gene'a. Nawet teraz, kiedy byli na dnie, znacznie nas przewyższali. Ja miałam przed sobą może dziesięć lat życia, z czego połowę spędzę jako wrak. Oni są naszą największą nadzieją, jedynym promykiem optymizmu. Od nich wszystko zależy.

– ...że nikt nie będzie zmuszony do wyjazdu. Pragniemy przypomnieć, nie po raz ostatni, że wszyscy zginęlibyście, gdyby nie nasza interwencja. Trzeba wam jednak kilka rzeczy wiedzieć. Nie możecie oddychać naszym powietrzem. Jeśli zostanieie na Ziemi, nigdy nie opuścicie tego budynku. Nie jesteśmy tacy jak wy. Powstaliśmy w wyniku odsiewu genetycznego, procesu mutacji. Przetrwaliśmy, ale nasi nieprzyjaciele ewoluują razem z nami. I wygrywają. Wy jednak jesteście odporni na choroby, które nas atakują...

Skrzywiłam się i odwróciłam głowę.

– ...z drugiej strony, ci z was, którzy wyemigrują, dostaną szansę na to, by rozpocząć życie od nowa. Nie będzie łatwo, ale jako Amerykanie powinniście być dumni ze swojej pionierskiej spuścizny. Wasi przodkowie przetrwali, wy też sobie poradzicie. Może to być dla was cennym doświadczeniem i zachęcam, abyście...

Pewnie, że tak. Spojrzeliśmy na siebie z Gene'em i parsknęliśmy śmiechem. Posłuchajcie, panie i panowie. Pięć procent z was w ciągu następnych kilku dni dozna załamania nerwowego i nigdy stąd nie wyjedzie. Mniej więcej tyle samo popełni samobójstwo, tutaj i w drodze. Kiedy dotrzecie na miejsce, sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent nie przeżyje pierwszych trzech lat. Będziecie umierali w połogu, pożerać was będą zwierzęta, pochowacie dwoje z trójki nowo narodzonych dzieci, będziecie powoli konali z głodu, gdy nie spadnie deszcz. Jeśli przetrwacie, to tylko po to, by od świtu do zmroku zginać plecy za pługiem. Nowa Ziemia to raj, panie i panowie!

Boże, jakżebym chciała polecieć z nimi.

JESTEŚCIE WOLNI

Joe Hill

Joe Hill rozpoczął swoją karierę przed prawie dwudziestu laty opowiadaniem pod tytułem *Lepiej niż w domu*, a pierwszą powieść – bestseller *Pudełko w kształcie serca* – wydał w 2007 roku. Od tamtego czasu napisał trzy wysoko oceniane powieści, zbiór nowel (*Dziwna pogoda*), dziesiątki opowiadań (wiele opublikowanych w *Upiorach XX wieku*) i nagrodzony cykl powieści graficznych „Locke & Key”. Jest synem waszego uniżonego redaktora, który nie mógłby być bardziej dumny z tej więzi. Oto jedna z jego najbardziej przerażających opowieści, napisana specjalnie do tej antologii. Módlmy się, aby nigdy nie stała się rzeczywistością.

GREGG HOLDER W BIZNESOWEJ

Holder pije trzecią szkocką, udając nieporuszonego tym, że siedzi obok sławnej kobiety, kiedy wszystkie telewizory w kabinie gasną i na ekranach wyświetla się wiadomość wypisana białymi drukowanymi literami. UWAGA WAŻNY KOMUNIKAT.

Głośniki trzeszczą. Pilot ma młody głos, głos speszzonego nastolatka przemawiającego przed żałobnikami na pogrzebie.

– Drodzy państwo, mówi kapitan Waters. Dostałem wiadomość od naszego personelu naziemnego i po namyśle uznałem, że wypada się nią z państwem podzielić. W bazie lotniczej Andersen na Guamie doszło do incydentu i...

Głos się urywa. Następuje długa, pełna napięcia chwila ciszy.

– ...powiedziano mi – podejmuje Waters raptownie – że Dowództwo Sił Strategicznych Stanów Zjednoczonych utraciło łączność z naszymi wojskami na miejscu i kancelarią gubernatora regionu. Naoczni świadkowie donoszą, że... że z daleka widać było błysk. Jakiś błysk.

Holder nieświadomie wciska się w oparcie fotela, jakby reagując na nagłe turbulencje. Co to, u licha, znaczy „jakiś błysk”? Błysk czego? Tyle rzeczy może błyskać na tym świecie. Dziewczyna może błysnąć uśmiechem. Monety mogą błysnąć w ręku gracza. Pioruny błyskają. Całe życie może w jednym rozbłysku przelecieć przed oczami. Czy błysnąć może Guam? Cała wyspa?

– Powiedźże, czy dostali bombą nuklearną, proszę – szepcze sławna kobieta po jego lewej tym swoim eleganckim, zamożnym, przesłodzonym głosem.

Kapitan Waters mówi dalej:

– Przykro mi, ale nie wiem nic ponadto, a to, co wiem, jest takie... – Znów zawiesza głos.

– Bulwersujące? – podpowiada sławna kobieta. – Przygnębiające? Przerazające? Druzgocące?

– Niepokojące – kończy Waters.

– Niech będzie – mówi sławna kobieta z pewnym niezadowoleniem.

– To na razie wszystko – ciągnie Waters. – Niezwłocznie prześlemy państwu wszelkie nowe informacje. Aktualnie lecimy na wysokości jedenastu tysięcy metrów i jesteśmy prawie w połowie drogi. Powinniśmy wylądować w Bostonie nieco wcześniej, niż planowaliśmy.

Słychać zgrzyt, ostry trzask i na monitorach znów włączają się filmy. Mniej więcej połowa klasy biznesowej ogląda ten sam, o superbohaterze. Kapitan Ameryka rzuca tarczą niby frisbee o stalowych ostrzach, powalając groteskowe stwory, które wyglądają, jakby dopiero co wylazły spod łóżka.

Po drugiej stronie przejścia między siedzeniami od Holdera siedzi czarna dziewięcio-

dziesięcioletnia dziewczynka. Wpatrzona w swoją matkę, pyta głosem, który niesie się po kabinie:

– Gdzie konkretnie jest Guam? – To „konkretnie” urzeka Holdera, jest takie belferskie i dorosłe.

Matka dziewczynki odpowiada:

– Nie wiem, kotku. Chyba gdzieś koło Hawajów. – Nie patrzy na córkę. Zerka to tu, to tam, z oszołomioną miną, jakby czytała niewidzialną instrukcję. „Jak rozmawiać o ataku nuklearnym z twoim dzieckiem”.

– Blżej Tajwanu – mówi Holder do dziewczynki, wychylając się nad przejściem między siedzeniami.

– Zaraz na południe od Korei – dodaje sławna kobieta.

– Ciekawe, ilu ludzi tam żyje – rzuca Holder.

Celebrytka unosi brew.

– W tej chwili? Sądząc z komunikatu, który właśnie usłyszeliśmy, niewielu.

ARNOLD FIDELMAN W EKONOMICZNEJ

Skrzypek Fidelman podejrzewa, że bardzo ładna i niezdrowo wyglądająca nastolatka z sąsiedniego miejsca jest Koreanką. Ile razy zsuwa słuchawki z uszu – żeby powiedzieć coś stewardesie albo posłuchać najnowszego komunikatu – z jej samsunga płyną dźwięki, zdaje się, K-popu. Fidelman sam przez kilka lat kochał się w Koreańczyku, dziesięć lat młodszym od niego, który uwielbiał komiksy i świetnie, choć trochę za ostro, grał na wioli, a w końcu popełnił samobójstwo, rzucając się pod pociąg czerwonej linii metra w Los Angeles. Nazywał się Tak, jak w wyrażeniach „tak to już jest”, „tak to się ułożyło”, „tak bywa” czy też „tak więc nie wiem, co zrobić”. Oddech Taka zawsze pachniał słodko jak mleko migdałowe, jego oczy patrzyły nieśmiało, własne szczęście budziło w nim wstyd. Fidelman sądził, że Tak był szczęśliwy, aż do dnia, kiedy skoczył jak tancerz baletowy prosto pod koła pięćdziesięciotonowej lokomotywy.

Fidelman pragnie pocieszyć dziewczynę, a jednocześnie nie chce się narzucać, przeszkadzać jej w przeżywaniu lęku. Biję się z myślami, co powiedzieć i czy w ogóle cokolwiek, aż w końcu delikatnie trąca ją łokciem. Kiedy nastolatka wyjmuję słuchawki z uszu, Fidelman mówi:

– Może się napijesz? Zostało mi pół puszki nietkniętej coli. Bez zarazków, piłem z kubka.

Na jej twarzy pokazuje się lekki, wystraszony uśmiech.

– Dziękuję. Strasznie skręca mnie w brzuchu.

Bierze puszkę i pociąga łyk.

– Bąbelki pomagają na kłopoty żołądkowe – mówi on. – Zawsze powtarzam, że ostatnim, o co poproszę na łożu śmierci, będzie zimna coca-cola. – Fidelman to samo mówił innym, wiele razy, ale gdy tylko słowa wychodzą z jego ust, żałuje, że nie może ich cofnąć. Wydaje

się, że w tych okolicznościach zabrzmiały niefortunnie.

– Mam tam rodzinę – mówi dziewczyna.

– Na Guamie?

– W Korei – odpowiada ona i znów posyła mu ten nerwowy uśmiech. Pilot nie wspomniał w swoim komunikacie o Korei, ale każdy, kto w ostatnich trzech tygodniach oglądał CNN, wie, że to tam trzeba szukać przyczyny zaistniałej sytuacji.

– Której Korei? – pyta zwalisty facet po drugiej stronie przejścia. – Tej dobrej czy tej złej?

Grubas ma rażąco czerwony golf, który podkreśla rumieńce na jego twarzy o kształcie miodowego melona. Jest tak otyły, że wylewa się z fotela. Zepchnął swoją sąsiadkę – drobną brunetkę spiętą jak zbyt często kryta charcica – pod samo okno. W klapie marynarki mężczyzny tkwi emaliowana przypinka z flagą amerykańską. Fidelman już wie, że nigdy nie mógłby się z nim zaprzyjaźnić.

Dziewczyna zerka z zaskoczeniem na grubasa i wygładza sukienkę na udach.

– Korei Południowej – odpowiada, nie dając się wciągnąć w jego gierkę z dzieleniem na tych dobrych i tych złych. – Mój brat właśnie się ożenił w Czedżu. Wracam na uczelnię.

– Czyli gdzie? – pyta Fidelman.

– Na MIT.

– Jestem zaskoczony, że się dostałaś – mówi grubas. – Muszą przyjąć określoną liczbę niedouczonej dzieciaków z getta, mają narzucone kwoty. Przez to zostaje mniej miejsc dla ludzi takich jak ty.

– To znaczy jakich? – pyta Fidelman, powoli, wyraźnie artykułując każde słowo. To. Znaczy. Jakich? Prawie pięćdziesiąt lat bycia gejem nauczyło Fidelmana, że błędem jest puszczać pewne uwagi mimo uszu.

Grubas jest niespeszony.

– Ludzi z odpowiednią wiedzą. Ludzi, którzy na to zapracowali. Ludzi, którym arytmetyka niestraszna. Matematyka to coś więcej niż tylko wyliczanie reszty z zakupu torebki z marihuaną. Wiele modelowych społeczności imigranckich straciło na wprowadzeniu gwarantowanych kwot przyjęć. Zwłaszcza Azjaci.

Fidelman śmieje się – to ostry, napięty, niedowierzający śmiech. Dziewczyna z MIT jednak opuszcza powieki i siedzi nieruchomo. Fidelman otwiera usta, żeby nawrzucać spaszemu sukinsynowi, po czym je zamyka. Zachowałby się nie w porządku wobec swojej sąsiadki, gdyby zrobił scenę.

– Mowa jest o Guamie, nie Seulu – uspokaja ją. – I nie wiemy, co się stało. To może być wszystko. Wybuch w elektrowni. Zwyczajny wypadek, nie... nie jakaś katastrofa. – Pierwszym słowem, jakie przyszło mu do głowy, było „holokaust”.

– Brudna bomba – stwierdza grubas. – Stawiam stowę. Wkurzył się, bo prawie załatwiliśmy go w Rosji.

„On” to Najwyższy Przywódca Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Krążą plotki, że ktoś próbował go zastrzelić podczas oficjalnej wizyty państwowej po rosyjskiej stronie jeziora Chasan, zbiornika wodnego na granicy między oboma krajami. Pojawiły się niepotwierdzone doniesienia, że dostał w ramię, kolano albo nie dostał w ogóle; że zginął

dypłomata stojący obok niego; że zabity został jeden z sobowtórów Najwyższego Przywódcy. Według internetu sprawcą był radykalny antyputinowski anarchista, agent CIA podający się za pracownika Associated Press bądź gwiazdor K-popu występujący pod pseudonimem Extra Value Meal. Departament Stanu USA i media północnokoreańskie z rzadką zgodnością utrzymują, że podczas wizyty Najwyższego Przywódcy w Rosji nikt do nikogo nie strzelał, nie było żadnej próby zamachu. Jak wielu z tych, którzy śledzą tę sprawę, Fidelman sądzi, że to oznacza, iż Najwyższy Przywódca rzeczywiście otarł się o śmierć.

Prawdą jest też, że osiem dni temu amerykański okręt podwodny patrolujący Morze Japońskie zestrzelił rakietę testowaną przez Koreę Północną w północnokoreańskiej przestrzeni powietrznej. Rzecznik rządu KRLD nazwał to aktem agresji i zapowiedział stosowny odwet. No, nie całkiem. Obiecał wypchać usta każdego Amerykanina popiołem. Sam Najwyższy Przywódca nie zabrał głosu. Nie widziano go od próby zamachu, której nie było.

– Nie byliby aż tak głupi – mówi Fidelman do grubasa nad głową Koreanki. – Proszę pomyśleć, czym to by się skończyło.

Drobna, żylasta brunetka patrzy ze służalczym uwielbieniem na zwalistego sąsiada i Fidelman nagle zaczyna rozumieć, dlaczego ona toleruje to, że jego brzuszysko narusza jej przestrzeń osobistą. Są razem. Ta kobieta go kocha. Może nawet ubóstwia.

Grubas odpowiada ze spokojem:

– Stawiam stówę.

LEONARD WATERS W KOKPICIE

Gdzieś pod nimi jest Dakota Północna, ale Waters widzi tylko pofałdowany przestwór chmur ciągnący się po horyzont. Nigdy nie był w Dakocie Północnej i kiedy próbuje ją sobie wyobrazić, umysł podsuwa mu obrazy starego, rdzewiejącego sprzętu rolniczego, Billy’ego Boba Thorntona i ukradkowych aktów pedalstwa w silosach zbożowych. W radiu słychać głos kontrolera z Minneapolis, który instruuje boeinga siedemset trzydzieści siedem, by wszedł na poziom trzy-sześć-zero i zwiększył prędkość do siedemdziesięciu ośmiu setnych macha.

– Byłeś kiedyś na Guamie? – pyta jego pierwsza oficer ze sztuczną wesołością.

Waters nigdy dotąd nie latał z drugim pilotem kobietą i ledwo może się zdobyć na to, by na nią spojrzeć, bo jest tak piękna, że płakać się chce. Z taką twarzą powinna być na okładkach kolorowych pism. Zanim poznał ją w sali konferencyjnej lotniska w Los Angeles, dwie godziny przed startem, wiedział o niej tyle, że nazywa się Bronson. Wyobrażał sobie kogoś w stylu faceta z oryginalnego *Życzenia śmierci*.

– Byłem w Hongkongu – mówi Waters, pragnąc, by nie była tak nieprzyzwoicie urocza.

Waters jest po czterdziestce, a wygląda na jakieś dziewiętnaście lat, to smukły mężczyzna

o krótko ostrzyżonych rudych włosach, z mapą piegów na twarzy. Niedawno wziął ślub, wkrótce zostanie ojcem; do tablicy przyrządów przyczepione jest zdjęcie jego pękatej jak dynia żony w letniej sukience. Nie chce czuć pociągu do nikogo innego. Wstyd mu, nawet kiedy tylko zauważa atrakcyjną kobietę. Jednocześnie nie chce być zimny, sztywny, wyniosły. Dumny jest z tego, że jego linia lotnicza zatrudnia coraz więcej kobiet pilotów. Pragnie je wspierać, chwalić. Wszystkie piękne kobiety są ciężką próbą dla jego duszy.

– W Sydney. Tajwanie. Ale nie na Guamie.

– Nurkowałam ze znajomymi przy plaży Fai Fai. Na wstrzymanym oddechu. Raz byłam dość blisko żarłacza czarnopłetwego, żeby go pogłaskać. Freediving nago to jedyna rzecz lepsza od latania.

Słowo „nago” przeszywa go dreszczem. To jego pierwsza reakcja. Druga jest taka, że przecież to oczywiste, że ona zna Guam, służyła w marynarce, tam nauczyła się latać. Kiedy zerka na nią z ukosa, ku swojemu przerażeniu dostrzega łyzy na jej rzęsach.

Kate Bronson napotyka jego spojrzenie i obdarza go krzywym, wstydliwym uśmiechem, obnażającym wąską szparę między dwoma przednimi zębami. Waters próbuje wyobrazić ją sobie z ogoloną głową i nieśmiertelnikami na szyi. Nie jest to trudne. Może i wygląda jak modelka z okładki kolorowego pisma, ale pod jej urodą kryje się coś lekko drapieżnego, napięta, szorstka zuchwałość.

– Nie wiem, czemu płaczę. Dziesięć lat tam nie byłam. W sumie nie mam na Guamie żadnych przyjaciół.

Waters przebiega myślą kilka pocieszających uwag i odrzuca wszystkie po kolei. Nie spełniłyby dobrego uczynku, mówiąc, że może nie jest tak źle, jak jej się wydaje, gdy prawdopodobnie jest znacznie gorzej.

Słychać stukanie do drzwi. Bronson podrywa się, wyciera policzki wierzchem dłoni, zagląda w judasza, otwiera zatrzaski.

To Vorstenbosch, zmanierowany główny steward, pulchny, lalusiowaty mężczyzna o falujących blond włosach i małych oczach osłoniętych grubymi okularami w złotych oprawkach. Na trzeźwo jest spokojnym, pedantycznym profesjonalistą, po pijaku staje się rozkosznie wulgarnym złośliwcem.

– Ktoś zrzucił jądrówkę na Guam? – pyta.

– Kontrola lotów przekazała tylko, że straciliśmy kontakt – wyjaśnia Waters.

– Co to konkretnie znaczy? – pyta Vorstenbosch. – Mam samolot pełen przerażonych ludzi i nie wiem, co im mówić.

Bronson uderza się głową w sufit, kiedy wraca na swoje miejsce za sterami. Waters udaje, że nie zauważył. Udaje, że nie widzi, że ręce jej się trzęsą.

– To znaczy, że... – zaczyna Waters, ale wtedy w radiu rozlega się sygnał, a po nim komunikat do wszystkich w przestrzeni powietrznej Minneapolis. Głos kontrolera lotów z Minnesoty jest chropawy, płynny, spokojny. Jakby wygłaszał komunikat o obszarze wysokiego ciśnienia. Wyszukoleni są przybierać taki ton.

– Tu Minneapolis, mamy pilne instrukcje dla wszystkich samolotów na tej częstotliwości. Otrzymaliśmy polecenie od Dowództwa Strategicznego Stanów Zjednoczonych, by zwolnić

przestrzeń powietrzną dla jednostek startujących z Ellsworth. Wszystkie loty przekierowane zostają na najbliższe dostępne lotniska. Powtarzam, wszystkie loty komercyjne i rekreacyjne w przestrzeni powietrznej Minneapolis zostają uziemione. Proszę zachować czujność i niezwłocznie wykonywać nasze polecenia. – Przez chwilę słychać szum, po czym z wydaje się, autentycznym żalem Minneapolis dodaje: – Przykro nam, panie i panowie. Wuj Sam musi mieć dziś wolne niebo z uwagi na nieplanowaną wojnę światową.

– Lotnisko Ellsworth? – mówi Vorstenbosch. – Co jest na lotnisku Ellsworth?

– Dwudzieste Ósme Skrzydło Bombowców – odpowiada Bronson, drapiąc się po głowie.

VERONICA D'ARCY W BIZNESOWEJ

Samolot mocno się przechyla i Veronica D'Arcy patrzy prosto w dół, na zmiętą pierzynę chmur. Snopy oślepiającego światła słonecznego wdzierają się przez okna po drugiej stronie kabiny. Przystojny pijaczyna obok niej – kosmyk ciemnych włosów opadający mu na czoło przywodzi jej na myśl Cary'ego Granta, a może Clarka Kenta – nieświadomie zaciska dłoń na podłokietnikach. Ciekawa jest, czy boi się latać, czy jest zwykłym moczymordą. Pierwszą szkocką wypił, kiedy tylko osiągnęli wysokość przelotową, trzy godziny temu, o dziesiątej z minutami.

Ekran gasną i znów pojawia się napis UWAGA WAŻNY KOMUNIKAT. Veronica zamyka oczy, żeby posłuchać, skupia się jak na próbie przedzjęciowej, kiedy inny aktor po raz pierwszy odczytuje swoje kwestie.

KAPITAN WATERS (głos z offu)

Drodzy państwo, tu kapitan Waters. Z przykrością informuję, że dostaliśmy nieoczekiwane polecenie od kontroli lotów, aby obrać kurs na Fargo i wylądować na międzynarodowym lotnisku Hector. Poproszono nas, żebyśmy niezwłocznie opuścili tę przestrzeń powietrzną... (niespokojna przerwa)

...z uwagi na rozpoczęte manewry wojskowe. Jest oczywiste, że sytuacja na Guamie wywołała pewne, hm, utrudnienia dla wszystkich, którzy dziś są w powietrzu. Nie ma powodu do niepokoju, ale będziemy musieli wylądować. Spodziewamy się dotrzeć do Fargo za czterdzieści minut. Wszelkie nowe informacje będę państwu przekazywał na bieżąco.

(przerwa)

Przepraszam was, panie i panowie. Nie takiego popołudnia się spodziewaliśmy.

Gdyby to był film, kapitan nie brzmiałby jak nastolatek przechodzący najtrudniejszy etap okresu dojrzewania. Obsadziliby w tej roli kogoś szorstkiego, stanowczego. Może Hugh

Jackmana. Albo jakiegoś Brytola, gdyby zamarzył im się posmak erudycji, szczypta mądrości nabytej w Oxfordzie. Na przykład Dereka Jacobiego.

Veronica grywała u boku Dereka przez prawie trzydzieści lat. Trzymał ją w ramionach za kulisami tamtego wieczoru, kiedy umarła jej matka, dodawał jej otuchy łagodnym, krzepiącym szeptem. Godzinę później stali w strojach Rzymian przed czterystu osiemdziesięcioma ludźmi i Boże, ależ on był dobry tego wieczoru i ona też, wtedy to przekonała się, że może grać w każdych okolicznościach, tu i teraz również, więc sobie poradzi. W duchu jest już spokojniejsza, oddała od siebie wszystkie troski, cały niepokój. Wiele lat minęło, odkąd ostatnio czuła coś, czego uprzednio nie postanowiła poczuć.

– Myślałam, że za wcześnie zaczął pan pić – mówi do siedzącego obok mężczyzny. – Wychodzi na to, że ja zaczęłam za późno. – Unosi mały plastikowy kubek wina, które podano jej do lunchu, mówi „zdrówko” i pije do dna.

Sąsiad odwraca się do niej z uroczym, swobodnym uśmiechem.

– Nigdy nie byłem w Fargo, chociaż oglądałem serial. – Przymruża oczy. – Grała pani w *Fargo*? Jakoś mam takie wrażenie. Robiła pani coś związanego z medycyną sądową, a potem Ewan McGregor panią udusił.

– Nie, kochany. Ma pan na myśli *Kontraktowe zabójstwo* i zabił mnie James McAvoy. Garotą.

– Ano rzeczywiście. Wiedziałem, że kiedyś widziałem pani śmierć. Często pani umiera?

– Och, na okrągło. Kiedyś kręciłam film z Richardem Harrisem, cały dzień mu zajęło, żeby zatłuc mnie lichtarzem. Pięć różnych ustawień kamery, czterdzieści dubli. Biedak, ależ był wykończony.

Oczy jej sąsiada wychodzą z orbit, co mówi Veronice, że oglądał ten film i pamięta jej rolę. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata i była naga, to nie przesada, w każdej scenie. Córka ją kiedyś zapytała: „Mamo, kiedy właściwie odkryłaś, że istnieje coś takiego jak ubranie?”. Jej odpowiedź: „Zaraz po tym, jak urodziłam cię, kochanie”.

Córka Veroniki jest tak piękna, że sama mogłaby grać w filmach, ale zamiast tego robi kapelusze. Na myśl o niej Veronica czuje rozkoszny ucisk w piersi. Niczym nie zasłużyła na tak rozsądną, szczęśliwą, mocno stąpającą po ziemi córkę. Gdy myśli o sobie – gdy wspomina własny egoizm i narcyzm, to, jak mało troskliwą była matką, jak bardzo zaprzętała ją kariera – rzeczą niemożliwą wydaje się, że ma w swoim życiu tak dobrą osobę.

– Jestem Gregg – mówi sąsiad. – Gregg Holder.

– Veronica D’Arcy.

– Co sprowadziło panią do Los Angeles? Nowa rola? A może pani tam mieszka?

– Ściągnęli mnie na apokalipsę. Gram mądrą starą kobietę z pustkowia. Przynajmniej zakładałam, że to będzie pustkowie. Widziałam tylko zielone tło. Mam nadzieję, że prawdziwa apokalipsa zaczeka do premiery filmu. Myśli pan, że jest na to szansa?

Gregg patrzy przez okno na pejzaż z chmur.

– Pewnie, że tak. To Korea Północna, nie Chiny. Czym mieliby nas zaatakować? Nas apokalipsa ominie. Ich raczej nie.

– Ilu ludzi żyje w Korei Północnej? – Pytanie pada z ust dziewczynki po drugiej stronie

przejścia, tej w komicznie wielkich okularach. Słuchała w skupieniu ich rozmowy, teraz wychyla się ku nim z bardzo dorosłą miną.

Jej matka posyła Greggowi i Veronice napięty uśmiech, klepie córkę po ramieniu.

– Nie przeszkadzaj państwu, kochanie.

– Nie przeszkadza mi – mówi Gregg. – Nie wiem, dziecko. Ale wielu z nich mieszka na farmach rozrzuconych po prowincji. Zdaje się, że mają tylko jedno duże miasto. Cokolwiek się stanie, jestem pewien, że większości nic nie grozi.

Dziewczynka odchyła się na oparcie i popada w zamyślenie, po czym obraca się w bok, żeby szepnąć coś matce. Kobieta mocno zaciska oczy i kręci głową. Veronica ciekawa jest, czy ona zdaje sobie sprawę, że nadal klepie córkę po ramieniu.

– Mam córkę mniej więcej w jej wieku – mówi Gregg.

– Ja mam córkę mniej więcej w pana wieku – informuje go Veronica. – Kocham ją nade wszystko na świecie.

– Mhm. Ja też. To znaczy, moją, nie pani córkę. Chociaż pani córka na pewno też jest wspaniała.

– Leci pan do niej?

– Tak. Żona zadzwoniła z prośbą, żebym skrócił wyjazd służbowy. Zakochała się w mężczyźnie poznanym na Facebooku i chce, żebym przypilnował dziecka w czasie, kiedy ona pojedzie do Toronto spotkać się z facetem.

– O mój Boże. Nie mówi pan poważnie. Było chociaż wcześniejsze ostrzeżenie?

– Tak sobie myślałem, że zbyt dużo czasu spędzała w internecie, choć trzeba uczciwie przyznać, że w jej przekonaniu ja za często się upijałem. Chyba jestem alkoholikiem. Pewnie w zaistniałych okolicznościach wypadłoby coś z tym zrobić. Myślę, że na początek dopiję to. – I wlewa w gardło resztkę szkockiej.

Veronica jest rozwiedziona – dwukrotnie – i zawsze była boleśnie świadoma tego, że to ona ponosi odpowiedzialność za rozpad obu małżeństw. Kiedy myśli o swoich brzydkich postępkach, o tym, jak podle wykorzystała Roberta i François, ogarnia ją wstyd i złość na samą siebie, siłą rzeczy cieszy się więc, że może okazać współczucie i solidarność skrzywdzonemu mężczyźnie u jej boku. Każda okazja do pokuty, nawet symbolicznej, jest dobra.

– Bardzo mi przykro. To straszne, kiedy człowiekowi zasuważą taką bombę.

– Co pani powiedziała? – pyta dziewczynka po drugiej stronie przejścia, znów wychylając się ku nim. Ciemnobrązowe oczy za okularami zdają się w ogóle nie mrugać. – Zasuniemy na nich bombę jądrową?

Jest bardziej zaciekawiona niż wystraszona, ale na te słowa jej spanikowana matka wypuszcza powietrze głośnym, nerwowym wydechem.

Gregg znów wychyla się w stronę dziecka, kwaśno, ale życzliwie uśmiechnięty, i Veronica nagle pragnie być dwadzieścia lat młodsza. Mogłaby być dobrą partią dla takiego faceta jak on.

– Nie wiem, jakie rozwiązania militarne wchodzi w grę, więc pewności mieć nie mogę. Ale... – Urywa, gdy kabinę wypełnia targający nerwy skowyt silników odrzutowych.

Przelatuje samolot, za nim dwa następne, bok w bok. Jeden jest tak blisko lewego skrzydła, że Veronica dostrzega mężczyznę w kokpicie, z kaskiem na głowie i twarzą przesłoniętą aparaturą umożliwiającą oddychanie. Samoloty te prawie w niczym nie przypominają siedemsetsiedemdziesiątkisiódemki wiozącej ich na wschód... To potężne żelazne sokoły w szarym, ołowianym odcieniu czubków naboju. Wzburzone powietrze wstrząsa boeingiem. Pasażerowie krzyczą, chwytają się jeden drugiego. Dokuczliwy dźwięk bombowców przecinających im drogę przesywa do głębi, czuć go w trzewiach. Maszyny znikają w oddali, zostawiając długie smugi kondensacyjne wyrzyte w jasnym błękitcie.

Zapada trwoźna, pełna napięcia cisza.

Veronica D'Arcy spogląda na Gregga Holdera i widzi, że rozwalił swój plastikowy kubek, zgniół go w pięści i połamał na kawałki. On w tej samej chwili zauważa, co zrobił, i ze śmiechem kładzie szczątki na podłokietniku.

Potem odwraca się do dziewczynki i kończy zdanie tak, jakby nic mu ani na chwilę nie przerwało.

– Ale powiedziałbym, że wszystko na to wskazuje.

JENNY SLATE W EKONOMICZNEJ

B-jedynki. – Ukochany mówi do niej swobodnym, prawie zadowolonym tonem głosu. – Lancery. Kiedyś przewoziły broń jądrową, ale czarny Jezus kazał z tym skończyć. Mimo to nadal mają wystarczającą siłę rażenia, żeby usmażyć wszystkie psy w Pjongjangu. Co jest poniekąd zabawne, bo żeby w Korei Północnej dostać smażonego psa, zwykle trzeba wcześniej zrobić rezerwację.

– Powinni byli się zbuntować – mówi Jenny. – Dlaczego się nie zbuntowali, kiedy mieli okazję? Czy oni chcieli obozów pracy? Chcieli głodować?

– Na tym polega różnica między zachodnim a orientalnym sposobem myślenia – mówi Bobby. – Dla nich indywidualizm to coś nienormalnego. – Dodaje szeptem: – Myślą trochę tak, jak mrówki w mrowisku.

– Przepraszam – mówi Żyd ze środkowego rzędu, siedzący obok młodej Azjatki. Nie mógłby wyglądać bardziej żydowsko, nawet gdyby miał brodę, pejsy i szal modlitewny na ramionach. – Mógłby pan mówić trochę ciszej? Moja sąsiadka mocno to przeżywa.

Prawda jest taka, że Bobby starał się mówić cicho, ale jego głos, nawet znizony, brzmi dość tubalnie. Nie pierwszy raz mają z tego powodu kłopoty.

– Niepotrzebnie – mówi Bobby. – Od jutra Korea Południowa więcej nie będzie musiała się bać psychopatów zza strefy zdemilitaryzowanej. Rozdzielone rodziny połączą się na nowo. No. Niektóre rodziny. Tradycyjne bomby nie odróżniają wojskowych od cywilów.

Bobby mówi ze swobodną pewnością nabytą przez dwadzieścia lat realizowania materiałów dla serwisów informacyjnych koncernu medialnego, który ma około siedemdziesięciu lokalnych stacji telewizyjnych i specjalizuje się w upowszechnianiu treści

wolnych od uprzedzeń panujących w mediach głównego nurtu. Był w Iraku, w Afganistanie. Podczas epidemii eboli pojechał do Liberii zrobić reportaż o planach ISIS, by wykorzystać wirus jako broń biologiczną. Bobby'ego nic nie przeraża. Nic nie wyprowadza go z równowagi.

Jenny była samotną matką w ciąży, wyrzuconą przez rodziców z domu, pracowała na stacji benzynowej, a w przerwach między zmianami sypiała w składziku, kiedy Bobby zafundował jej zestaw w McDonalddie i oznajmił, że nie obchodzi go, kim jest ojciec dziecka. Obiecał, że będzie je kochał jak własne. Jenny już była zapisana na aborcję. Bobby powiedział jej, spokojnie, cicho, że jeśli z nim pójdzie, on zapewni jej i dziecku dobre, szczęśliwe życie, ale jeżeli pojedzie do przychodni, zamorduje dziecko i zatraci własną duszę. Poszła z nim i było tak, jak obiecał, od początku do końca. Kochał ją jak trzeba, od początku ją hołubił; był jej cudem. Nie potrzebowała rozmnożenia bochenków i ryb, by uwierzyć. Bobby wystarczał. Jenny czasem wyobrażała sobie, że jakiś liberał – lewak, może jeden z tych od Berniego Sandersa – próbuje go zabić, a ona osłania męża własnym ciałem, przyjmuje na siebie przeznaczoną dla niego kulę. Zawsze chciała za niego umrzeć. Pocałować go, czując w ustach smak swojej krwi.

– Szkoda, że nie mamy telefonów – nagle mówi ładna Azjatka. – W niektórych samolotach są telefony. Chciałabym, żeby można było zadzwonić do... kogoś. Kiedy bombowce dolecą do celu?

– Nawet gdyby telefon był, trudno byłoby uzyskać połączenie – wyjaśnia Bobby. – Jednym z pierwszych ruchów, jakie wykonają Stany Zjednoczone, będzie odcięcie łączności w regionie, i możliwe, że nie ograniczą się tylko do KRLD. Chodzi o to, by zapobiec zagrożeniu, że agenci na Południu, uspiiony rząd, pokierują kontratakami. Poza tym, w tej chwili po telefon sięga każdy, kto ma rodzinę na Półwyspie Koreańskim. To byłoby tak, jakby próbować dodzwonić się na Manhattan jedenastego września, tylko że tym razem kolej na nich.

– Kolej na nich? – obrusza się Żyd. – Kolej na nich? Jakoś nie widziałem raportu obwiniającego Koreę Północną o zniszczenie World Trade Center. Wydawało mi się, że stała za tym Al-Kaida.

– Korea Północna latami sprzedawała im broń i informacje – poucza go Bobby. – To wszystko się ze sobą wiąże. Korea Północna od dziesięcioleci jest głównym eksporterem Żądzy Zniszczenia Ameryki.

Jenny trąca męża ramieniem.

– Przynajmniej tak było do niedawna – mówi. – Teraz chyba zastąpili ich ci z ruchu Black Lives Matter. – Faktycznie powtarza coś, co Bobby powiedział znajomym kilka wieczorów temu. Wydało jej się to dowcipne, a wie, że on lubi słyszeć, jak inni przytaczają jego najlepsze teksty.

– O rany. O rany! – irytuje się Żyd. – Nigdy w świecie rzeczywistym nie słyszałem nic bardziej rasistowskiego. Jeśli wkrótce zginą miliony ludzi, to dlatego, że miliony takich jak pani postanowiły oddać władzę w ręce niekompetentnych, zaślepionych nienawiścią kretynów.

Dziewczyna zamyka oczy i odchyła się na oparcie fotela.

– Jakim niby człowiekiem jest moja żona? – pyta Bobby, unosząc brew.

– Bobby – uspokaja go Jenny. – Wszystko w porządku. To mnie nie rusza.

– Nie pytałem, czy to cię rusza. Zapytałem tego dżentelmena, o jakich ludziach mówi.

Żyd ma ogniste czerwone plamy na policzkach.

– Ludziach, którzy są okrutni, zarozumiali... i niedouczeni.

Odwraca się.

Bobby całuje żonę w skroń i odpina pas.

MARK VORSTENBOSCH W KOKPICIE

Vorstenbosch przez dziesięć minut uspokaja ludzi w ekonomicznej, a przez następne pięć wyciera piwo z głowy Arnolda Fidelmana i pomaga mu zmienić sweter. Zapowiada Fidelmanowi i Robertowi Slate'owi, że jeśli przed lądowaniem jeszcze raz wstaną z miejsc, na lotnisku obaj zostaną aresztowani. Slate przyjmuje to ze spokojem, zaciąga pas i kładzie dłonie na kolanach, patrząc przed siebie z pogodną miną. Fidelman wygląda, jakby chciał zaprotestować. Niezdrowo blady, trzęsie się bezradnie i uspokaja dopiero wtedy, kiedy steward opatula kocem jego nogi. Pochylając się nad fotelem Fidelmana, Vorstenbosch szepcze, że po lądowaniu wspólnie złożą doniesienie i że Slate odpowie za napaść werbalną i fizyczną. Fidelman zerka na niego z zaskoczeniem i wdzięcznością; geje muszą sobie pomagać w świecie pełnym Robertów Slate'ów.

Główny steward też dostaje mdłości i na chwilę wchodzi do ubikacji, aby ochłonać. W kabinie pasażerskiej, przedniej i tylnej jej części, śmierdzi wymiocinami i strachem. Dzieci łkają rozpaczliwie. Vorstenbosch widział dwie modlące się kobiety.

Poprawia włosy, myje ręce, bierze jeden głęboki oddech za drugim. Jego wzorem do naśladowania zawsze była postać grana przez Anthony'ego Hopkinsa w *Okruchach dnia*, filmie, w którym widzi nie tragedię, lecz raczej pochwałę życia poświęconego zdyscyplinowanej służbie. Vorstenbosch czasem żałuje, że nie jest Brytyjczykiem. Od razu rozpoznał Veronicę D'Arcy w klasie biznesowej, wie, że na pokładzie jest słynna aktorka, ale jako profesjonalista musi zachować pozory.

Już spokojniejszy wychodzi z ustępu i rusza do kokpitu, by powiedzieć kapitanowi Watersowi, że po lądowaniu trzeba wezwać ochronę lotniska. Przystaje w biznesowej i pomaga kobiecie, która się zapowietrzyła. Gdy bierze ją za rękę, przypomina mu się chwila, kiedy po raz ostatni trzymał dłoń swojej babci; leżała wtedy w trumnie, jej palce były tak samo zimne i pozbawione życia. Vorstenboscha aż trzęsie ze złości na myśl o bombowcach – idioci, zawsze muszą się popisywać – przelatujących tak blisko jego samolotu. Ten brak poszanowania bliźnich budzi jego wstręt. Oddycha głęboko razem z kobietą, zapewnia ją, że wkrótce wylądują.

Kokpit jest pełen słońca i spokoju. To go nie zaskakuje. Wszystko w tej robocie

zorganizowane jest tak, żeby nawet kryzys – a to jest kryzys, choć taki, którego nigdy nie przećwiczyli w symulatorach – był sprawą rutynową, kwestią wykonania określonych czynności zgodnie z ustalonym rozkładem.

Pierwsza oficer to twarda dziewczucha, która zabrała ze sobą do samolotu drugie śniadanie w brązowej papierowej torbie. Kiedy podkasła lewy rękaw, Vorstenbosch dostrzegł fragment tatuażu, białego lwa tuż nad nadgarstkiem. Patrząc na nią, widzi jej przeszłość: dzieciństwo w domu na kołach, brat uzależniony od opiatów, rozwód rodziców, pierwsza praca w Walmarcie, rozpaczliwa ucieczka do wojska. Ogromnie ją polubił – jakżeby mogło być inaczej? Jego wczesne lata wyglądały podobnie, tyle tylko, że zamiast uciec do armii, pojechał do Nowego Jorku, żeby otwarcie być gejem. Kiedy ostatnim razem wpuściła go do kokpitu, próbowała ukryć łzy, fakt, który ściska serce Vorstenboscha smutkiem. Nic nie sprawia mu większego bólu niż cierpienie innych.

– Co się dzieje? – pyta Vorstenbosch.

– Siadamy za dziesięć minut – mówi Bronson.

– Przy dobrych układach – uściśla Waters. – W kolejce przed nami czeka pół tuzina samolotów.

– Jakież wieści z drugiego końca świata? – docieka Vorstenbosch.

Przez chwilę żadne z nich nie odpowiada. Wreszcie, sztywnym, nieobecny głosem, Waters mówi:

– Instytut Badań Geologicznych donosi, że na Guamie zarejestrowano wstrząs sejsmiczny o sile sześć koma trzy w skali Richtera.

– Co odpowiadałoby dwustu pięćdziesięciu kilotonom – dodaje Bronson.

– To była głowica – mówi Vorstenbosch. W zasadzie to nie jest pytanie.

– Coś się też stało w Pjongjangu – mówi Bronson. – Godzinę przed Guamem telewizja państwowa przełączyła się na obraz kontrolny. Chodzą słuchy, że stracono grupę wysokich oficjeli. Czyli albo doszło do przewrotu pałacowego, albo próbowaliśmy obalić reżim serią precyzyjnych zabójstw i to im się nie spodobało.

– Co możemy dla ciebie zrobić, Vorstenbosch? – pyta Waters.

– W ekonomicznej była bójka. Jeden facet oblał piwem drugiego...

– Noż kurwa mać – wtrąca Waters.

– Udzieliłem im ostrzeżenia, ale może wypadaloby, żeby na lotnisku czekała policja. Zdaje się, że ofiara będzie chciała wnieść skargę.

– Powiadomię Fargo, ale niczego nie obiecuję. Coś czuję, że lotnisko to teraz jeden wielki dom wariatów, a ochrona ma ręce pełne roboty.

– Druga sprawa: kobieta z biznesowej dostała ataku paniki. Nie chce niepokoić córki, ale ma kłopoty z oddychaniem. Kazałem jej oddychać w torebkę na wymioty. Chciałbym jednak, żeby na lotnisku czekało na nią pogotowie z butlą tlenową.

– Załatwione. Coś jeszcze?

– Kilkanaście minikryzysów, ale obsługa ma sytuację pod kontrolą. Aha, byłbym zapomniiał. Może podać któremuś z was nieregulaminową szklaneczkę piwa albo wina?

Zerkają na niego. Bronson uśmiecha się szeroko.

- Chcę mieć z tobą dziecko, Vorstenbosch – mówi. – Byłoby słodkie.
- Podpisuję się pod powyższym – dorzuca Waters.
- Czyli odpowiedź brzmi „tak”?

Waters i Bronson spoglądają na siebie.

- Lepiej nie – decyduje Bronson.

Waters kiwa głową.

– Ale jak tylko siądziemy – dodaje po chwili – chętnie wypiję najzimniejsze dos equis, jakie znajdziesz.

– Wiecie, co najbardziej lubię w lataniu? – pyta Bronson. – Na tej wysokości zawsze jest słonecznie. Wydaje się, że w tak pogodny dzień nie może się zdarzyć nic złego.

Podziwiają morze chmur, kiedy biały puch pod nimi przesywa setka dzid. Sto słupów białego dymu pnie się ku niebu ze wszystkich stron. Wygląda to jak sztuczka magiczna, jak gdyby chmury miały ukryte pióra, które nagle się nastroszyły. Chwilę później uderza w nich grom, wstrząsają nimi turbulencje i samolot, jakby dostał kopniaka, zostaje odrzucony w górę i w bok. Tuzin czerwonych światełek mruga na tablicy przyrządów. Wyją alarmy. Vorstenbosch widzi to wszystko, kiedy podłoga ucieka mu spod nóg. Przez chwilę zawisa w powietrzu jak spadochron, jakby był człowiekiem uszytym z jedwabiu i wypełnionym powietrzem. Uderza głową w ścianę. Spada tak szybko, tak gwałtownie, jak gdyby w podłodze kokpitu otworzył się właz, pod którym rozciąga się tylko niezmierny przestwór błękitnego nieba.

JANICE MUMFORD W BIZNESOWEJ

Mamo! – krzyczy Janice. – Mamo, zobacz! Co to?

To, co dzieje się na niebie, jest mniej niepokojące od wydarzeń w kabinie. Ktoś krzyczy: srebrzysta nić dźwięku przesywa głowę Janice na wylot. Dorośli jęczą tak, jak Janice wyobraża sobie zawroty głowy.

Siedemset siedemdziesiąt siedem przechyla się na lewo, potem gwałtownie przewala się w prawo. Samolot płynie przez labirynt gigantycznych filarów, krużganek jakiejś niewyobrażalnie wielkiej katedry. Janice musiała przeliterować KRUŻGANEK (łatwizna) na eliminacjach regionalnych w Englewood.

Jej matka, Millie, nie odpowiada. Miarowo oddycha w białą papierową torbę. Millie nigdy wcześniej nie latała, ani razu nie wyjechała z Kalifornii. Janice też nie, ale w odróżnieniu od mamy cieszyła się na jedno i drugie. Zawsze chciała polecieć dużym samolotem; marzy też o tym, żeby kiedyś zanurkować w łodzi podwodnej, chociaż w sumie zadowoliliby ją pływanie kajakiem ze szklanym dnem.

Orkiestra rozpaczy i trwogi przycicha łagodnym diminuendo (Janice literowała DIMINUENDO w pierwszej rundzie stanowego finału i mało, malusieńko brakowało, żeby dała plamę i poniosła upokarzającą porażkę na wczesnym etapie). Dziewczynka wychyla się

w stronę sympatycznego pana, który przez cały lot pije mrożoną herbatę.

– To były rakiety? – pyta.

Odpowiada pani aktorka. Ma urzekający brytyjski akcent. Janice słyszała brytyjskie akcenty tylko w filmach. Bardzo jej się podobają.

– ICBM-y – mówi. – Lecą na drugi koniec świata.

Janice zauważa, że pani aktorka trzyma za rękę tego znacznie od niej młodszego pana, który wypił tak dużo mrożonej herbaty. Twarz gwiazdy filmowej zastygła w wyrazie niemal lodowatego spokoju. Pan obok niej za to wygląda, jakby zbierało mu się na wymioty. Ścisła dłoń starszej kobiety tak mocno, że knykcie mu zbieleły.

– Jesteście krewnymi? – pyta Janice. Nie widzi innego powodu, dla którego ci dwoje mieliby się trzymać za ręce.

– Nie – odpowiada sympatyczny pan.

– To dlaczego trzymacie się za ręce?

– Bo się boimy – wyjaśnia gwiazda filmowa, choć nie wygląda na wystraszoną. – A trzymając się za ręce, czujemy się lepiej.

– Aha – mówi Janice i szybko chwyta wolną rękę matki. Mama patrzy na nią z wdzięcznością znad torebki, która rozdyma się i flaczeje jak papierowe płuco. Janice znów zerka na sympatycznego pana. – Chce pan wziąć mnie za rękę?

– Tak, chętnie – mówi on i wyciągają do siebie dłonie nad przejściem między siedzeniami.

– Co znaczy skrót ICBM?

– To angielska nazwa międzykontynentalnej rakiet balistycznej – wyjaśnia pan.

– Miałam kiedyś takie słowo! Musiałam przeliterować „międzykontynentalny” na zawodach regionalnych.

– Naprawdę? Bez przygotowania chyba nie dałbym rady.

– Och, to łatwe – mówi Janice i na dowód literuje wyraz.

– Wierzę na słowo. To ty jesteś ekspertką.

– Lecę do Bostonu na zawody w literowaniu. To międzynarodowy półfinał i jeśli mi dobrze pójdzie, dostanę się do finału w Waszyngtonie i będę w telewizji. Myślałam, że nigdy nie zobaczę żadnego z tych miast. No, ale myślałam też, że nigdy nie pojedę do Fargo. Nadal mamy tam lądować, prawda?

– Nie wiem, czy jest inne wyjście – mówi sympatyczny pan.

– Ile było tych rakiet? – pyta Janice i wyciąga szyję, żeby spojrzeć na wieże z dymu.

– Wszystkie – odpowiada gwiazda filmowa.

– Ciekawe, czy zdążymy na zawody – stwierdza Janice.

Tym razem odpowiada jej matka. Chrypi, jakby bolało ją gardło albo jakby płakała.

– Obawiam się, że nie, skarbie.

– Och – mówi Janice. – Tylko nie to. – Czuje się trochę tak, jak rok temu na szkolnych mikołajkach, kiedy jako jedyna nie dostała prezentu, bo wylosował ją Martin Cohassey, który zachorował na mononukleozę.

– Wygrałabyś – mówi jej matka i zamyka oczy. – I nie tylko w półfinale.

– To dopiero jutro wieczorem – zauważa Janice. – Może rano złapiemy inny samolot.

– Nie sędzę, żeby jutro rano ktokolwiek jeszcze latał – mówi sympatyczny pan przepraszająco.

– Przez coś, co się stanie w Korei Północnej?

– Nie – odpowiada jej nowy znajomy z drugiej strony przejścia. – Nie tam.

Millie otwiera oczy.

– Cii – mówi. – Proszę jej nie straszyć.

Ale Janice się nie boi, po prostu nie rozumie. Pan po drugiej stronie przejścia kołysze jej ręką w przód i w tył, w przód i w tył.

– Jakie najtrudniejsze słowo literowałaś? – pyta.

– Antropoceniczny – mówi Janice bez wahania. – Rok temu odpadłam na nim w półfinale. Niepotrzebnie wstawiłam „s”. To znaczy „z epoki człowieka”. Na przykład „era antropoceniczna jest bardzo krótka w porównaniu z innymi okresami geologicznymi”.

Pan chwilę na nią patrzy, po czym parska śmiechem.

– Sam lepiej bym tego nie ujął, mała.

Gwiazda filmowa patrzy przez okno na ogromne białe kolumny.

– Nikt nigdy nie widział takiego nieba. Te wieże z chmur. Bezkres pogodnego błękitu zamknięty za kratami dymu. Wyglądają, jakby podpierały niebiosa. Ależ piękne popołudnie. Niewykłuczone, że wkrótce znów zobaczy mnie pan umierającą, panie Holder. Nie wiem, czy mogę obiecać, że odegram tę rolę równie błyskotliwie, jak zwykle. – Zamyka oczy. – Tęsknię za córką. Raczej nie będzie mi dane... – Podnosi powieki, spogląda na Janice i milknie.

– To samo myślałem o mojej córce – mówi pan Holder. Odwraca głowę i patrzy na matkę Janice. – Zdaje sobie pani sprawę, jak wielkie ma szczęście? – Przenosi wzrok z Millie na Janice i z powrotem, i kiedy Janice zerka na mamę, ta przytakuje lekkim skinieniem głowy.

– Dlaczego masz szczęście, mamó? – pyta dziewczynka.

Millie ściska córkę i całuje ją w skroń.

– Bo jesteśmy dziś razem, głuptasku.

– Aha. – Janice nie bardzo rozumie, co to ma wspólnego ze szczęściem. Przecież są razem każdego dnia.

W którymś momencie uświadamia sobie, że sympatyczny pan puścił jej dłoń i kiedy spogląda na niego, widzi, że trzyma gwiazdę filmową w objęciach, a ona jego, i że się całują, dosyć czule, i Janice jest w szoku, normalnie w szoku, bo gwiazda filmowa jest dużo starsza od swojego sąsiada. Całują się zupełnie jak kochankowie na końcu filmu, chwilę przed tym, kiedy pojawiają się napisy końcowe i trzeba wyjść z kina i wrócić do domu. To tak niesłychane, że Janice nie może powstrzymać śmiechu.

A RA LI W EKONOMICZNEJ

Na ślubie brata w Czedżu A Ra przez chwilę miała wrażenie, że widziała ojca, który nie żyje od siedmiu lat. Uroczystość odbyła się w rozległym, uroczym prywatnym ogrodzie przeciętym na pół głęboką, chłodną, sztuczną rzeką. Dzieci garściami wrzucały pokarm do wody i patrzyły na kotłujące się karpie tęczowe, setki szamoczących się, pięknych ryb we wszystkich kolorach skarbów: różanozłote, platynowe, barwy świeżo wybitego miedziaka.

Spojrzenie A Ra przeniosło się z dzieci na misternie zdobiony kamienny mostek nad strumykiem i tam właśnie stał ojciec, w jednym ze swoich tanich garniturów, oparty o murek, patrzył na nią z szerokim uśmiechem na okrągłej, serdecznej twarzy zrytej głębokimi zmarszczkami. Tak się przestraszyła, że musiała odwrócić wzrok, z szoku na chwilę zabrakło jej tchu. Kiedy znów tam spojrzała, już go nie było. Potem, siedząc na swoim miejscu podczas ceremonii, doszła do wniosku, że tak naprawdę widziała tylko Dżuma, młodszego brata jej ojca, który miał taką samą fryzurę jak on. Łatwo w dniu pełnym wzruszeń pomylić jednego z drugim... zwłaszcza że postanowiła pójść na ślub bez okularów.

Na ziemi ta studentka lingwistyki ewolucyjnej na MIT pokłada wiarę w tym, co można udowodnić, udokumentować, poznać i zbadać. Teraz, w przestworzach, ma bardziej otwarty umysł. Siedemset siedemdziesiąt siedem – całe jego trzysta ileś ton – pędzi po niebie, utrzymywany w górze potężnymi, niewidocznymi siłami. Nicość dźwiga wszystko na swoim grzbiecie. To samo można powiedzieć o żywych i umarłych, przeszłości i teraźniejszości. „Teraz” to skrzydło, pod nim jest historia, podtrzymuje je. Ojciec A Ra uwielbiał dobrą zabawę – przez czterdzieści lat kierował wytwórnią śmiesznych gadżetów, dosłownie żył z zabawy. Tutaj, na niebie, skłonna jest uwierzyć, że nie pozwoliłby, aby śmierć zepsuła mu tak radosny wieczór.

– Boję się jak cholera – mówi Arnold Fidelman.

A Ra kiwa głową. Też się boi.

– I jestem strasznie wściekły. Kurewsko wściekły.

Przestaje potakiwać. Ona gniewu nie czuje i nie zamierza czuć. Zwłaszcza w takiej chwili.

– Ten tam skurwysyn, pan Uczyni Amerykę Zakurwiście Wielką – mówi Fidelman. – Chciałbym, żeby przywrócono dyby, tak tylko, na jeden dzień, wtedy ludzie mogliby go obrzucić błotem i kapustą. Myślisz, że doszłoby do czegoś takiego za rządów Obamy? Do całego tego... tego... szaleństwa? Posłuchaj. Kiedy wylądujemy... jeśli wylądujemy. Zostaniesz ze mną na lotnisku? Żeby zgłosić, co tu się stało? Jesteś bezstronnym świadkiem. Policja cię wysłucha. Aresztują tego obleśnego tłuściocha za to, że oblał mnie piwem, i niech przeżywa koniec świata w zawilgoconej, ciasnej celi razem z bandą obsranych, bełkocących pijaków.

Zamknęła oczy, próbuje wrócić myślami do ogrodu, w którym wyprawiono ślub. Chce stanąć nad sztuczną rzeką, odwrócić głowę i znów zobaczyć ojca na mostku. Tym razem nie chce się go bać. Chce spojrzeć mu w oczy i odwzajemnić uśmiech.

Nie zostanie jednak w swoim wyobrażonym ogrodzie. Głos Fidelmana narasta wraz z jego histerią. Tęgi mężczyzna po drugiej stronie przejścia, Bobby, słyszy końcówkę jego wypowiedzi.

– Jak będziesz się pan skarżył policji, mam nadzieję, że nie pominiesz pan tego, że nazwałś moją żonę zarozumiałą i niedouczoną – mówi.

– Bobby – wtrąca żona tęgiego mężczyzny, drobna kobieta patrząca na niego z uwielbieniem. – Przestań.

A Ra powoli, przeciągle wypuszcza oddech.

– Nikt niczego nie zgłosi policji w Fargo – mówi.
– Mylisz się – oświadcza Fidelman drżącym głosem. Nogi też mu drżą.
– Nie – mówi A Ra. – Wcale nie. Jestem tego pewna.
– Niby dlaczego? – pyta żona Bobby’ego. Ma jasne, ptasie oczy, gestykuluje szybkimi, ptasimi ruchami.

– Bo nie wylądujemy w Fargo. Samolot przestał krążyć nad lotniskiem kilka minut po odpaleniu rakiet. Nie zauważyliście? Od pewnego czasu już nie kołujemy. Skierowaliśmy się na północ.

– Skąd to wiesz? – docieka drobna kobieta.

– Słońce jest po lewej stronie samolotu. Stąd wniosek, że lecimy na północ.

Bobby i jego żona wyglądają przez okno. Kobieta wydaje cichy pomruk zaciekawienia i uznania.

– Co jest na północ od Fargo? – pyta. – I po co mielibyśmy tam lecieć?

Bobby powoli podnosi dłoń do ust, gest, który może wskazywać, że zastanawia się nad odpowiedzią, ale w którym A Ra dostrzega freudowski odruch. On już wie, dlaczego nie wylądają w Fargo, i nie zamierza powiedzieć tego na głos.

A Ra wystarczy zamknąć oczy, by zobaczyła w wyobraźni, gdzie głowice muszą być teraz: wysoko ponad ziemską atmosferą, już poza szczytem swojej śmiertelnej paraboli, opadają z powrotem do studni grawitacyjnej. Zostało pewnie niecałe dziesięć minut, zanim uderzą w drugi koniec planety. A Ra widziała co najmniej trzydzieści odpalonych rakiet, dwadzieścia więcej niż potrzeba, by zniszczyć państwo mniejsze od Nowej Anglii. A te trzydzieści, które zobaczyli na niebie, to z pewnością zaledwie ułamek wystrzelonego arsenału. Tak zmasowanego ataku nie można pozostawić bez proporcjonalnej odpowiedzi i międzykontynentalne rakiety amerykańskie niewątpliwie spotkały się w połowie drogi z setkami pocisków zmierzających w przeciwnym kierunku. Stała się rzecz straszna, rzecz, której nie można było uniknąć, kiedy ktoś już podpalił ten sznur geopolitycznych petard.

A Ra jednak nie po to zamyka oczy, by wyobrazić sobie atak i kontratak. Woli wrócić do Czedzu. Karpie kotłują się w rzece. Wieczór pachnie bujnym kwieciem i świeżo skoszoną trawą. Jej ojciec opiera się łokciami o kamienny murek mostka, na jego twarz wypływa łobuzerski uśmiech.

– Ten facet... – mówi Fidelman. – Ten facet i jego cholerna żona. Azjatów nazywa mrówkami. Rzuca w ludzi piwem, żeby ich zastraszyć. Ten facet i jego cholerna żona powierzyli władzę takim samym lekkomyślnym durniom jak oni i proszę, do czego to doprowadziło. Lecą pociski. – Głos mu się łamie z napięcia i A Ra wyczuwa, że jest bliski łez.

Znów otwiera oczy.

– Ten facet i jego cholerna żona są w tym samolocie razem z nami. Wszyscy jesteśmy w tym samolocie. – Spogląda w bok, na Bobby’ego i jego żonę. Słuchają jej. – Cokolwiek do tego doprowadziło, teraz wszyscy, powtarzam, wszyscy razem jesteśmy w tym samolocie. W powietrzu. W tarapatach. Uciekamy najszybciej, jak możemy. – Uśmiecha się. Ma wrażenie, że to jest uśmiech jej ojca. – Następnym razem, kiedy panu się zachce rzucić

w kogoś piwem, proszę zamiast tego mi je dać. Chętnie się napiję.

Bobby przez chwilę wpatruje się w nią zamyślonymi, zafascynowanymi oczami – po czym wybucha śmiechem.

Żona podnosi na niego wzrok.

– Dlaczego właściwie uciekamy na północ? – pyta. – Naprawdę uważasz, że Fargo może być celem ataku? Że my możemy być celem? Tutaj, w środku Stanów Zjednoczonych? – Jej mąż nie odpowiada, kobieta spogląda więc na A Ra.

A Ra waży w sercu, czy prawda byłaby aktem miłosierdzia, czy tylko kolejną napaścią. Jej milczenie jest wystarczającą odpowiedzią.

Kobieta zaciska usta i patrzy na męża.

– Jeśli mamy umrzeć, chcę, żebyś wiedział, że cieszę się, że będę przy tobie, kiedy to się stanie. Byłeś dla mnie dobry, Robercie Jeremy Slate.

On odwraca się do żony i całuje ją.

– Żartujesz sobie? – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że taki spaślak jak ja przygruchał sobie taką piękność jak ty. Łatwiej byłoby wygrać milion na loterii.

Fidelman patrzy na nich, po czym odwraca wzrok.

– No żeż kurwa mać. Tego tylko brakowało, żebyście zaczęli się zachowywać jak ludzie. – Zgniatą w dłoni przesiąknięty piwem papierowy ręcznik i rzuca nim w Boba Slate'a.

Mokry zwitek odbija się od skroni Bobby'ego. Tęgi mężczyzna odwraca głowę, spogląda na Fidelmana... i śmieje się. Ciepło.

A Ra zamyka oczy i odchyła głowę na oparcie.

Jest wonny wieczór wiosenny, ona idzie na mostek, na którym czeka tata.

Kiedy wchodzi na kamienny łuk, tata bierze ją za rękę i prowadzi do sadu, w którym tańczą ludzie.

KATE BRONSON W KOKPICIE

Kate kończy opatrywać ranną głowę Vorstenboscha, który jęczy, wyciągnięty na podłodze kokpitu. Wsuwa okulary stewarda do kieszeni jego koszuli. Lewe szkło pękło podczas upadku.

– Nigdy, przenigdy nie straciłem równowagi – mówi Vorstenbosch. – Ani razu przez dwadzieścia lat pracy w zawodzie. Jestem cholernym Fredem Astaire'em przestworzy. Nie. Cholerną Grace Kelly. Potrafię robić to, co wszystkie stewardesy, tylko że idąc tyłem i na wysokich obcasach.

– Nie widziałam ani jednego filmu z Fredem Astaire'em – stwierdza Kate. – Zawsze wolałam Sly'a Stallone'a.

– Profanka – mówi Vorstenbosch.

– Do szpiku kości – przytakuje ona i ściska jego dłoń. – Nie próbuj wstawać. Jeszcze nie.

Kate lekko podrywa się na nogi i wsuwa na miejsce obok Watersa. Kiedy rakiety

wystartowały, ekran radaru rozświetlił się co najmniej setką czerwonych punkcików oznaczających niezidentyfikowane obiekty, teraz jednak nie ma na nim nic oprócz innych pobliskich samolotów. Większość została w tyle, wciąż kołują nad Fargo. Kapitan Waters zmienił kurs, kiedy Kate zajmowała się Vorstenboschem.

– Co się dzieje? – pyta Bronson.

Twarz Watersa wygląda niepokojąco. Jest tak woskowata, że prawie bezbarwna.

– Zaczęło się na dobre – mówi. – Prezydenta ewakuowano w bezpieczne miejsce. Według stacji informacyjnych Rosja odpaliła rakiety.

– Dlaczego? – pyta ona, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Waters bezradnie wzrusza ramionami.

– Rosja albo Chiny, a może jedni i drudzy, poderwały myśliwce, żeby zmusić nasze bombowce do odwrotu, zanim doleczą do Korei – odpowiada. – Okręt podwodny na południowym Pacyfiku w odpowiedzi zaatakował rosyjski lotniskowiec. I tak dalej. I tak dalej.

– Czyli... – mówi Kate.

– Fargo odpada.

– Dokąd...? – Kate nie może wydobyć z siebie więcej niż krótkiego słowa za jednym podejściem. Brak jej tchu, czuje ucisk w piersi.

– Gdzieś na północy musi być miejsce, gdzie dałoby się wylądować, położone z dala od... od tego, co nadciąga. Miejsce, które nikomu nie zagraża. Może Nunavut? W zeszłym roku posadzili siedemsetsiedemdziesiątkę w Iqaluit. Mały, krótki pas na końcu świata, ale teoretycznie jest to do zrobienia i może wystarczy nam paliwa, żeby tam dolecieć.

– Trąba ze mnie – mówi Kate. – Nie pomyślałam, żeby wziąć kurtkę zimową.

– Widać loty na długich trasach to dla ciebie nowość – zauważa on. – Nigdy nie wiadomo, dokąd cię wyślą, więc zawsze trzeba na wszelki wypadek spakować kostium kąpielowy i ciepłe rękawice.

Rzeczywiście, loty na długich trasach to dla niej nowość – uprawnienia pilota siedemsetsiedemdziesiątki ma dopiero od pół roku – ale nie sądzi, by musiała wziąć sobie do serca radę Watersa. Przypuszcza, że nigdy więcej nie usiądzie za sterami samolotu pasażerskiego. Ani ona, ani Waters. Nie będzie dokąd latać.

Uświadamia sobie, że już nigdy nie zobaczy swojej matki, która mieszka na appalaskim zadupiu. Żadna strata. Mamuśka usmaży się wraz z ojczymem, który pchał łapska pod wranglery Kate, kiedy miała czternaście lat. Gdy się poskarżyła, mama stwierdziła, że sama jest sobie winna, skoro ubiera się jak dziwka.

Nigdy więcej nie zobaczy też swojego dwunastoletniego przyrodniego brata, a to ją smuci. Liam jest słodki, spokojny i ma autyzm. Kate podarowała mu drona na Boże Narodzenie i jego najulubieńszą rzeczą na całym świecie jest posyłanie go w przestworza i robienie zdjęć z lotu ptaka. Sama rozumie, dlaczego to takie fascynujące. Ona też, ilekroć wzlata w niebo, najbardziej lubi tę chwilę, kiedy domy kurczą się do rozmiarów modeli z zestawów kolejki elektrycznej. Po autostradach suną lśniące ciężarówki wielkości biedronek. Widziane z dużej wysokości jeziora zmieniają się w błyszczące srebrne lusterka ręczne. Całe miasto

wydaje się tak tycie, że zmieściłoby się na dłoni. Jej przyrodni brat Liam mówi, że chciałby być mały jak ludzie na zdjęciach, które robi swoim dronem. Że gdyby był taki mały jak oni, Kate mogłaby schować go do kieszeni i zabrać ze sobą.

Szybują nad północnym krańcem Dakoty Północnej, płyną w powietrzu, tak jak Kate kiedyś przecinała ciepłą wodę przy plaży Fai Fai, szklistą, jasną zieleń Pacyfiku. Jakże przyjemnie było unosić się, niby w stanie nieważkości, nad światem oceanu. Uwolnić się od grawitacji, myśli, to poczuć się jak czysty duch, wyrwać z oków ciała.

Wywołuje ich Minneapolis.

– Delta dwa trzy sześć, zboczyliście z kursu. Zaraz opuścicie naszą przestrzeń powietrzną, dokąd się kierujecie?

– Minneapolis – mówi Waters. – Obraliśmy kurs zero sześć zero, prosimy o zgodę na przekierowanie na Yankee Foxtrot Bravo, lotnisko Iqaluit.

– Delta dwa trzy sześć, dlaczego nie możecie wylądować w Fargo?

Waters długo siedzi pochylony nad przyrządami. Kropla potu spada z pluśnięciem na pulpit. Jego spojrzenie na chwilę ucieka w bok i Kate widzi, że kapitan patrzy na zdjęcie żony.

– Minneapolis, Fargo to jeden z celów pierwszego ataku. Na północy będziemy mieli większe szanse. Mamy dwieście czterdzieści siedem dusz na pokładzie.

Radio trzeszczy. Minneapolis namyśla się.

Niebo rozpała krótka, intensywna, niemal oślepiająca jasność, jakby gdzieś za samolotem rozblęsnął flesz wielkości słońca. Kate odwraca głowę od okien i zamyka oczy. Następuje głębokie, stłumione łupnięcie, raczej odczuwane niż słyszane, swoisty dreszcz egzystencjalny wstrząsający szkieletem samolotu. Kiedy Kate podnosi wzrok, przed oczami tańczą jej zielone plamki powidoku. Jakby znów nurkowała przy Fai Fai; otaczają ją jaskrawe, pierzaste liście i wijące się fluorescencyjne meduzy.

Wychyła się i wyciąga szyję. Coś świeci pod pokrywą chmur sto kilkadziesiąt kilometrów w tyle. Jedna z chmur zaczyna się odkształcać i rozszerzać, wybrzuszać ku górze.

Kiedy Kate opada z powrotem na swoje miejsce, rozlega się następny głęboki, przeszywający, stłumiony trask, któremu towarzyszy kolejny rozblęsk. Wnętrze kokpitu na chwilę staje się negatywem samego siebie. Tym razem Kate czuje uderzenie ciepła w prawy policzek, jakby ktoś włączył i wyłączył lampę kwarcową.

Minneapolis mówi:

– Przyjąłem, Delta dwa trzy sześć. Skontaktujcie się z Winnipeg jeden dwa siedem koma trzy. – Kontroler lotów mówi z prawie niedbałą obojętnością.

Vorstenbosch siada prosto.

– Widzę błyski.

– My też – mówi Kate.

– O mój Boże. – Watersowi łamie się głos. – Powinienem był spróbować zadzwonić do żony. Dlaczego tego nie zrobiłem? Jest w piątym miesiącu ciąży i została zupełnie sama.

– Nie możesz – mówi Kate. – I tak byś się nie dodzwonił.

– Dlaczego nie zadzwoniłem, żeby jej powiedzieć? – ciągnie Waters, jakby nie usłyszał.

– Ona wie – zapewnia Kate. – Teraz już wie. – Nie ma pojęcia, czy mówią o miłości, czy o apokalipsie.

Kolejny błysk. Kolejne głębokie, donośne, wymowne łupnięcie.

– Łączcie się z FIR Winnipeg – mówi Minneapolis. – Z Nav Canada. Delta dwa trzy sześć, jesteście wolni.

– Zrozumiałam, Minneapolis – odpowiada Kate, bo Waters ma twarz w dłoniach, wydaje ciche, zbolale jęki i nie może wydobyć z siebie ani słowa. – Dziękujemy. Uważajcie na siebie, chłopaki. Tu Delta dwa trzy sześć. Już nas nie ma.

Exeter, New Hampshire

3 grudnia 2017

Od autora: Dziękuję emerytowanemu pilotowi linii lotniczych Bruce’owi Blackowi za wtajemniczenie w procedury postępowania w kokpicie. Za wszelkie błędy techniczne odpowiadam ja i tylko ja.

PTAKI WOJNY

DAVID J. SCHOW

David Schow zasłynął w gatunku splatterpunk (podobno sam wymyślił tę nazwę), ma też w swoim dorobku kryminały, powieści i scenariusze, m.in. *Kruka* oraz najlepszego z rebootów *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną* (*Teksańska masakra piłą mechaniczną: Początek*, dla tych z was, którzy przywiązują wagę do szczegółów). *Ptaki Wojny* to imponująca i nadzwyczaj szczegółowa rekonstrukcja nalotów na Niemcy w czasie drugiej wojny światowej. Jest też sugestywnym portretem sił, które zostają wyzwolone, gdy ludzie ruszają na wojnę. „Myślę, że coś wtedy przebudziliśmy całym tym konfliktem”, mówi stary Jorgensen. „Całą tą nienawiścią. Całą tą śmiercią...”. Które to słowa mogą (albo i nie) tłumaczyć, co takiego zobaczyła załoga Shady Lady, kiedy wokół świszczały pociski, a powietrzem wstrząsały eksplozje.

Ptaki Wojny istniały naprawdę – powiedział starzec siedzący naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu. – Widziałem je. Bardziej rzeczywiste od gremlinów na przykład, mniej rzeczywiste od ciężaru pistoletu w dłoni.

Przebyłem setki kilometrów, by posłuchać wspomnień tego człowieka o moim nieżyjącym ojcu, a on poczęstował mnie bajeczką o latających potworach, jego nastroszone białe brwi szacowały, ile bzdur zdołam łyknąć. Spotkaliśmy się pierwszy raz i milczące wzajemne zaufanie między nami było czystą kurtuazją, stało na spocznij, dopóki nie zastąpi go coś głębszego.

Powinienem był zwrócić większą uwagę na tekst o pistolecie.

– Porządny gość był z twojego ojca – ciągnął Jorgensen, górny strzelec pokładowy. Czyli na pokładzie B-24D siedział w wieżycze górnej. Odrobiłem pracę domową. Znałem funkcje członków załogi; swoją nadzieję w dużej mierze czerpałem z odnalezionego zdjęcia z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – zrobionego przy jednej z tych nielicznych okazji, kiedy cała ekipa zebrała się w komplecie, by zapozować fotografowi. Każdemu przypisałem nazwisko, lista, którą zdobyłem, nie zawierała bowiem ani pełnych nazwisk, ani przydomków, a w tamtym czasie wszyscy nosili przydomki, zwykle będące zdrobnieniami imion otrzymanych na chrzcie: Bobby, Willy, Frankie, wydawałoby się – dzieciaki z osiedlowej bandy. Bo w sumie byli dzieciakami. Kiedy siedziałem z Jorgensenem, popijając kawę podaną przez jego siostrę Katie, to nieostre czarno-białe zdjęcie miało sześćdziesiąt pięć lat, a większość młodzińskich twarzy na nim należała do niespełna dwudziestolatków. Co najmniej dwóch członków załogi podało się za starszych, żeby zaciągnąć się do wojska. Jorgensen przekroczył osiemdziesiątkę, miał ją na karku. Jeszcze jeden ciężar. Artretyzm skulił jego dłonie w podkurczone szpony. Nie chciał przyznać, że niedosłyszy, mimo że nosił aparat słuchowy (duży, starszego typu, zakładany za ucho, z tak zwanym cielistym plecionym kablem, który biegł zawijasami do wzmacniacza schowanego w kieszeni koszuli). Oczy miał niebieskie, rozjaśnione patyną pożółkłych twardówek. Okulary wyczyszczone na wysoki połysk. Brzemie czasu lekko go przygięło, ale nie przygniotło, i oczekiwał, że uwierzę we wszystko, co mi powie, bo przecież był ode mnie starszy, a co takie szczyle jak ja mogą wiedzieć?

Brett Jorgensen, jak większość członków załóg bombowców podczas drugiej wojny światowej, po przebytych szkoleniu wylądował w Europie jako sierżant. Zażartował, że przed inwazją na Normandię niemieckie obozy jenieckie były przepełnione tysiącami zestrzelonych sierżantów. Rzucił mi takie kwiatki, żeby mnie sprawdzić; czy rzeczywiście wiem, o czym mówię, czy może jestem tylko jeszcze jednym ciurą, który postanowił wymazać ostatnią Wielką Wojnę z historii i pamięci?

– Sierżantów i poruczników – powiedziałem, wsypując sproszkowane chemikalia do mojej

wystygłej kawy. Jorgensen pił czarną. Naturalnie.

Powtórzenie słów rozmówcy zwykle skłania go do rozwinięcia tematu.

Odsunął się z krzesłem od stołu, po czym wychylił do przodu. Nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami, przemienionymi w prymitywne narzędzia chwytne. Serce mi drgnęło współczuciem, nie pierwszy raz.

– Twój tata też był sierżantem, z Chicago. Szkolił się na AT-szóstkach, ale na pilota się nie nadawał. Dali go na koniec autobusu, do działek. – Parsknął śmiechem i poszukał serwetki. – Raz mało nie dostał w tyłek, kiedy odłamek przebił kadłub i jego kombinezon. Trochę mu zadek przypiekło.

– Tak, opowiadał mi. Lotnisko Bernberg, część zewnętrznego pierścienia baz chroniących Berlin, misja numer trzy, marzec czterdziestego czwartego.

– Czyli uważnie słuchałeś – powiedział Jorgensen. – Skoro tak, może ta opowieść aż tak bardzo cię nie zadziwi. Oglądałeś filmy wojenne. Brałeś udział w prawdziwych walkach?

– Nie, proszę pana. – Byłem w liceum, kiedy wprowadzili loterię poborową. W pierwszym ciągnięciu wylosowałem dość wysoki numer.

– Cóż, jedno nie ma nic wspólnego z drugim, a bitwa powietrzna to zupełnie inna para kaloszy. Głównie jest dużo hałasu i strachu, a po fakcie zachodzisz w głowę, jakim cudem przeżyłeś. W trakcie jest tylko adrenalina i taki strach, że robisz w gacie. Samolot rozlatuje się, bomby lecą w dół, dziesięć dużych działek terkocze, nieprzyjacielskie myśliwce walą w ciebie dwudziestomilimetroowymi pociskami, a wszędzie dookoła spadają maszyny, w których są twoi kumple, widzisz, jak bucha z nich dym, jak rozrywają się w powietrzu, i chciałbyś rozejrzeć się za spadochronami, ale nie ma na to czasu. Słuchasz może tego, jak go zwą, heavy metalu?

Odmalował tak wyrazisty obraz, że na chwilę się w nim zatraciłem, oderwałem od ziemi.

– Słucham? A, tak, czasami.

– Mnie nigdy się nie podobał – powiedział Jorgensen. Chwila przerwy, dość długa, żebym zdążył wyobrazić sobie tego starca spędzającego miły wieczór ze składanką największych hitów Black Sabbath. Odrobina grunge’u Mudhoney na dokładkę. Do tego może szczyptą miazdzącego norweskiego speed metalu.

– Wiesz dlaczego? Przypomina odgłosy walki.

B-24 Liberator z wypisanym na dziobie imieniem Turk gruchnął o ziemię, rozrzucając po krawędzi pasa płonące części, niedobitki załogi rozbiegły się na wszystkie strony. Dwóch, wciąż w kombinezonach termicznych, przygwoździła do ziemi eksplozja. Jeden nie wstał, by się ugasić. Strażacy pobiegli do niego, kiedy częściowo opanowali pierwsze ognisko pożaru, inne uszkodzone ciężkie samoloty lądowały, usiłując omijać rozsypane szczątki. Liberatory – bez ładunku wążące dziewiętnaście ton każdy – dosłownie spadały z nieba jeden za drugim. Obserwator na wieży pracowicie liczył powracające maszyny i próbował ustalić, ilu poległo.

Pogoda była typowo angielska: gęsta mgła, ciężkie chmury. Płonące samoloty wycinały

jasne otwory w tej szarej zasłonie, rozżarzone punkty, z których ku niebu boleśnie wznosiły się czarne korkociągi dymu.

Wheatrow, niedawno przybyły strzelec dolny z Oklahoma City, jasnowłosa, prząsny chłopaczyna, podbiegł do Harry'ego Marsa, drugiego pilota Shady Lady. Mars stał z rękami wciśniętymi do tylnych kieszeni, poza, którą przybierał, kiedy nie miał pojęcia, za co najpierw się złapać.

– Jezu Chryste! – zawołał Wheatrow. – Czym oberwał?

– Lądował z zablokowanym przednim kołem, pewnie nie oglądał filmu demonstrującego, czym to grozi – odparł Mars. – Witaj w Shipdham, młody.

Shipdham było gminą w Norfolk, wypustkiem Wysp Brytyjskich na północny wschód od Londynu, a ostatnio także siedzibą Czterdziestej Czwartej Grupy Bombowej i jednym z nadbrzeżnych punktów zbiorczych przed lotami nad Europę. Tę typowo brytyjską, pocztówkową krainę pełną pubów i domków najpierw zajęły blaszane baraki i pasy startowe otoczone bateriami dział przeciwlotniczych, potem rozpanoszyli się w niej zuchwali amerykańscy lotnicy żądający informacji o tym, co naprawdę się dzieje. Zazwyczaj głośno i z ostentacyjnym brakiem taktu – szok kulturowy do potęgi entej.

Lądowanie ostrzelanego B-24 było swoistym teatrem grozy. Liberatory, podobne do brzuchatych ptaków, tylko w locie wyglądały zgrabnie. Podczas wodowania łatwo się „zgniatyły”, co oznaczało dziesięć razy niższe prawdopodobieństwo przeżycia załogi niż w przypadku podobnego manewru wykonanego Latającą Fortecą. Kapitan Turka pogodził się z tym, jakie los rozdał mu karty, i zrobił wszystko podręcznikowo, ustawił śmigła obu sprawnych silników w chorągiewkę, opuścił klapy i starał się jak najdłużej utrzymać dziób ponad płytą lotniska. Zablokowane prawe koło odpadło podczas lądowania, zniosło maszynę w błoto, prawe skrzydło pękło między wielkimi silnikami Pratt & Whitney. A potem wybuchł pożar. Nie było bomb, amunicji zostało niewiele, paliwa jeszcze mniej, ale coś na pokładzie stanęło w płomieniach i rozerwało bestię w talii jak petarda butelkę po piwie.

Inna sprawa, że praktycznie wszystko na pokładzie tych samolotów było łatwopalne, a wszechobecny brytyjski chłód, szare błoto i przesycone wilgocią powietrze nie mogły ugasić ognia.

Kolejne złe wieści przekazał Madsen w mesie, która pełniła też funkcję sali odpraw. Wheatrow poszukał Shady Lady na tablicy z rozpiską misji. W ich rubryce wciąż było puste miejsce. Madsen, sztywny Brytol z pasem z koalicyjką i laską oficerską, która służyła mu do wskazywania i stukania w mapę, prowadził odprawę dla wierzących się oficerów i podoficerów w zbyt małym blaszanym baraku.

– ...z wysokości pięciu i pół do sześciu tysięcy metrów zrzucono w sumie sto dziewięćdziesiąt koma dwie tony pięćset- i tysiącfuntowych bomb, z zapalnikami dziobowymi ustawionymi na dziesiątą część sekundy i ogonowymi na ćwierć sekundy opóźnienia. Oprócz fabryki messerschmittów w Regensburgu...

Laska oficerska łupnęła w mapę i podniósł się ogólny aplauz.

– Tak, tak. – Madsen zaczął, aż zapadnie cisza. – Zbombardowaliśmy dwa inne zakłady

w okolicy, odcięliśmy im wentylację, wodę i prąd. W jednym produkowali śruby, nakrętki i tak dalej, w drugim gumę. Oczywiście, niektóre części maszyn są do uratowania, ale będą wymagały naprawy i szczegółowych testów.

Dym z prawie dziewięciuset zapalonych papierosów tworzył warstwę inwersji w kopule mesy. Wheatrow dostrzegł kilka znajomych twarzy ze szkolenia w Casper w stanie Wyoming, chłopaków, z którymi tu przybył, o nazwiskach niezapadających w pamięć. Sam już jednak doszłusował do nowej załogi, był świeżym mięsem na jej talerzu. Siedział obok sierżanta Jorgensena, który kołysał się na składanym krześle.

– Angolowi tylko gumki i kręcenie w głowie – skwitował Jorgensen.

Alvin Tewks, kowboj z Kalifornii, wychylił się zza niego i wskazał kciukiem nawigatora Shady Lady.

– Porucznik Max ożenił się z Brytolką, jak tylko postawił nogę na plaży. Bum! – Zamilkł i skulił się pod karcącym spojrzeniem porucznika Keitha Stackpole’a, bombardiera i strzelca dziobowego. Było nie było, mówił o oficerze. – Cholera – zaklął. – Przepraszam, poruczniku.

Stackpole, w wieku dwudziestu dwóch lat jeden z dorosłych w ich gronie, uniósł dłoń uciszającym gestem: zachowaj te mądrości dla siebie. W czasie, kiedy oni robili naloty na państwa Osi, podobnie waleczny kontyngent brytyjskich damulek robił naloty na stęsknionych za domem jankesów, którym w kość dawały materialne wyrzeczenia i stałe zagrożenie śmiercią. Max Gentry, zielonooki nawigator Shady Lady, przekonywał, że z nim było inaczej. Zakochał się. Pewnie, że tak. Zarobił tym sobie na podwójną dawkę uszczypliwości i bzdurnych żartów, które, ku uznaniu Stackpole’a, znosił ze spokojną wyrozumiałością dowodzącą, że całe to tubylcze trzymanie fasonu wchodziło mu w krew. Byle nie zaczął nosić szalika ani mówić z nosowym akcentem.

Stackpole poczęstował papierosem sierżanta Jonesa, łącznościowca, ten zaś przełamał go na pół i jedną część oddał sierżantowi Smithowi, swojemu najlepszemu kumpłowi, mechanikowi i prawemu strzelcowi pokładowemu. Smith i Jones. Czasem nie pozostawało nic innego, jak tylko się śmiać, inaczej człowiek musiałby płakać.

– Chrzanić cały ten bilans – burknął Jones. – Ile?

– Czterdzieści, pięćdziesiąt, coś koło tego – powiedział Smith. Zapalili oba pety od jednej zapalki.

Rysy Wheatrowa stężały.

– Z ilu?

– Dwustu, coś koło tego. – Jimmy Beck stanął za ich plecami, bo miejsc siedzących już nie było. Tylny strzelec, noszący okulary wojskowe, przełożył szluga z ręki do ręki, wpuszczając obok siebie porucznika Marsa i ich pilota, porucznika Cogginsa. Każdy fakt, każdą statystykę, choćby najbardziej oczywiste, uzupełniano słowami „coś koło tego”.

Wheatrowa zamurowało.

– Dwustu...?!

– Ze stu siedemdziesięciu siedmiu B-24 – zagrzmiał Madsen z prowizorycznego podestu na przedzie sali – co najmniej sto dwadzieścia siedem, może nawet sto trzydzieści trzy

dotarły nad cel i zrzuciły bomby. Czterdzieści dwa samoloty zostały zestrzelone lub rozbiły się *en route*...

– Au-drut? – powtórzył Tewks, który mimo upływu czasu jeszcze nie oswoił się z upodobaniem Brytyjczyków do używania obcych zwrotów.

– ...z czego piętnaście, jak szacujemy, zaginęło nad celem.

– Znów nas nie ma w grafiku misji – powiedział Coggins do Stackpole’a.

– Co więcej – ciągnął Madsen – osiem samolotów wylądowało w neutralnej Turcji i zostało internowanych. Sto cztery wróciły do bazy, dwadzieścia trzy do baz sojuszników, co oznacza, że w sumie straciliśmy pięćdziesiąt maszyn. Liczba ofiar, według najnowszych wyliczeń, sięga czterystu czterdziestu zabitych i zaginionych w akcji. Mamy informacje, że dwadzieścia z zaginionych załóg dostało się do niewoli.

Wheatrow poczuł, że robi mu się ciężko na żołądku. Jedna misja, prawie czterystu pięćdziesięciu chłopaków mniej. Załogi czterdziestu pięciu zaginionych samolotów. Coś koło tego.

– Cholerne szkopy – mruknął Jorgensen.

Madsen przedstawił marną pociechę:

– Zestrzelono w sumie pięćdziesiąt jeden nieprzyjacielskich myśliwców.

– Świetnie – skwitował Tewks. – Prawie po jednym myśliwcu na każdy bombowiec z załogą.

Niektórzy mimo wszystko bili brawo.

Porucznik Mars już wyrzucił to z głowy i skupił się na dogryzaniu Beckowi.

– Hej, Jimmy, wiesz, jaka jest średnia długość życia tylnego strzelca podczas walki?

Dla tych młodzieńców był to stary dowcip. Co najmniej trzech rzuciło:

– Dziewięć sekund!

– Dzięki, chłopaki – powiedział Beck, wypuszczając dym. – Od razu poczułem się lepiej. Ciepło się na sercu zrobiło.

Coggins w milczeniu obserwował reakcję swojej załogi. Dobrze. Duża liczba ofiar sprawi, że jutro wszyscy będą jeszcze trochę bardziej nienawidzili Führera, i może ta nienawiść pomoże mu przywieźć ich z powrotem żywych, nie usmażonych we wraku bombowca jak te nieszczęsne sukinsyny z Turka, którego kapitan obecnie leżał w lazarecie z przypieczoną lewą ręką i nogą złamaną w czterech miejscach.

Byli na wojnie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, sześć miesięcy przed Pearl Harbor, Korpus Powietrzny Armii Amerykańskiej przemianowano na Siły Powietrzne Armii Amerykańskiej pod dowództwem generała Hapa Arnolda, i dziś ten tłum bojowo nastawionych Amerykanów w ciasnym baraku grał o niebywale wysoką stawkę. Mieli dużo do udowodnienia. Ich duma codziennie była drażniona. Wojownicy chmur uzyskali prawie – tylko prawie – taką pozycję i autonomię jak marynarka czy pancerni. Kiedy Stany przystąpiły do boju, Departament Wojny przeorganizował siły lądowe i powietrzne w równej rangi dowództwa, ale przetasowanie to dopiero po zakończeniu walk miało doprowadzić do powołania bytu o nazwie Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Wielu doświadczonych lotników, świadomych swojej wartości, wciąż z dumą nosiło insygnia Korpusu

Powietrznego, choć teraz już należeli do Sił Powietrznych Armii Amerykańskiej.

Duma traci znaczenie, kiedy zrywają cię z wyra o pierwszej w nocy. Połowa baraku wyczuła obecność intruza, zanim włączył latarkę. To był Carlisle, dowódca, czyli to snop światła z latarki Carlisle'a odbijał się od łysej jak kula bilardowa czaszki Cogginsa w zimnej ciemności.

– Coggins – szepnął Carlisle. – J.J. Pobudka.

– Nie śpię – wychrypiał Coggins, przewracając się na drugi bok.

Carlisle usiadł na skraju łóżka.

– Słuchaj, przykro mi, że muszę ci to zrobić, ale...

– Która godzina? – Obudzili się już wszyscy oprócz Tewksa.

– Pierwsza piętnaście. Wiesz... dzisiejsza misja. Dacie radę?

– Jasne – powiedział Coggins bez wahania.

– Lecimy przodem, cała grupa musi dać z siebie wszystko.

– Co on mówi? – powiedział Wheatrow, pocierając twarz, żeby szybciej oprzytomnieć.

– Cii – szepnął Beck. – Niespodzianka.

– To duża sprawa – powiedział Carlisle, teraz już głośniej, żeby wszyscy słyszeli. – Ciężka artyleria przeciwlotnicza, potem myśliwce. Rafineria naftowa. Wiem, że twoja załoga nie jest jeszcze w pełni gotowa do boju, ale nie możemy ci dorzucić bardziej doświadczonego drugiego pilota, bo...

– Moja załoga jest gotowa do boju – uciał Coggins i nikt nie zaoponował.

I tak się zaczęło. To, co Coggins później nazwał „masakrą”.

Porucznik wymalował imię Shady Lady na swoim liberatorze, kiedy stacjonował w Afryce Północnej. Jego załoga złożona z żółtodziobów spała w baraku, który przed kilkoma dniami zajmowali inni lotnicy, teraz zaginieni w akcji. Kto wie, jak będzie jutro? Teoretycznie zaliczyli cztery z dwudziestu pięciu obowiązkowych misji, ale za każdym razem ich zawracano albo odwoływano nalot. Jeszcze nie zdarzyło im się dotrzeć na drugą stronę kanału La Manche. Ich wielce okrzyczana pierwsza misja zakończyła się zupełną porażką, kiedy stracili sprężarkę doładowującą na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, przez co musieli zrobić w tył zwrot i zrzucić bomby do północnego Atlantyku. Prawego strzelca pokładowego, Teksaszczyka nazwiskiem MacCardle, przeniesiono potem do załogi Hometown Gal, wybierającej się na swój dwunasty nalot. Zastąpił go Wheatrow.

Dolny strzelec pokładowy z Double Diamond później zrelacjonował Cogginsowi przebieg tamtej misji:

– Widziałem, jak Ratpacker dostał z osiemdziesiątkióssemki w kokpit. Zwalił się z pełnym ładunkiem bomb i przeciął Hometown Gal na pół. Nie zauważyłem żadnych spadochronów.

– Czy MacCardle przeżył, czy zginął? Nikt nie wiedział, a niezdrowo było przejmować się takimi sprawami bardziej, niż wymagało absolutne minimum przyzwoitości.

Oto więc byli: gorąca kawa, stawy trzeszczące w przeklętej brytyjskiej wilgoci, oni z trudem ładujący na siebie ekwipunek, z oczami jeszcze przesłoniętymi resztkami snu, przeistaczający się w asów przestworzy. Elektrycznie podgrzewane kombinezony, kamizelki kuloodporne, spadochrony plecakowe dla pilotów, piersiowe dla reszty, maewestki, pilotki,

gogle, maski tlenowe. Wszyscy śmierzdzili mokrym owczym kożuchem i garbowaną skórą.

– Cholerna mgła – mruknął Tewks na budzie ciężarówki wiozącej ich na płytę lotniska. – Za rzadka, żeby ją zjeść, za gęsta, żeby wypić.

Zerowa widoczność.

– Będziemy musieli jechać za dziupem, żeby w ogóle trafić na pas – powiedział Stackpole.

– Jakie mamy miejsce w formacji?

– Kąt trumny – odparł Coggins, starając się przybrać normalny ton.

– Och, znakomicie – burknął Beck, strzelec tylny.

– Co to znaczy? – zapytał Wheatrow, którego wilgotne jasne włosy lepiły się do głowy pod pilotką.

Porucznik Mars wyrecytował:

– Skraj formacji, część tylna.

– Żeby obronie przeciwlotniczej łatwiej nas było strącić – doprecyzował Beck.

Jorgensen trzepnął Wheatrowa w grubo opatulone ramię.

– Pozycja dla nowicjuszy. Prawiczków.

– Mamy trzymać się w odwodzie, dopóki ktoś się nie wycofa – powiedział Coggins. – Wtedy go zastąpimy. – Przynajmniej opuścili grono tych, którzy się wycofywali.

Porucznik Coggins nosił furazerkę, z której wyciągnął obcęgi usztywniający drut, żeby zginała się jak należy po założeniu słuchawek.

Stackpole gwizdał melodię *The Way You Look Tonight*.

I nagle wyrosła przed nimi Shady Lady, wypełniła ich świat. Matowozielona matka suka przyjmująca ich do swojego łona, kochanka nieba, ich przeznaczenie.

Czterdziesta Czwarta Grupa Bombowa, zwana Latającymi Ósemkami, była pierwszą jednostką liberatorów w amerykańskich Siłach Powietrznych, choć nie pierwszą w Europie – ten zaszczyt spotkał Piramidery z Dziewiętej Armii Powietrznej. Swoją dziewiczą misję Ósemki odbyły w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego – wspierały wówczas Latające Fortece – i jako jedyne dalej prowadziły naloty za dnia nawet wtedy, kiedy wszystkie pozostałe grupy skupiły się na akcjach nocnych. Dużo się mówiło zwłaszcza o jednym B-24, nazwanym Boomerang, który wraz z Dziewięćdziesiątą Trzecią Grupą Bombową uczestniczył dziewiętego października w bombardowaniu Lille. Boomerang wrócił podziurawiony jak sito, z pozoru nadawał się już tylko na złom, ale pilot i załoga nie dali za wygraną, załatali aluminium otwory po kulach, po czym samolot został pierwszym liberatorem w Ósemkach i wylatał całe pięćdziesiąt misji. Ludzie, dla których stał się drugim domem, obronili jego honor, on w zamian utrzymał ich przy życiu. Misja nad Lille, swoją drogą, była też punktem przełomowym dla dowództwa, które poczuło się w obowiązku jednoznacznie zaraportować, że B-24 jest lepszym bombowcem od znacznie seksowniejszej „dziewczyny z okładki”, czyli B-17 – liberatory były szybsze, o większym zasięgu, mogły zabrać na pokład cięższy ładunek bomb i miały znacznie lepsze uzbrojenie. Historia Ósemek w gruncie rzeczy odzwierciedlała wojenne losy liberatora; zrodzony do powietrznego konfliktu, w dniu zwycięstwa nad Japonią był już praktycznie przestarzały. Wiele dwudziestekczwórek przybywało do Shipdham z pancernem nowego typu,

samouszczelniającymi się zbiornikami paliwa, turbosprężarkami doładowującymi i wysuwaną wieżyczką dolną.

W której tego ranka zasiąść miał Wheatrow.

– Wielka, brzuchata suka – powiedział Mars, powtarzając słowa Keitha Schuylera, kapitana innego samolotu.

– Lubię kobiety przy kości – stwierdził Tewks. – Jest za co złapać.

– Szybka jak na taką grubaskę – skwitował Coggins. W sumie trudno poznać, czy mówi o żonie pozostawionej w Stanach, czy o swoim samolocie, pomyślał Jorgensen. Jakby była jakaś istotna różnica. Może jego kobita ma rozpiętość skrzydeł dłuższą od kadłuba.

Załadowano bomby, dziesięć działek na pokładzie nakarmiono do syta jedenastoma tysiącami pocisków w rozsypnych taśmach. Załoga Cogginsa zaczęła się pakować do środka. Tam spędzą następne dwanaście godzin w niemal nieznośnej ciasnocie, będą sikali przez rurki, wdychali sztuczne powietrze i usiłowali przeżyć. Niech Bóg ma w opiece tego, kto podczas misji dostanie sraczkę.

Mars władował się na stanowisko drugiego pilota po prawej ręce Cogginsa i zauważył, że dowódca, jak zwykle, wysunął swój fotel najdalej do przodu, jak się dało. Wydawałoby się, że niżsi faceci idealnie nadają się do bombowców, ale dowcipnisie z San Diego czy Fort Worth lubili montować pedały ciut poza zasięgiem przeciętnego człowieka.

– Może to będzie rutynowy lot – powiedział Mars, sadowiac się wygodnie.

– A może koszmar, jeśli myślicie zawezmą się na naszą grupę – odparł Coggins, nie patrząc na niego. Naciągnął słuchawki na swoją (pozbawioną usztywniającego drutu) czapkę.

Przeprowadzili kontrolę przedstartową z mechanikiem pokładowym. Mars schował blokadę steru na górę (żeby potem nie dostać nią w twarz) i wyjrzał, by sprawdzić, jak chodzą lotki, stery wysokości i ster kierunku. Silnik uruchamiany był z akumulatorowego wózka, wyłączył więc rozruszniki. Mechanik ręcznie przekreślił śmigła, o sześć obrotów albo „łopatek” każde, najpierw trzecie, od wewnętrznych do zewnętrznych. Proces nudny, sformalizowany i rutynowy, ale nawet drobna pomyłka na tym etapie mogłaby potem spowodować wybuch, choćby w wyniku zamknięcia chłodnicy pośredniej czy przeoczenia jednego przełącznika turbosprężarki. Mechanik pokładowy wsunął kliny pod koła i czekał z gaśnicą w rękach, aż po właściwym włączeniu silników, począwszy od trzeciego, ruszą układy hydrauliczne. Przy tysiącu obrotów na minutę wskazania były takie, jak należy: ciśnienie oleju trzy do trzech i pół atmosfery, w pompach próżniowych sto czternaście milimetrów słupa rtęci, sześćdziesiąt kilka atmosfer w akumulatorach układu hamowania. Coggins zdusił przepustnicę do jednej trzeciej mocy, Mars ustawił automatyczne zubożanie mieszanki paliwowej. Kiedy wyjadą na pas, zwiększy obroty wszystkich czterech potężnych silników, aby „przećwiczyć” śmigła.

– Kontrola interkomu – powiedział Coggins przez radio.

– Chryste, nawet nie widać, co jest przed dziobem. – Mars wrócił, kiedy załoga zaczęła się zgłaszać ze swoich stanowisk. Jak zwykle, mgła przerzedzi się, dopiero gdy zostawią ją w dole.

Pierwszy odezwał się Stackpole: „Bombardier, zgłaszam się”. Był u ich stóp, blisko Jonesa, który powiedział znad radiostacji: „Łącznościowiec, zgłaszam się”.

Gdzie Jones, tam i zaraz Smith: „Lewe działko, zgłaszam się”.

– A kuku, stary zbuku. – To Tewks, siedzący po przeciwnej stronie od Smitha, przy prawym działku.

– Wieżyczka górna, zgłasza się Jorgensen. – Gdyby Mars albo Coggins się obejrżeli, zobaczyliby buty Jorgensena na podnóżku.

– Wheatrow. Wieżyczka dolna gotowa. – Biedaka trzeba było wsadzić do środka od góry i przypiąć. Nie miał spadochronu. Za mało miejsca. Żeby z niego skorzystać, musiały się wygramolić na zewnątrz z czyjąś pomocą i założyć go w płonącym samolocie spadającym ku ziemi. Bułka z masłem.

Porucznik Gentry wychylił głowę ze swojego stanowiska i pokazał wzniesiony kciuk. Zgodnie z regulaminem też musiał się zameldować, więc się zameldował.

– Czekam, Jimmy – powiedział Coggins.

– Ogon gotowy, kapitanie – zgłosił Beck z, jak określał to Jorgensen, „tylnego siedzenia autobusu”.

W tej chwili Coggins spiął się w sobie, jakby usiłował przewyciężyć opór wolanta. Mars uniósł brwi. Porucznik w końcu posłał mu półuśmiech.

– Cholerny fotel jest za niski – powiedział.

Mimo ich nieporęcznego ekwipunku, uzbrojenia i niewyspania, kiedy Lady podrywała się z ziemi, uczucie było takie, jakby jechali limuzyną. Nareszcie mogli zobaczyć światło dnia i błękitne niebo. Każda, nawet najdrobniejsza, przyjemność była na wagę złota.

Na wysokości dziewięciuset metrów wszyscy zapalili papierosy, bo wyżej, na trzech tysiącach, przejdą na czysty tlen. Później napędzać ich będzie już tylko pot i adrenalina, dotąd, aż zawrócą z opróżnionym lukiem i pokażą kontynentowi ogon.

– Opadły nas focke-wulfy – powiedział Jorgensen. – Wszędzie wokół stodziewięćdziesiątki. Tak to jest, najpierw ostrzał artylerii przeciwlotniczej, potem myśliwce. I zanim się zorientowałem, co się dzieje, Mars już krzyczał przez interkom, że Vargas Doll się pali, tuż obok naszego lewego skrzydła. Nie mogłem tego nie widzieć z mojej wieżyczki. Pocisk trafił butlę tlenową obok głowy starego Jonesy’ego i rozerwał mu radio. W kombinezonie Wheatrowa nastąpiło zwarcie, mocno go poparzyło. Wszyscy wrzeszczą, działka walą, focke-wulfy śmigają tak blisko, że można by je opluć. Tewks zerwał uwięź swojego karabinu i, strzelając w jednego z sukinsynów, przypadkiem trafił nasz prawy statecznik, przez co zaczęliśmy się gibać jak stara, pijana dziwka. I wtedy pierwszy raz to zobaczyłem.

– Ptaka Wojny – domyśliłem się. Katie uczynnie dołała nam kawy. Starsza siostra Jorgensena też była po osiemdziesiątce. Ostatnia pani Jorgensen umarła dekadę temu.

– Początkowo myślałem, że to stukas – ciągnął. – Pikując, wydawały taki dziwny skowyt. Potem zobaczyłem jego trzepoczące skrzydła i pomyślałem sobie: „To nie samolot”. Był

prawie wielkości myśliwca. Skrzydła nietoperza, pysk jak taki długi, cienki dziób. Oczy koloru onyksu i mosiądzu. – Odchrząknął. – Pewnie myślisz sobie, no tak, dziadyga rozum postradał, co? – Jego pierzaste brwi wygięły się w oskarżycielskie łuki.

– Ależ nie, proszę pana. Ojciec nie chciał ze mną rozmawiać o wojnie, ale kilku innych członków załogi Shady Lady, których przez te lata znalazłem, opowiedziało mi to i owo. Słyszałem dziwniejsze historie.

Wydawało się, że w duchu podjął jakąś doniosłą decyzję.

– Cóż, niech ci będzie, pod warunkiem że Katie jest w kuchni, ogląda opery mydlane czy co tam zwykła robić, kiedy ma wolne. – Z głębi domu nie dobiegł okrzyk protestu, Jorgensen mógł więc być pewien, że rozmawiamy w cztery oczy.

– Pomyślałem to samo, co zapewne i tobie przyszło do głowy – podjął. – Że to przywidzenie. Ale nie sądzę. Po prostu zobaczyłem wielkiego, niewyobrażalnego stwora zmierzającego prosto na mnie z wyciągniętymi szponami. Ani się obejrzałem, a już cały pleksiglas zniknął i leżałem na podłodze z rozprutą głową. Blizna została do dziś. – Odgarnął włosy, odsłaniając białą linię biegnącą zygzakiem od lewej brwi do czubka głowy. Przypominała ranę od noża. – Kurde, prawie straciłem oko. Kiedy wróciliśmy do bazy, byłem w stanie wstrząsu krwotocznego. Transport do kraju pamiętam jak przez mgłę. Później mi powiedzieli, że kiedy wylądowaliśmy, nie było ani wieżyczki dolnej, ani Wheatrowa, tego nowego.

– Cała wieżyczka tak po prostu zniknęła?

– Właśnie. A raczej ciężko byłoby ją odstrzelić z samych dział czy karabinów maszynowych. Zresztą, gdyby trafiła nas artyleria przeciwlotnicza, poczulibyśmy to wszyscy. Szwabry waliły z dział kaliber sto dwadzieścia osiem, więc gdyby wybuch wyrzucił Wheatrowa z wieżyczki, pół samolotu stanęłoby w ogniu. Wieźliśmy trzy tony bomb zapalających, nasze skrzydła były pełne wysokooktanowego paliwa.

– Myśli pan, że...

– Nie myślę. – Wszedł mi w słowo. – Podejrzewam. Pewne rzeczy wiem. Co spotkało nieszczęsnego Wheatrowa, mogę tylko zgadywać, ale jedno ci powiem: wojna tak wielka nie kończy się tak po prostu tylko dlatego, że ściskasz komuś dłoń i podpisujesz jakieś papierki.

– Lub obracasz dwa miasta w parę o japońskim smaku. – Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak niefrasobliwie, ale Jorgensen mówił swoje, może puścił moje słowa mimo uszu, może przez grzeczność.

– Pomyśl: świat w stanie wojny. Całymi latami. W każde kolejne urodziny, każde Boże Narodzenie, wojna wciąż trwa. I nagle wszyscy robimy się cywilizowani i zgadzamy się udawać, że wojny nie ma. Czasem myślę... czasem... – Zawiesił głos. Po co strzępić język? Ledwo mnie znał, byłem tylko nieopierzonym potomkiem członka jego dawnej załogi, Jimmy'ego Becka, który zmarł przed pięciu laty, a wcześniej nawet kartki świątecznej nie przysłał.

– Nie chodzi o bohaterstwo czy chwałę – powiedział, podchodząc do tematu od innej strony. – Tam w górze strzelasz gdzie popadnie, kiedy jedne chłopaki krwawią, inne wrzeszczą, liczy się jedno: ocalić własną skórę. Przetrwać. Jeśli wierzysz w Boga, modlisz

się w duchu: Boże, spraw, żebym nie zginął na tej misji. Jeśli wierzysz w talizmany, zabierasz je ze sobą. Stackpole miał małą lalkę, Kilroya, którego żona uszyła mu ze skarpety, i wierz mi, wszyscy traktowaliśmy Kilroya jak członka załogi, pilnowaliśmy, żeby wrócił cało z każdej akcji. Gentry nosił medalik ze Świętym Krzysztofem. Wheatrow zabrał ze sobą króliczą łapkę, choć w sumie nie przyniosła szczęścia ani jemu, ani królikowi, do którego wcześniej należała. I twój tata miał swój rytuał. Zanim sprawdzał działka, wyciągał pierwszy pocisk z taśmy, pisał na nim datę i chował go do kieszeni na sercu.

Pocisk kalibru dwanaście koma siedem milimetra ma kilkanaście centymetrów długości i jest cięższy od rulonu ćwierćdolarówek. Mój ojciec odbył co najmniej osiem udanych misji nad terytorium wroga. Ciekaw byłem, co się stało z kolekcją tych pocisków.

– Każdy robi takie rzeczy – stwierdziłem, choć o tym dziwnym nawyku ojca dotąd nie wiedziałem. – Nie trzeba być na wojnie, żeby wierzyć w małe rytuały, mieć swoje przyzwyczajenia. Komu to szkodzi?

– Nic nie rozumiesz. – Lekceważąco machnął ręką.

Wydawało się, że jestem elementem szerszego obrazu, takiego, który rozciągał się tuż za mną, częścią pejzażu, który Jorgensen mógł zobaczyć, a ja nie. Widział go w tej chwili.

– To uczucie, które miałem w boju, powraca – powiedział. – Codziennie. Najpierw po trochu. Potem coraz silniej. To nie są natrętne wspomnienia, nerwowa drżączka ani nic takiego. Nie odwaliło mi na starość, do licha. To równie rzeczywiste jak przedziałek w twoich włosach. A teraz powiem ci, co sędzę, i nazwę cię kłamcą, jeśli zdradzisz to komukolwiek innemu, ale powiedzieć to muszę, z szacunku dla twojego taty.

Chciał mi coś przekazać, brzemień znacznie cięższe, niż się spodziewałem, i z trudem powstrzymywałem się, żeby nie przerywać mu moim nowoczesnym mędrkowaniem.

– Myślę, że coś wtedy przebudziliśmy całym tym konfliktem. Całą tą nienawiścią. Całą tą śmiercią, którą wojna się żywi. Coś tak wielkiego nie ustaje tak po prostu, nie ma tak, że jednego dnia jest, następnego nie. Myślę, że to, co przebudziliśmy, obzarło się do przesytu i na jakiś czas zasnęło. Toczyliśmy później inne wojny tu i ówdzie, ale to nie było to samo. Ta wojna miała dziecko. Zrodziła z siebie coś złego. Coś, co przebudziło się z drzemki i uświadomiło sobie, że hej, znowu zgłodniało, a przecież jeszcze nie wyłapało nas wszystkich z powietrza, gdzie prowadzi swoje łowy.

– Ptak Wojny. Ale dlaczego miałyby polować na pana? Dziś, po tylu latach?

– Domagasz się ode mnie logicznego wytłumaczenia? Nie mam takiego. Może niektórym z nas pisane było wtedy umrzeć, a nie umarliśmy. I on wie, o kogo chodzi, ma taką krótką listę, jakby kartę dań. A jesteśmy łatwym łupem, bo przez cały ten czas cierpliwie czekał, no i dziś już brak nam ikry, żeby się bronić. Uciec, nie uciekniemy, nie odpowiemy ogniem. Ptak Wojny znów krąży po niebie, dojada resztki, a to wszystko nie ma żadnego znaczenia, bo kto, do czorta, uwierzy takiemu staremu pierdzielowi jak ja?

– Panie Jorgensen, mój ojciec zmarł na atak serca. Zakrzepica. Faktycznie umierał cztery razy, zanim umarł na dobre. Przeszedł zabieg wszczepienia czterech bajpasów. Angioplastykę. Miał w piersi dwa rozruszniki, kiedy w końcu go zmoгло. Dzielnie walczył ze śmiercią. I umierając, nie bał się ani nie cierpiał. Pogodził się z losem. Nie zachowywał

się jak człowiek... – zirytowało mnie, że muszę szukać właściwego słowa – ...udręczony.

– Mhm – powiedział Jorgensen. Coś w jego oczach mówiło „tu cię mam”, coś wyzierającego spod łez, które mężnie powstrzymywał. Mężczyznom z jego pokolenia nie wolno było płakać, nigdy, przenigdy. – Ale dopiero co powiedziałaś, że nie chciał z tobą rozmawiać o wojnie, prawda?

– A pan jednak opowiedział mi o Ptaku Wojny. – Nie kpił sobie ze mnie jak jakiś zwariowany dziadunio. Był śmiertelnie poważny, jego wyznanie miało dla niego wysoki emocjonalny koszt, zmusiło go, by wywłócił na wierzch swoje uczucia, obnażył je przede mną. Czy byłem godny zaufania, czy nie, wypełniłem w jego życiu tę osobliwą lukę, która sprawia, że nieznanym powierza się tajemnice, jakich nigdy nie wyjawiloby się najbliższym. Dostałem wytłumaczenie. niesprawiedliwie byłoby po fakcie narzucać warunki.

– Ano – powiedział, jakby przytomniejąc. – Głupio zrobiłem. Przepraszam cię, młody człowieku. Przykro mi z powodu twojego taty i wybacź, że obarczam cię takim ciężarem. Z tego, co widzę, porządny z ciebie chłopak. Zaszczycem byłoby służyć u twojego boku. Ale proszę, nie przejmuj się za bardzo tymi głupotami. Mnie już przeszło. Jestem jedną nogą w grobie i od czasu do czasu coś mi się przesyłszy, a najśmieszniejsze, że słuch mam taki sobie. Zniedołożnienie bywa wyzwalające. Założę się, że nie sądziłaś, że znam takie słowo jak „zniedołożnienie”, co? Sprawdziłem je w słowniku.

Jakiś czas później tego samego wieczoru Brett Jorgensen przyłożył lufę starego lugera do swojego podbródka i rozwalil sobie potylicę nabojem dum-dum kalibru dziewięć milimetrów.

Wtedy już zostawiłem go samego. Przeprasiłem, że muszę iść, pożegnałem się i szczerze obiecałem, że będę w kontakcie. Porzuciłem go, jak sobie potem uświadomiłem.

Z tego, co później zdołałem ustalić, miał ten pistolet ponad pół wieku.

Brett Jorgensen, mój rozmówca, był synem imigrantów z norweskiego Oslo. Na drugie imię miał Eric. Po wojnie skończył politologię na Uniwersytecie Missouri, dzięki ustawie o pomocy dla weteranów. Dwa małżeństwa, troje dzieci. Jego nekrolog będzie krótki i zwięzły. Pracował w biurze maklerskim, dorobił się przyzwoitej emerytury. Mówił lokalną gwarą właściwie tylko dla zgrywy. Nikogo specjalnie nie obchodziło, że kiedyś dzień w dzień ryzykował życie, zrzucając ogień na maszynę wojenną państw Osi. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wypalał dwie paczki lucky strike'ów dziennie, a nie miał ani śladu raka.

Podobno próbował napisać list pożegnalny, ale wszystkie wersje spalił w popielniczce wielkości misy na poncz, uznawszy je za łzawe bajdurzenie. Blisko popielniczki i zgaszonych niedopałków było oprawione w mosięzną ramkę zdjęcie Teresy, pierwszej żony Jorgensena, jego wielkiej miłości czasu wojny, dziewczyny, która czekała na niego w kraju. Pochował ją w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku po tym, jak patolodzy wydłubali z jej trzewi guza wielkości sflaczałej piłki do siatkówki. Wbrew ogólnym przewidywaniom zakochał się ponownie i ostatecznie pogrzebał swoją drugą żonę Millicent na tym samym cmentarzu w New Jersey.

Luger nie został zdobyty na wrogu. Jorgensen walczył z Niemcami w sensie abstrakcyjnym, ale na własne oczy nie widział ani jednego nazisty, no, może raz, kiedy gotów był przysiąc, że dostrzegł wykrzywioną w grymasie twarz człowieka w goglach i skórzanej czapce, który na obcym niebie, trzy tysiące metrów nad ziemią, walił salwami dwudziestomilimetrowych pocisków prosto w jego łepetynę. To była misja numer sześć, nad stacją rozrządową w Bremie. A może nad fabryką amunicji w Hamburgu. Albo jakąś inną fabryką, w sumie żadna różnica.

Sądził, że nie dożyje starości. A mimo to o niczym innym nie rozmawiali, kiedy ugrzęźli w Shipdham i latali na misje. Ożenić się z dziewczyną, która czeka w kraju. Założyć rodzinę. Wykroić dla siebie kawałek tego czekającego na każdego Amerykanina tortu. Pożyć wystarczająco długo, by to wszystko osiągnąć.

Od Kennedy'ego nie ufał żadnemu politykowi. Pamiętał oburzenie świata wywołane tym jednym zabójstwem, pamiętał, gdzie był i co robił, kiedy usłyszał o zamachu. Dziś wszyscy wiedzą, że Kennedy był żalosnym, obleśnym psem na baby. Demaskatorskie artykuły, rozgrzebywanie brudów. John F. Kennedy był bohaterem wojennym, do licha. Jeśli cały ten rewizjonizm to prawda, w imię czego właściwie Jorgensen walczył w tamtych czasach? Zobaczył ten znany komiks z tekstem „Spotkaliśmy wroga i to my nim jesteśmy” i pomyślał: „Ciekawe, kiedy do tego spotkania doszło, bo jakoś je przeoczyłem”. Flaga jego ojczyzny pozostała taka sama, ale widział zbyt wielu mężczyzn i kobiet, bez wyjątku hipokrytów, którzy stali przed tym sztandarem i łgali jak najęci. Nawet jego studia politologiczne wydawały się okrutnym dowcipem, zbyt szeroko otworzyły mu oczy i wskutek tego odechciało mu się walczyć za kraj, w którym nie było już dla niego miejsca.

Nabił pistolet o wpół do czwartej nad ranem, sam w swoim pokoju, kilka metrów od miejsca, w którym piliśmy kawę. Znał dźwięki lecących myśliwców, naszych i nieprzyjacielskich. Tym, co wtedy słyszał, nie był helikopter policyjny ani ciężarówka pełnące autostradą. Dla pewności wyciągnął aparat słuchowy z ucha, a wtedy pozostał tylko przenikliwy skowyt, jakiego nie wydawał żaden samolot, nawet stukas.

Wiem, że to tylko domysły, ale teraz to widzę, obraz czysty jak drogie kieliszki: stary człowiek wyszarpuje aparat słuchowy i zapada cisza. Zegar na kominku przestaje tykać, świat zewnętrzny znika, milkną przerywające nocną głuszę trzaski i odgłosy osiadania drewnianych ścian domu, Jorgensen zostaje sam z dźwiękiem Ptaka Wojny. Dopija burbona, gasi lucky strike'a i pociąga za spust z zamkniętymi, suchymi oczami, w nadziei, że siostra zrozumie i mu wybaczy. Następuje donośny huk i wojna wylewa się z jego głowy.

Ot, kolejny stary pierdziel skończył ze sobą.

Tyle że teraz ja też słyszę te dźwięki. Dźwięki, których nie sposób pomylić z niczym innym. I widzę dziwne czarne kształty na nocnym niebie. Głodne, wciąż nienasycone, wracają po więcej.

LATAJĄCA MACHINA

RAY BRADBURY

Ray Bradbury, który zaczynał w młodym wieku od pisania zgrabnych (i niekiedy makabrycznych) opowiadań grozy, jak choćby *Mały morderca* i *Emisariusz*, z biegiem czasu wyrósł na jednego z gigantów dwudziestowiecznej literatury fantastycznej. Spod jego pióra wyszła jedna klasyczna powieść *Jakiś potwór tu nadchodzi*, a jego opowiadania osadzone w Greentown w stanie Illinois są nie gorsze od tych, które Sherwood Anderson pisał o Winesburg w stanie Ohio. W poniższej opowieści Bradbury przenosi nas jednak do starożytnych Chin, by, w raptem tysiącu pięciuset słowach, sugestywnie ukazać ciemną stronę latania. „Oto człowiek, który skonstruował pewną maszynę”, powiada cesarz, „a to nas pyta o to, co takiego zrobił. Sam tego nie wie”. Opowiadanie Ambrose’a Bierce’a o latającej maszynie jest ironiczna; Bradbury’ego zaś stanowi alegorię stawiającą pozornie proste pytanie: Czy rozumiemy, jakie skutki mogą wyrzucić twory naszych rąk? Pod nim zaś kryje się pytanie inne: Kiedy coś raz zostanie stworzone, czy można skazać to na zapomnienie?

W roku Pańskim czterechsetnym cesarz Yuan zasiadał na tronie u stóp Wielkiego Muru Chińskiego. Kraj zielenił się po deszczu, szykując się w pokoju do żniw, poddani nie byli ani nazbyt szczęśliwi, ani przesadnie smutni.

Wczesnym rankiem pierwszego dnia pierwszego tygodnia drugiego miesiąca nowego roku cesarz sączył herbatę i wachlował się dla ochłody, gdy po szkarłatnych i niebieskich płytkach ogrodowych nadbiegł sługa.

– Och, cesarzu, cesarzu, to cud! – wołał.

– Zaiste, powietrze jest słodkie tego ranka – rzekł cesarz.

– Nie, nie, prawdziwy cud! – zakrzyknął sługa, gnąc się w szybkim ukłonie.

– A herbata ma miły smak w moich ustach, tak, to z całą pewnością cud.

– Nie, nie, wasza ekscelencjo.

– Niechże więc zgadnę: wzeszło słońce, nastał nowy dzień. Albo morze jest błękitne. To wszak najwspanialszy ze wszystkich cudów.

– Ekscelencjo, człowiek lata!

– Co takiego? – Wachlarz cesarza znieruchomiał.

– Widziałem go, szybującego w przestworzach. Usłyszałem głos wołający z niebios i kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem smoka niosącego w swej paszczy człowieka, smok był z papieru i bambusa, koloru słońca i trawy.

– Pora jest wczesna – rzekł cesarz. – I dopiero co zbudziłeś się ze snu.

– Pora jest wczesna, ale co widziałem, to widziałem! Pójdź ze mną, panie, a sam zobaczysz.

– Usiądź koło mnie – powiedział cesarz. – Napij się herbaty. Dziwne to musi być uczucie, zobaczyć latającego człowieka, o ile wydarzyło się to naprawdę. Potrzeba ci trochę czasu, żeby o tym pomyśleć, mnie zaś potrzeba trochę czasu, aby się na ten widok przygotować.

Napili się herbaty.

– Proszę – rzekł wreszcie sługa. – Zanim odfrunie.

Cesarz wstał w zamyśleniu.

– Teraz możesz mi pokazać to, co zobaczyłeś.

Skierowali kroki do ogrodu, przeszli przez porośniętą trawą łąkę, mały most, kępę drzew i wdrapali się na niewielki pagórek.

– Tam! – zawołał sługa.

Cesarz spojrzał w niebo.

W górze, tak wysoko, że jego radosny śmiech ledwie docierał na ziemię, był człowiek; okryty jasnymi płachtami papieru i trzcina bambusową, tworzącymi skrzydła i piękny żółty ogon, szybował to tu, to tam, niczym największy ptak we wszechświecie ptaków, niczym nowo narodzony smok w krainie prastarych smoków.

Chłodny poranny wiatr przyniósł jego wołanie.

– Ja latam, ja latam!

Sługa pomachał do niego.

– Tak, tak!

Cesarz Yuan ani drgnął. Spojrzał tylko tam, gdzie z najdalszej mgły na zielonych wzgórzach wylaniał się Wielki Mur Chiński, wspaniały kamienny wąż wijący się majestatycznie przez cały kraj. Ta cudowna bariera od niepamiętnych czasów strzegła ich przed hordami nieprzyjaciół i przez niezliczone lata zapewniała pokój. Zobaczył miasto, przycupnięte między rzeką, drogą a wzgórzem, powoli budzące się ze snu.

– Powiedz mi, czy ktoś oprócz ciebie widział tego latającego człowieka? – zwrócił się do swojego sługi.

– Tylko ja, ekscelencjo – rzekł sługa, patrząc z uśmiechem w niebo i machając dłonią.

Cesarz obserwował przestworza jeszcze minutę.

– Przywołaj go na dół, do mnie – zarządził.

– Hej, zleć na ziemię, zleć na ziemię! Cesarz cię wzywa! – zawołał sługa, otaczając dłońmi swoje krzyczące usta.

Cesarz rzucił okiem na wszystkie strony, czekając, aż latający człowiek sfrunie z porannym wiatrem. Dostrzegł wpatzonego w niebo rolnika, który wcześniej wyszedł z pole, i zapisał sobie w pamięci, gdzie ów rolnik stał.

Latający człowiek wylądował z szelestem papieru i trzeszczeniem bambusowej trzciny. Podeszedł dumnie do cesarza, choć nieporęczny rynsztunek utrudniał mu ruchy, i nareszcie pokłonił się przed starcem.

– Coś ty zrobił? – rzucił cesarz.

– Latałem po niebie, wasza ekscelencjo – odparł mężczyzna.

– Coś ty zrobił? – powtórzył cesarz.

– Przecież powiedziałem! – krzyknął człowiek-ptak.

– Nie powiedziałaś nic a nic. – Cesarz wyciągnął chudą dłoń, by dotknąć ładnego papieru, pogładzić niby-ptasi szkielet aparatu pachnącego chłodnym wiatrem.

– Czyż nie jest piękny, ekscelencjo?

– Tak. Za piękny.

– Jest jedyny na świecie! – uśmiechnął się mężczyzna. – I to ja go wymyśliłem.

– Jedyny na świecie?

– Przyrzekam!

– Kto jeszcze o tym wie?

– Nikt. Nawet moja żona. Gdybym jej powiedział, pomyślałaby, że poraziło mnie słońce i plotę od rzeczy. Sądziła, że składam latawiec. Wstałem w nocy i poszedłem na odległe urwiska. A gdy powiał poranny wietrzyk i wzeszło słońce, zebrałem całą moją odwagę, ekscelencjo, i skoczyłem. I pofrunąłem! Żona moja jednak nic o tym nie wie.

– A zatem ma szczęście – rzekł cesarz. – Chodźmy.

Wrócili do cesarskiego pałacu. Słońce już w całości wyszło zza horyzontu, trawa rześko pachniała. Cesarz, sługa i człowiek-ptak zatrzymali się w rozległym ogrodzie.

Cesarz klasnął w dłonie.

– Straże, do mnie!

Przybiegli strażnicy.

– Zatrzymajcie tego człowieka. – Wykonali rozkaz. – Wezwać kata – zarządził.

– Co to ma znaczyć?! – zawołał człowiek-ptak, osłupiały. – Co takiego zrobiłem? – Łkał wśród szelestu pięknego papierowego aparatu.

– Oto człowiek, który skonstruował pewną maszynę – rzekł cesarz. – A nas pyta o to, co takiego zrobił. Sam tego nie wie. Liczy się dla niego tylko to, żeby coś stworzyć, nie obchodzi go, po co to zrobił ani do czego jego wynalazek może posłużyć.

Przybiegł kat z ostrym srebrnym toporem. Stał z nagimi, muskularnymi ramionami gotowymi do zadania ciosu, jego twarz przesłaniała pogodna biała maska.

– Chwilę – powiedział cesarz. Odwrócił się do pobliskiego stołu, na którym stała maszyna jego własnej roboty. Zdjął ze swojej szyi złoty kluczyk, wsunął go do małej, delikatnej maszyny i nakręcił ją. A potem puścił w ruch.

Maszyna była ogrodem z metalu i kamieni szlachetnych. Kiedy ją uruchamiano, ptaki śpiewały na małych metalowych drzewach, wilki przemierzały miniaturowe lasy, maleńcy ludzie biegali ze słońca w cień i z cienia w słońce, wachlowali się maciupkami wachlarzami, słuchali tycich szmaragdowych ptaków i stali przy niewyobrażalnie małych, ale pluszczących fontannach.

– Czyż to nie piękne? – rzekł cesarz. – Gdybyś mnie zapytał, co tu zrobiłem, potrafiłbym bez trudu odpowiedzieć. Sprawilem, że ptaki śpiewają, że lasy szemrzą, że ludzie chodzą wśród drzew, podziwiają listowie, zażywają cienia, cieszą uszy ptasimi pieśniami. To właśnie zrobiłem.

– O cesarzu! – błagał człowiek-ptak na kolanach, z twarzą ociekającą łzami. – Wszak dokonałem rzeczy podobnej! Odnalazłem piękno. Latałem z porannym wiatrem. Oglądałem z góry uśpione domy i ogrody. Czuję zapach morza i nawet widziałem je z wysoka, za wzgórzami. I szybowałem jak ptak; och, nie potrafię wyrazić słowami, jak pięknie jest tam, na wyżynach, pośród wiatru niosącego mnie raz jak piórko, raz jak wachlarz, nie umiem opisać cudownej woni nieba o poranku! Ani poczucia wolności, jakiego się zaznaje! To jest piękne, cesarzu, to też jest piękne!

– Tak – powiedział cesarz ze smutkiem. – Z pewnością mówisz prawdę. Czuję bowiem, jak serce moje wrywało się do ciebie, gdy byłeś w powietrzu, i zastanawiałem się: Jak to jest? Jakie to uczucie? Jak wyglądają odległe stawy z tak wielkiej wysokości? A moje domy i słudzy? Niczym mrówki? I jak wyglądają dalekie miasta, jeszcze nieprzebudzone ze snu?

– Oszczędź mnie więc!

– Czasem jednak – ciągnął cesarz z jeszcze większym smutkiem – trzeba stracić trochę piękna, aby zachować tę odrobinę, którą już się ma. Nie lękam się ciebie jako ciebie. Lękam się innego człowieka.

– Jakiego człowieka?

– Tego, który cię zobaczy i skonstruuje taką samą maszynę z jasnych płacht papieru i łądy bambusa. Człowiek ten jednak będzie miał złą twarz i nikczemne serce, przez co całe

piękno zginie. Tego właśnie człowieka się lękam.

– Dlaczego? Dlaczego?

– Któż może przewidzieć, czy ów człowiek, w takim samym aparacie z papieru i bambusa, nie wzleci pewnego dnia w niebo, by zrzucić ogromne gązdy na Wielki Mur Chiński? – rzekł cesarz.

Nikt się nie poruszył, nikt nic nie powiedział.

– Ściąć mu głowę – zarządził cesarz.

Kat zakręcił srebrnym toporem.

– Spalić latawiec i ciało wynalazcy, popioły pogrzebać razem – powiedział cesarz.

Słudzy wycofali się, by wykonać polecenie.

Cesarz odwrócił się do swego osobistego sługi, który widział latającego człowieka.

– Trzymaj język za zębami. To wszystko było snem, głęboko smutnym, pięknym snem. A tamtemu rolnikowi na odległym polu, który też widział, co się stało, powiedz, że to było tylko przywidzenie. Jeśli wieść o tym się kiedykolwiek rozejdzie, ty i on umrzecie przed upływem godziny.

– Jesteś miłosierny, panie.

– Nie, nie miłosierny – powiedział starzec. Za murem ogrodu widział strażników palących piękną maszynę z papieru i bambusa, pachnącą porannym wiatrem. Czarny słup dymu piął się w niebo. – Nie, tylko wielce zdumiony i strwożony. – Zauważył, że strażnicy kopią mały dół, w którym pogrzebią popioły. – Czymże jest życie jednego człowieka wobec losu miliona innych ludzi? Tą myślą muszę się pocieszać.

Zdjął kluczyk z łańcuszka na szyi i raz jeszcze nakręcił piękny miniaturowy ogród. Stał i patrzył w dal na Wielki Mur, spokojne miasto, zielen łąk, na rzeki i strumienie. Westchnął. Ukryta, delikatna maszyneria małego ogrodu zafurczała i poszła w ruch; mali ludzie chodzili po lasach, małe lisy o pięknej lśniącej sierści przemykały przez usiane cętkami słońca polany, rozśpiewane jasnoniebieskie i żółte plamki śmigły wśród małych drzew, latały, latały, latały po tym małym niebie.

– Och – powiedział cesarz i zamknął oczy. – Spójrz na ptaki, spójrz na ptaki!

ZOMBI W SAMOLOCIE

BEV VINCENT

Wasz drugi pilot, Bev Vincent, opublikował przeszło osiemdziesiąt opowiadań i kilka książek, ale tu przedstawiamy jego jak dotąd jedyną opowieść z wątkiem lotniczym. Inspiracją dla tytułu był pewien film z Samuelem L. Jacksonem w roli głównej, ale w tekście nie znajdziecie ani jednego soczystego epitetu właściwego dla odgrywanych przezeń postaci. Yippee ki-yay!

Facet w koszulce Phish powiedział Mylesowi, że potrafi prowadzić każdy samolot, i jeśli skłamał, wszyscy umrą. Do tego sprawa się sprowadza. Facet – na imię mu Barry, wygląda, jakby jeszcze nie przekroczył trzydziestki – twierdzi, że szkolił się na pilota „wiecie gdzie”, innymi słowy, tam, gdzie wszystko się zaczęło, ale skąpi szczegółów i brzmi to raczej jak czcza przechwałka, tekst, z którym ktoś wyskakuje późnym wieczorem w barze, by zaimponować kobietom. Oczywiście, gdyby kobiety nadal przesiadywały w barach.

– Wielu mówiło, że wojna to zły pomysł. Ja na początku ją popierałem – mówi Barry ze wzruszeniem ramion. – Nie przypuszczałem, że tak to się skończy. – Myles chyba nigdy nie słyszał większego niedomówienia.

Spotkał tę grupkę ocalałych – w sumie dziewiętnastu, z nim włącznie – w auli szkoły średniej w biednej dzielnicy, gmachu z mocnymi drzwiami i solidnymi zamkami, który zapewnił im tymczasowe schronienie. Kiedy Barry oznajmił, że może wywieźć ich samolotem, Myles przedstawił swój niejasny plan. I ot tak został przywódcą.

– Polecimy gdzieś daleko – mówi tym, którzy skupili się wokół niego, najwyraźniej przyciągnęci jego pewnością siebie, nabytą przez trzydzieści lat przepracowanych w handlu i na stanowiskach kierowniczych średniego szczebla. – Gdzieś, gdzie będziemy bezpieczni, dopóki to wszystko się nie skończy. – Nikt nie pyta, co zrobią, jeśli „to” nie skończy się nigdy.

Wyprawa na lotnisko wydaje się najlepszym pomysłem. Miasto upadło, budynki płoną, ludzie giną na ulicach. Ci, których napastnicy nie pożerają, po kilku sekundach wstają, by dołączyć do żarłocznej armii nieumarłych. Myles żałuje, że powodzenie jego planu zależy od niepotwierdzonych umiejętności faceta, który wygląda, jakby nie przepracował ani jednego dnia w życiu.

Skoro jednak pozostali chcą traktować go jak przywódcę, będzie przewodził, do licha. Na jego polecenie zabierają żywność ze stołówki i idą do szopy po narzędzia i broń. Barry twierdzi, że może uruchomić autobus zaparkowany koło rampy załadowniczej, nawet jeśli nie znajdą kluczyków. Myles nie pyta, czy tej sztuczki również się nauczył „wiecie gdzie”, ale Barry staje na wysokości zadania. Może jednak jest nadzieja.

Wskaźnik stanu paliwa w podstarzałym autobusie szkolnym pokazuje nieco poniżej ćwierci baku. Na ostatniej czynnej stacji benzynowej w okręgu zapasy wyczerpały się sześć dni temu, przyobiecane cysterny z paliwem nie przyjechały. I pewnie już nie przyjadą. Benzyny wystarczy, by dotrzeć na lotnisko – na styk – ale jeśli Barry nie wykombinuje, jak uruchomić jeden z samolotów, będzie po nich. Siedemnastu ludzi wsiada za Mylesem i Barrym do autobusu jak szczury zwabione dźwiękiem czarodziejskiego fletu.

Autobus to gruchot, ale daje się nim jechać, byle nie za szybko. Przy przekroczeniu pięćdziesiątki zapala się lampka ostrzegawcza, Barry zdejmuje więc nogę z gazu. Nie mogą

sobie pozwolić na awarię. Po wyjeździe z Halifaksu nie widzieli zbyt wielu tych paskudztw, ale nie czują się bezpiecznie. Diabelstwa mogą zjawić się w każdej chwili, a grupa Mylesa uzbrojona jest tylko w noże i siekiery. Podobnie jak benzyna, amunicja to cenny i rzadki towar.

Pięćdziesiąt na godzinę jednak wystarczy. Jeśli na lotnisku jest samolot z dostatecznym zapasem paliwa, by dowieźć ich w miejsce, które wybiorą, może poczekać, aż się do niego dotoczą. Kiedy Myles pracował jako przedstawiciel handlowy, zanim posadzili go za biurkiem, nie znosił długiej jazdy na lotnisko Stanfield, dziś jednak chętnie oddali się od miasta.

Jak okiem sięgnąć, droga w obu kierunkach jest wolna. Mijają samochody unieruchomione na poboczu, ale kiedy zwalniają, by sprawdzić, czy pasażerom trzeba pomóc, autobus rzezi, czka i grozi zgaśnięciem. Barry powoli rozpędza go z powrotem do pięćdziesiątki, jedynej prędkości, jaka silnikowi najwyraźniej odpowiada. Myles ma wrażenie, że widzi głowę wychyloną z nad kierownicy jednego z mijanych aut, ale nie jest pewien, czy rzeczywiście to zobaczył, poza tym, równie dobrze mógł to być jeden z tamtych, nie prawdziwy człowiek.

Wyrzuca ten przelotny obraz ze swoich myśli. Bądź co bądź, mogło to być złudzenie optyczne, a nawet jeśli nie, wszystkich nie zdołają uratować – nie jest nawet pewien, czy uratują siebie. Nigdy się nie poddawać, taka jest jednak jego mantra. Największą satysfakcję czerpał z tych transakcji, kiedy potencjalny kontrahent zamierzał przejść do konkurencji, a on swoim uporem i zapalem przekonywał go do zmiany decyzji.

Ciekaw jest, co się stanie, kiedy zombi zabiją już prawie wszystkich. Czy będą błądzić po planecie w daremnym poszukiwaniu pożywienia, aż rozsypią się na kawałki, podrygując na ziemi jak dziecięca zabawka, w której wyczerpują się baterie? Całe siedem miliardów żywych trupów polujących na garstkę ocalałych przedstawicieli gatunku ludzkiego?

Trzeba też wziąć pod uwagę, że nawet jeśli on i jego grupa uciekną, nie będą żyli wiecznie. Wszyscy w końcu umrą, a kiedy to się stanie, wirus – czy cokolwiek to jest – przywróci każde z nich do życia w postaci jednej z tych istot. Mogą tylko odwlekać nieuniknione i żywić nadzieję, że gdzieś trwają prace nad rozwiązaniem tego problemu. Ludzkość przetrwała tysiące lat. Ta plaga nas nie unicestwi, myśli Myles. Ktoś znajdzie lekarstwo. Tak jest zawsze. Wiara dodaje mu siłę. Inaczej równie dobrze mógłby się podpalić i mieć to z głowy.

Kiedy docierają na miejsce, Myles uprzedza wszystkich, by trzymali się mocno, i każe Barry'emu staranować ogrodzenie oddzielające parking od pasów startowych. Autobus szarpie i ściąga na bok, drucziana siatka owija zderzak i przednią szybę niczym kolczuga, ale ostatecznie przebijają się na płytę lotniska.

Przy terminalu stoi kilka airbusów i boeingów, Barry jednak wybiera samolot linii regionalnych, dość duży, by pomieścić ich wszystkich, a zarazem na tyle mały, żeby mogli wylądować, gdzie zechcą, nawet na odległym lądowisku przeznaczonym dla samolotów prywatnych. To embraer ERJ-145 o zasięgu co najmniej czterech tysięcy kilometrów, według Barry'ego. Może nawet nieco większym, skoro prawie nie mają bagażu. Wystarczająco dużym, by odlecieć daleko stąd.

W tym jednak sęk – dokąd mają uciec? Barry otwiera drzwi samolotu, te opadają, ukazując schody. Wchodzi do środka, schylając głowę w wejściu, i po kilku minutach wyłania się z zestawem map nawigacyjnych. Myles rozkłada je na siedzeniu autobusu, a Barry i były taksówkarz Gilbert odpalają na krótko cysternę z paliwem i podjeżdżają nią do skrzydła embraera.

Alfie, w poprzednim życiu analityk finansowy, wychyla się znad oparcia siedzenia.

– Może na Alaskę?

– Nie da rady. Najdalej dolecimy na Labrador albo do północnego Ontario.

– Za zimno – mówi Terri, była instruktorka jogi, obejmując się wpół. Myles nie jest zaskoczony. Odkąd dołączyła do grupy, ciągle narzeka.

– Śnieg spowalnia tamtych – zauważa fryzjer Phil.

Nawet jeśli to prawda, muszą zaszyć się gdzieś, gdzie da się przetrwać, może nawet uprawiać ziemię. I gdzie będą mogli utrzymywać kontakty z resztą świata, żeby wiedzieć, kiedy sytuacja zostanie opanowana. Myles nie dzieli się jednak swoimi przemyśleniami z resztą. Nie chce zdradzić, że dręczą go te same rozterki co ich.

– Patrzcie! – wrzeszczy Emily. Jest najmłodsza w ich grupie, to nastolatka, która prawie słowem się nie odezwała, odkąd opuścili miasto, zamiast tego przez cały czas w skupieniu próbowała połączyć się z kimś, kimkolwiek, przez swojego iPhone'a, jej kciuki nieustannie przebiegały po klawiszach.

Myles patrzy we wskazanym kierunku. Kilku zombi wyłania się z terminalu, nadchodzą, powłócząc nogami, przez płytę lotniska, wiedzeni jakimś pierwotnym instynktem.

Barry i Gilbert ładują szlauch na cysternę, znak, że skończyli. Myles chwytając plik map i wybiega na pas startowy.

– Musimy ruszać! – woła. – Już.

Dwaj mężczyźni podnoszą głowy i widzą nadciągających zombi. Gilbert siada za kierownicą cysterny i odjeżdża od skrzydła.

– Wszyscy na pokład! – krzyczy Myles i pozostali bez dalszej zachęty przeciskają się obok niego, z plecakami pełnymi prowiantu i ekwipunku zarzuconymi na ramiona, każdy z bronią w ręku. Zombi, choć może i ślamazarni, są nieustępliwi, pokonali już prawie połowę dystansu z terminalu do autobusu. Jeszcze kilka minut i ich dopadną, rozszarpią i rozerwą na strzępy jedyną nadzieję ludzkości na przetrwanie.

Myles wsiada ostatni, ciężko dysząc i próbując nie zważać na ból promieniujący wzdłuż jego lewej ręki. Dwaj mężczyźni – mgliście kojarzy, że na imię im Matt i Chet – zamykają drzwi, Barry kieruje się do kokpitu. Gilbert zgłasza się na drugiego pilota, mimo że nigdy nie siedział za sterami samolotu. To teraz. Nadeszła chwila prawdy. Jeśli Barry nie poderwie maszyny z ziemi, to koniec, będą uwięzieni jak sardynki w puszcze.

Myles odchyła się na oparcie i próbuje złapać oddech. Kiedy zamyka oczy i się koncentruje, ból w piersi słabnie. W małym plastikowym pojemniku, który nosi w przedniej kieszeni spodni, zostały tylko trzy pigułki, a szansa na uzupełnienie zapasu jest praktycznie zerowa, więc ani myśli teraz zmarnować jedną z nich. To minie. To minie. Kolejna mantra.

Wygląda przez okno. Zombi są przy autobusie, wężą koło otwartych drzwi. Po chwili

ruszają, noga za nogą, w stronę samolotu. Wiedzą, że tu jesteśmy, myśli Myles. Odchyła się od owalnej szyby, aby nie napotkać ich przenikliwych spojrzeń.

Pozostali pasażerowie siedzą z nosami przyciśniętymi do okien i obserwują tę powolną, ale nieuchronnie nadciągającą procesję. Drzwi kabiny są zamknięte, więc na razie nic im nie grozi. Co będzie jednak, jeśli istoty przegryzą opony, zanim samolot się rozpędzi? Albo znajdą sposób, by dostać się do środka – na przykład przez luk bagażowy?

Ledwie ta myśl przychodzi mu do głowy, a już słysząc łupnięcie w podwoziu. Przypomina dźwięk otwieranych lub zamykanych drzwi luku bagażowego.

– Musimy ruszać! – krzyczy z nadzieją, że ich rzekomy pilot go słyszy. Że Barry nie siedzi wpatrzony w przyprawiające o zawrót głowy zatrząsienie odczytów, pokręteł i przełączników, zastanawiając się, które to jest rozrusznik.

Kolejne łupnięcie, tym razem tak silne, że kadłub się kołysze.

– Już ich nie widzę – mówi Alfie. – Są pod samolotem.

– Ilu? – pyta Terri prawie szeptem.

– Ośmiu, może dziesięciu – odpowiada Alfie. – Zaraz dojdą następni.

Myles znów wygląda przez okno. Druga grupa zombi sunie przez płytę lotniska. Co najmniej czterdziestu–pięćdziesięciu.

– Czemu on się tak grzebie? – mruczy pod nosem. Bierze głęboki wdech, ocenia intensywność ucisku w piersi i stwierdza, że przejście kilku kroków go nie zabije. Poza tym, jeśli zaraz nie wystartują, atak serca będzie najmniejszym z jego zmartwień.

Zrywa się z miejsca i rusza do kokpitu. Przez drzwi widzi, jak Barry pstryka przełącznikami, a Gilbert czyta instrukcje z kartki na podkładce do pisania.

– Umiesz to prowadzić czy nie? – pyta Myles, lękając się odpowiedzi.

– Pewnie, że tak – mówi Barry. Gilbert podnosi wzrok znad listy i wzrusza ramionami.

Spod nóg Mylesa dochodzą kolejne łupnięcia.

– Dobrze byłoby już wystartować. Nadciągają posiłki, nie dla nas.

Barry kiwa głową, ucisza Gilberta machnięciem ręki i pstryka kilkoma przełącznikami.

– Chrzańć kontrolę przedstartową – mówi. – Wiem, co robić. – Mały odrzutowiec drży, kiedy jeden, potem drugi silnik budzą się z rykiem do życia. Myles czuje narastającą moc, energię potencjalną, która poderwie ich z ziemi i pozwoli polecieć... dokąd? W ogólnej panice i zamieszaniu jeszcze nie wybrał celu. Pozostali oczekują, że podejmie decyzję za nich.

– Zabierz nas stąd i tyle – mówi do Barry'ego.

Barry pcha dźwąg do przodu i samolot zaczyna się toczyć.

– Oby tylko jednego z tamtych nie wciągnęło do silnika – mamrocze.

Łupnięcia w podwoziu teraz rozbrzmiewają bez przerwy. Nic się na to nie poradzi, więc Myles nie zamierza się tym przejmować. Jeśli jeden z tamtych dostanie się do przedziału bagażowego, zajmą się nim, gdy już będą w powietrzu. Mają siekiery i noże. Większość z nich jest w tej grupie dlatego, że potrafią sobie z tymi istotami poradzić.

Kiedy samolot nabiera prędkości, łupnięcia rozlegają się coraz rzadziej, aż w końcu cichną. Myles próbuje spojrzeć w tył, ale przez małe okno niewiele widać. Dostrzega tylko

drugą grupę zombi, którzy stoją na płycie lotniska i patrzą za nimi jak komitet pożegnalny.

Bierze głęboki oddech.

– Wszyscy zapięli pasy? – pyta. – Zaraz startujemy. – Ma nadzieję, że to prawda, że nie zjadą z płyty lotniska prosto w drzewa. Gdyby tak się stało, najlepszy możliwy scenariusz byłby taki, że samolot stanąłby w płomieniach, a oni wszyscy by spłonęli. To przynajmniej skróciłoby ich męki.

Pozostali siadają i zapinają pasy. Myles zastanawia się, czy powinni pomyśleć o odpowiednim wyważeniu samolotu, ale Barry nic o tym nie mówił, a wygląda na to, że wie, co robi. Bierze do ręki mapy nawigacyjne. Musi szybko podjąć decyzję.

Samolot gwałtownie odbija w lewo i staje. Są na początku pasa. Ryk silników narasta i odrzutowiec wyrывa naprzód, błyskawicznie nabierając prędkości. Drzewa przemykają za oknami. Myles odchyła się na oparcie, czeka, aż dziób pójdzie w górę, i po kilku sekundach tak się staje. Przeciężenie wciska go w fotel i mały samolot wyskakuje w niebo, podnoszony niewidzialnym ciśnieniem powietrza pod skrzydłami. Wszystkie problemy świata zostają daleko w dole. Gdyby mogli na zawsze pozostać w przestworzach, byłiby bezpieczni.

Po kilku minutach odrzutowiec wyrównuje lot. Oczy Mylesa z przyzwyczajenia utkwione są w znaku zapięcia pasów, ale Barry pewnie nie dba o ceremoniał towarzyszący lotom komercyjnym. Rozpina pas i znów skupia uwagę na mapach. Równie dobrze mógłby zamknąć oczy i wybrać miejsce na chybił trafił. Nie ma żadnych informacji, które pomogłyby mu w podjęciu decyzji. Czy są miejsca, do których plaga jeszcze nie dotarła? Jakaś wyspa, na przykład Islandia, która swobodnie leży w ich zasięgu? Może Barry złapie jakieś komunikaty w radiu.

Ma tylko jedną szansę dokonania trafnego wyboru. Konieczność wskazania celu podróży, zanim zużyją za dużo paliwa, paraliżuje go. Dlaczego oczekują, że bym to ja o wszystkim decydował? Chcę się tylko przespać, myśli. Jestem taki zmęczony.

Ciężar znów przygniata mu pierś, to samo uczucie, które miał podczas startu. Teraz jednak przyspieszenie nie powinno wpierać go w fotel – są na pułapie przelotowym, dość wysoko, by zminimalizować opór powietrza i zmaksymalizować zasięg. Próbuje wziąć oddech, ale pierś ma ściśniętą. Nagle nie może złapać tchu – brzemień jest tak ciężkie, że płuca odmawiają współpracy.

Pozostali patrzą przez okna jak zombi. Nie ma tam czego oglądać, tylko chmury, spod których tu i ówdzie wyłania się ziemia. Pewnie się zastanawiają, co ich czeka, myśli Myles. Co zastaniemy po lądowaniu.

Jego to już nie obchodzi. Wie, co go czeka, i nie ma na to żadnego wpływu. Przeszywający ból obezwładnia go. Nie może dosięgnąć plastikowego pojemnika w kieszeni spodni, nie może wydać dźwięku, by poprosić o pomoc. Jego oddech jest krótki, urywany. Ciśnienie w piersi narasta niby ściana wody napierająca na tamę, która zaraz pęknie.

Ma nadzieję, że pozostali będą przygotowani, kiedy ich zaatakują. Ciekaw jest, czy zombi czują ból. Gorzej niż teraz być nie może. Prawda?

NIE ZESTARZEJĄ SIĘ NIGDY

ROALD DAHL

Choć najbardziej znany ze swoich książek dla dzieci – m.in. *Charlie i fabryka czekolady* oraz *James i ogromna brzoskwinia* – Dahl był też utalentowanym autorem opowiadań. Chyba najskrytniejszym jest *Jagnię na rzeź*, gdzie kobieta piecze zamrożony udziec jagnięcy, którym zamordowała męża, a następnie częstuje nim policję. Dahl był asem myśliwskim podczas drugiej wojny światowej, przeżył jedną katastrofę i zestrzelił wiele nieprzyjacielskich samolotów, w tym co najmniej dwa junkersy 88. Latał hawkerem hurricane'em, takim samym jak ten, za którego sterami zasiada Fin w poniższej opowieści, pierwotnie opublikowanej w „Ladies' Home Journal” pod koniec wojny.

Siedzieliśmy we dwóch na drewnianych skrzyniach przed hangarem.

Było południe. Słońce wisiało wysoko na niebie, paliło żywym ogniem. Tam, koło hangaru, było goręcej niż w piekle. Każdy oddech parzył płuca, lepiej było, kiedy wciągaliśmy powietrze szybko, przymkniętymi ustami; wtedy wydawało się chłodniejsze. Słońce przypiekało ramiona i plecy, pot nieprzerwanie wysączał się ze skóry, ściekał po naszych szyjach na piersi i brzuchy, zbierał się nad ciasno opinającymi spodnie pasami, stamtąd przeciskał strużkami niżej, gdzie nieprzyjemna wilgoć rozpalonymi igielkami prażyła skórę.

Nasze dwa hurricane'y stały kilka jardów od nas, każdy w tej cierpliwej, zadowolonej z siebie pozie myśliwca z wyłączonym silnikiem, za nimi wąski czarny pas startowy opadał ku plażom i morzu. Czarna nawierzchnia pasa i biały, poprzerastany trawą piasek po jego bokach połyskiwały w słońcu. Rozedrgane upałem powietrze wisiało nad aerodromem jak para wodna.

Byk spojrział na zegarek.

– Powinien już wrócić – powiedział.

Obaj byliśmy w gotowości, czekaliśmy na rozkaz startu. Byk poruszył nogami na rozpalonej ziemi.

– Powinien już wrócić – powtórzył.

Od odlotu Fina minęło dwie i pół godziny i zdecydowanie powinien już wrócić. Spojrzałem w niebo i wyteżyłem słuch. Usłyszałem rozmowy lotników przy cysternie z paliwem i słaby łoskot morza rozbijającego się o brzeg, ale nie dźwięk nadlatującego samolotu. Siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu.

– Wygląda na to, że już po nim – powiedziałem.

– Mhm – mruknął Byk. – Na to wygląda.

Wstał i wsunął dłonie do kieszeni swoich szortów khaki. Ja też się podniosłem. Staliśmy, patrzyliśmy na czyste niebo ku północy i przestępowaliśmy z nogi na nogę, bo asfalt był miękki i gorący.

– Jak tej dziewczynie było na imię? – powiedział Byk, nie odwracając głowy.

– Nikki – przypomniałem.

Byk usiadł z powrotem na drewnianej skrzyni, wciąż z rękami w kieszeniach, i wbił wzrok w ziemię między swoimi nogami. Był najstarszym pilotem w eskadrze; miał dwadzieścia siedem lat. Jego głowę wieńczyła szorstka ruda czupryna, której nigdy nie cesał. Twarz miał bladą, mimo tak długiego czasu spędzonego w słońcu, i usianą piegami, usta szerokie i mocno zaciśnięte. Nie był wysoki, ale pod jego koszulą khaki skrywały się szerokie, barczyste ramiona zapaśnika. Do rozmownych nie należał.

– Pewnie nic mu nie będzie – powiedział, podnosząc oczy. – Zresztą, jeszcze nie

spotkałem Francuza z Vichy, który zdołałby dopaść Fina.

Byliśmy w Palestynie, walczyliśmy w Syrii przeciwko Francuzom z Vichy. Stacjonowaliśmy w Hajfie i przed trzema godzinami Byka, Fina i mnie postawiono w stan gotowości. Fin wystartował, kiedy zadzwonili z marynarki wojennej z informacją, że z portu w Bejrucie wypływają dwa francuskie niszczyciele. Prosimy, wyskoczcie tam i zobaczcie, dokąd się kierują, powiedzieli. Niech ktoś polecą wzdłuż wybrzeża i rzuci okiem, a potem raz-dwa wróci i zamelduje, dokąd się wybierają.

Fin poleciał więc swoim hurricane'em. Czas mijał, a on nie wracał. Wiedzieliśmy, że nie ma już większej nadziei. Jeśli go nie zestrzelili, do tej pory skończyło mu się paliwo.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem jego niebieską czapkę RAF, która leżała na ziemi tam, gdzie ją rzucił, biegnąc do swojego samolotu. Poplamiona olejem, miała zmaltretowany, wygięty daszek. Trudno było uwierzyć, że Fin nie wróci. Był z nami w Egipcie, Libii i Grecji. Towarzyszył nam przez cały czas, na aerodromie i w mesie. Wesoły, wysoki, zawsze roześmiany, miał czarne włosy i długi prosty nos, po którym zwykł wodzić w górę i w dół czubkiem palca. Kiedy opowiadałeś jakąś historię, słuchał cię odchylony na krześle, z twarzą zwróconą do sufitu, ale oczami spuszczonej ku ziemi.

– Wiecie, w sumie nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ożenić się z Nikki. Myślę, że porządna z niej dziewczyna – ni z tego, ni z owego powiedział ostatniego wieczoru na kolacji.

Byk siedział naprzeciwko niego i wcinał fasolkę po bretońsku.

– Może od święta – parsknął.

Nikki występowała w kabarecie w Hajfie.

– Nie – zaprzeczył Fin. – Dziewczyna z kabaretu to dobry materiał na żonę. Nigdy cię nie zdradzi. Niewierność to dla niej żadna atrakcja; to byłoby jak powrót do dawnej pracy.

Byk podniósł głowę znad fasolki.

– Nie gadaj takich głupot – powiedział. – Nie ożeniłbyś się z Nikki. W życiu.

– Nikki – oznajmił Fin z wielką powagą – pochodzi z dobrej rodziny. Jest porządną dziewczyną. Sypia bez poduszki. Wiecie, dlaczego sypia bez poduszki?

– Nie.

Teraz już słuchali wszyscy przy stole. Słuchali opowieści Fina o Nikki.

– Cóż, kiedy była bardzo młoda, zaręczyła się z oficerem francuskiej marynarki. Bardzo go kochała. Pewnego dnia, kiedy opalali się na plaży, mimochodem wspomniał, że zawsze sypia bez poduszki. Ot, błaha uwaga, jakie ludzie czynią dla podtrzymania rozmowy. Nikki jednak nigdy tego nie zapomniała. Od tej pory zaczęła się przyzwyczajać do spania bez poduszki. Któregoś dnia jej francuski oficer zginął pod kołami ciężarówki; i choć Nikki było bardzo niewygodnie, nadal sypiała bez poduszki, by w ten sposób pielęgnować pamięć po ukochanym.

Fin napchał fasoli do ust i powoli przeżuwał.

– To smutna historia – powiedział wreszcie. – Pokazuje, że naprawdę porządna z niej dziewczyna. Chyba się z nią ożenię.

To właśnie Fin powiedział ostatniego wieczoru na kolacji. Teraz zaginął i ciekaw byłem,

co takiego Nikki zrobi dla uczczenia jego pamięci.

Słońce prażyło mi plecy i obróciłem się instynktownie, by wystawić na żar drugą stronę ciała. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Karmel i Hajfę. Najpierw zielone zbocze stromo opadające ku morzu, potem miasto u jego podnóża, lśniące w słońcu budynki w jaskrawych barwach. Domy o bielonych ścianach zajmowały stoki Karmelu, czerwone dachy upstrzyły wysypką czoło góry.

Trzech ludzi nadeszło wolnym krokiem od strony szarego hangaru z blachy falistej, następna ekipa postawiona w stan gotowości. Mieli żółte maewestki narzucone na ramiona, w dłoniach trzymali pilotki.

– Załatwili Fina – poinformował ich Byk.

– Tak, wiemy – odparli.

Usiedli na tych samych drewnianych skrzyniach, co my, słońce natychmiast padło na ich ramiona i plecy, i zaczęli się pocić. Ja i Byk poszliśmy.

Nazajutrz była niedziela i rano poleciliśmy w głąb doliny Libanu, żeby ostrzelać aerodrom o nazwie Rijak. Minęliśmy Hermon, zwieńczony czapą śniegu, opadliśmy od strony słońca na Rijak i francuskie bombowce na aerodromie, zaczęliśmy atak. Pamiętam, że kiedy lecieliśmy nisko nad ziemią, drzwi francuskich bombowców się pootwierały. Pamiętam sporą grupę kobiet biegnących w białych sukienkach po płycie lotniska; te białe sukienki, to je pamiętam najlepiej.

Widzicie, była niedziela i francuscy piloci zaprosili swoje sympatie z Bejrutu na zwiedzanie bombowców. Piloci z Vichy powiedzieli: przyjdźcie w niedzielę rano, pokazemy wam nasze samoloty. To było bardzo w stylu Francuzów z Vichy.

Kiedy więc zaczęliśmy strzelać, kobiety wybiegły z samolotów i rzuciły się do ucieczki przez aerodrom w swoich niedzielnych sukienkach.

Pamiętam, że Małpa powiedział przez radio: „Dajcie im szansę, dajcie im szansę”, po czym cała eskadra zawróciła i zatoczyła koło nad aerodromem, a kobiety rozbiegły się po trawie na wszystkie strony. Jedna z nich dwa razy się potknęła i upadła, inna utykała, podtrzymywana przez mężczyznę, my pozwoliliśmy im uciec. Pamiętam, że na ziemi widziałem małe, jasne błyski karabinu maszynowego i myślałem, że mogliby z łaski swojej nie strzelać, kiedy czekamy, aż ich kobiety w bieli zejda z linii ognia.

To było nazajutrz po zniknięciu Fina. Dzień później Byk i ja znów siedzieliśmy w stanie gotowości na drewnianych skrzyniach przed hangarem. Paddy, potężny blondyn, zajął miejsce Fina i siedział z nami.

Było południe. Słońce wisiało wysoko na niebie, paliło żywym ogniem. Pot ściekał nam po szyjach, wpływał pod koszule, lał się po piersiach i brzuchach, a my siedzieliśmy i czekaliśmy na zluzowanie. Byk przyszywał igłą pasek do pilotki i opowiadał, jak zeszłego wieczoru spotkał Nikki w Hajfie i powiedział jej o losie Fina.

Nagle usłyszeliśmy dźwięk samolotu. Byk przerwał opowieść i wszyscy podnieśliśmy wzrok. Dźwięk dobiegał z północy, coraz głośniejszy w miarę zbliżania się maszyny, i raptem Byk stwierdził:

– To hurricane.

Chwilę potem samolot już kołował nad aerodromem i opuszczał podwozie przed lądowaniem.

– Kto to? – zdziwił się jasnowłosy Paddy. – Rano nikt nie startował.

Kiedy hurricane przemknął przed nami i usiadł na pasie, zobaczyliśmy numer na jego ogonie. H4427. To był Fin.

Teraz już na stojąco patrzyliśmy, jak maszyna podjeżdża do nas, a kiedy skręciła na płytę postojową, ujrzelśmy Fina w kokpicie. Pomachał do nas, uśmiechnął się szeroko i wysiadł. Pobiegliśmy mu na spotkanie i zaczęliśmy krzyczeć jeden przez drugiego: „Gdzie byłeś?”, „Gdzieś ty, u licha, był?”, „Lądowałeś przymusowo, a potem udało ci się uciec?”, „Znalazłeś sobie kobietę w Bejrucie?”, „Fin, gdzie się, do stu diabłów, podziewałeś?”.

Przybiegali inni i otoczyli go ciasnym kręgiem, mechanicy, strażacy, wszyscy ciekawi, co Fin powie. On zaś ściągnął pilotkę, odgarnął dłonią swoje czarne włosy i tak był zdumiony naszym zachowaniem, że zrazu patrzył na nas w milczeniu.

– Co się, do czorta, dzieje? Co was wszystkich ugryzło? – zapytał w końcu.

– Gdzieś ty był?! – krzyčeliśmy. – Gdzie się podziewałeś przez dwa dni?

Twarz Fina wyrażała bezbrzeżne zdumienie. Zerknął na zegarek.

– Pięć po dwunastej – powiedział. – Wyleciałem o jedenastej, godzinę i pięć minut temu. Nie róbcie z siebie cholernych głupków. Muszę natychmiast złożyć meldunek. Marynarka musi się dowiedzieć, że te niszczyciele wciąż stoją w bejruckim porcie.

Chciał odejść; złapałem go za ramię.

– Fin, nie było cię od przedwczoraj – powiedziałem cicho. – Co się z tobą dzieje?

Spojrzał na mnie i się roześmiał.

– Lepsze figle mi już płałaś – powiedział. – Ten jest średnio zabawny. Właściwie wcale nie jest zabawny. – I poszedł.

Staliśmy bez ruchu, Byk, Paddy, ja, mechanicy i strażacy, i patrzyliśmy za odchodzącym Finem. Spojrzeliśmy na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć, co myśleć, nic nie rozumiejąc. Jedno było pewne: Fin nie żartował, szczerze wierzył, że mówi prawdę. Wiedzieliśmy to, bo go znaleźliśmy, a kiedy spędza się ze sobą tyle czasu, ile my ze sobą spędzaliśmy, nie sposób wątpić w to, co ktoś mówi o przebiegu swojego lotu; wątpić można tylko w samego siebie. Ci mężczyźni wątpili w samych siebie, stali na słońcu i wątpili w samych siebie, Byk zeszkrobywał paznokciami ze skrzydła maszyny Fina małe płyty farby, wysuszonej i spękanej z gorąca.

Ktoś powiedział „A to ci dopiero” i wszyscy w milczeniu wrócili do swoich obowiązków. Trzej piloci z następnej zmiany powoli nadciągnęli od strony szarego hangaru z blachy falistej, powłócząc nogami w prażącym słońcu i bujając niesionymi w dłoniach pilotkami. Byk, Paddy i ja poszliśmy do mesy pilotów napić się czegoś i zjeść lunch.

Mesa była małym, białym drewnianym budynkiem z werandą. W środku mieściły się dwa pomieszczenia, jednym była świetlica z fotelami, czasopismami i okienkiem w ścianie, w którym kupowało się drinki, drugim stołówka z pojedynczym długim, drewnianym stołem. W świetlicy zastaliśmy Fina rozmawiającego z Małpą, naszym dowódcą. Pozostali piloci siedzieli cicho i słuchali, wszyscy pili piwo. Wiedzieliśmy, że sprawa jest poważna,

pomimo foteli i piwa; że Małpa robi to, co konieczne, i że inaczej nie da się tego załatwić. Małpa był rzadkim okazem, wysoki, o przystojnej twarzy, z włoską kulą tkwiącą głęboko w nodze, zawsze swobodny, przyjazny, a przy tym nadzwyczaj kompetentny. Nigdy nie śmiał się głośno, kiedy coś go rozbawiło, krztusił się tylko i wydawał głęboki gardłowy pomruk.

– Daj spokój, Małpa, nie pozwól mi myśleć, że oszalałem – mówił Fin. Był poważny, rzeczowy, a zarazem zaniepokojony jak diabli. – Powiedziałem ci wszystko, co wiem – ciągnął. – Wystartowałem o jedenastej, wszedłem na wysoki pułap, poleciałem nad Bejrut, zobaczyłem dwa niszczyciele, wróciłem i wylądowałem pięć po dwunastej. Przysięgam.

Obejrzał się na nas, na Byka i mnie, na Paddy'ego, Johnny'ego i pół tuzina innych pilotów w świetlicy, a my uśmiechnęliśmy się i kiwnęliśmy głowami, by pokazać, że jesteśmy z nim, nie przeciwko niemu, i że mu wierzymy.

– Co ja, u licha, powiem dowództwu w Jerozolimie? – powiedział Małpa. – Zgłosiłem twoje zaginięcie. Teraz muszę zgłosić twój powrót. Będą chcieli wiedzieć, gdzie się w tym czasie podziewałeś.

To wszystko zaczynało Fina przerastać. Siedział sztywno wyprostowany, szybko, mocno bębnił palcami lewej dłoni w skórzaną poręcz fotela, wychylał się do przodu, myślał, myślał, wycęzał umysł i znów bębnił palcami w poręcz fotela, potem zaczął jeszcze stukać nogą w podłogę. Byk nie zdzierzył.

– Małpa – powiedział. – Małpa, zostawmy to na razie. Może Finowi potem coś się przypomni.

– Tymczasem możemy powiedzieć dowództwu, że Fin lądował przymusowo w Syrii, dwa dni reperował samolot, a potem wrócił do bazy – dodał Paddy, który siedział na poręczy fotela Byka.

Wszyscy pomagali Finowi. Wszyscy piloci bez wyjątku. Mieliśmy niezbitą pewność, że oto zdarzyło się coś o doniosłym dla nas znaczeniu. Fin to wiedział, choć nie wiedział nic ponadto, pozostali też zdawali sobie z tego sprawę, widać to było w ich twarzach. W pokoju panowało napięcie, głębokie, silne napięcie, po raz pierwszy bowiem mieliśmy do czynienia z czymś niezwiązanym z pociskami, ogniem, krztuszeniem się silnika, pękaniem opon, krwią w kokpicie, dniem wczorajszym, dzisiejszym czy nawet jutrzejszym. Małpa też to wyczuł.

– Racja, napijmy się jeszcze i zostawmy na razie tę sprawę – powiedział. – Zamelduję dowództwu, że lądowałeś przymusowo w Syrii i potem udało ci się wystartować.

Napiliśmy się piwa i poszliśmy na lunch. Małpa zamówił do posiłku butelki palestyńskiego białego wina, żeby oblać powrót Fina.

Potem nikt nie wspominał o tym, co zaszło; nie rozmawialiśmy na ten temat nawet za plecami Fina. Wciąż jednak skrycie o tym myśleliśmy, święcie przekonani, że to coś ważnego i że na tym się nie skończy. Napięcie szybko udzieliło się całej eskadrze, wszystkim pilotom.

Mijały dni, słońce świeciło na aerodrom i samoloty, a Fin znów, jakby nigdy nic, zaczął latać razem z nami.

Aż pewnego dnia, chyba z tydzień później, raz jeszcze ostrzelaliśmy aerodrom Rijak. Było nas sześciu, Małpa na czele, Fin po jego prawej. Nadlecieliśmy nisko nad Rijak, prosto w intensywny ogień lekkiej artylerii przeciwlotniczej, i podczas pierwszego nalotu maszyna Paddy'ego oberwała. Kiedy zawróciliśmy, żeby ponowić atak, zobaczyliśmy, jak jego hurricane łagodnie przechyliła się na skrzydło i spada na skraj aerodromu. Buchnął wielki kłęb białego dymu, potem płomień, pożar się rozprzestrzenił, dym poczerniał, Paddy został we wraku. Natychmiast zatrzeszczało radio i usłyszałem mocno ożywiony głos Fina, krzyczący do mikrofonu „Przypomniało mi się. Hej, Małpa, już wszystko pamiętam”, a po chwili spokojną, niespieszną odpowiedź Małpy: „Dobrze, Fin, dobrze; tylko znowu nie zapomnij”.

Zrobiliśmy drugi nalot, po czym Małpa szybko nas stamtąd wyprowadził, klucząc labiryntem dolin między wysokimi, nagimi szarobrązowymi wzgórzami, i przez całą drogę do bazy, cały półgodzinny lot Fin krzyczał przez radio. Wywoływał Małpę i meldował: „Halo, Małpa, wszystko mi się przypomniało, od początku do końca”. Potem mówił: „Halo, Byk, wszystko mi się przypomniało, teraz już tego nie zapomnę”. Łączył się ze mną, łączył się z Johnnym, łączył się z Marzycielem; raz po raz kontaktował się z każdym z nas z osobna i był tak rozemocjonowany, że czasem krzyczał za głośno i nie rozumieliśmy, co mówi.

Po lądowaniu rozproszyliśmy się i ponieważ Fin z jakiegoś powodu musiał zostawić swój samolot na drugim końcu aerodromu, wszyscy przyszedliśmy do sali odpraw przed nim.

Sala odpraw znajdowała się obok hangaru. W surowym pomieszczeniu pośrodku stał wielki stół, na którym leżała mapa okolicy. Oprócz tego drugi, mniejszy stół z dwoma telefonami, kilka drewnianych krzeseł i ław, a na jednym końcu podłoga zawałona była maewestkami, spadochronami i pilotkami. Zdejmowaliśmy kombinezony i rzucaliśmy je na podłogę, kiedy przyszedł Fin. Wpadł przez drzwi i znieruchomiał. Jego czarne włosy sterczały pionowo w górę, potargane podczas ściągania pilotki; twarz błyszczała od potu, koszula khaki była ciemna i mokra. Szybko oddychał otwartymi ustami. Wyglądał, jakby całą drogę pokonał biegiem. Miał minę dziecka, które wpadło do pokoju pełnego dorosłych, by powiedzieć, że kotka się okociła, i nie wie, jak zacząć.

Wszyscy słyszeliśmy, jak nadchodził, bo nasłuchiwaliliśmy jego kroków. Każdy z nas przerwał to, co robił, i staliśmy nieruchomo, patrząc na niego.

Małpa powiedział: „Cześć, Fin”, a Fin odparł: „Małpa, musisz mi uwierzyć, to się naprawdę stało”.

Małpa stał przy stole z telefonami; obok niego Byk, szeroki w barach, niski, rudowłosy Byk, wyprostowany, z maewestką w dłoni, wpatrzony w Fina. Kiedy Fin się odezwał, pozostali powoli, cichutko przysunęli się bliżej, do krawędzi wielkiego stołu z mapą, o który oparli się dłońmi. Stali, patrzyli na Fina i czekali, co powie.

Zaczął od razu, najpierw mówił szybko, potem się uspokoił i zwolnił tempo. Opowiedział wszystko, stojąc przy drzwiach sali odpraw, wciąż w żółtej maewestce, z pilotką i maską tlenową w dłoni. Reszta została na swoich miejscach i słuchała, ja zaś, słuchając go, zapomniałem, że to mówi Fin i że jesteśmy w sali odpraw w Hajfie; zapomniałem

o wszystkim i wyruszyłem wraz z nim w podróż, z której wróciłem, dopiero gdy skończył.

– Byłem na pułapie około dwudziestu tysięcy stóp – powiedział. – Przeleciałem nad Tyrem, Sydonem, rzeką Damur, a potem skierowałem się w głąb lądu nad wzgórzami Libanu, bo zamierzałem podejść do Bejrutu od wschodu. Nagle znalazłem się w chmurach, gęstych białych chmurach, tak zbitych i grubych, że poza wnętrzem mojego kokpitu nie widziałem nic. Nie rozumiałem, jak to się stało, bo chwilę wcześniej niebo było pogodne, błękitne, ani jednego obłoku.

– Obniżyłem lot, żeby wydostać się z chmur, i choć schodziłem coraz niżej, nic z tego, wciąż byłem wśród nich. Wiedziałem, że nie mogę opaść za nisko, bo w dole są wzgórza, ale na sześciu tysiącach stóp chmury wciąż mnie otaczały. Tak gęste, że nic nie widziałem, ani dziobu maszyny, ani skrzydeł, para skraplała się na przedniej szybie, po szkle ściekały małe strużki wody, zdmuchiwane strumieniem zaśmigłowym. Nigdy przedtem nie widziałem takich chmur. Były zbite i białe aż po brzegi kokpitu. Czułem się w tej małej, nakrytej szkłem kabinie, jakbym leciał na czarodziejskim dywanie, sam jeden, bez skrzydeł, ogona, silnika ani samolotu.

– Wiedziałem, że muszę wydostać się z chmur, skręciłem więc na zachód, nad morze, oddaliłem się od gór; potem, według wskazań wysokościomierza, zszedłem na niski pułap. Byłem pięćset stóp nad ziemią, potem czterysta, trzysta, dwieście, sto, a wokół wciąż widziałem tylko nieprzeniknioną biel. Zawahałem się, bo zdałem sobie sprawę, że niebezpiecznie byłoby zejść jeszcze niżej. A potem, nagle, niby podmuch wiatru, przyszło przekonanie, że pode mną nie ma nic; ani morza, ani ziemi, ani niczego innego, więc pomału, ostrożnie otworzyłem przepustnicę, mocno pchnąłem drążek do przodu i zanurkowałem.

– Nie pilnowałem wysokościomierza; patrzyłem przez przednią szybę na białe tumany i schodziłem coraz niżej. Siedziałem z drążkiem pchniętym do oporu, utrzymywałem samolot w locie nurkowym, wzrok utkwilem w rozległej, lepkiej bieli chmur i nawet nie pomyślałem, dokąd właściwie zmierzam. Po prostu spadałem.

– Nie wiem, jak długo to trwało; może minuty, może godziny; wiem tylko, że gdy tak siedziałem i opadałem lotem nurkowym, byłem pewien, że pode mną nie ma ani gór, ani rzek, ani ziemi, ani morza, i nie bałem się.

– A potem mnie oślepiło. Jakbym leżał, przysypiając w łóżku, a ktoś nagle zapalił światło.

– Chmury zniknęły tak nagle, tak szybko, że blask dnia poraził mi oczy. Byłem wśród nich i natychmiast, bez żadnego upływu czasu – poza nimi. W jednej chwili jestem w chmurach, otoczony gęstą bielą, i dosłownie w tej samej chwili jestem na zewnątrz, oślepiiony jasnym światłem. Mocno zacisnąłem powieki i nie podnosiłem ich przez kilka sekund.

– Kiedy otworzyłem oczy, zewsząd otaczał mnie błękit, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Ani ciemny, ani jasny – to był błękit błękitny, czysty i błyszczący, taki kolor widziałem pierwszy raz w życiu i nie potrafię go opisać. Rozejrzałem się. Zerknąłem w górę i za siebie. Usiadłem prosto i spojrzałem w dół przez szybę kokpitu. Wszędzie błękit. Było pogodnie i jasno, jak w przyjemnym słońcu, tylko że słońca nie było.

– I wtedy ich zobaczyłem.

– Daleko z przodu, w górze dojrzałem długi sznur samolotów. Posuwały się naprzód pojedynczym czarnym szeregiem, wszystkie z tą samą prędkością, wszystkie w tym samym kierunku, jeden zaraz za drugim, procesja ta ciągnęła się po niebie aż po horyzont. Sposób, w jaki podążały przed siebie, zawzięty pośpiech, z jakim parły naprzód niczym żaglowce pchane silnym wiatrem, powiedziały mi wszystko. Nie wiem, skąd to wiedziałem, ale zrozumiałem, że to piloci i załogi polegli na polu walki, którzy teraz, w swoich samolotach, odbywają swój ostatni lot, ostatnią podróż.

– Kiedy wzleciałem wyżej i zbliżyłem się do nich, zacząłem rozpoznawać poszczególne maszyny. Widziałem w tej długiej procesji praktycznie wszystkie modele. Lancastery i dornier, halifaxy i hurricane’y, messerschmitty, spitfire’y, sterlingi, savoie 79, junkersy 88, gladiatory, hampdeny, macchi 200, blenheimy, focke-wulfy, beaufightery, swordfish i heinkle. Widziałem te i wiele innych, ich korowód ciągnął się po błękitnie nieba w jedną i drugą stronę, aż znikał w oddali.

– Gdy byłem już blisko nich, poczułem, że coś mnie ku nim przyciąga wbrew mojej woli. Moją maszynę pochwycił wiatr, przewrócił ją na grzbiet, miotał jak listkiem, potężny wir zdawał się mnie wsysać, ciągnąć ku tamtym samolotom. Nie mogłem nic zrobić, utknąłem w tym wirze, wiatr porwał mnie w swoje ramiona. Wszystko to wydarzyło się w mgnieniu oka, ale wyraźnie pamiętam każdy szczegół. Czułem, że siła wciągająca mój samolot jest coraz potężniejsza. Byłem niesiony naprzód szybciej i szybciej, i nagle znalazłem się w tej procesji, posuwałem się w szyku wraz z pozostałymi, z tą samą prędkością, co oni, po tym samym kursie. Przede mną, tak blisko, że rozpoznałem kolor farby na jego skrzydłach, był swordfish, stary swordfish z marynarki wojennej. Widziałem głowy obserwatora i pilota, siedzących w swoich kokpitach, jeden za drugim. Przed swordfishem leciał dornier, Latający Ołówek, przed dornierem inne samoloty, których nie zdołałem rozpoznać z tej odległości.

– Lecieliśmy i lecieliśmy. Nie mógłbym zawrócić i oddalić się stamtąd, nawet gdybym chciał. Nie wiem dlaczego, może miało to jakiś związek z tym wirem i wiatrem, ale byłem o tym święcie przekonany. Poza tym, tak naprawdę nie prowadziłem mojego samolotu; sam się prowadził. Nie było potrzeby manewrowania, nie musiałem pilnować prędkości, wysokości, ustawienia przepustnicy ani drążka sterowego, w ogóle niczego. Raz zerknąłem na przyrządy, żaden nie działał, jak wtedy, gdy maszyna stoi na ziemi.

– Lecieliśmy więc dalej. Nie mam pojęcia, z jaką prędkością. Nie miałem wrażenia pędu i kto wie, może lecieliśmy milion mil na godzinę. Teraz, kiedy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że przez cały ten czas ani razu nie odczułem gorąca ani zimna, głodu ani pragnienia; żadnych tego rodzaju doznań. Nie bałem się, bo nie wiedziałem, czego miałbym się bać. Nie niepokoiłem się, bo ani nie pamiętałem, ani nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby mnie niepokoić. Nie pragnąłem robić niczego poza tym, co robiłem, ani mieć czegoś, czego nie miałem. Czułem tylko przyjemność z tego, że jestem, gdzie jestem, zachwycałem się otaczającym mnie cudownym światłem i pięknym błękitem. Raz dostrzegłem swoje odbicie w lusterku wstecznym i zobaczyłem, że się uśmiecham, uśmiechały się moje oczy i usta, i kiedy odwróciłem wzrok, wiedziałem, że uśmiech pozostał na mojej twarzy, po prostu to czułem. W pewnym momencie obserwator ze swordfisha przede mną odwrócił się

i pomachał do mnie. Rozsunąłem dach i odmachalem mu. Pamiętam, że nawet kiedy otworzyłem kokpit, nie było podmuchu powietrza ani uderzenia zimna czy gorąca, prąd powietrza nie napierał na moją dłoń. Potem zauważyłem, że wszyscy machają do siebie nawzajem, niczym dzieci na kolejce górskiej, i odwróciłem się, żeby pomachać do mężczyzny za sterami macchi lecącego za mną.

– Coś się jednak działo w poprzedzającej mnie części korowodu. Widziałem, że daleko z przodu samoloty zmieniały kurs, robiły zwrot w lewo i wytracały wysokość. Cała procesja w pewnym punkcie skręcała i opadała, zataczając szeroki krąg. Instynktownie zerknąłem w dół i zobaczyłem rozpościerającą się podę mną ogromną równinę. Zielona, gładka, piękna, sięgała po kres horyzontu, gdzie błękit nieba łączył się z zielenią równiny.

– I było też światło. Białe, jasne, bezbarwne, daleko po mojej lewej stronie. Jakby na krańcu zielonej równiny świeciło słońce, znacznie jednak większe od naszego słońca, pozbawione kształtu i formy, płonące mocnym, lecz nieoślepiającym blaskiem. Światło promieniowało z tego ośrodka jasności, rozsnuwając się po dużej części nieba i równiny we wszystkich kierunkach. Nie mogłem oderwać oczu od tego blasku. Początkowo nic mnie ku niemu nie ciągnęło, nie odczuwałem chęci, by weń wlecieć, nagle jednak pragnienie, nawet potrzeba, aby to zrobić, stała się tak silna, że kilka razy próbowałem opuścić szyk i skierować się ku jasności; nie było to jednak możliwe, coś trzymało mnie w orszaku.

– Kiedy pozostałe maszyny odbiły w bok i obniżyły lot, poleciałem wraz z nimi w dół, ku zielonej równinie. Z bliska zobaczyłem, że całą jej powierzchnię zajmowały samoloty. Były wszędzie, rozrzucone na ziemi niczym porzeczeki na zielonym kobiercu. Były ich setki i co minutę, ba, co sekundę, dołączały kolejne, moi poprzednicy w szeregu lądowali i zatrzymywali się.

– Szybko traciliśmy wysokość. Wkrótce zobaczyłem, że samoloty bezpośrednio przede mną opuszczają podwozia i podchodzą do lądowania. Dornier, od którego dzieliła mnie tylko jedna maszyna, wyrównał lot i osiadł na ziemi. Przyszła kolej na starego swordfisha. Pilot lekko skręcił w lewo, żeby nie wpaść na dorniera, i wylądował obok niego. Ja odbiłem w lewo, obok swordfisha, i wyrównałem lot. Wyjrzałem z kokpitu na ziemię, szacując wysokość, i zobaczyłem przemykającą w dole zielen równiny.

– Czekałem, żeby mój samolot opadł i wylądował. Trwało to dziwnie długo. „Szybciej”, powiedziałem. „Szybciej, szybciej”. Byłem może sześć stóp nad ziemią, ale maszyna nie chciała zejść niżej. „Ląduj”, zaklinałem, „proszę cię, ląduj”. Wpadłem w panikę. Ogarnęło mnie przerażenie. Nagle zauważyłem, że nabieram prędkości. Wyłączyłem wszystko, co się dało, ale nic to nie zmieniło. Mój hurricane rozpędzał się, leciał coraz szybciej, ja odwróciłem się i zobaczyłem w tyle długą procesję maszyn opadających z nieba i podchodzących po łuku do lądowania. W dole ujrzałem morze samolotów, a z boku światło, ten promienisty, biały blask, który zalewał wielką równinę i ku któremu pragnąłem polecieć. Wiem, że gdybym zdołał wylądować, pobiegłbym w jego stronę, kiedy tylko stanąłbym na ziemi.

– A tymczasem się od niego oddalałem. Rósł we mnie strach. Im dalej światło zostawało w tyle, im bardziej nabierałem prędkości, tym większe było moje przerażenie, aż zacząłem

się miotać jak szalenciec, ciągnąłem za drążek, walczyłem z samolotem, próbowałem go zawrócić, skierować z powrotem ku jasności. Kiedy przekonałem się, że to niemożliwe, postanowiłem się zabić. Naprawdę chciałem ze sobą skończyć. Próbowałem rozbić samolot o ziemię, on jednak uparcie leciał prosto. Próbowałem wyskoczyć z kokpitu, ale przytrzymała mnie niewidzialna dłoń spoczywająca na moim ramieniu. Próbowałem walić głową w ścianki kabiny, nic to jednak nie dało, i siedziałem tak i walczyłem z moją maszyną dotąd, aż nagle zorientowałem się, że jestem w chmurach. Były gęste, białe, jak poprzednio; i wyglądało na to, że pnę się w górę. Obejrzałem się za siebie, ale wszystko utonęło w nieprzeniknionej bieli. Dostałem mdłości i zawrotów głowy. Było mi już obojętne, co się stanie, siedziałem biernie, pozwalając, by hurricane sam leciał.

– Wydawało się, że minęło dużo czasu, jestem pewien, że siedziałem w kokpicie przez wiele godzin. Chyba zasnąłem. I coś mi się przyśniło. Nie rzeczy, które dopiero co widziałem, lecz moje zwyczajne życie, eskadra, Nikki, aerodrom tu, w Hajfie. Śniło mi się, że siedzę w stanie gotowości przed hangarem z dwoma kolegami, gdy marynarka wojenna prosi o przeprowadzenie szybkiego rekonesansu nad Bejrutem; i że ponieważ jestem pierwszy w kolejce do startu, wskakuję do mojego hurricane'a i lecę. Śniło mi się, że minąłem Tyr, Sydon i rzekę Damur, wspinając się na pułap dwudziestu tysięcy stóp. Potem skierowałem się w głąb lądu nad wzgórzami Libanu, zmieniłem kurs i nadleciałem nad Bejrut od wschodu. Byłem ponad miastem i wyglądałem z kokpitu, wypatrując portu i dwóch francuskich niszczycieli. Wkrótce je zobaczyłem, wyraźnie jak na dłoni, zacumowane jeden obok drugiego u nabrzeża, a wtedy natychmiast zawróciłem do bazy.

– Marynarka jest w błędzie, myślałem w drodze powrotnej. Niszczyciele nadal stoją w porcie. Spojrzałem na zegarek. Półtorej godziny. „Szybko się uwinąłem”, powiedziałem. „Będą zadowoleni”. Próbowałem złożyć meldunek przez radio, ale nie mogłem uzyskać połączenia.

– W końcu dotarłem tutaj. Wylądowałem, a wy obścibaliście mnie i zaczęliście wypytywać, gdzie się podziewałem przez dwa dni, ale nic nie pamiętałem. Nic oprócz lotu do Bejrutu. Tak było aż do dzisiaj, do chwili, gdy zobaczyłem, jak zestrzelili Paddy'ego. Kiedy jego maszyna uderzyła w ziemię, wyrwało mi się: „Ty cholerny szczęściarzu. Ty cholerny, cholerny szczęściarzu”, i mówiąc te słowa, zrozumiałem, dlaczego je wypowiedziałem, i wszystko mi się przypomniało. To wtedy zacząłem krzyczeć do was przez radio. To wtedy wróciła mi pamięć.

Fin skończył. Przez cały czas, kiedy mówił, nikt się nie poruszył, nikt nic nie powiedział. Tylko Małpa przestąpił z nogi na nogę, odwrócił się, wyjrzał przez okno i powiedział cicho, niemal szeptem: „A niech mnie”, my wszyscy zaś powoli wróciliśmy do zdejmowania kombinezonów i układania ich na podłodze w kącie; wszyscy oprócz Byka, szerokiego w barach, niskiego Byka, który dalej stał i patrzył na Fina, gdy ten pomału ruszył przez salę, by odłożyć swój kombinezon.

Po opowieści Fina życie eskadry wróciło do normy. Zniknęło napięcie towarzyszące nam od przeszło tygodnia. Aerodrom stał się radośniejszym miejscem. Nikt jednak nie wspominał podróży Fina. Ani razu nie rozmawialiśmy o niej w naszym gronie, nawet kiedy

upijaliśmy się wieczorami w Excelsiorze w Hajfie.

Kampania syryjska miała się ku końcowi. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że niebawem będzie po wszystkim, choć siły Vichy nadal stawiały zaciekle opór na południe od Bejrutu. Wciąż lataliśmy. Przeważnie nad flotą, która bombardowała wybrzeże, mieliśmy bowiem za zadanie bronić jej przed junkersami 88 startującymi z Rodos. Fin zginął podczas ostatniej z tych akcji osłonowych.

Lecieliśmy wysoko nad okrętami, kiedy nadciągnęła duża grupa ju-88 i rozpętała się bitwa. Mieliśmy w powietrzu jedynie sześć hurricane'ów; junkersów było dużo więcej i rozgorzała ostra walka. Nie za dobrze pamiętam, co się dokładnie działo. Pamiętam tylko, że bój był gorączkowy, chaotyczny, z wieloma pościgami, junkersy nurkowały ku okrętom, okręty im się odszczekiwały, waliły w górę wszystkim, co miały, aż niebo wypełniło się białymi kwiatami, które szybko rozkwiwały, rozrastały się i rozwiewały na wietrze. Pamiętam Niemca rozerwanego w powietrzu, szybko, w białym błysku, tam, gdzie chwilę wcześniej był bombowiec, zostały tylko małe kawałeczki powoli opadające ku morzu. Pamiętam inny samolot, z odstrzeloną tylną wieżyczką i wiszącym na pasach u ogona strzelcem, usiłującym wdrapać się z powrotem na pokład. Pamiętam dzielnego pilota, który został w górze, by z nami walczyć, gdy reszta zanurkowała, żeby zrzucić bomby. Pamiętam, że go ostrzelaliśmy, pamiętam, jak jego maszyna z wolna przewróciła się na grzbiet, jasnym zielonym podbrzuszem do góry niby śnięta ryba, nim wreszcie runęła korkociągiem do morza.

I pamiętam Fina.

Byłem blisko niego, kiedy jego samolot stanął w ogniu. Widziałem płomienie strzelające z dziobu maszyny i tańczące nad osłoną silnika. Z układu wydechowego hurricane'a buchał czarny dym.

Podleciałem jeszcze bliżej i wywołałem go przez radio.

– Halo, Fin – powiedziałem. – Lepiej wyskocz.

Usłyszałem jego głos mówiący powoli, spokojnie:

– To nie takie proste.

– Skacz! – krzyknąłem. – Szybko!

Widziałem go, siedzącego pod szklanym dachem kokpitu. Spojrzał w moją stronę i pokręcił głową.

– To nie takie proste – powtórzył. – Oberwałem. Postrzelili mnie w obie ręce i nie mogę rozpiąć pasów.

– Wyłaż stamtąd! – krzyknąłem. – Na litość boską, wyłaż! – Ale nie odpowiedział. Jego samolot przez chwilę leciał dalej, prosto i równo, po czym łagodnie, niby konający orzeł, opuścił skrzydło i zanurkował ku morzu. Śledziłem go wzrokiem; patrzyłem na cienką smugę czarnego dymu, którą zostawiał na niebie, i kiedy tak obserwowałem jego upadek, w radiu znów rozległ się głos Fina.

– Cholerny szczęściarz ze mnie – powiedział, wyraźnie i powoli. – Cholerny, cholerny szczęściarz.

MORDERSTWO W POWIETRZU

PETER TREMAYNE

Żaden zbiór opowiadań z samolotami w roli głównej nie byłby pełny bez chociaż jednej zagadki zamkniętego pokoju (było nie było, samoloty są zamkniętymi pokojami *par excellence*), w tym przypadku jednak mamy aż dwa zamknięte pokoje. Witajcie na pokładzie jumbo jeta Global Airways, na którego pokładzie wkrótce odnalezione zostanie ciało pechowego podróżnego. Szczęśliwie dla załogi lotu numer sto sześćdziesiąt dwa, jednym z pasażerów jest kryminolog Gerry Fane, który ochoczo podejmie się przeprowadzenia śledztwa. Peter Tremayne to pseudonim Petera Ellisa, który – oprócz tego, że napisał prawie sto powieści i ponad sto opowiadań – jest magistrem studiów celtyckich. Urodził się w Coventry, pracował jako reporter, pełnoetatowym pisarzem został po siedemdziesiątce. Poniższe opowiadanie to prawdziwa perełka.

Kiedy stewardesa Sally Beech weszła do kuchni w pierwszej klasie boeinga siedemset czterdzieści siedem Global Airways, numer lotu GA sto sześćdziesiąt dwa, główny steward Jeff Ryder z zaskoczeniem zauważył jej zafrasowaną minę. Jeszcze nigdy nie widział swojej doświadczonej koleżanki aż tak zaniepokojonej.

– Co się stało, Sal? – powiedział na powitanie, pragnąc przywołać z powrotem jej łobuzerski uśmiech. – Naprzykrza ci się jakiś zły wilk z pierwszej klasy?

Z zadumą pokręciła głową.

– Jeden z pasażerów chyba zamknął się w toalecie – zaczęła.

Jeff Ryder uśmiechnął się szerzej. Na końcu języka miał sprośny komentarz.

– Nie – ucięła, jakby czytając mu w myślach. – Mówię poważnie. Wygląda na to, że coś się stało. Siedzi tam dość długo i jego towarzysz podróży poprosił, żebym sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Zapukałam do drzwi, nie było reakcji.

Ryder powstrzymał westchnienie. Nieczęsto się zdarzało, by pasażer zatrzaskiwał się w toalecie, ale i nie było to niczym niezwykłym. Raz musiał wydobyć z samolotowej toalety stutrzydziestokilogramowego Teksańczyka. Doświadczenie, którego wolałby nie pamiętać.

– Kim jest ten pechowiec?

– Według listy pasażerów nazywa się Henry Kinloch Gray.

Ryder głośno jęknął.

– Że też to właśnie on musiał się zatrzasnąć. Wiesz, kto to? Prezes Kinloch Gray i Brodie, wielkiego międzynarodowego koncernu medialnego. Znany z tego, że żywcem pożera kierowników niższego szczebla, a co się tyczy takich, jak ty i ja, marnych płotek w wielkim morzu życia... – Wymownie przewrócił oczami. – O Boże! Muszę się tym zająć.

Ruszył w stronę toalet pierwszej klasy, Sally za nim. W pobliżu nie było nikogo i od razu wypatrzył drzwi z napisem „zajęte”. Podszedł i zawołał cicho:

– Panie Kinloch Gray? Wszystko w porządku? – Odczekał chwilę i dyskretnie zapukał.

Nadal żadnej reakcji.

Ryder zerknął na Sally.

– Wiadomo, jak długo tam siedzi?

– Według towarzysza podróży poszedł do toalety jakieś pół godziny temu.

Ryder uniósł brew i odwrócił się z powrotem do drzwi. Jego głos podniósł się o oktawę.

– Panie Kinloch Gray, zakładamy, że ma pan kłopoty. Wyważę drzwi. W miarę możliwości proszę się odsunąć.

Odchylił się do tyłu, uniósł nogę i kopnął drzwi obok zamka. Śruby puściły, licheski zamek lekko ustąpił.

– Proszę pana...? – Ryder naparł na drzwi. Stawiały opór; coś je blokowało. Pchnął mocniej i otworzyły się na tyle szeroko, że zdołał wsadzić głowę do kabiny, tylko jednak na

chwilę. Błyskawicznie się cofnął, blady jak ściana. Długo patrzył na Sally i nic nie mówił. W końcu wydobył z siebie głos. – Wygląda na to, że ktoś go zastrzelił – szepnął.

Toalety odgrodzono kotarą i wezwano kapitana samolotu Mossa Evansa, jednego z najbardziej doświadczonych pilotów Global Airways, w skrócie przedstawiając mu zaistniały problem. Srebrzystowłosey, solidnie zbudowany pilot skrywał swoje obawy, idąc z kokpitu przez kabinę klasy pierwszej; uśmiechał się tylko i szarmancko kłaniał pasażerom. Przede wszystkim czuł irytację, jako że raptem parę chwil wcześniej samolot pokonał połowę trasy, minął tak zwany punkt bez powrotu. Do celu zostały jeszcze cztery godziny i Evansowi nie uśmiechała się perspektywa przekierowania na inne lotnisko i nie wiadomo jak długiego opóźnienia dalszego lotu. Był umówiony na ważną randkę.

Ryder właśnie skończył wygłaszać komunikat dla pasażerów pierwszej klasy, zawierający żalostną wymówkę, że w toaletach w przedniej części kabiny doszło do awarii i w związku z tym dla własnego bezpieczeństwa i komfortu podróżnym zaleca się korzystanie z toalet w środkowej części samolotu. Typowy żargon linii lotniczych. Teraz czekał z Sally Beech na kapitana. Evans dobrze znał Rydera, dwa lata latali razem. Zwykły pogodny nastrój głównego stewarda ulotnił się bez śladu. Błada jak ściana dziewczyna była wyraźnie wstrząśnięta.

Evans zerknął na nią ze współczuciem i odwrócił się w stronę wyłamanego zamka.

– To tutaj?

– Tak.

Kapitan musiał naprzeć całym ciężarem na drzwi, zanim zdołał wsadzić głowę do ciasnej kabiny.

Trup, kompletnie ubrany, siedział rozwalony na sedesie. Ręce zwisały u boków, szeroko rozstawione nogi przyblokowały drzwi, nie pozwalając ich otworzyć na oścież. Bezwładne ciało trwało w stanie niepewnej równowagi. Od ust do piersi była tylko jedna wielka krwawa masa. Kawałki rozerwanego mięsa zwisały z policzków. Krew zbryzgała boczne ścianki kabiny. Evans powstrzymał wzbierające mdłości.

Tak jak uprzedzał Ryder, wyglądało na to, że mężczyźnie strzelono w usta. Evans odruchowo spojrział w dół, nie wiedząc, czego właściwie szuka, po czym uświadomił sobie, że powinien wypatrywać pistoletu. Ku swojemu zaskoczeniu nigdzie go nie dostrzegł. Rozejrzał się raz jeszcze. Bezwładnie zwisające ręce były puste. Na podłodze, tam gdzie pistolet musiałby upaść, też ani śladu broni. Zmarszczył brwi i wysunął głowę z kabiny. W głębi umysłu kołatała mu się myśl, że w tym, co zobaczył, było coś nie tak, ale nie mógł uchwycić, co konkretnie.

– Tego nie uwzględnili w firmowej instrukcji postępowania w sytuacjach kryzysowych – mruknął Ryder, próbując rozładować napięcie odrobiną humoru.

– Widzę, że wyprosiliście pasażerów z tego sektora – zauważył Evans.

– Tak, kazałem opróżnić tę część pierwszej klasy, zaraz ją odgrodzimy. Zakładam, że teraz trzeba wynieść stamtąd zwłoki?

– Powiedzieliście już jego współpracownikowi? Osobie, z którą podróżował?
– Tylko tyle, że doszło do wypadku. Bez szczegółów. – Doskonale. O ile rozumiem, ten człowiek był prezesem jakiejś wielkiej korporacji?

– Kinloch Gray. To Henry Kinloch Gray.

Evans złożył usta do cichego gwizdnięcia.

– Wielkie wpływy poparte wielkimi pieniędzmi, dobrze mówię?

– Bogatszego ze świecą szukać.

– Sprawdziłeś, czy na liście pasażerów jest lekarz? Wygląda na to, że ten pan wybrał sobie cholernie dogodne miejsce i czas na popełnienie samobójstwa, lepiej jednak niczego tu nie dotykać, dopóki ktoś na niego nie zerknie. Będę się trzymał procedur postępowania w razie nagłego zachorowania na pokładzie. Powiadomimy centralę.

Ryder przytaknął skinieniem głowy.

– Już kazałem Sally sprawdzić, czy mamy w samolocie lekarzy. Tak się szczęśliwie składa, że jest dwóch, w pierwszej klasie. Siedzą razem. C1 i C2.

– Dobrze. Niech Sally jednego z nich przyprowadzi. Aha, a gdzie jest współpracownik pana Graya?

– Miejsce B3. Nazywa się Frank Tilley, o ile wiem, jest jego osobistym sekretarzem.

– Obawiam się, że będzie musiał formalnie zidentyfikować zwłoki. Musimy ściśle trzymać się regulaminu – dodał znowu, jakby szukając w tym otuchy.

Sally Beech podeszła do mężczyzn zajmujących miejsca C1 i C2. Obaj byli w zbliżonym wieku, po czterdziestce; jeden, ze strzechą płomieniście rudych włosów, swobodnie ubrany, w niczym nie pasował do stereotypu lekarza. Drugi wyglądał schludnie, bardziej elegancko. Stewardesa zatrzymała się i pochyliła nad nimi.

– Doktor Fane? – To było pierwsze z dwóch nazwisk, które zapamiętała.

Elegancki mężczyzna poderwał głowę z pytającym uśmiechem.

– To ja jestem Gerry Fane. Czym mogę służyć?

– Panie doktorze, obawiam się, że jednemu z pasażerów potrzebny jest lekarz. Kapitan przekazuje wyrazy szacunku i byłby wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan przyjść i rzucić na tego człowieka okiem.

Zabrzmiało to jak wyuczona na pamięć formułka. I rzeczywiście, cały tekst pochodził z firmowej instrukcji. Sally wyrecytowała go tak, jak ją nauczono, bez cienia emocji. Inaczej nie umiała.

Mężczyzna skrzywił się kwaśno.

– Przykro mi, ale mam doktorat z kryminologii, droga pani. To raczej na nic się państwu nie zda. Myślę, że większy pożytek będziecie mieli z mojego towarzysza, Hectora Rossa. Jest doktorem medycyny.

Dziewczyna zerknęła na jego rudowłosego sąsiada i z zadowoleniem zauważyła, że już się podnosił, dzięki czemu nie musiała drugi raz klepać tej samej formułki.

– Bez obaw, drogie dziewczę. Rzucę na nieboraka okiem, tyle tylko, że nie mam przy sobie torby lekarskiej. W istocie jestem patologiem wracającym z konferencji, rozumie pani? Nie lekarzem pierwszego kontaktu.

– Mamy na pokładzie zestaw pierwszej pomocy, panie doktorze, ale myślę, że nie będzie potrzebny.

Ross zerknął na nią, marszcząc ze zdziwieniem brwi, ona jednak już się odwróciła i ruszyła przez kabinę.

Hector Ross wyszedł tyłem z toalety i stanął twarzą do kapitana Evansa i Jeffa Rydera. Zerknął na zegarek.

– Stwierdzam zgon o trzynastej piętnaście, kapitanie.

Evans poruszył się niespokojnie.

– Przyczyna?

Ross przygryzł wargę.

– Wolałbym, żeby ciało przeniesiono w miejsce, gdzie mógłbym przeprowadzić pełne oględziny. – Znów się zawahał. – Przedtem chciałbym, aby denata obejrzał mój kolega po fachu, doktor Fane. Jest psychologiem kryminalistycznym i wielce cenię sobie jego zdanie.

Evans wbił wzrok w doktora, szukając głębszego znaczenia w jego słowach.

– Jak psycholog kryminalistyczny miałby pomóc w tej sprawie? Chyba że...

– Mimo wszystko, bardzo mi na tym zależy, kapitanie. Tylko rzuci na niego okiem, zgoda? – nalegał Ross z wyraźną nutą perswazji.

Po chwili Gerry Fane wysunął się tyłem z toalety i spojrzał na towarzysza podróży z dość poważną miną.

– Ciekawe – powiedział powoli i wyraźnie.

– Czyli? – rzucił kapitan Evans niecierpliwie. – Co to właściwie znaczy?

Fane wymownie wzruszył ramionami w ciasnej przestrzeni.

– To znaczy tyle, że sytuacja nie wygląda dobrze, kapitanie – powiedział ze szczyptą sarkazmu. – Myślę, że powinniśmy wyciągnąć ciało, by mój kolega po fachu mógł ustalić przyczynę zgonu, i dopiero potem postaramy się wyjaśnić okoliczności, w jakich ten człowiek zmarł.

Evans pociągnął nosem, próbując ukryć irytację.

– Prezes mojej firmy czeka na linii, doktorze. Chciałbym móc mu powiedzieć coś bardziej optymistycznego. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale pan Gray jest jego znajomym. Należą do tego samego klubu golfowego czy coś.

Fane przybrał ironiczny ton.

– Był jego znajomym, niestety. Czas przeszedł. Cóż, może pan przekazać prezesowi, że wygląda na to, że jego partner od golfa został zamordowany.

Evans był wyraźnie wstrząśnięty.

– Wykluczone. To musiało być samobójstwo.

Hector Ross odchrząknął i spojrzał niespokojnie na przyjaciela.

– Nie za daleko idące wnioski wyciągasz, starszku? – mruknął. – Bądź co bądź...

Fane, niewzruszony, przerwał mu spokojnym, zdecydowanym tonem.

– Jakimkolwiek sposobem zadano śmiertelną ranę, chyba zgodzisz się, że śmierć nastąpiła

natychmiast. Z przedniej części głowy, pod oczami i nosem, prawie nic nie zostało. Paskudztwo. Wygląda jak postrzał w usta.

Evans odzyskał mowę. Teraz, po namyśle, uświadomił sobie, co nie dawało mu spokoju. Jego kolej na szczyptę sarkazmu.

– Gdyby ktoś tu strzelił z pistoletu, nawet małego kalibru i tak, żeby ciało wyhamowało pęd kuli, pocisk mimo wszystko miałby wystarczający impet, by przebić ścianę i wywołać dekompresję. Wiecie, co się dzieje, kiedy nabój przeszywa kadłub samolotu jedenaście tysięcy metrów nad ziemią?

– Nie powiedziałem, że to był pistolet. – Łagodny uśmiech nie schodził z twarzy Fane’a. – Powiedziałem, że rana wygląda na postrzałową.

– Nawet gdyby rzeczywiście zginął od postrzału, przecież mogło to być samobójstwo – wtrącił główny steward. – Był w zamkniętej toalecie, na litość boską! Zamkniętej od środka.

Fane spojrzał na niego z pobłażaniem.

– Jak powiedziałem, śmierć nastąpiła natychmiast. A nie spotkałem się jeszcze z sytuacją, by nieboszczyk wstał i schował broń po udanej próbie samobójczej. Tam, w środku, siedzi martwy mężczyzna z paskudną raną, będącą bezpośrednią przyczyną śmierci... a broni nie ma. Ciekawe, nie sądzicie?

Evans patrzył na niego z niedowierzaniem.

– To absurd... – W jego głosie nie było przekonania. – Nie mówi pan chyba poważnie? Broń musi być schowana za drzwiami czy gdzieś.

Fane nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

– Ale... – desperacko ciągnął Evans, bo zorientował się, że Fane wskazał ten sam szczegół, który zaniepokoił jego samego: brak broni. – Twierdzi pan, że ktoś zabił Graya, a potem wsadził go do toalety?

Fane zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

– Obawiam się, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Sądząc z rozbryzgu krwi po ścianach kabiny, ofiara w chwili śmierci była w toalecie, zamkniętej od środka, według pańskiego głównego stewarda.

Jeff Ryder poruszył się niespokojnie.

– Drzwi były zamknięte od wewnątrz – potwierdził tonem, jakby próbował się bronić.

– Jak wobec tego...? – zaczął Evans.

– To właśnie musimy ustalić. Kapitanie, nie chciałbym wkraczać w pańskie kompetencje, ale czy wolno mi coś zasugerować...?

Evans nie odpowiedział. Wciąż dumał nad teorią Fane’a. Nad jej nedorzecznnością.

– Kapitanie...?

– Tak? Przepraszam, co pan powiedział?

– Czy wolno mi coś zasugerować? Zgodzi się pan, żebym przesłuchał współpracownika Graya w czasie, kiedy Hector przeprowadzi wstępne oględziny zwłok? Może wtedy poznamy nie tylko sposób, ale i przyczynę śmierci ofiary.

Evans zaciął usta w zamyśleniu.

– To raczej nie leży w mojej gestii. Muszę porozmawiać z prezesem.

– Byle jak najszybciej, kapitanie. Zaczekamy tutaj – odparł Fane ze spokojem. – W tym czasie doktor Ross i ja wyjmemy ciało z toalety.

Moss Evans wrócił po krótkiej chwili. Do tego czasu Ross i Fane zdołali wyciągnąć ciało Kinlocha Graya z toalety i położyć je między przepierzeniem a pierwszym rzędem miejsc.

Evans chrząknął z zakłopotaniem.

– Doktorze Fane. Mój prezes wyraził zgodę, by działał pan w tej sprawie wedle własnego uznania... przynajmniej dopóki samolot nie wyląduje. Wtedy oczywiście będzie pan musiał przekazać śledztwo miejscowej policji. – Wzruszył ramionami. – Okazuje się, że mój prezes zna pana ze słyszenia jako znakomitego... kryminologa? Nie ma nic przeciwko temu, by pozostawić dochodzenie w rękach pana i doktora Rossa.

Fane skłonił głowę z poważną miną.

– Przekieruje pan samolot? – spytał.

– Prezes kazał lecieć dalej zgodnie z planem, panie doktorze. Skoro ten człowiek nie żyje, nie ma sensu lądować gdzieś po drodze w poszukiwaniu pomocy medycznej.

– Dobrze. Czyli mamy ponad trzy godziny na wyjaśnienie sprawy. Czy pański steward mógłby udostępnić mi jakiś spokojny kącik? Chciałbym porozmawiać ze współpracownikiem Graya. Podobno jest jego osobistym sekretarzem. Zamienię z nim słówko, nie niepokojąc pozostałych pasażerów.

– Zajmij się tym, Jeff – polecił kapitan Evans głównemu stewardowi. Zerknął na Fane'a. – Chyba uważa się, że mordercą najczęściej jest osoba znana ofierze? Czy z tego nie wynika, że głównym podejrzanym jest jego sekretarz? Czy też trzeba będzie sprawdzić powiązania wszystkich pasażerów z Grayem?

Fane uśmiechnął się szeroko.

– Doświadczenie nauczyło mnie, że w takich sprawach nie ma uniwersalnych reguł.

Evans wzruszył ramionami.

– Jeśli to pomoże, mogę poprosić pasażerów, by wrócili na swoje miejsca i zapięli pasy. Wyjaśnię, że spodziewamy się turbulencji. Przynajmniej żadni ciekawscy nie będą się tu pchali.

– Tak, to bardzo by pomogło, kapitanie – zapewnił Hector Ross, podnosząc głowę znad ciała.

Evans jeszcze chwilę się wahał.

– Wracam do kabiny pilotów. Informujcie mnie na bieżąco.

Kilka minut po wyjściu kapitana rozległy się podniesione głosy. Fane poderwał głowę i zobaczył, że stewardesa, Sally Beech, usiłuje zagrozić własnym ciałem drogę młodemu mężczyźnie przeciskającemu się obok niej.

Młodzieniec był wyraźnie zdeterminowany.

– Mówię pani, że pracuję dla niego – podniósł głos w proteście. – Mam prawo tu być.

– Leci pan klasą turystyczną. Nie ma pan prawa przebywać w klasie pierwszej.

– Jeżeli coś się stało panu Grayowi, żądam...

Fane szybko wyszedł mu naprzeciw. Młody mężczyzna był wysoki, elokwentny, o urodzie, zauważył, podkreślonej opalenizną uzyskaną w solarium, nie od słońca. Nienagannie ubrany, nosił złoty sygnet na smukłym palcu. Fane miał nawyk zwracania uwagi na dłonie. Sądził, że wiele można o człowieku powiedzieć na podstawie wyglądu jego dłoni i paznokci. Ten młodzieniec wyraźnie przywiązywał wielką wagę do starannego manikiuru.

– To sekretarz pana Graya? – Fane zapytał Sally.

Stewardesa pokręciła głową.

– Nie, panie doktorze. Pasażer z klasy turystycznej. Twierdzi, że pracował dla pana Graya.

– Pańska godność? – spytał Fane pospiesznie, patrząc bystro na przystojne rysy młodego mężczyzny.

– Oscar Elgee. Jestem służącym pana Graya. – Młodzieniec mówił modulowanym głosem, zdradzającym wykształcenie zdobyte w prywatnej szkole. – Proszę spytać Franka Tilleya, leci pierwszą klasą. To on jest osobistym sekretarzem pana Graya. Potwierdzi, kim jestem.

Fane uśmiechnął się zachęcająco do Sally Beech.

– Mogłaby mnie pani w tym wyręczyć, pani Beech? Proszę też powiedzieć panu Tilleyowi, że chciałbym się tu z nim zobaczyć, kiedy znajdzie dla mnie chwilę. – Szybko poszła, a Fane ponownie zwrócił się do nowo przybyłego. – A zatem, panie Elgee, skąd pan wiedział, że doszło do... do wypadku?

– Usłyszałem, jak jedna stewardesa wspomniała o tym drugiej w klasie turystycznej – powiedział Elgee. – Jeśli panu Grayowi coś się stało...

– Pan Gray nie żyje.

Oscar Elgee przez chwilę wpatrywał się w niego.

– Atak serca?

– Nie całkiem. Skoro już pan tutaj jest, może pan formalnie zidentyfikować swojego nieżyjącego chlebodawcę. Potwierdzenie tożsamości potrzebne jest doktorowi Rossowi do dokumentacji.

Odsunął się na bok i przepuścił młodego człowieka w miejsce, gdzie leżały zwłoki przygotowane do oględzin. Ross cofnął się, odsłaniając twarz zmarłego. Elgee zatrzymał się nad ciałem i chwilę patrzył w dół.

– *Terra es, terram ibis* – mruknął. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. – Jak to się mogło stać? Dlaczego ma krew na twarzy? Jakiego rodzaju wypadkowi uległ?

– Staramy się to ustalić – powiedział Ross. – Rozumiem, że formalnie potwierdza pan, że zmarłym jest Henry Kinloch Gray?

Młody człowiek kiwnął głową i odwrócił wzrok. Fane zatrzymał go za kotarą.

– Jak długo pracował pan u niego, panie Elgee?

– Dwa lata.

– Na czym właściwie polegały pańskie obowiązki?

– Byłem jego służącym. Więcej niż służącym. Szoferem, lokajem, kucharzem, kamerdynerem, złotą rączką, wszystkim po trochu. Jego *factotum*.

– I zabierał pana ze sobą w podróże zagraniczne?

– Oczywiście.
– Widzę jednak, że przywiązywał dużą wagę do ładu społecznego, he? – uśmiechnął się Fane.

Młodzieniec poczerwieniał.

– Nie rozumiem.

– Leci pan klasą turystyczną.

– Nie wypada, by służący podróżował pierwszą klasą.

– Istotnie. A mimo to, sądząc z pańskiej reakcji na jego śmierć, czuł się pan mocno z nim związany.

Podbródek młodego mężczyzny uniósł się hardo, rumieniec oblał policzki.

– Pan Gray był przykładnym pracodawcą. Twardym biznesmenem, owszem. Ale sprawiedliwym człowiekiem. Nigdy się nie kłóciliśmy. Dobrze się dla niego pracowało. To wielki człowiek.

– Rozumiem. A pan się nim opiekował? Zaspokajał jego codzienne potrzeby? O ile pamiętam, prasa zawsze opisywała Harry’ego Graya jako kawalera do wzięcia.

Fane wychwycił subtelną zmianę wyrazu twarzy młodzieńca.

– Gdyby był żonaty, nie potrzebowałby, żebym mu usługiwał, prawda? Robiłem dla niego wszystko. Nawet naprawiałem sprzęt stereo i lodówkę. Nie, nie miał żony.

– No właśnie. – Fane uśmiechnął się i znów zerknął na dłonie Elgee. – Naprawa sprzętu stereo wymaga delikatności i wyczucia. Nie każda złota rączka to potrafi.

– Moim hobby jest modelarstwo. Ruchome modele. – W jego głosie zabrzmiała nuta przechwałki.

– Rozumiem. Proszę powiedzieć, jako że zapewne nikt nie wie tego lepiej niż pan, czy pański pracodawca miał jakichś wrogów?

Młodzieniec się skrzywił.

– Biznesmen pokroju Harry’ego Graya jest otoczony przez wrogów. – Podniósł głowę i zobaczył Sally Beech wprowadzającą mężczyznę w okularach. – Niektórzy nawet z nim pracują i udają jego powierników – dodał ostrym tonem. Na chwilę znieruchomiał i zmarszczył brwi, jakby coś mu przyszło do głowy. – Chce pan powiedzieć, że ktoś... ktoś przyłożył rękę do jego śmierci?

Fane zauważył z aprobatą, że Sally, aby mu nie przeszkadzać, gestem kazała usiąść mężczyźnie, który jej towarzyszył. Spojrzał na młodego mężczyznę.

– To pozostaje do ustalenia. Na razie, panie Elgee, proszę wrócić na swoje miejsce. Będziemy pana informowali o sytuacji na bieżąco.

Elgee odwrócił się i wyszedł, ignorując nowo przybyłego, który spuścił wzrok, jakby unikał kontaktu z przystojnym młodzieńcem. Służący i sekretarz wyraźnie za sobą nie przepadali.

Fane zostawił Hectora Rossa, który prowadził oględziny, korzystając z pokładowego zestawu pierwszej pomocy, i poszedł w miejsce, gdzie siedział przyprowadzony mężczyzna.

Sally Beech, czekająca u jego boku, obdarzyła Fane’a niespokojnym uśmiechem.

– To pan Francis Tilley. Lecił razem z panem Grayem.

Frank Tilley był chudym brzydalem po trzydziestce. Miał bladą cerę, szczękę okrywał mu siny cień zarostu, taki, który można golić bez końca, a i tak nie schodzi. Nosił grube okulary w rogowych oprawkach, zupełnie niepasujących do jego rysów. Jego włosy były cienkie i przerzedzone na skroniach, kącik ust drgał niespokojnie.

Fane dał znak stewardesie, by stanęła przy drzwiach i nie wpuszczała nikogo do kabiny pierwszej klasy, po czym odwrócił się do Tilleya.

– Nie żyje, co? – zapytał Tilley niemal falsetem i nerwowo zachichotał. – Cóż, prędzej czy później musiało tak się stać, nawet tak zwanych wielkich tego świata to nie ominie.

Fane zmarszczył brwi, słysząc ton jego głosu.

– Sugeruje pan, że pan Gray był chory? – zapytał.

Tilley uniół dłoń i pozwolił, by opadła, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Fane odruchowo zwrócił uwagę na drżącą rękę, grube, dygoczące palce z plamami od nikotyny i nierówno obcięte paznokcie.

– Miał skłonność do astmy, to wszystko. O podłożu stresowym.

– W takim razie dlaczego...?

Tilley wydawał się lekko zawstydzony.

– Niestosowny żart, to wszystko.

– Niespecjalnie się pan przejął śmiercią współpracownika.

Mężczyzna lekceważąco pociągnął nosem.

– Współpracownika? Był moim szefem. Nie pozwalał nikomu, kto dla niego pracował, zapomnieć, że to on rządzi, jest panem losu każdego w firmie. Harry Kinloch Gray osobiście nadzorował pracę wszystkich, od portiera do wiceprezesa, jego słowo było prawem. Kto mu podpadł, natychmiast wylatywał, bez względu na długość stażu w firmie. Był klasycznym wiktoriańskim biznesmenem, który uważa, że wszystko zawdzięcza wyłącznie sobie. Wrednym, mściwym autokratą. We współczesnym świecie biznesu nie powinno być miejsca dla takich jak on.

Fane usiadł wygodniej, wsłuchany w gorzki ton mężczyzny.

– Domyślam się więc, że był typem człowieka, który ma kilku wrogów?

Tilley aż się uśmiechnął, rozbawiony.

– Był typem człowieka, który nie ma żadnych przyjaciół.

– Jak długo pan u niego pracował?

– Spędziłem dziesięć lat w firmie. Przez ostatnie pięć byłem jego osobistym sekretarzem.

– Nie lubił go pan, a mimo to wytrzymał z nim tyle czasu? Co więcej, musiał pan należycie wypełniać swoje obowiązki, skoro szef nie żywił do pana niechęci i nie zamierzał pana zwolnić, mimo że, wedle pańskich słów, zwykł w ten sposób traktować podwładnych.

Tilley poruszył się niespokojnie, urażony sarkazmem Fane'a.

– Jaki to ma związek ze śmiercią pana Graya? – odparował.

– Po prostu chcę poznać tło sprawy.

– Co się stało? – ciągnął Tilley. – Zakładam, że dostał ataku serca czy czegoś takiego?

– A zatem chorował na serce?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Był otyły i obżerał się jak świnia. Żył w ciągłym stresie, nie

zdziwiłbym się, gdyby serce mu wysiadło.

– Ta podróż była szczególnie stresująca?

– Nie bardziej niż inne. Lecieliśmy na zebranie kierownictwa amerykańskich spółek zależnych.

– I z tego, co pan zauważył, pan Gray zachowywał się tak jak zwykle?

Tilley ni mniej, ni więcej, tylko parsknął śmiechem. Nieprzyjemny dźwięk.

– Był jak zawsze agresywny, okrutny i arogancki. Miał pół tuzina ludzi do zwolnienia i chciał zrobić z tego publiczny rytuał, żeby jak najbardziej ich upokorzyć. Sprawiało mu to uciechę. No i jeszcze... – Tilley zawahał się, patrząc w zadumie przed siebie. – Przeglądał jakieś dokumenty, które wyjął z teczki. Jeden wyraźnie go zaintrygował i chwilę potem dostał ataku...

– Ataku? Zdaje się, że nie miał kłopotów ze zdrowiem? Tak pan mówił, prawda?

– Powiedziałem, że miał skłonność do astmy. Miewał ataki astmy o podłożu stresowym.

– Rzeczywiście. Czyli w tamtej chwili pański szef dostał ataku astmy? Czy brał na to jakieś lekarstwa?

– Nosił ze sobą ten taki, no, inhalator. Myślał, że nikt z nas o tym nie wie. Czysta próżność. Gdzież by wielki prezes mógł się przyznać do jakiegokolwiek słabości. Kiedy dostawał ataków, zniknął ludziom z oczu i kurował się inhalatorem. Trudno było tego nie zauważyć. Jak na ironię, jego ulubionym cytatem było *Vanitas vanitatum, omnia vanitas* z Eklezjastyka!

– Twierdzi pan zatem, że szef poszedł do toalety skorzystać z inhalatora?

– Otóż to. Podejrzenie długo nie wracał, więc się zaniepokoiłem.

– Zaniepokoił się pan? – Fane uśmiechnął się blado. – Z tego, co pan mówił wcześniej, wynikało, że troska o szefa nie należała do pana priorytetów.

Zaciśnięte wargi Tilleya rozciągnęły się w szyderym grymasie.

– Osobiste uczucia nie grają tu żadnej roli. Nie jestem jak Elgee, który wkłada w pracę całe serce. Płacono mi za wykonywanie określonych zadań, a ja uczciwie i profesjonalnie robiłem, co do mnie należało. Nie musiałem lubić Harry'ego Graya. Nie obchodziło mnie, co Harry Gray robił, a czego nie, jeśli nie miało to związku z pracą, za którą mnie wynagradzał. Nie interesowałem się, z kim sypia, a kto jest jego śmiertelnym wrogiem.

– Rozumiem. A zatem poszedł do toalety i nie wrócił?

– Jak powiedziałem, po pewnym czasie wezwałem stewardesę, a ona poszła sprawdzić, co się z nim dzieje. Zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby każdy rzetelny sekretarz.

– Proszę momentik zaczekać, panie Tilley.

Fane podszedł do Sally Beech, która wciąż była blada i lekko podenerwowana.

– Mogłaby pani pójść na miejsce pana Graya i poszukać jego aktówki? – powiedział cicho.

– Potem proszę ją tu przynieść.

Po chwili wróciła z małą skórzaną teczką.

Fane pokazał ją Frankowi Tilleyowi.

– Czy to teczka pana Graya?

Mężczyzna niechętnie kiwnął głową.

- Chyba nie powinien pan tego robić – zaprotestował, kiedy Fane odpiął zamki.
- Dlaczego?
- W środku są poufne dokumenty firmowe.
- Myślę, że śledztwo w sprawie możliwego zabójstwa jest ważniejsze.

Frank Tilley był zaskoczony.

- Zabójstwa...? Ale to oznacza... morderstwo. Nikt nic nie mówił o morderstwie.

Fane nie odpowiedział, zajęty przeglądaniem papierów. Wyciągnął kartkę i pokazał ją Tilleyowi.

- Czy na to patrzył chwilę przed tym, kiedy zaczął mieć kłopoty z oddychaniem?

- Nie wiem. Możliwe. To była kartka taka jak ta... tylko tyle mogę powiedzieć.

Kartka była oderwana z wydruku komputerowego. Widniały na niej dwa krótkie zdania:

Umrzesz, zanim ten samolot wylądjuje. *Memento, „homo”, quia pulvis es, et in pulverem reverteris.*

Fane odchylił się na oparcie ze swobodnym uśmiechem. Podał kartkę sekretarzowi denata.

- Jest pan znawcą łaciny, panie Tilley. Jak przetłumaczyłby pan zapisaną tu sentencję?

Tilley zmarszczył brwi.

- Na jakiej podstawie uważa pan, że jestem znawcą łaciny?

– Kilka chwil temu posłużył się pan łacińskim cytatem. To wskazuje, że zna pan jego znaczenie.

– O łacinie mam ledwie blade pojęcie. Pan Gray lubił łacińskie powiedzonka i sentencje, więc, żeby za nim nadażyć, nauczyłem się na pamięć kilku, których najchętniej używał.

- Rozumiem. Czyli nie potrafi pan przetłumaczyć tego zdania?

Tilley spojrzał na wydrukowany anonim. Pokręcił głową.

- Memento to „pamiętaj”, prawda?

– Słyszał pan kiedyś maksymę memento mori? To powszechniej znana wersja tego, co jest tutaj napisane.

Tilley pokręcił głową.

- Pamiętaj o czymś, zgaduję?

– Jak pan myśli, dlaczego słowo „homo”, czyli po łacinie „człowiek”, ujęte jest w cudzysłów?

- Nie wiem, co to znaczy. Nie znam łaciny.

– Można to przetłumaczyć w przybliżeniu jako „Pamiętaj, człowieku, że prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Jest oczywiste, że list napisano na komputerze, za pomocą procesora tekstu. Rozpoznaje pan czcionkę?

Tilley pokręcił głową.

- Może to być dowolna z setek używanych w firmie. Mam nadzieję, że nie sugeruje pan,

że to ja jestem autorem tej pogrózki.

– Jak ten list mógł się znaleźć w aktówce pańskiego szefa? – powiedział Fane, ignorując jego słowa.

– Domyślam się, że ktoś go do niej włożył.

– Kto mógł mieć do tej aktówki dostęp?

– Rozumiem, że nadal mnie pan podejrzewa? Zgoda, nienawidziłem go. Ale nie na tyle, żeby samemu sobie poderżnąć gardło. Był draniem, ale i kurą, która znosiła złote jaja. Pozbycie się go byłoby pozbawione sensu.

– No właśnie – mruknął Fane w zamyśleniu. Jego spojrzenie padło na notes wewnątrz aktówki. Przekartkował go, podczas gdy Frank Tilley siedział i patrzył, wyraźnie skrępowany. Na jednej z kartek widniała lista inicjałów z nagłówkiem „do natychmiastowego zwolnienia” i dzisiejszą datą.

– Lista sześciu ludzi, których zamierzał wylać? – upewnił się Fane.

– Jak powiedziałem, planował przeprowadzić publiczną czystkę wśród kierownictwa, nawet podał mi kilka nazwisk.

– Lista zawiera same inicjały i zaczyna się od O.T.E. – Zerknął na Tilleya z uniesioną brwią. – Oscar Elgee?

– Skąd – odparł Tilley z protekcyjnym uśmiechem. – Chodzi o Otisa T. Elliotta, dyrektora naczelnego spółki zależnej zarządzającej naszą amerykańską bazą danych.

– Rozumiem. Zobaczmy, czy uda się zidentyfikować pozostałych.

Podawał kolejne inicjały, Tilley przypisywał do nich nazwiska. Następne cztery osoby również były kierownikami firm Graya. Ostatnie miejsce na liście zajmował ktoś o inicjałach zapisanych w postaci „Ft”.

– F.T. podkreślił trzy razy, obok napisał „bez odprawy!”. Kto to jest F.T.?

– Jak pan wie, F.T. to moje inicjały – zauważył Tilley cicho. Pobladł i nagle spowaźniał. – Przysięgam, nie powiedział, że chce mnie zwolnić, kiedy rozmawialiśmy o nazwiskach z listy. Nigdy o tym nie wspomniał.

– Cóż, może w firmie pracuje ktoś jeszcze o tych inicjałach?

Tilley zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, w końcu jednak pokręcił głową i z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Nie. Tu może chodzić tylko o mnie. Drań! Ani słowem się nie zająknął, co knuje. Pewnie szykował dla mnie wyrafinowane, publiczne upokorzenie.

Hector Ross wyłonił się z oddzielonej kotarą części kabiny i przywołał gestem Fane’a.

– Chyba mogę ci wyjaśnić, jak to się stało – oznajmił z satysfakcją.

Fane odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

– Ja też. Popraw mnie, jeśli coś pomyłę. Gray poszedł do toalety skorzystać z inhalatora, żeby złagodzić atak astmy. Włożył inhalator do ust, nacisnął go jak zwykle i... – Zakończył wzruszeniem ramion.

Ross miał zszokowaną minę.

– Skąd...? – Zerknął nad ramieniem Fane’a na Franka Tilleya, który wciąż siedział i wiercił się nerwowo. – Przyznał się?

Fane pokręcił głową.

– Nie. Trafiłem?

– To dobra hipoteza, ale zweryfikować ją można tylko w laboratorium. Znalazłem w jego ustach drobinki aluminium, do tego trochę plastiku. Coś niewątpliwie wybuchło z dużą siłą, posyłając mały stalowy pocisk w podniebienie z takim impetem, że wbił się w mózg i śmierć, jak przypuszczałeś od początku, nastąpiła natychmiast. Cokolwiek wyrzuciło pocisk, rozerwało się wskutek gwałtownego wyzwolenia energii. Dlatego zostały tylko małe kawałeczki tkwiące w ustach i policzkach. Znalazłem też kilka podobnych w toalecie, kiedy skrupulatnie ją przeszukałem. Diaboliczne.

– Ukartował to ktoś, kto znał słabość Graya i postanowił ją wykorzystać. Gray nie lubił wyjmować inhalatora przy ludziach, gdyby więc musiał go użyć, na pewno poszukałby cichego kąta. Plan powiódł się znakomicie, niewiele zabrakło, by doszło do zbrodni z pozoru niewykonalnej, nijak niedającej się wyjaśnić. Bo i jak wytłumaczyć to, że ofiara została postrzelona w usta w zamkniętej od wewnątrz toalecie?

Hector Ross uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Sugerujesz, że już znasz rozwiązanie tej zagadki?

– O tak. Pamiętasz pieśń, którą śpiewaliśmy w szkole?

*Życie prawdą! – Nasze życie
To nie śmierci wiecznej próg,
My istniejemy we wszechbycie;
Nas nie prochem stworzył Bóg.¹*

Hector Ross kiwnął głową.

– Od wielu wiosen tego nie śpiewałem, brachu. Coś Longfellowa, dobrze kojarzę?

Fane uśmiechnął się szeroko.

– W istocie. Nawiązanie do cytatu z Księgi Rodzaju, *terra es, terram ibis*, czyli „prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Proszę zawołać kapitana Evansa. – Ostatnie zdanie skierował do głównego stewarda Jeffa Rydera, który trwał u boku Rossa, czekając na polecenia. Kiedy steward wyszedł, Fane znów zerknął na przyjaciela. – A jednak znajomość łaciny się czasem przydaje.

– Nie rozumiem, brachu.

– Nasz zabójca miał zbyt dużą słabość do łacińskich prywatnych żarcików, którymi wymieniał się z szefem.

– Mówisz o jego sekretarzu? – Zerknął na Franka Tilleya.

– Tilley twierdzi, że nie umie przetłumaczyć nawet *memento mori*.

– Pamiętaj o śmierci?

Fane popatrzył na przyjaciela z wyrzutem.

– Ściśle, „pamiętaj, że umrzesz”, słowa zwykle występujące w towarzystwie ludzkich czaszek i innych rekwizytów przypominających o naszej śmiertelności.

Przyszedł kapitan Evans i niecierpliwie spojrział najpierw na Fane’a, potem na Rossa.

– No i jakie wieści?

– Aby uniknąć nieprzyjemnych scen w samolocie, kapitanie, radzę zgłosić przez radio, że mamy na pokładzie mordercę, niech policja aresztuje go na lotnisku. Do czasu lądowania nie trzeba nic więcej robić. Daleko nie ucieknie.

– Kto to? – rzucił Evans z ponurą miną.

– Figuruje na liście pasażerów pod nazwiskiem Oscar Elgee, leci klasą turystyczną.

– Jak on mógł...

– To proste. Elgee był nie tylko służącym Graya, ale i – wnioskując z aluzji czynionych przez pana Tilleya – jego kochankiem. Sam Elgee zdaje się to potwierdzać w anonimie, w którym wyróżnił słowo „homo”, oznaczające „człowiek”, ale i, jak wiemy, często używane w moim pokoleniu jako slangowe określenie homoseksualisty.

– Skąd możesz wiedzieć, że Elgee rozumie łacińskie gry słów? – spytał Ross.

– Kiedy tylko zobaczył ciało Graya, wymruczał pod nosem kluczową frazę. *Terra es, terram ibis: prochem jesteś, w proch się obrócisz.*

– Kłótnia kochanków? – spytał Ross. – Miłość w nienawiść przemieniona... i tak dalej, jak to zwięźle ujął Billy Szekspir?

Fane skinął głową.

– Gray zamierzał spławić Elgee jako kochanka i jako pracownika, Elgee postanowił więc zakończyć jego karierę w jej, dosłownie i w przenośni, szczytowym punkcie. W aktówce Graya zachowała się notatka, z której wynika, że Elgee miał zostać niezwłocznie zwolniony bez odprawy.

Tilley, który dotąd siedział cicho, gwałtownie pokręcił głową.

– Nieprawda – wtrącił. – Przejrzeliśmy tę listę. Powiedziałem panu, że inicjały O.T.E. należą do Otisa Elliotta. Przefaksowałem wypowiedzenie dla niego, jeszcze zanim wsiedliśmy do samolotu.

Fane uśmiechnął się łagodnie.

– Zapomniał pan o F.T.

– Ale przecież to moje...

– Nie podzielał pan zamiłowania szefa do łacińskich powiedzonek, prawda? To F.T. mnie zmyliło. Powinienem był od razu przyjąć, że człowiek o reputacji Graya nie napisałby dużego „F” i małego „t”, gdyby miał na myśli inicjały F.T. Przeoczyłem najważniejszy szczegół. To wcale nie są pańskie inicjały, panie Tilley. To skrót. „F” oznacza *fac*, od *facere*, czyli „robić”, „t” *totum*, czyli „wszystko”. Łącznie *factotum*. A kto był *factotum* Graya?

Zapadła cisza.

– Jak sądzę, morderstwo planowane było od co najmniej tygodnia, jeśli nie dwóch. Kiedy zaczęło do mnie docierać, jakiego rodzaju mechanizm spowodował śmierć Graya, musiałem tylko poszukać osoby, która byłaby zdolna go wymyślić, a zarazem miała motyw i sposobność do popełnienia zbrodni. Proszę pokazać ręce, panie Tilley.

Sekretarz z ociąganiem wykonał polecenie.

– Poważnie myślicie, że takie dłonie mogły skonstruować delikatny mechanizm? – powiedział Fane. – Nie, to Elgee, modelarz i złota rączka, przerobił jeden z inhalatorów Graya tak, aby po naciśnięciu wybuchł prosto w usta ofiary i posłał igłę w mózg. Proste, acz skuteczne. Wiedział, że Gray nie lubi publicznie używać inhalatora. Resztę pozostawił przypadkowi, świadom, że szanse powodzenia były duże. I prawie popełnił zbrodnię pod każdym względem doskonałą. Może by się udało, gdyby nie przesadne upodobanie ofiary i zabójcy do łacińskich prywatnych żarcików.

[1](#) Tłum. Wiktor Baworowski.

SPECJALISTA OD TURBULENCJI

STEPHEN KING

Stephen King – to ja – napisał co najmniej dwie opowieści o podniebnych koszmarach. Jedna nosi tytuł *Langolierzy* i na jej podstawie powstał miniseriał telewizyjny. Druga, *Nocny latawiec*, jest o wampirze, który lata prywatnym samolotem, zamiast zmieniać się w nietoperza. Opowiadanie to doczekało się adaptacji filmowej. To, które przeczytacie za chwilę, jest zupełnie nowe.

Craig Dixon siedział w salonie apartamentu hotelowego, jadł drogie żarcie dostarczone przez obsługę i oglądał płytany film, kiedy zadzwonił telefon. Jego serce zgubiło spokojny dotąd rytm i przyspieszyło. Dixon, stanu wolnego, był żywą definicją toczącego się kamienia, co mchem nie obrasta, i tylko jedna osoba wiedziała, że jest tutaj, w eleganckim hotelu Four Seasons naprzeciwko Boston Common. Przemknęło mu przez głowę, żeby nie odbierać, ale człowiek, o którym myślał jako o koordynatorze, po prostu za chwilę zadzwoniłby znowu i dzwoniłby dopóty, dopóki on nie podniesie słuchawki. A gdyby nie odebrał w ogóle, musiałyby się liczyć z konsekwencjami.

To nie jest piekło, pomyślał, warunki są zbyt dobre, ale czyściec na pewno. Bez szans na rychłą emeryturę.

Wyciszył telewizor i podniósł słuchawkę. Nie powiedział „słucham”.

– To nie fair – wypalił. – Raptem przedwczoraj przyleciałem z Seattle. Jeszcze dochodzę do siebie.

– Rozumiem i naprawdę cię przepraszam, ale to wynikło nagle i tylko ty jesteś wolny. – „Przepraszam” zabrzmiało jak „psepraszam”.

Koordynator miał kojący, usypiający głos radiowego dyskżokeja, od czasu do czasu tylko szpecony lekkim seplenieniem. Dixon ani razu nie spotkał go osobiście, ale wyobrażał sobie, że jest wysoki, szczupły, niebieskooki, o niestarzejącej się, gładkiej twarzy. W rzeczywistości pewnie był łysym, śniadym grubasem, ale o tym Dixon zapewne nigdy się nie przekona, bo nie spodziewał się, że kiedykolwiek go zobaczy. Przez lata spędzone w firmie – jeśli to była firma – poznał wielu specjalistów od turbulencji i żaden z nich nie widział koordynatora na oczy. Oni, otrzymujący od niego zlecenia, z całą pewnością gładkich twarzy nie mieli; nawet dwudziesto-, trzydziestolatkowie wyglądali na ludzi w średnim wieku. Nie przez pracę, która, owszem, czasem wymagała czuwania do późnej nocy, ale nie zmuszała do ciężkiego wysiłku fizycznego. Przez to, dzięki czemu byli zdolni ją wykonywać.

– Mów – rzucił Dixon.

– Lot numer dziewiętnaście Allied Airlines. Z Bostonu do Sarasoty, bez międzylądowania. Odlot dziesięć po ósmej dziś wieczorem. Powinieneś zdążyć.

– Nie ma nikogo innego? – Dixon uświadomił sobie, że prawie skamle. – Jestem zmęczony, człowieku. Potwornie zmęczony. Ten kurs z Seattle był cholernie ciężki.

– To samo miejsce co zawsze – uciął koordynator. Potem się rozłączył.

Dixon zerknął na miecznika, na którego stracił już apetyt. Popatrzył na film z Kate Winslet, którego nie obejrzy do końca, przynajmniej w Bostonie. Pomyślał – i to nie pierwszy raz! – żeby po prostu spakować manatki, wynająć samochód i pojechać na północ,

najpierw do New Hampshire, potem do Maine, a stamtąd przez granicę do Kanady. Złapałoby go jednak. Tego był pewien. A krążyły słuchy, że specjalistów, którzy próbowali uciekać, rażono prądem, patroszono, nawet gotowano żywcem. Dixon nie dawał wiary tym plotkom... no, nie do końca.

Szybko się spakował. Nie było tego dużo. Specjaliści od turbulencji podróżowali ze skromnym bagażem.

2

Bilet czekał w kasie. Jak zawsze, posadzili go w klasie ekonomicznej, tuż za prawym skrzydłem, pośrodku rzędu. Jakim cudem właśnie to miejsce zawsze pozostawało wolne, było kolejną zagadką, podobnie jak tożsamość koordynatora, miejsce, skąd dzwonił, i dla jakiej organizacji właściwie pracował. Tak jak bilet, siedzenie po prostu zawsze na niego czekało.

Dixon włożył torbę do schowka i spojrzał na swoich dzisiejszych towarzyszy podróży: od strony przejścia biznesmen o przekrwionych oczach i oddechu zalatującym dżinem, od okna kobieta w średnim wieku wyglądająca na bibliotekarkę. Biznesmen burknął coś niezrozumiałego, kiedy Dixon przecisnął się na swoje miejsce, mamrocząc pod nosem przeprosiny. Facet czytał książkę w miękkiej oprawie pod wdzięcznym tytułem *Nie pozwól, by szef robił cię w ch..a*. Starsza pani w typie bibliotekarki podziwiała przez okno rozmaite maszyny przetwarzające się w tę i we w tę po płycie lotniska, jakby nigdy w życiu nie widziała nic bardziej fascynującego. Na kolanach miała robótkę. Chyba sweter.

Odwróciła się, obdarzyła Dixona uśmiechem i wyciągnęła dłoń.

– Dzień dobry, jestem Mary Worth. Jak ta laska z komiksu.

Dixon nie znał żadnej komiksowej laski nazwiskiem Mary Worth, ale uściśnął podaną rękę.

– Craig Dixon. Miło mi panią poznać.

Biznesmen burknął i przewrócił kartkę książki.

– Bardzo się cieszę na tę podróż – powiedziała Mary Worth. – To moje pierwsze prawdziwe wakacje od dwunastu lat. Wynajęłam z dwiema kumpelkami małe mieszkanie na Siesta Key.

– Kumpelkami – burknął biznesmen. Wyglądało na to, że porozumiewa się tylko burknięciami.

– Tak! – zaszczebiotała Mary Worth. – Spędzimy tam trzy tygodnie. Właściwie jeszcze ani razu się nie spotkałyśmy, a już się przyjaźnimy. Wszystkie jesteśmy wdowami. Poznałyśmy się w internetowym chatroomie. Internet to cudowny wynalazek. W czasach mojej młodości niczego takiego nie było.

– Pedofile też nie mogą się go nachwalić – powiedział biznesmen i przewrócił kartkę.

Uśmiech zadrżał na ustach pani Worth, po czym powrócił z pełną mocą.

– Bardzo miło pana poznać, panie Dixon. Wyjeżdża pan w interesach czy dla przyjemności?

– W interesach – powiedział.

Głośniki zrobiły dzyń, dzyń.

– Dobry wieczór, panie i panowie, mówi kapitan Stuart. Jak państwo widzą, odjeżdżamy spod terminalu i zaraz kołujemy na pas numer trzy, gdzie będziemy trzeci w kolejce do startu. Szacujemy, że lot potrwa dwie godziny i czterdzieści minut, co oznacza, że przed jedenastą powinni państwo już być w krainie palm i piaszczystych plaż. Niebo jest bezchmurne, spodziewamy się spokojnej podróży. Teraz proszę, aby zapięli państwo pasy, złożyli stoliki, jeśli zostały rozłożone...

– Jakbyśmy mieli co na nich postawić – burknął biznesmen.

– ...i zabezpieczyli rzeczy osobiste, z których być może postanowiliście skorzystać przed startem. Dziękujemy, że zdecydowaliście się polecieć dziś liniami Allied. Wiemy, że wybór jest duży.

– Dobrze sobie – burknął biznesmen.

– Czytaj pan tę swoją książkę – powiedział Dixon. Biznesmen posłał mu zaskoczone spojrzenie.

Serce Dixona już mocno waliło, żołądek był ściśnięty, gardło zaschło od niespokojnego wyczekiwania. Mógł sobie mówić, że będzie dobrze, zawsze było dobrze, ale to na nic. Przerazały go otchłanie, które wkrótce się pod nim otworzą.

Allied dziewiętnaście wystartował o godzinie dwudziestej trzynaście, z jedynie trzyminutowym opóźnieniem.

3

Gdzieś nad Marylandem w kabinie pojawiła się stewardesa z wózkiem barowym. Biznesmen odłożył książkę i czekał niecierpliwie. Gdy wreszcie przyszła kolej na niego, wziął puszkę toniku schweppes, dwie buteleczki dżinu i paczkę fritos. Jego MasterCard nie działała, kiedy próbował zapłacić, wyciągnął więc kartę American Express i podał stewardesie, patrząc na nią spode łba, jakby to z jej winy pierwsze podejście zakończyło się niepowodzeniem. Dixon był ciekaw, czy MasterCard jest wyczyszczona, a po Amexa pan Biznesmen sięga w sytuacjach podbramkowych. Całkiem możliwe, włosy miał źle ostrzyżone, ogólnie wyglądał, jakby był w rozsypce. Dixona w sumie to niewiele obchodziło, ale przynajmniej mógł dzięki temu oderwać myśli od nieustannie tłącego się w nim przerażenia. Napiętego wyczekiwania. Lecieli dziesięć i pół tysiąca metrów nad ziemią. Długo by się z takiej wysokości spadało.

Mary Worth poprosiła o wino i starannie naląła je do małego plastikowego kieliszka.

– Pan niczego nie weźmie, panie Dixon?

– Nie. W samolotach nie jem ani nie piję.

Pan Biznesmen burknął. Już obalił pierwszy dzin z tonikiem, właśnie napoczął drugi.

– Boi się pan latać, co? – spytała Mary Worth ze współczuciem.

– Tak. – Nie było powodu tego ukrywać. – Niestety.

– Niepotrzebnie – wtrącił pan Biznesmen. Orzeźwiony drinkiem, normalnie wypowiadał słowa, zamiast je wyburkiwać. – Nie wymyślono jeszcze bezpieczniejszego środka transportu. Od niepamiętnych czasów nie było katastrofy samolotu pasażerskiego. Przynajmniej w tym kraju.

– Mnie to nie przeszkadza – powiedziała Mary Worth. Przełała do kieliszka połowę małej butelki i teraz już miała pąsowe policzki. Oczy jej błyszczały. – Nie wsiadłam do samolotu od śmierci męża pięć lat temu, ale przedtem lataliśmy razem trzy–cztery razy do roku. Tutaj czuję się blisko Boga.

Jak na zawołanie, rozplakało się małe dziecko.

– Jeśli w niebie jest tak tłoczno i hałaśliwie, nie chcę tam trafić – oznajmił pan Biznesmen, rozglądając się po kabinie klasy ekonomicznej boeinga siedemset trzydzieści siedem.

– Podobno to pięćdziesiąt razy bezpieczniejsze od podróży samochodem – powiedziała Mary Worth. – Może nawet więcej. Sto razy.

– Raczej pięćset razy bezpieczniejsze. – Pan Biznesmen wychylił się za Dixona i wyciągnął dłoń do Mary Worth. Dzin przynajmniej na chwilę dokonał cudu, zmienił gbura w dżentelmena. – Frank Freeman.

Z uśmiechem podała mu rękę. Craig Dixon siedział między nimi, sztywno wyprostowany i ponury, ale też wymienił uścisk dłoni z Freemanem.

– O rany – powiedział Freeman i nawet się roześmiał. – Rzeczywiście się pan boi. Ale wie pan, jak to mówią: zimne dłonie, gorące serce. – Dopił drinka.

Karty kredytowe Dixona działały zawsze. Nocował w hotelach o najwyższym standardzie i jadał posiłki o najwyższym standardzie. Czasem sypiał z ładnymi kobietami, płacąc dodatkowo za zaspokajanie dziwacznych zachcianek, które nie były, przynajmniej według pewnych stron internetowych, na które Mary Worth raczej nie zaglądała, wyjątkowo dziwaczne. Przyjaźnił się z innymi specjalistami od turbulencji. Tworzyli zżytą grupę, połączył ich nie tylko wykonywany zawód, ale i wspólne im wszystkim lęki. Wynagrodzenie było znacznie więcej niż przyzwoite, do tego dochodziły rozmaite dodatkowe korzyści... ale w takich chwilach jak ta wszystko to jakoś traciło znaczenie. W takich chwilach jak ta był tylko strach.

Będzie dobrze. Jak zawsze.

Tyle że w takich chwilach jak ta, gdy czekał, aż rozpęta się piekło, ta myśl nie miała żadnej mocy. Dzięki czemu, oczywiście, był tak dobry w swoim fachu.

Dziesięć i pół tysiąca metrów. Kawał drogi do ziemi.

Turbulencja czystego nieba.

Dixon doskonale znał to zjawisko, ale nigdy nie był na nie przygotowany. Kiedy tym razem się zaczęło, Allied dziewiętnaście znajdował się gdzieś nad Karoliną Południową. Kobieta szła do toalety w tylnej części samolotu. Młody mężczyzna w dżinsach, z modnie niechlujną brodą, rozmawiał pochylony z pasażerką siedzącą przy przejściu po lewej stronie kabiny, oboje śmiali się z czegoś. Mary Worth drzemała z głową opartą o okno. Frank Freeman był w połowie trzeciego drinka i drugiej paczki fritos.

Samolot nagle przechylił się na lewo i z łoskotem i trzaskiem podbił wysoko w górę. Kobieta idąca do ubikacji poleciała w ostatni rząd siedzeń po lewej stronie kabiny. Młody brodacz, wpadając na półkę bagażową, w samą porę poderwał dłoń, by zamortyzować uderzenie. Kilka osób z rozpiętymi pasami wzniosło się nad oparcia foteli, jakby lewitując. Rozległy się krzyki.

Samolot runął jak kamień wrzucony do studni, coś łupnęło, po czym wzbił się z powrotem do góry, przechylony na drugi bok. Freeman akurat podnosił drinka do ust i teraz był nim oblany.

– Kurwa! – krzyknął.

Dixon zamknął oczy i czekał na śmierć. Wiedział, że jest bezpieczny, jeśli zrobi, co do niego należy, dlatego leciał tym samolotem, ale zawsze było tak samo. Zawsze czekał na śmierć.

Rozbrzmiało znajome dzyń, dzyń.

– Mówi kapitan – powiedział Stuart ze spokojem, jak ująłby to komentator sportowy, człowieka pozbawionego układu nerwowego. – Wygląda na to, że wpadliśmy w nieoczekiwane turbulencje, panie i panowie. Właśnie...

Samolot poderwał się kolejnym przerażającym skokiem, sześćdziesiąt ton metalu wyrzucone w górę niby skrawek osmalonego papieru w kominie, by zaraz opaść z tym samym trzeszczącym łoskotem, co poprzednio. Znowu rozbrzmiały krzyki. Kobieta idąca do toalety ledwo co zdążyła się podnieść, a już poleciała w tył, zamłóciła rękami i upadła na siedzenia po prawej stronie kabiny. Brodacz kucnął w przejściu, trzymając się podłokietników po bokach. Dwa–trzy schowki bagażowe otworzyły się, torby powypadały.

– Kurwa! – zaklął Freeman znowu.

– Włączyłem znak zapięcia pasów – podjął pilot. – Przepraszam państwa za to, co się stało, lada chwila wrócimy w obszar spokojnego powietrza...

Samolot zaczął się podnosić i opadać seria gwałtownych skoków jak kamień puszczoney kaczka po stawie.

– ...proszę więc o cierpliwość.

Boeing runął w dół, po czym znów wyrwał do góry. Torby podręczne w przejściu między siedzeniami podskoczyły i przeturlały się po podłodze. Dixon zamknął oczy. Serce waliło mu tak szybko, że uderzenia praktycznie zlewały się w jedno. W ustach miał kwaśny smak adrenaliny. Poczul, że dłoń wsuwa się do jego ręki, i rozwarł powieki. Mary Worth, blada jak pergamin, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Panie Dixon, umrzemy?

Tak, pomyślał. Tym razem umrzemy.

– Nie – powiedział. – Nic a nic nam nie gro...

Samolot jakby uderzył w mur, tak mocno, że wparło ich w pasy, po czym przechylił się na lewo; trzydzieści stopni, czterdzieści, pięćdziesiąt. Kiedy Dixon już był przekonany, że boeing przewróci się na grzbiet, maszyna wyrównała lot. Słyszał wrzaski. Płacz dziecka. Jakiś mężczyzna krzyczał: „Wszystko gra, Julie, to normalne, wszystko gra!”.

Dixon znów zamknął oczy i pozwolił, by przerażenie zawładnęło nim bez reszty. To było koszarne; to było konieczne.

Zobaczył, jak samolot znów się przewraca, tym razem nie częściowo, lecz do samego końca. Zobaczył, jak duży odrzutowiec gubi swoje miejsce w termodynamicznej zagadce, która dotąd utrzymywała go w powietrzu. Zobaczył, jak dziób się podnosi, najpierw szybko, potem coraz wolniej, by ostatecznie opaść niczym wagonik kolejki górskiej rozpoczynający pierwszy karkołomny zjazd. Zobaczył, jak samolot daje swojego ostatniego nura ku ziemi, zobaczył pasażerów, którzy nie zapięli pasów, przygwożdżonych do sufitu, zobaczył żółte maski tlenowe tańczące ostatnią gorączkową tarantelę w powietrzu. Zobaczył, jak dziecko, wciąż płaczące, leci do przodu i znika w klasie biznesowej. Zobaczył, jak samolot uderza w ziemię, zobaczył dziób i kabinę pierwszej klasy przemienione w zgnieciony stalowy bukiet wdzierający się do klasy ekonomicznej, zobaczył wyrosłe z niego kable, plastik i urwane kończyny, a potem była już tylko kula ognia i Dixon wziął ostatni oddech, palący płuca, jakby były papierowymi torebkami.

Wszystko to w ciągu trzydziestu, może czterdziestu sekund, i tak rzeczywiste, jakby wydarzyło się naprawdę. Jeszcze jeden groteskowy podskok, po czym samolot wyrównał lot i Dixon uniósł powieki. Mary Worth patrzyła na niego. Jej oczy wzbierały łzami.

– Myślałam, że umrzemy – powiedziała. – Wiedziałam, że umrzemy. Widziałam to.

Ja też, pomyślał Dixon.

– Nonsens! – Freeman mówił dziarskim tonem, ale był zielony na twarzy. – Te samoloty są tak skonstruowane, że można nimi wlecieć w huragan. Mają...

Dźwięczne beknięcie przerwało mu wywód. Freeman wyszarpnął torebkę na wymioty z kieszeni na oparciu fotela przed nim, otworzył ją i przyłożył do ust. Z jego gardła wydarł się dźwięk, który skojarzył się Dixonowi z warkotem małego, ale wydajnego młynka do kawy. Ucichł, potem rozbrzmiał znowu.

Rozległo się znajome dzyń, dzyń.

– Proszę o wybaczenie, panie i panowie – powiedział kapitan Stuart. Znów z niezmaconym spokojem. – To coś, co się zdarza raz na jakiś czas, małe zjawisko meteorologiczne, które nazywamy turbulencją czystego powietrza. Dobra wiadomość jest taka, że już to zgłosiłem, więc inne samoloty skierowane zostaną na kurs omijający ten obszar. Lepsza jest taka, że wylądujemy za czterdzieści minut, i gwarantuję, że od tej chwili lot będzie spokojny.

Mary Worth zaśmiała się drżącym głosem.

– To samo mówił przedtem.

Frank Freeman związał górną część torebki na wymioty. Widać było, że ma w tym wprawę.

– To nie ze strachu, nie myślcie sobie, choroba lokomocyjna i tyle. Muli mnie nawet na tylnym siedzeniu samochodu.

– Do Bostonu wrócę pociągiem – oznajmiła Mary Worth. – Nie chcę tego znowu przeżywać, dziękuję bardzo.

Dixon patrzył, jak stewardesy najpierw upewniają się, że pasażerom z rozpiętymi pasami nic się nie stało, a potem uprzątają torby rozrzucone w przejściu między siedzeniami. Kabinę wypełnił gwar rozmów i nerwowe śmiechy. Dixon patrzył i słuchał, bicie jego serca wracało do normy. Był zmęczony. Jak zawsze po uratowaniu samolotu pełnego pasażerów.

Reszta lotu przebiegła rutynowo, zgodnie z obietnicą kapitana.

5

Mary Worth pospieszyła po swój bagaż, który miał czekać na taśmociągu numer dwa, piętro niżej. Dixon, podróżujący z jedną tylko małą torbą, wpadł na drinka do Dewar's Clubhouse. Zaprosił pana Biznesmena, ale Freeman pokręcił głową.

– Wyrzygałem jutrzejszego kaca gdzieś nad granicą Karoliny Południowej i Georgii, myślę więc, że spasuję, dopóki jestem do przodu. Powodzenia w sprawach, które ma pan do załatwienia w Sarasocie, panie Dixon.

Dixon, który wszystko, co miał do załatwienia, załatwił nad tą samą granicą Karoliny Południowej i Georgii, kiwnął głową i podziękował. Kiedy dopijał whisky z wodą sodową, dostał esemesa. Od koordynatora. Tylko dwa słowa: Dobra robota.

Zjechał schodami ruchomymi. Na dole czekał mężczyzna w ciemnym garniturze i czapce szofera, trzymający tabliczkę z jego nazwiskiem.

– To ja – powiedział Dixon. – Gdzie mam rezerwację?

– W Ritzu-Carltonie – odparł szofer. – Nieźle.

Oczywiście, że tak, oczywiście, że czeka na niego elegancki apartament, pewnie z widokiem na zatokę. W hotelowym garażu już stoi wynajęty dla niego samochód, na wypadek gdyby zachciało mu się wyskoczyć na pobliską plażę albo obejrzeć lokalne atrakcje. W pokoju zastanie kopertę z listą agencji towarzyskich, z których usług dziś nie miał ochoty skorzystać. Marzył tylko o tym, żeby się wyspać.

Kiedy wyszedł z szoferem przed terminal, zobaczył Mary Worth. Była sama, wyglądała na lekko zagubioną. Po obu jej bokach stały walizki (oczywiście identyczne, w szkocką kratę). Trzymała telefon w dłoni.

– Pani Worth – powiedział Dixon.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Ach, to pan, panie Dixon. Przeżyliśmy, co?

– Nie da się ukryć. Ktoś po panią przyjedzie? Jedna z kumpelek?

– Byłam umówiona z panią Yeager... Claudette... ale jej samochód nie chce zapalić. Właśnie miałam dzwonić po Ubera.

Pomyślał o tym, co powiedziała, kiedy turbulencje – czterdzieści sekund, które wydawały się czterema godzinami – w końcu osłabły: Wiedziała, że umrzemy. Widziałam to.

– Nie ma potrzeby. Możemy panią podwieźć na Siesta Key. – Wskazał na limuzynę czekającą kawałek dalej przy krawężniku, po czym zwrócił się do szofera. – Prawda?

– Oczywiście, proszę pana.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Jest pan pewien? Bardzo już późno.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewnił. – Chodźmy.

6

Och, jak wygodnie. – Mary Worth rozsiadła się na skórzanej kanapie i wyciągnęła nogi. – Jakikolwiek interesy pan prowadzi, najwyraźniej świetnie panu idą, panie Dixon.

– Mów mi Craig. Ty jesteś Mary, ja Craig. Lepiej, żebyśmy byli po imieniu, bo chcę z tobą porozmawiać. – Wcisnął guzik i podniosła się szyba oddzielająca ich od szofera.

Mary Worth popatrzyła na nią z pewnym niepokojem, po czym spojrzała na Dixona.

– Chyba nie zamierzasz się do mnie, jak to mówią, dobierać, co?

Uśmiechnął się.

– Nie, ze mną jesteś bezpieczna. Powiedziałaś, że chcesz wrócić pociągiem. Mówiłaś serio?

– Zdecydowanie tak. Pamiętasz, jak powiedziałam, że latając, czuję się blisko Boga?

– Tak.

– Nie czułam się blisko Boga, kiedy rzucało nami jak w mikserze dziesięć czy jedenaście kilometrów nad ziemią. Zupełnie. Czułam się tylko bliska śmierci.

– Odważyłabyś się jeszcze kiedyś wsiąść do samolotu?

Zamyśliła się głęboko, patrząc na palmy, salony samochodowe i fast foody, które przemykały za oknem, kiedy jechali Tamiami Trail na południe.

– Pewnie tak. Na przykład gdybym spieszyła się do kogoś leżącego na łożu śmierci. Chociaż nie wiem, kto to mógłby być, bo praktycznie już nie mam rodziny. Nie mieliśmy z mężem dzieci, rodzice mi umarli, zostało tylko kilku kuzynów, z którymi rzadko wymieniam maile, a jeszcze rzadziej się spotykam.

Coraz lepiej, pomyślał Dixon.

– Ale bałabyś się.

– Tak. – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Naprawdę myślałam, że umrzemy. W powietrzu, gdyby samolot się rozpadł. Gdyby nie, na ziemi. Że zostaną z nas tylko zwęglone kawałeczki.

– Pozwól, że przedstawię ci hipotetyczną sytuację – powiedział Dixon. – Nie śmieję się, podejdź do tego poważnie.

– Dobrze...

– Przypuśćmy, że istnieje organizacja odpowiadająca za bezpieczeństwo podróży lotniczych.

– Pewnie, że istnieje – powiedziała Mary Worth z uśmiechem. – Z tego, co kojarzę, nazywa się Federalna Administracja Lotnictwa.

– Przypuśćmy, że organizacja ta może przewidzieć, które samoloty wpadną w silne i nieoczekiwane turbulencje podczas lotu.

Mary Worth lekko klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się szerzej. To jej się zaczynało podobać.

– Niewątpliwie zatrudnia prekogów! To ludzie, którzy...

– Którzy widzą przyszłość – dokończył Dixon. I czyż nie było to możliwe? A nawet prawdopodobne? Z jakiego innego źródła koordynator mógł czerpać swoje informacje? – Przypuśćmy jednak, że ich zdolność przewidywania ograniczona jest do zdarzeń tylko tego jednego rodzaju.

– Dlaczego miałyby tak być? Czemu nie mieliby przewidywać wyników wyborów... meczów... Kentucky Derby...

– Nie wiem – powiedział Dixon i pomyślał, że może to jednak potrafią. Może ci hipotetyczni prekogowie w jakimś hipotetycznym pokoju przewidują najprzeróżniejsze rzeczy. Może tak właśnie jest. Było mu to obojętne. – Teraz pójdźmy dalej. Przypuśćmy, że pan Freeman się mylił i że takie turbulencje, jakich dzisiaj doświadczyliśmy, są znacznie poważniejsze, niż wszyscy, z liniami lotniczymi włącznie, sądzą bądź są gotowi przyznać. Przypuśćmy, że tego rodzaju turbulencje przetrwać można tylko pod warunkiem, że na pokładzie każdego wpadającego w nie samolotu jest co najmniej jeden przerażony pasażer o szczególnych zdolnościach. – Zawiesił głos. – I przypuśćmy, że dzisiaj tym szczególnie uzdolnionym i przerażonym pasażerem byłem ja.

Zaniosła się salwą radosnego śmiechu i spoważniała dopiero wtedy, kiedy zauważyła, że jej nie zawtórował.

– Co z samolotami, które wlatują w huragany, Craig? Zdaje się, że pan Freeman wspominał o takich chwilę przed tym, kiedy musiał skorzystać z torebki na wymioty. Te samoloty wychodzą cało z turbulencji zapewne jeszcze gorszych od tego, co przeżyliśmy dziś wieczorem.

– Tyle tylko, że w takich sytuacjach piloci wiedzą, co ich czeka – powiedział Dixon. – Są na to psychicznie przygotowani. Podobnie jest w przypadku wielu samolotów pasażerskich. Pilot ogłasza jeszcze przed startem: „Droży państwo, z góry przepraszam, ale zapowiada się trudny lot, więc proszę mieć pasy zapięte”.

– Rozumiem – stwierdziła. – Pasażerowie psychicznie przygotowani na najgorsze mogą, jak by to powiedzieć, wspólnym telepatycznym wysiłkiem utrzymać samolot w powietrzu. Tylko niespodziewane turbulencje wymagają obecności kogoś, kto z góry wie, co się stanie. Przerażonego... hmmm... nie wiem, jak kogoś takiego nazwać.

– Specjalisty od turbulencji – powiedział Dixon cicho. – Tak się ich nazywa. Tak się nazywa mnie.

– Nie mówisz poważnie.

– Ależ tak. Wiem, myślisz sobie, że jedziesz samochodem z człowiekiem cierpiącym na poważne urojenia, i nie możesz się doczekać, żeby wysiąść. Tak naprawdę jednak właśnie na tym polega moja praca. Dobrze mi płacą za...

– Kto?

– Nie wiem. Dzwoni pewien człowiek. Ja i inni specjaliści od turbulencji, jest nas kilkudziesięciu, nazywamy go koordynatorem. Czasem mijają tygodnie między kolejnymi zleceniami. Raz miałem dwa miesiące przerwy. Teraz tylko dwa dni. Leciałem z Seattle do Bostonu i nad Górami Skalistymi... – Otarł usta dłonią, nie chcąc pamiętać, a mimo to pamiętając. – Poprzestańmy na tym, że było ciężko. Parę złamanych rąk.

Limuzyna skręciła. Dixon wyjrzał przez szybę i zobaczył tabliczkę SIESTA KEY 3 KM.

– Gdyby to było prawdą – powiedziała Mary – dlaczego, na litość boską, miałbyś robić coś takiego?

– Pieniądze są przyzwoite. Warunki komfortowe. Lubię podróżować... a przynajmniej lubiłem; po pięciu–dziesięciu latach wszystkie miejsca zaczynają wyglądać tak samo. Przed wszystkim jednak... – Wychylił się do przodu i ujął jej rękę obiema dłońmi. Myślał, że się wyrwie, ale tego nie zrobiła. Patrzyła na niego zafascynowana. – Ratuję istnienia ludzkie. Dziś na pokładzie naszego samolotu było ponad stu pięćdziesięciu ludzi. Tyle że linie lotnicze nazywają ich nie ludźmi, tylko duszami, i takie określenie jest najwłaściwsze. Dzisiaj ocalałem sto pięćdziesiąt dusz. A w sumie, odkąd zacząłem się tym zajmować, tysiące. – Pokręcił głową. – Nie, dziesiątki tysięcy.

– Ale za każdym razem jesteś przerażony. Widziałam to dzisiaj, Craig. Śmiertelnie się bałeś. Tak jak ja. W odróżnieniu od pana Freemana, który wymiotował tylko dlatego, że ma chorobę powietrzną.

– Freeman nie mógłby wykonywać tej roboty – powiedział Dixon. – Nadają się do tego tylko ci, którzy w chwili, kiedy zaczynają się turbulencje, są święcie przekonani, że zginą. Wierzysz w to, choć wiesz, że dzięki tobie do tego nie dojdzie.

Z głośnika interkomu dobiegł cichy głos szofera.

– Jeszcze pięć minut, panie Dixon.

– Przyznam, że to fascynująca rozmowa – powiedziała Mary Worth. – Jeśli wolno spytać, jak w ogóle dostałeś tę pracę?

– Zwerbowano mnie – odparł Dixon. – Tak jak ja teraz werbuję ciebie.

Uśmiechnęła się, ale tym razem nie zaśmiała.

– No dobrze, połknę haczyk. Przypuśćmy, że dam się zwerbować. Co będziesz z tego miał? Premię?

– Tak – powiedział Dixon. Skrócenie okresu służby o dwa lata, taka będzie jego premia. Dwa lata bliżej do emerytury. To, co powiedział o swoich altruistycznych pobudkach – ratowaniu istnień ludzkich, ratowaniu dusz – było prawdą, ale prawdą było też, że podróże z czasem stawały się męczące. Podobnie jak ratowanie dusz, gdy ceną są ciągnące się w nieskończoność chwile przerażenia wysoko nad ziemią.

Czy powinien ją uprzedzić, że kiedy raz w to wejdzie, nie będzie mogła się wycofać? Że w gruncie rzeczy podpisze cyrograf z diabłem? Powinien. Ale tego nie robi.

Wjechali na okrągły placyk przed nadmorskim apartamentowcem. Czekają tam dwie panie – bez wątplenia kumpelki Mary Worth.

– Dasz mi swój numer telefonu? – spytał Dixon.

– Co takiego? Żebyś mógł do mnie zadzwonić? Albo przekazać go twojemu szefowi? Twojemu koordynatorowi?

– Otóż to – przyznał Dixon. – Było miło, Mary, ale pewnie nigdy więcej się nie zobaczymy.

Zawahała się, zamyślona. Czekające kumpelki prawie tańczyły z radosnego podniecenia. W końcu otworzyła torebkę i wyjęła wizytówkę. Podała ją Dixonowi.

– To numer mojej komórki. Można mnie też złapać w Bostońskiej Bibliotece Publicznej.

Dixon się zaśmiał.

– Wiedziałem, że jesteś bibliotekarką.

– Każdy od razu zgaduje – powiedziała. – Nudnawa praca, ale z czegoś trzeba opłacić rachunki, jak to mówią. – Otworzyła drzwi. Kumpelki zapiszczały jak zagorzałe fanki na widok ulubionego zespołu.

– Są bardziej emocjonujące zajęcia – stwierdził Dixon.

Spojrzała na niego ze śmiertelnie poważną miną.

– Między przelotnymi emocjami a umieraniem ze strachu jest ogromna różnica, Craig. Chyba oboje to wiemy.

Musiał się z nią zgodzić. Wsiadł i pomógł szoferowi wyładować jej bagaże, podczas gdy Mary Worth ścisnęła się z dwiema wdowami poznanymi w internetowym chatroomie.

7

Mary była z powrotem w Bostonie i prawie zapomniała o Craigu Dixonie, kiedy pewnego wieczoru zadzwonił jej telefon. Odezwał się lekko sepleniący mężczyzna. Dość długo rozmawiali.

Następnego dnia Mary Worth była na pokładzie lotu numer sześćset dziewięćdziesiąt cztery linii Jetway z Bostonu do Dallas. Siedziała w klasie ekonomicznej, tuż za prawym skrzydłem. Na środkowym miejscu. Nie chciała niczego do jedzenia ani picia.

Turbulencje zaczęły się nad Oklahomą.

SPADANIE

JAMES L. DICKEY

Zanim wydacie zboląły jęk, pokręcicie głowami i powiecie, że nie czytacie poezji, przypomnę, że James Dickey był nie tylko poetą; napisał też klasyczną powieść o walce o przetrwanie, *Wybawienie*, oraz mniej znaną *To the White Sea*, o strzelcu pokładowym z B-29 zmuszonym desantować się na terytorium nieprzyjaciela. Dickey czerpał z własnych doświadczeń; był pilotem wojskowym podczas drugiej wojny światowej i walk w Korei. W *Spadaniu* mamy ten sam dynamiczny sposób prowadzenia narracji i cudownie powściągliwy język co w *Wybawieniu*. Utwór ten, raz przeczytany, nie daje się zapomnieć. Ciekawostka dla uzupełnienia: Dickey przyznał w wywiadzie z samym sobą, że motyw przewodni poematu jest mało realistyczny (kobieta spadająca z takiej wysokości zamrzłaby błyskawicznie, powiedział), coś podobnego jednak się w rzeczywistości wydarzyło – w roku 1972 stewardesa Vesna Vulovic spadła z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, kiedy w DC-9, którym leciała, prawdopodobnie wybuchła bomba... i przeżyła upadek. Cytat otwierający wiersz pochodzi z opublikowanego w „New York Timesie” 29 października 1962 roku artykułu o incydencie na pokładzie dwusilnikowego convaira czterysta czterdzieści Allegheny Airlines, który podchodził do lądowania na lotnisko Bradley w Windsor Locks w stanie Connecticut. Miesiąc wcześniej dwie inne stewardesy zginęły w podobnych wypadkach.

*Dwudziestodziewięcioletnia stewardesa zginęła... dzisiejszego
wieczoru, kiedy wypadła z samolotu
drzwiami awaryjnymi, które nagle się
otworzyły... Ciało...
odnaleziono... trzy godziny po
wypadku.
„New York Times”*

Światła pogasły. Stany przesuwają się w dole rozścielone i przemienione w coś
Transkontynentalnego przyciągając księżycowy blask z wielkiego
Jednostronnego kamienia wiszącego u czubka prawego skrzydła jakiś śpioch obok
Silnika jęczy o kawę i do środka którejś wsącza się słabym strumieniem
Przepastny zwierzęcy gwizd przestrzeni. Ona grzebie w kuchni z półkami
Pełnymi tac szuka koca i idzie w swym wąskim dopasowanym uniformie
Przypiąć go u szczytu drzwi nad którymi wdziera się krzyk. Jakby wyważyła

Drzwi cichym dmuchnięciem ze swoich płuc skostniała pośród ciemności
Zauważa że samolotu nie ma i coś chwyciło jej ciało za gardło
Wokół niemilkący krzyk próżni a ona spada żyje staje się czymś
Czym nie był nikt kto zdołałby to przeżyć krzyczy choć powietrza za mało
Wciąż schludna umalowana w pończochach regulaminowym gorsecie z toczkiem
Wciąż na głowie jej ręce i nogi poza światem a zarazem dziwnie rozstawione
Spoczywają ze słusznym spokojem na rozrzedzonym powietrzu ma czas trzyma się
Go jak może a teraz jeszcze tysiące stóp od swojej śmierci zdaje się
Zwalniać nabiera zainteresowania obraca swoje zwrotne ciało

Żeby je obserwować. Zawieszona wysoko w przytłaczającym centrum wszystkiego
w swym

Ja mocno otulona cichym świstem ciała całym swoim ciemnym roztańczonym ciężarem
Spada po niebotycznym wyskoku ze spowalniającą zdumiewającą łatwością
Snu o byciu przyciąganą niby niegasnący księżycowy blask do żywej ziemi
Centralnego stanu jej kraju potężne ciepło stopniowo ją

Ogarnia unosi się w powietrzu coraz łatwiej oddychać tym czym
Oddycha wyżyny już bardziej zdatne dla ludzi widzi chmury rozmieszczone uczciwie
W dole po lewej i prawej powoli ku nim zmierza przygarnia to wszystko
Do siebie i może w tym osobliwie zawiesić swoje dłonie i stopy
Z oczami szeroko otwartymi wiatrem otworzyć usta równie szeroko nawet szerzej
I wessać cały żar z pól kukurydzy może położyć się na plecach z uczuciem
Jakby leżała na stosie olbrzymich poduszek i odwrócić się odwrócić jak do kogoś
W łóżku z uśmiechem zrozumianym w ciemności może się oddalić przechylić zsunąć
Koziołkując w symbol ptaka z rozpostartymi na poły skrzydłami
Lub szaleńczo wirować w niekończącej się gimnastyce pośród rosnącego ciepła
Pól pszenicy wyciągającej kłosa ku księżycowi żniwiarzy. Jest czas na to by żyć
W nadludzkim zdrowiu widząc śmiertelne nieosiągalne światła daleko w dole widząc
Szosę doskonałą którą sunie jeden spóźniony bezcenny samochód
Przybywający do kwadratowego miasta a po jej prawej stronie w migoczącej wodzie
Wstrząśnięta tarcza księżycy łuskowate wędrujące srebro Mój Boże
Dobrem to i złem leżeć we wszystkich po kolei pozycjach do
Kochania się tańca spania teraz oplatają ją smużki chmur nie ma
Peleryny to nic widzi jasne okruchy małych miast z wnętrza
Chmury przechodzi nad nimi jak deszcz wypada na zewnątrz by ujrzeć autobus
Greyhounda strzelający światłem z boków to sygnał że pora polecieć prosto
W dół jakby w cudownym skoku do wody stopami ku ziemi ze spódnicą pięknie
Podwianą z twarzą w wonnej strachem tkaninie z upajająco nagimi nogami
Rozkrzyżowanymi ramionami powoli się obraca łapie równowagę czeka by potężna
Siła przejęła nad nią władzę drży prawie trzepocze piórami szybuje w dół
Szybkie ruchy ptasich szyj odwracają jej głowę złote oczy przenikliwym
Sowim spojrzeniem wnikają do kurników apetyt na kurczaka ogarnia
Ją daleko sięgający sokoli wzrok powiększa wszystkie ludzkie światła samochodów
Pociągi towarowe wstęgi mostów powiększa księżyc powoli płynący
Zakolami rzeki wszystkie mroki środkowego zachodu płonące
W górze. Królik zbiegał pod krzakami kury zbijają się w dusząco ciasną
Gromadę bowiem ponad nimi jest jeszcze czas aby żyć
Napływa niejasna myśl o długim pikowaniu pędzie upadku
Który jest kontrolowany który przebiega tak jak chce zmienia grawitację
W nową siłę ukazującą swoją drugą stronę jak księżyc świecący
Nowymi Mocami jest jeszcze czas by żyć oddechem złożonym tylko
Z nocy czas by przypomniawszy sobie żeby ułożyć spódnicę
W skrzydła nietoperza sterujące lotem ma błonę lotną
Z ubrań przypominają się ci spadochroniarze w telewizji
Zeglujący w słońcu uśmiechnięci pod goglami przekazujący sobie pałeczkę
A także Ten co skoczył bez spadochronu i dostał zapasowy od spadającego z nim
Kompana. Rozgląda się za uśmiechniętym kompanem za błyskiem zębów nie ma go

Krzyczy śpiewa hymny chude ludzkie skrzydła rozpościerają się
U jej schludnych ramion powietrze nuci jej swoją zwierzęcą pieśń świergocze
A ona już nie dostrzega wielkiej niepełnej postaci świata teraz
Patrzy jak jej kraj traci przywołany ogólny kształt patrzy jak traci
I zyskuje odzyskuje domy i ludzi patrzy na ukazujące się
Światła pojedyncze domy latarnie na dachach stodół gdyby wpadła
Do wody mogłaby przeżyć jak nurek który przecina gładko zagłębia się

W inne ciężkie srebro odbierający dech spowalniający zbawczy
Żywioł: jest tam woda dość czasu by opanować do perfekcji wszystkie niuanse
Skoku do wody stopy razem palce obciążone dłonie odpowiednio ułożone
By przeszła wodę jak igła by wypłynęła zdrowo ociekająca
I dostała do ręki coca-cole oto i one oto wody
Życia księżyc upchany i zwinięty w zbiorniku wodnym niech więc
Poszybuję w nocnym powietrzu Kansas otwierając oczy nadludzko
Jasne na przeklęty księżyc rozkładając naturalne skrzydła mojego żakietu
Od Dona Lopera mknąc jak polująca sowa ku rozmigotanej wodzie
Nie można tak po prostu spadać bezwolnie lecieć w dół przez cały czas krzycząc trzeba
To wykorzystać teraz już ma to za sobą poza sobą chmury wilgoć włosy
Rozprostowane ostatnia smuga mgły rozdarła się na jej twarzy jak węża odsłaniając
Nowe ciemności nowe światła sunące wiejskimi drogami wychodzącymi z chaosu

I nocy coraz cieplej nowo powstały nieunikniony świat własnego
Kraju wielki świetlisty kamień w oczekujących wodach wytrzymaj doczekaj
Do wody: kto wie kiedy porządna młoda kobieta zmuszona będzie kazać swemu ciału
Lecieć ku opętanemu księżycem wewnętrznemu oku uwięzionej wody
Przechowywanej dla niej od lat gdy powietrze wpada pod rękawy żakietu
I przebiega od stóp do głów? Cóż ostatecznego rzec można
O tej która w ciele swoim przemierza stromym lotem nocne
Powietrze aby szukać jak królik wody która leży niby życie
Na prawo od niej w Kansas? Kieruje się ku rażąco nagiemu jezioru
Spódnica wygładzona dłonie i twarz coraz mocniej rozgrzewane powietrzem
Wznoszącym się z pastwisk porośniętych fasolą a pod nią w szenilowych pościelach
Młode wieśniaczki czują jak wyrzywa się z nich bogini i powstaje kontemplując
Połyskujące rysami słupki łóżka śnią o kobiecych znakach
Księżyc żelazie męskiej krwi o tym co naprawdę mówi skowyt
Samolotów przelatujących nad nimi pośród głuchej nocy środkowego zachodu
Przelatujących nad pożarami łąk które dogasają w ciszy na pagórkach i

Po przebudzeniu zobaczą kobietę jaką powinny być walczącą nad kalenicą o to by zostać
Wśród gwiazd: dla niej ziemia jest bliżej woda jest bliżej mija
Ją przechyla się skręca rękawy inaczej trzepoczą kiedy zwraca
Twarz ku wschodowi gdzie słońce wstanie z pól pszenicy musi
Zrobić coś z wodą dolecieć do niej wpaść w nią napić się jej powstać
Z niej ale na ziemi wody już nie ma chmury wchłonęły ją z powrotem
Rośliny ją wessały nadciągają ku niej tylko
Pospolite pola śmierci jej lot znów przechodzi w spadanie
Z gardła znów wydiera się potężny krzyk ten sam cichy krzyk którym zdmuchnęła
Podwójne drzwi samolotu prawie prawie wymyka jej się
Co zrobiła pamięta pamięta kształt w sercu
Chmury modnie wirujący pamięta że wciąż jeszcze ma czas umrzeć
Niewytlumaczalnie. Niechaj teraz zdejmie toczek w letnim powietrzu o konturze
Pól kukurydzy niech starczy jej czasu by zsunąć jedyny zachowany
But palcami drugiej stopy odpiąć pończochy
Spokojnymi palcami zauważając jak zgubnie łatwo jest rozebrać się w powietrzu
Chwilę przed śmiercią kiedy ciało bez wysiłku przybiera każdą pozycję
Oprócz tej która by je podtrzymała pozwoliła wzlecieć w górę żyć dalej
Nie umrzeć dziewięć farm czyha w pobliżu poszerzają się osiem się rozdziela
Pozostawiając jedną pośrodku potem to samo robią pola przy tej farmie nie ma jak
Cofnąć się przed ziemią którą sobie wybrała zrzuca jednak żakiet
Z jego srebrnymi żałośnie bezsilnymi skrzydłami zrzuca sterującą lotem nietoperzową
Błone spódnicy naładowaną elektrycznością pioruna bluzkę opinającą ciało
Intymny ukryty skrzydlaty strój halki w której szybuje jak duch święty
Dziewicy zrzuca długie wiatrowskazy pończoch absurdalny
Stanik potem czuje jak wymagany regulaminem gorset zsuwa się
Z niej: już z uwolnionymi pośladkami czuje jak gorset trzepocze trzęsie się
W jej dłoni i wznosi w górę jej ubrania wlatują ponad nią wzbijają się
Ku chmurom i odpędza od głowy ostatni ostry niebezpieczny but
Jak głupie ptaszysko teraz spadnie ZARAZ teraz spadnie

Właśnie tak najwspanialsze co zstąpiło do Kansas ze wszelkich
Wyżyn wszystkie poziomy amerykańskiego tchnienia leżą w płucach warstwami
Na górze kruche zimno przestworzy na dole gleba gdzie zagłada ciężko śpi w
Wąsach kukurydzy i oddycha arytmetyką bogatych farmerów: zstąpi między nich
Po swoim ostatnim nadludzkim wyczynie ostatni raz powoli przesuwa dłońmi
Po całym nietkniętym ciele pożądanym przez każdego śpiącego który śni:
Chłopców o lędźwiach pierwszy raz napełnionych krwią spływającą z serca
Owdowiałych farmerów którzy o brzasku bezwiednie wsuwają dłonie pod lekkie narzuty
By odkryć że są pobudzeni wspaniała pozycja krwi nieziemsko przyciąganej

Ku chmurom wszyscy czują jak coś przemyka po skórze gdy ona wodzi dłońmi po
Swoich długich nogach małych piersiach i głęboko między udami
Jej włosy uwolnione ze wszystkich spinek rozplývają się rozwiewane
Pędem jej ciała niech zstąpi ze szczytu w ostatniej chwili próbując wylądować
Na plecach To już JUŻ
Wszyscy którzy znajdują ją
Wciśniętą w miękką glebę głęboko wbitą w kontur swego ciała
Oblewany milami skib w miejscu gdzie leży jakże głęboko
W swym śmiertelnym obrysie jako w chmurze tak i w ziemi nie wiedzą nic
Prócz tego że ona tam jest rzecz niewytłumaczalna niewątpliwa i pamiętają
Że w nich wtedy także coś pękło i zaczęli bardziej żyć i umierać
Kiedy poszli bez powodu na swoje pola tam gdzie cała ziemia
Złapała ją przerwała jej dziewiczy lot powiedziała jak ma leżeć nie może
Się odwrócić odejść nie może się ruszyć zsunąć z niej ani zmienić
Pozycji nie ocali jej żaden uśmiechnięty spadochroniarz nie weźmie w ramiona
Nie runie razem z nią nie rozłoży nad nią swych ślubnych jedwabi ona nie może już
Baczyć na deszcz z wirującymi w tańcu kobietami które zastępują zmarłą żonę
Lub boginię w młodych norweskich wieśniaczkach albo wszystkie gnące grzbiety dziwki
Z Wichita. Całe znane powietrze ponad nią nie oddaje nawet jednego
Tchnienia nie ma go a jednak jeszcze żyje jeszcze nie przeniosła się
Gdzie indziej leży nieruchomo na plecach w polu wyczuwa że zapachy
Nieustannie wzrastającej roślinności próbują ją podnieść jeszcze widzi coś kątem
Jednego oka coraz słabiej coś falującego leży przekonana
Że jednak mogło się udać w szczytowym momencie jej krótkiej przemiany
W boginię wpaść do wody głową naprzód wychynąć z uśmiechem niezwyknięta
Dziewczyna z reklamy kostiumu kąpielowego leży jednak jakby opalała się w gasnących
Promieniach księżycy na poły pogrzebana w miejscu gdzie wybiła swe piętno na ziemi
Opodal wiaduktu kolejowego zbiornika wody które zobaczyłaby gdyby mogła
Podnieść głowę ze swojej skromnej nory a jej ubrania zaczynają
Spadać w całym Kansas w krzaki w mokrą od rosy trawę przy szóstym dołku
Pola golfowego jeden but gorset zawisł fantazyjnie
Na sznurze na bieliznę tam gdzie jego miejsce bluzka na piorunochronie:

Leży wśród pól na tym polu na złamanym kręgosłupie niby na
Chmurze która zatrzymała jej upadek podczas gdy farmerzy wychodzą jak lunatycy
Z domów bez swoich kobiet idą jakby spadali ku odległym wodom
Życia w świetle księżycy ku śnionemu odwiecznemu znaczeniu ich farm
Ku rozkwitowi plonów w dłoniach a ona ta tragiczna cena
Czuje że odchodzi ku czemuś od czegoś teraz nareszcie odetchnąć pełną piersią
Nie może próbuje słabiej jeden raz próbuje próbuje ACH, BOŻE...

POSŁOWIE: WAŻNY KOMUNIKAT Z KABINY PILOTÓW

BEV VINCENT

Choć w samolocie rzeczywiście można się najeść strachu, ja zleciałem całą planetę i nie przypominam sobie ani jednej dramatycznej sytuacji. Pracując nad tą antologią, spędziłem ponad dwadzieścia cztery godziny w powietrzu i nic złego się nie stało (choć, za sprawą zebranych tu opowieści, nie mogłem przestać myśleć o wszystkim, co mogło nawalić). Przerwane lądowanie z powodu mgły to właściwie najgorsze, co mnie spotkało przez wszystkie lata podróży lotniczych.

Pierwszy raz w życiu jednak leciałem samolotem w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, kiedy w ferie wiosenne pojechaliśmy na wycieczkę do Grecji. Nasz boeing siedemset czterdzieści siedem linii Alitalia wylądował na lotnisku imienia Leonarda da Vinci w Rzymie nazajutrz po uprowadzeniu przez Czerwone Brygady byłego premiera Włoch, Aldo Moro. Z uwagi na zastrzone środki bezpieczeństwa lotnisko było pełne żołnierzy uzbrojonych w uzi. Panowała napięta atmosfera. Kolega z klasy przeszedł z aparatem fotograficznym na szyi przez wykrywacz metalu, co wywołało niemalże międzynarodowy incydent.

Innym razem, wracając do Stanów z podróży służbowej do Japonii, ja i moi współpracownicy dowiedzieliśmy się, że sąd uniewinnił policjantów oskarżonych o pobicie Rodneya Kinga, co doprowadziło do wybuchu zamieszek w Los Angeles. Mieliśmy przesiadkę na tamtejszym lotnisku, ale kiedy dotarły do nas niepotwierdzone plotki, że ludzie strzelają do samolotów lądujących na LAX, zmieniliśmy plany i poleciliśmy przez San Francisco.

W lipcu dwa tysiące siedemnastego roku, przed premierą *Mrocznej wieży*, byliśmy z Richardem Chizmarem w restauracji (dziwnym trafem, naprzeciwko międzynarodowego lotniska w Bangor), kiedy podszedł do nas Stephen King. „Mam pewien pomysł”, zagaił. „Antologia opowieści o złych rzeczach, które mogą człowieka spotkać podczas lotu. Ja napiszę wprowadzenie”. Do Richa powiedział: „Ty ją wydasz”. Przedstawił parę propozycji tytułu, po czym stwierdził: „Ktoś musi mi pomóc znaleźć jeszcze kilka opowiadań”. Zwrócił się do mnie. „To zadanie dla ciebie”.

Tak właśnie narodziła się niniejsza antologia. Od razu pomyślałem o *Koszmarze na*

wysokości sześciu tysięcy metrów i rozpocząłem poszukiwania innych historii z dreszczykiem o tematyce lotniczej.

Powstało wiele powieści i filmów z przerażającymi scenami na pokładzie samolotów. Za niedościgły wzór prawdopodobnie należy uznać wydany w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku *Port lotniczy* Arthura Haileya. Hailey rozpoczął karierę pisarską scenariuszem zatytułowanym *Flight into Danger*. Jako nastolatek przeczytałem powieść, na którą ten scenariusz został przerobiony, *714 wzywa pomocy*, i jestem prawie pewien, że oglądałem też film telewizyjny nakręcony na jej podstawie – *Terror in the Skies*. *Port lotniczy*, oczywiście, stał się kanwą dla filmu kinowego, który doczekał się kilku kontynuacji w latach siedemdziesiątych, dziś jednak chyba lepiej znana jest jego przezabawna parodia *Czy leci z nami pilot?*. A któż mógłby zapomnieć *Air Force One*, *Red Eye* czy *Węże w samolocie*? Nie sposób zliczyć katastrof, które mogą się wydarzyć, kiedy jesteś uwięziony w metalowej rurze osiem, dziewięć, dziesięć kilometrów nad ziemią.

Jak się przekonałem, opowiadań o koszmarnych lotach jest znacznie mniej. Wytropienie dobrych kandydatów wymagało trochę wysiłku. Wśród wyników wyszukiwań w Google’u przeważały opowieści z życia wzięte o przykrych doświadczeniach podczas podróży lotniczych – podobne do tej, którą Steve zawarł w przedmowie. Poprosiłem też o sugestie „umysł roju”, zamieszczając stosowne pytanie na Facebooku, i w odpowiedzi polecono mi opowiadania, których inaczej mógłbym nie znaleźć. Dlatego, umyśle roju, wielkie dzięki!

Poszukując kandydatów do tej antologii, pracowałem nad esejem dla Poetry Foundation i przypomniano mi, że jeden z ulubionych poematów Steve’a – o którym wspomniał w kilku wywiadach – zainspirowany był prawdziwą historią stewardesy, która w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku wypadła z lecącego samolotu, gdy nagle otworzyły się w nim drzwi awaryjne. Zapytałem Steve’a, czy jego zdaniem powinniśmy włączyć ten utwór do antologii. Jak się okazało, ta sama myśl i jemu przyszła do głowy. Dlatego zbiór kończymy autentyczną tragedią przeniesioną w wymiar poetycki i metaforyczny.

Pracując nad tą książką, czytałem też *Dziwną pogodę*, zbiór nowel Joego Hilla. *Wniebowzięty* zaczyna się sceną, w której lękliwy młody człowiek próbuje zaimponować kobiecie, skacząc ze spadochronem. W ostatniej chwili traci zimną krew i próbuje się wycofać, ostatecznie jednak i tak zmuszony jest wyskoczyć, kiedy w samolocie wysiada silnik. Ucieszyliśmy się, kiedy Joe powiedział nam, że ma inny – głęboko poruszający – pomysł na opowiadanie w sam raz do tej antologii. Owen King zwrócił naszą uwagę na opowiadanie Toma Bissella.

Czy zbiór ten przedstawia wszelkie możliwe nieszczęścia, jakie mogą się przydarzyć podczas lotu? Oczywiście, że nie. W czasie, kiedy spisywałem niniejsze luźne uwagi, wydano ostrzeżenie, że na lotnisku O’Hare w Chicago wylądował podróżny chory na odrę. Nawet jeśli więc wasz samolot bezpiecznie dociera do celu, czy możecie wiedzieć, jakich dodatkowych pasażerów zabieracie ze sobą do domu? Liczba możliwości jest nieograniczona. Materiał dla was do przemyśleń podczas pakowania bagaży przed następną podróżą.

Choć antologia ta składa się głównie z wcześniej już opublikowanych opowiadań,

przypuszczam, że niewielu przeczytało więcej niż kilka z nich. Ja sam znałem tylko cztery, kiedy rozpoczynałem to przedsięwzięcie. Praca nad tą książką była istną podróżą odkrywczą i bardzo jesteśmy zadowoleni z zebranych przez nas utworów.

Kiedy spis treści był już prawie gotowy, po latach wróciłem do *Langolierów* i znalazłem niespodziewane paralele między tą nowelą – właściwie powieścią; długością dorównuje całej tej antologii – i wybranymi przez nas utworami. Oczywiście, takie zbieżności nie powinny zaskakiwać w uniwersum Stephena Kinga, gdzie postać nazwiskiem Jenkins może w *Langolierach* snuć rozważania, że „nie możesz zjawić się w Teksasńskiej Składnicy Podręczników dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku i zapobiec zabójstwu Kennedy’ego”, a jednak zaskakują.

Zwróćcie uwagę, szanowni państwo, że ten sam Jenkins, pisarz, początkowo porównuje położenie, w jakim znaleźli się bohaterowie, do „zagadki zamkniętego pokoju”. Jedno ze znalezionych przeze mnie opowiadań było zagadką zamkniętego pokoju, której akcja toczy się w samolotowej toalecie. Jenkins dalej stwierdza, że kryminal rozgrywający się w świecie rzeczywistym nie jest odpowiednią analogią do ich sytuacji. „Szkoda, że nie lecą z nami Larry Niven ani John Varley”, mówi. Że co proszę? Kogóż my tu mamy w spisie treści, jak nie pana Varleya we własnej osobie?

A potem jeszcze jest rozmowa o tym, jak wrócić przez tunel czasoprzestrzenny. Zaproponowane rozwiązanie może „zmienić samolot w Jonestown”, zauważa Jenkins. A skąd pochodzi ładunek w opowiadaniu otwierającym naszą antologię? No właśnie. Z Jonestown.

Zupełnie jakby maczało w tym palce przeznaczenie. Bardzo lubię odkrywać taką zgrabną symetrię.

A teraz ważna wiadomość od waszych dwóch pilotów. Pragniemy podziękować pasażerom naszego samolotu. Wiemy, że mieliście do wyboru wiele innych linii lotniczych i jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że dołączyliście do nas na pokładzie. Mamy nadzieję, że lot nie był zbyt ciężki, ale wiedzieliście, na co się piszecie, wsiadając do tego samolotu. Może jeden ze współpasażerów pomógł wam przetrzymać najsilniejsze turbulencje. Czasem nie da się ich uniknąć, rozumiecie.

Dziękujemy też agentom biur podróży, którzy zorganizowali lot i dopilnowali, by podróżni zgodnie z planem dotarli do celu. Wielu pasażerów w zamieszczonych tu opowieściach nie miało tyle szczęścia.

Pragniemy też podziękować personelowi pokładowemu, z Chuckiem Verrillem na czele, za to, że pomógł zapewnić komfortowe warunki wszystkim podróżnym, oraz załozce naziemnej z Cemetery Dance Publications, która utrzymywała nasz statek powietrzny w dobrym stanie i pilnowała, by nadawał się do lotu – w szczególności szefowi załogi, Richowi Chizmarowi, i specjaliście do spraw operacji lotniskowych, Brianowi Freemanowi.

A teraz proszę zwrócić uwagę na podświetlone znaki, podnieść oparcia foteli i stoliki do pozycji pionowej, schować wszelkie przedmioty, które wyjęli państwo podczas lotu,

wyłączyć urządzenia elektroniczne, podchodzimy bowiem do lądowania. Możliwe, że będzie trzęsło, więc przygotujcie się – wasz drugi pilot po raz pierwszy usiadł dziś za sterami. Pozostańcie na miejscach, dopóki samolot nie podjedzie do terminalu i nie zgaśnie znak zapięcia pasów. Ostrożnie otwierajcie schowki bagażowe, bo jest więcej niż, kurczę, pewne, że wszystkie te ciężkie torby poprzesuwały się podczas lotu i tylko czekają, żeby zwalić się wam na głowy.

Aha, a gdybyście kiedyś zobaczyli kogoś czytającego tę książkę na lotnisku albo – jeszcze lepiej – w samolocie, zróbcie, proszę, zdjęcie i prześlijcie je nam. To byłaby niesamowita sprawa!

The Woodlands, Teksas
8 marca 2018

O AUTORACH

Ambrose Bierce (1842–1914) jest chyba najbardziej znany jako autor *The Devil's Dictionary* i regularnie przedrukowywanego w antologiach opowiadania *Przy moście nad Sowim Potokiem*. Był czeladnikiem drukarza i zaciągnął się do wojska podczas wojny secesyjnej, doświadczenie, które odcisnęło piętno na znacznej części jego późniejszej twórczości. Przez ćwierć wieku pisał i pracował w prasie na obu wybrzeżach Ameryki. W poszukiwaniu nowych doświadczeń wojennych udał się do Meksyku, dokąd pojechał zobaczyć na własne oczy rewolucję Pancho Villi, i tam zaginął. Jego los jest nieznan.

Tom Bissell (1974) urodził się w Escanaba w stanie Michigan. Jest autorem dziewięciu książek, w tym *The Disaster Artist*, napisanego wspólnie z Gregiem Sestero bestsellera z listy „New York Timesa”, oraz *Apostle*. Za swoją twórczość został nagrodzony Rome Prize, otrzymał też stypendium Guggenheima. Mieszka w Los Angeles z rodziną.

Ray Bradbury (1920–2012), autor trzydziestu kilku książek, w tym takich klasyków jak *451 stopni Fahrenheita*, *Kroniki marsjańskie*, *Człowiek ilustrowany*, *Słoneczne wino* oraz *Jakiś potwór tu nadchodzi*, a także setek opowiadań. Pisał dla teatru, kina i telewizji, spod jego pióra wyszedł m.in. scenariusz *Moby Dicka* w reżyserii Johna Hustona i nagrodzony Emmy scenariusz *The Halloween Tree*; oprócz tego zaadaptował na mały ekran sześćdziesiąt pięć swoich opowiadań w ramach cyklu *The Ray Bradbury Theater*. W 2000 roku otrzymał przyznawany przez National Book Foundation medal za zasługi dla literatury amerykańskiej, w roku 2007 specjalne wyróżnienie kapituły Nagrody Pulitzera, zdobył także wiele innych nagród.

Roald Dahl (1916–1990) urodził się w Cardiff jako syn norweskich imigrantów. W wieku dwudziestu trzech lat wstąpił do RAF i zaczął pisać utwory dla dorosłych po tym, gdy został ranny w katastrofie samolotu podczas drugiej wojny światowej. Później, siedząc w szpie

w swoim ogrodzie, tworzył powszechnie znane i lubiane opowieści dla dzieci, m.in. *Charliego i fabrykę czekolady*, *Wielkomiluda* oraz *Matyldę*. Jego utwory przetłumaczono na sześćdziesiąt języków, napisane przez niego książki rozeszły się w ponad dwustu pięćdziesięciu milionach egzemplarzy. Wiele jego opowieści doczekało się adaptacji filmowych i teatralnych – należą do nich między innymi klasyczny film z 1971 roku *Willy Wonka i fabryka czekolady*, wysoko oceniany *Fantastyczny pan Lis* Wesa Andersona, *BFG: Bardzo fajny gigant* Stevena Spielberga oraz wystawiony przez Royal Shakespeare Company, obsypany nagrodami musical *Matilda* z muzyką Tima Minchina.

James L. Dickey (1923–1997) był amerykańskim poetą i powieściopisarzem najszerzej znanym jako autor *Wybawienia*, zekranizowanego w 1972 roku. Dickey zagrał w tym filmie epizodyczną rolę szeryfa. W czasie drugiej wojny światowej pełnił funkcję operatora radaru w eskadrze nocnej Korpusu Powietrznego Armii Amerykańskiej, służył także w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych podczas wojny koreańskiej. Po uzyskaniu licencjatu z anglistyki i psychologii na Vanderbilt ukończył studia magisterskie z anglistyki na tej samej uczelni. Uczył w Rice Institute i na Uniwersytecie Florydy, przez kilka lat pisał teksty reklamowe. Zaczął wydawać tomiki swojej poezji w roku 1960, otrzymał stypendium Guggenheima i National Book Award w dziedzinie poezji, został też konsultantem do spraw poezji przy Bibliotece Kongresu. Przez większą część lat sześćdziesiątych zatrudniany na stanowisku profesora wizytującego, w roku 1969 został profesorem anglistyki i pisarzem rezydentem na Uniwersytecie Karoliny Południowej. W 1966 roku wybrano go na osiemnastego Poetę Laureata Stanów Zjednoczonych, a w 1977 wystąpił podczas inauguracji prezydenta Jimmy’ego Cartera. Jego wiersz *The Moon Ground*, odczytany przez niego samego, został nadany w telewizji w dniu lądowania Apolla 11 na Księżycu.

Sir Arthur Conan Doyle (1859–1930) był lekarzem, który powołał do życia Sherlocka Holmesa, detektywa-konsultanta znanego z dziesiątek opowiadań oraz czterech powieści. Spod pióra Doyle’a wyszły też powieści historyczne i utwory przygodowe z profesorem Challengerem w roli głównej. Pisał o wojnie burskiej i innych sprawach związanych z kontynentem afrykańskim, z czasem jednak zafascynował go spirytyzm, zainteresowanie, które poróżniło go z takimi ludźmi, jak Harry Houdini czy Joseph McCabe. Sześć lat przed śmiercią wydał swoją autobiografię *Wspomnienia i przygody*.

Cody Goodfellow (1970) ma na koncie siedem powieści napisanych samodzielnie i trzy we współpracy z Johnem Skippem, autorem bestsellerów z listy „New York Timesa”. Dwa z czterech zbiorów jego opowiadań, *Silent Weapons for Quiet Wars* i *All-Monster Action*, zostały nagrodzone Wonderland Book Award. Jest scenarzystą, współproducentem

i kompozytorem ścieżki dźwiękowej *Stay-At-Home Dad*, krótkiego filmu w lovecraftowskim klimacie. Jako hierofant Ezoterycznego Zakonu Dagona co roku przewodniczy kilku Modlitewnym Śniadaniom Wyznawców Cthulhu. Ostatnio grał rolę amisza farmera w reklamie Days Inn i pojawił się na drugim planie wielu seriali telewizyjnych, m.in. *Ery Wodnika*, *American Horror Story: Roanoke*, *GLOW*, *You're the Worst*, *Kirby Buckets*, *Kevin Hart's Guide to Black History*, oraz w teledyskach Anthraxu i Becka. Jest także współzałożycielem Perilous Press, mikrowydawcy współczesnych horrorów kosmicznych. Wbrew temu, co mogliście wyczytać w innych źródłach, tak naprawdę mieszka w Portland w stanie Oregon.

Joe Hill (1972) jest autorem bestsellerów *Strazak*, *NOS4A2* oraz najnowszego *Dziwna pogoda*. Ponieważ dzieli swoje życie między Wielką Brytanię a Stany Zjednoczone, spędza całkiem sporo czasu w powietrzu, gdzie może do woli rozmyślać o wszystkich koszmarnych zdarzeniach, jakie mogą człowieka spotkać na wysokości dziewięciu tysięcy metrów nad ziemią.

Stephen King (1947) swoje pierwsze opowiadanie sprzedał w 1967 roku pismu „Startling Mystery Stories”. Jesienią 1971 roku zaczął uczyć angielskiego w Hampden Academy, publicznej szkole średniej w Hampden w stanie Maine. Wieczory i weekendy poświęcał pracy nad następnymi opowiadaniem i powieściami. Wiosną 1973 roku wydawnictwo Doubleday & Co. przyjęło do druku powieść *Carrie*, co pozwoliło mu porzucić zawód nauczyciela i zostać pełnoetatowym pisarzem. Od tego czasu opublikował ponad pięćdziesiąt książek i został jednym z najbardziej poczytnych autorów na świecie. W 2003 roku National Book Foundation przyznała mu medal za wybitne zasługi dla literatury amerykańskiej, w roku 2014 otrzymał National Medal of Arts, a w 2018 Literary Service Award, wręczaną przez amerykański oddział PEN Club.

E. Michael Lewis (1972) jest entuzjastą lotnictwa i opowieści o duchach, który studiował pisarstwo na University of Puget Sound w Tacoma. Jego opowiadania można znaleźć w *The Horror Anthology of Horror Anthologies* (Megazanthus Press), *Exotic Gothic 4* (PS Publishing) i *Savage Beasts* (Grey Matter Press). Udziela się na Facebooku i Twitterze. Całe życie spędził na północno-zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, jest ojcem dwóch synów i służącym dwóch kotów, które również są braćmi.

Richard Matheson (1926–2013) jest autorem wielu klasycznych powieści i opowiadań. Uprawiał rozmaite gatunki literackie, w tym literaturę grozy, horror, fantasy, science fiction

i western. Oprócz książek pisał scenariusze telewizyjne (m.in. *Strefa mroku*, *Night Gallery*, *Star Trek*) i filmowe. Liczne powieści i opowiadania Mathesona doczekały się ekranizacji (m.in. *The Shrinking Man*, *Jestem legendą*, *Gdzieś w czasie* oraz *Między piekłem a niebem*). Otrzymał wiele nagród, w tym World Fantasy Award i Bram Stoker Award za całokształt twórczości, Hugo Award, Edgar Award, Spur Award za najlepszą powieść w gatunku western, liczne nagrody Writer's Guild, a w 2010 roku został przyjęty do Galerii Sław Science Fiction.

David J. Schow (1955) jest autorem opowiadań wybranych w ciągu czterdziestu lat do ponad trzydziestu antologii najlepszych utworów roku, uhonorowanym World Fantasy Award, Dimension Award przyznawaną (niesłychanie rzadko) przez pismo „Twilight Zone”, a także International Horror Guild Award za *Wild Hairs* (wybór felietonów z cyklu „Raving & Drooling” publikowanych w „Fangorii”). Jego powieści to m.in. *The Kill Riff*, *The Shaft*, *Rock Breaks Scissors Cut*, *Bullets of Rain*, *Gun Work*, *Hunt Among the Killers of Men*, *Internequine*, *Upgunned* oraz *The Big Crush* (w przygotowaniu). Opowiadania jego autorstwa zebrano w *Seeing Red*, *Lost Angels*, *Black Leather Required*, *Crypt Orchids*, *Eye*, *Zombie Jam*, *Havoc Swims Jaded*, *DJSturbia* oraz kompendium twórczości *DJStories*. Pisał scenariusze do filmów (*Kruk*, *Teksańska masakra piłą mechaniczną III*, *Krwawe wzgórza*), a także do seriali telewizyjnych (*Opowieści z krypty*, *Perversions of Science*, *The Hunger*, *Mistrzowie horroru*). W swoim dorobku ma również książki niebeletrystyczne, w tym *The Art of Drew Struzan* oraz *The Outer Limits Companion*. Uzupełnienie tej ostatniej, *The Outer Limits at 50*, zostało w 2015 roku nagrodzone Rondo Hatton Classic Horror Award dla najlepszej książki. Możecie go zobaczyć w roli eksperta w filmach dokumentalnych i na płytach DVD ze wszystkim od *Potwora z Czarnej Laguny*, *Incubus* i *Skazanych na Shawshank* do *Scream and Scream Again*, *Beast Wishes* i *The Psycho Legacy*. Jest również redaktorem trzyciomowej serii *Lost Bloch* wydanej przez Subterranean Press oraz *Elvisland* Johna Farrisa. Był współproducentem materiałów dodatkowych do DVD z takimi filmami, jak *Wściekle psy*, *Prosto z piekła*, *Ja, robot*, specjalne wydanie *Parszywej dwunastki* oraz *Opowieści z Narnii: Lew, czarownica i stara szafa*. Jako pierwszy otrzymał J.F. Gonzalez Award za całokształt twórczości i dzięki niemu słowo „splatterpunk” od 2002 roku figuruje w Oxford English Dictionary. Mieszka i pracuje w swoim ukochanym Los Angeles. Sprawdźcie go na Google’u, śmiało.

Dan Simmons (1948) urodził się w Peorii w stanie Illinois i dorastał w różnych miastach i miasteczkach Środkowego Zachodu, jednym z których było Brimfield w stanie Illinois, pierwowzór fikcyjnego „Elm Haven” z wydanej w 1991 roku *Letniej nocy* i opublikowanej jedenaście lat później *A Winter Haunting*. Dan ukończył studia licencjackie na Wabash College w 1970 roku; na ostatnim roku otrzymał nagrodę Phi Beta Kappa za wybitne

osiągnięcia w literaturze, dziennikarstwie i sztuce. W 1971 roku uzyskał magisterium z pedagogiki na Washington University w St. Louis. Przez następne osiemnaście lat pracował w szkołach podstawowych – dwa lata w Missouri, dwa w Buffalo w stanie Nowy Jork (rok w charakterze „nauczyciela pomocniczego” dzieci o specjalnych potrzebach, rok jako nauczyciel szóstych klas) oraz czternaście lat w Kolorado.

Peter Tremayne (1943) dziś mieszka w Londynie i zdobył rozgłos jako autor thrillerów z elementami horroru, zanim przeniósł się na pisanie kryminałów. Był celtolog, zasłynął na arenie międzynarodowej serią kryminałów historycznych z siostrą Fidelmą w roli głównej. Osadzone są głównie w siódmym wieku w Irlandii; niedawno (w lipcu 2018) ukazał się najnowszy, dwudziesty dziewiąty tytuł. W 2001 roku utworzono w USA Międzynarodowe Towarzystwo imienia Siostry Fidelmy, a od roku 2006 w Cashel w hrabstwie Tipperary, „rodzinnym mieście” Fidelmy, organizowany jest doroczny trzydniowy zlot fanów. Na jego otwarciu w 2014 roku minister środowiska Irlandii, Alan Kelly, nazwał tę serię „skarbem narodowym”. Peter napisał tylko kilka opowiadań kryminalnych, w których nie występuje Fidelma, a *Morderstwo w powietrzu* dowodzi, że jego talent nie ogranicza się tylko do opisywania siódmowiecznych realiów.

E.C. Tubb (1919–2010) jest urodzonym w Londynie pisarzem, którego utwory przełożono na kilkanaście języków. W ciągu sześćdziesięcioletniej kariery pisarskiej opublikował ponad sto dwadzieścia powieści i dwieście opowiadań science fiction. W dorobku ma także utwory przygodowe, detektywistyczne i westerny, ale najlepiej znany jest z licznych powieści science fiction, w tym bezsprzecznych klasyków *Alien Dust* (1955) oraz *The Space Born* (1956). Tubb zasłynął jako autor cyklu „Dumarest of Terra”, galaktycznej sagi o hrabim Dumareście i jego poszukiwaniach legendarnej zaginionej planety, na której się urodził – Ziemi. Seria ta ostatecznie objęła trzydzieści trzy tytuły, z których ostatni, *Child of Earth*, ukazał się w 2009 roku. Podobnym rozgłosem cieszą się jego powieści na podstawie serialu *Kosmos 1999* i seria „Cap Kennedy” (wydana pod pseudonimem Gregory Kern). Jego najlepsze opowiadania SF znalazły się w zbiorze *The Best Science Fiction of E. C. Tubb*. Tubb pisał nieprzerwanie aż do swojej śmierci w październiku 2010; jego ostatnia powieść *Fires of Satan* ukazała się w 2013 roku.

John Varley (1947) urodził się w Austin, a wychował nad Zatoką Meksykańską. Ucieczkę od petrochemicznych smrodów i piekielnej wilgotności umożliwiło mu stypendium National Merit Scholarship na Uniwersytet Stanu Michigan. Zamierzał zostać naukowcem, ale nauki ścisłe okazały się nudne. Podobnie jak anglistyka i, wkrótce potem, studia w ogóle. Przestał chodzić na zajęcia, oprócz tych, na których pokazywali klasyczne filmy. Ruszył w kraj

z przyjacielem i dotarli do San Francisco w samą porę, by się załapać na Lato Miłości, które właśnie trwało w najlepsze, choć żaden z nich o tym nie wiedział. Pierwszego dnia po przyjeździe śpiewał i recytował z Allenem Ginsbergiem w mieszkaniu, w którym kątem nocowali hipisi. Zdecydował wówczas, że jest hipisem. Mieszkał w Tucson, gdzie poznał Lindę Ronstadt, zanim zdobyła sławę. Jadąc przez stan Nowy Jork, utknął w korku, który okazał się festiwalem w Woodstocku. Nie wy dostał się przez trzy dni. Wymigał się od służby wojskowej. W 1973 roku postanowił zostać pisarzem science fiction. Był jednym z pierwszych autorów ochrzczonych „nowym Heinleinem”. To mu pochlebiło, a zarazem wzbudziło w nim niepokój, bo stary Heinlein był jednym z jego największych idoli – i jeszcze żył. Jego utwory przetłumaczono na szesnaście obcych mu języków, w tym esperanto. Miał dziesięcioletnią przerwę w karierze pisarskiej, spędzoną w Hollywood. Zarabiał wtedy porządne pieniądze, raz nawet dano mu gabinet przy bramie wjazdowej do studia Metro-Goldwyn-Mayer. Poznał Mela Gibsona, Paula Newmana, Sigourney Weaver, Charltona Hestona i wiele innych gwiazd. Wszyscy byli niżsi, niż przypuszczał, oprócz Weaver (po zdjęciu kowbojek John ma dwa metry wzrostu). Varley mieszkał przez pewien czas w Portland w stanie Oregon z Lee Emmett, która została jego pierwszą redaktorką. Jest w tym dobra i zawsze ma wiele pożytecznych rad. Mieli dziewiętnastoletniego psa imieniem Cirocco, który był najlepszym owczarkiem szetlandzkim w Oregonie. Kilka lat mieszkali w samochodzie turystycznym zaparkowanym pięćdziesiąt metrów od plaży na środkowym wybrzeżu Kalifornii. Cztery lata spędzili w Hollywood w dzielnicy o nazwie Thai Town. Obecnie mieszkają w Vancouver w stanie Waszyngton.

Bev Vincent (1961) jest autorem kilku książek, z których najnowsza to *The Dark Tower Companion*, oraz ponad osiemdziesięciu opowiadań, zamieszczonych między innymi w „Alfred Hitchcock’s Mystery Magazine”, „Ellery Queen’s Mystery Magazine” i dwóch antologiach Mystery Writers of America. Jego utwory zostały przełożone na kilka języków i były nominowane do Bram Stoker Award, Edgar Award i ITW Thriller Award. W 2010 roku otrzymał Al Blanchard Award. Zainteresowanych zaprasza na stronę bevvincent.com i twitterowe konto [@BevVincent](https://twitter.com/BevVincent).

Spis treści

PRZEDMOWA

ŁADUNEK

GROZA PRZESTWORZY

KOSZMAR NA WYSOKOŚCI SZEŚCIU TYSIĘCY METRÓW

LATAJĄCA MASZYNA

LUCYFERZE!

KATEGORIA PIĄTA

DWIE MINUTY CZTERDZIEŚCI PIĘĆ SEKUND

DIABLITOS

NALOT

JESTEŚCIE WOLNI

GREGG HOLDER W BIZNESOWEJ

PTAKI WOJNY

LATAJĄCA MACHINA

ZOMBI W SAMOLOCIE

NIE ZESTARZEJĄ SIĘ NIGDY

MORDERSTWO W POWIETRZU

SPECJALISTA OD TURBULENCJI

POSŁOWIE: WAŻNY KOMUNIKAT Z KABINY PILOTÓW

O AUTORACH